

ELIZABETH ADLER

TAJEMNICA WILLI MIMOZA



„Przed wszystkim, co żyje, Niebiosa skrywają księgę przeznaczenia.”
Alexander Pope, An Essay on Man

*„Z pewnością w życiu każdego człowieka istnieją rozmaite relacje i poplątania,
które zdają się podporządkowane kategorii przypadku, a w rzeczywistości okazują
się działaniem ręki Boga.”*
Sir Thomas Browne, Religio Medici

Prolog

Przed halą przylotów lotniska San Francisco zatrzymał się samochód. Wsiadł z niego wysoki, jasnowłosy, przystojny mężczyzna. Jego umięśnione ciało z pewnością wyglądało równie dobrze w ubraniu jak i bez, a do swobodnego, lekko wyniosłego sposobu bycia lepiej pasowałby ferrari czy sportowy dżip niż wynajęty biały lincoln, którym przyjechał. Mężczyzna spojrział niecierpliwie na zegarek. Wieczorny samolot z Honolulu miał opóźnienie, a parkowanie dłuższe niż kilka minut było ryzykowne. Gdyby pojawiła się policja, musiałby odjechać albo zapłacić mandat. Szybkim krokiem wszedł więc do hali i sprawdził na ekranie czas przylotu. Samolot wylądował przed pięcioma minutami.

Wyszedł na zewnątrz i z rękami w kieszeniach, oparty o samochód, obserwował drzwi. Uśmiechnął się, kiedy wreszcie ją zobaczył. Dziewczyna szła w kierunku postoju taksówek, a miękkie włosy koloru miedzi kołysały się wokół jej ramion. Nawet go nie zauważyła, gdy podszedł z tyłu. Gwałtownie wciągnęła powietrze, czując na ramieniu ukłucie igły. Przerażone brązowe oczy rozpoznały go, a on uśmiechnął się do niej. Niemal bez jęku osunęła mu się w ramiona. Bez trudu wrzucił ją na tylne siedzenie. Pośpiesznie okrył ciało kocem, usiadł za kierownicą i wmieszał się w sznur samochodów wlokący się w kierunku miasta. Wzruszył ramionami i zapalił papierosa. Do licha, nie musiał się przecież śpieszyć. Jeśli można się tak wyrazić - miał mnóstwo czasu do zabicia.

Czterdzieści minut później zaparkował samochód na ulicy Battery. Wsiadł i otworzył tylne drzwi, by sprawdzić, co dzieje się z dziewczyną. Uniósł jej powieki i zmierzył puls. Wydawała się nieprzytomna. Żadnych kłopotów. Zepchnął dziewczynę na podłogę, nakrył kocem i zamknął samochód. Potem zapalił papierosa i niedbałym krokiem ruszył do mieszczącej się za rogiem restauracji II Fornaio.

W środku było tłoczno. Mężczyzna przepchnął się do baru, zamówił piwo i małą pizzę z mozzarellą, anchois, oliwkami i kaparami. Czekając, sprawdził w gazecie wyniki rozgrywek koszykówki. Zjadł pizzę, wypił jeszcze jedno piwo, a potem ulegając słabości do słodczy zamówił tiramisu.

- Smakuje niebiańsko - odezwała się siedząca obok młoda kobieta. - Sama nigdy nie mogę się mu oprzeć.

Sączyła margaritę. Miała długie do ramion rude włosy i była mniej więcej w tym samym wieku co uśpiona narkotykiem dziewczyna w samochodzie. Dawała mu do zrozumienia, że jej się podoba. Mężczyzna wzruszył jednak ramionami.

- Raz na jakiś czas nie zaszkodzi - rzucił i poprosił o rachunek.

Widział, że czeka na jego reakcję, ale odwrócił się i skierował do kasy przy drzwiach. Czuł na sobie jej zdziwione spojrzenie. Była ładna i nie przyzwyczajona do porażek. Tylko że tego wieczoru podrywała niewłaściwego faceta.

Mężczyzna otworzył samochód, uniósł koc i jeszcze raz sprawdził, co się dzieje z dziewczyną. Była wciąż nieprzytomna. Usiadł więc za kierownicą i ruszył w kierunku ulicy Embarcadero. Wiedział dokładnie, dokąd jedzie, ale było jeszcze ciągle za wcześnie - za dużo samochodów, ludzi i świateł.

Jechał wolno przez miasto, krążąc ulicami, aż w końcu skierował się na północ. Minął elegancką dzielnicę, pole golfowe i dotarł do miejsca, gdzie szosa biegła wzdłuż stromego, porośniętego lasem urwiska.

Zatrzymał samochód i wyciągnął dziewczynę. Jej bezwładne ciało oparło się o niego. Dźwignął je przeklinając i powłókł pomiędzy drzewami, aż zatrzymał się na małej polance u brzegu rozpadliny. Mgła opadła, a księżyc oświetlał skały, zarośla i toczący się w dole strumień. Mężczyzna zawahał się, myśląc tęsknie o spoczywającym w kieszeni pistolecie. Jedyнным sposobem było jednak upozorowanie wypadku.

Uniósł dziewczynę i przez chwilę trzymał na rękach, chcąc złapać równowagę. A potem z całą siłą przerzucił przez krawędź prosto w przepaść.

Jego ofiara nie wiedziała nawet, co się stało.

Księżyc zaszedł za chmury i znów nadpłynęła mgła. Mężczyzna wyteżył słuch chcąc usłyszeć odgłos upadku. Westchnął z zadowoleniem i odwrócił się. Pomiedzy drzewami odnalazł drogę do samochodu. Przez gęstą mgłę pojechał wolno z powrotem do swego apartamentu w jednym z najlepszych hoteli w mieście.

Rozdział 1.

Franco Mahoney, detektyw Wydziału Zabójstw Policji San Francisco, przyglądał się beznamiętnie ludziom z brygady ratunkowej straży pożarnej zsuwającym się po zboczu Rozpadliny Mitchella ku leżącemu w dole ciału. Było niemal niewidoczne. Można było dostrzec jedynie stopę w czerwonym sandałku i wystające z zarośli ramię. Poszycie zahamowało upadek, lecz nie zdołało uratować życia ofiary. Jej śmierć stanie się kolejną nie rozwiązaną zagadką kryminalną. Chyba że Mahoney wykona swoje zadanie i odnajdzie mordercę.

Popatrzył na zegarek. Była ósma rano. Nocna zmiana właśnie dobiegła końca i Franco pomyślał tęsknie o tych szczęśliwych facetach, którzy udają się teraz do domu albo na śniadanie do baru przy ulicy Brannan, gdzie mówiło się o najnowszych zbrodniach czy po prostu, dla odprężenia, gadało o byle czym. To była długa noc. Jak zwykle w jednym z zaułków doszło do zabójstwa pomiędzy członkami gangów narkotycznych. Potem w nędznym pokoiku kamienicy czynszowej znaleziono pchniętego nożem maleńkiego Chińczyka, z którego ciała wypłynęło więcej krwi, niż Franco kiedykolwiek widział u rzeźnika. Wreszcie wyrzucone z samochodu zwłoki mężczyzny. Przejechano po nich kilkakrotnie, zanim je odnaleziono, i stwierdzono, że denat zginął wcześniej od kuli. O 7.34 przyszła wiadomość o odkryciu ciała dziewczyny w Rozpadlinie Mitchella. Była kolej Franka. Pech na sam koniec zmiany. W takie noce zastanawiał się czasem, czy słusznie zrobił zostając policjantem.

Westchnął przyglądając się polance na skraju rozpadliny. Kłębił się tam tłum ludzi: ratownicy ze straży pożarnej i pogotowia ratunkowego, technicy laboratoryjni, koroner i ekipa telewizyjnych wiadomości. Równie dużo miejsca zajmował przywieziony tu sprzęt: kable, wyciągarki, drabiny, nosze, butle z tlenem, kroplówki i kamery. Wilgotna, porośnięta trawą polanka zmieniła się w morze błota.

Przed przybyciem brygady ratunkowej udało się jedynie stwierdzić, że nie było walki, a potem jakiegokolwiek ślady zginęły bezpowrotnie w rozdeptanym błocie.

Kilku umundurowanych policjantów, z oczami wbitymi w ziemię, przeszukiwało poszycie, ale Mahoney czuł w głębi duszy, że i tak niczego nie znajdą. Żadnych oberwanych guzików, zaczepionych na gałęzi nitek, łusek z pistoletu.

„Cóż za beznadziejne miejsce zbrodni - uśmiechnął się żartobliwie, a potem pomyślał tęsknie - Agatha Christie miałyby chociaż jeden doskonały odcisk stopy, a ja mam jedynie zwłoki.”

Odkąd brygada ratunkowa przybyła na miejsce, najważniejsze były zwłoki. Ze wszystkim trzeba było poczekać, aż wydobędzie się je z rozpadliny, nawet jeśli pociągało to za sobą zniszczenie dowodów. Kobieta leżąca tam w dole wykorzystywała - prawdopodobnie po raz ostatni - swe prawa. Potem stanie się kolejną bezimienną ofiarą, z tabliczką przyczepioną do palca u nogi, czekającą w zimnej stalowej szufladzie miejskiej kostnicy na koronera, który przeprowadzi sekcję w celu ustalenia przyczyn i okoliczności śmierci. Albo na wstrząśniętych rodziców lub zmartwioną - albo i nie - krewną, która zacznie podejrzewać, że coś się stało z ciocią Flo, siostrą Joleen czy kuzynką Peggy Sue, bo dawno jej nie widziano, i przyjdzie zasięgnąć informacji.

Mahoney niechętnie zwrócił się w kierunku kamer telewizyjnych i zrelacjonował w skrócie to, co było mu wiadome: ciało kobiety zostało odkryte wczesnym rankiem przez mężczyznę wyprowadzającego psy na spacer. Nie, mężczyzna nie jest podejrzany. Nie, nikt inny nie jest w tej chwili uznany za podejrzanego. Dziękuję i do widzenia.

Franco Mahoney był policjantem od czternastu lat, z czego siedem przepracował jako detektyw brygady Wydziału Zabójstw. Uchodził za jednego z najlepszych: starannie analizował informacje i z uporem dążył do rozwiązania sprawy. Znany był z

tęgo, że nigdy nie wyrzucał z pamięci przebiegu śledztwa. Mogły minąć lata, a Mahoney nie zapominał nie rozwiązanych zagadek. Fakty i zeznania tasowały mu się w głowie nocą, a potem nagle wszystkie elementy układały się w całość. Dzięki uporowi, ciężkiej pracy i intuicji zdobywał dowody w sprawach o morderstwo, odłożonych do archiwum z adnotacją „nie rozwiązane”.

Miał nosa do zabójców.

- Czuję ich. Są po prostu jak zepsute mięso - mówił reporterom, którzy lubili go, ponieważ nigdy nie tracił poczucia humoru i opowiadał pikantne historyjki. Poza tym, jako policjant, dobrze się prezentował w telewizji.

- Wyciągamy ją - krzyknął dowódca ekipy ratowniczej. Franco patrzył, jak umocowane do wyciągarki nosze wyjeżdżają powoli na brzeg rozpadliny. Widział więcej ofiar zbrodni, niż był w stanie zapamiętać. Jak każdy policjant, zdawał sobie sprawę, że chcąc pozostać przy zdrowych zmysłach, musi zachować emocjonalny dystans w stosunku do ofiary. Było to trudne, gdy - tak jak teraz - chodziło o młodą dziewczynę, nie mówiąc już o dziecku.

Ofiara miała może dwadzieścia cztery lata. Jej twarz wyglądała groteskowo: spuchnięta masa fioletowych sińców pokryta sinoczerwonymi plamami w miejscach, gdzie była zdarta skóra. Zasnęta krew na nosie i w uszach wskazywała na pęknięcie podstawy czaszki, miedziane włosy zlepiły ciemne, zakrzepłe wybroczyny.

„Może była ładna - pomyślał gorzko Mahoney - lubiła się bawić i śmiać. Aż do ostatniej nocy, kiedy jakiś drań postanowił z nią skończyć.”

Cofnął się, ustępując miejsca ratownikom wyciągającym na wierzch nosze. Odchrząknął i zaczął robić notatki: „Osoba płci żeńskiej, biała, przypuszczalny wiek 24 lata, wzrost około 170 cm, waga - 53 kg. Włosy rude.”

- O Boże, czuję puls. Ona żyje!

Ratownicy klęczeli obok noszy gorączkowo wbijając igłę kroplówki w żyłę przedramienia, nakładając dziewczynie maskę tlenową, unieruchamiając jej głowę woreczkami z piaskiem. Szybko wsunęli jej na nogi opaski uciskowe, pompując je, aby zwiększyć przepływ krwi przez górną część ciała i głowę. Otulili raną aluminiową, lśniąca folią przeciwwstrząsową.

- Zaczekajcie, a co to takiego? - Franco zwrócił uwagę na dwa rzędy klutych ranek widocznych na prawym przedramieniu. Ratownik przyjrzał się bliżej.

- Do licha, Mahoney, to ślady zębów. Ugryzienie jakiegoś dużego psa. Dziewczynę przeniesiono przez las do karetki, a Mahoney podążył za nimi.

- Myślicie, że ona przeżyje? - zapytał, gdy pośpiesznie wsuwano nosze do środka.

Ratownik wzruszył ramionami.

- Nie wiem nawet, czy zdołamy dowieźć ją na urazówkę. Mahoney wysłał umundurowanego policjanta na oddział intensywnej terapii miejskiego szpitala w San Francisco.

- Czekał przed salą operacyjną - polecił. - Daj mi znać, kiedy się obudzi.

Jego zadanie dobiegło na razie końca. Jako detektyw z Wydziału Zabójstw potrzebował ciała, aby rozpocząć pracę.

- Nie jesteśmy tu już potrzebni, Franco - odezwał się koroner Pete Preston, włączając do samochodu. Jego praca także rozpoczynała się po śmierci ofiary.

- Jeszcze nie, ale czuję w kościach, że chodzi tu o morderstwo. - Westchnął, otrząsając z siebie wspomnienie porannych wydarzeń. - Co byś powiedział, gdybym postawił ci filiżankę kawy?

Rozdział 2.

Phyl Forster mieszkała samotnie w dzielnicy Pacific Heights. Jak zwykle, o wpół do ósmej rano, obudziła się bez budzika. Do lekarskiego treningu należała umiejętność ucinania sobie drzemki nawet podczas wolnych dziesięciu minut i budzenia się zgodnie z porządkiem zajęć.

„Dziś skończyłam trzydzieści siedem lat - pomyślała idąc pośpiesznie do łazienki. - Nawet nie wiem, kiedy to się stało. Dziwne, ale ciągle czuję, jakbym miała nadal trzydzieści sześć.” Przystanęła i rozejrzała się z satysfakcją po swoim pięknym mieszkaniu. Z ogromnych okien roztaczał się widok na Zatokę San Francisco, pod ścianami stały półki z książkami, a uwagę przykuwały interesujące obrazy i rzeźby młodych amerykańskich twórców. Na jasnej drewnianej podłodze leżały stare jedwabne dywany, a nowoczesna łazienka i kuchnia, utrzymana w kolorach bieli, szarości i czerni, lśniła chromowaną stalą i światłem lamp halogenowych.

Niektórzy uważali, że jej dom, świadomie pozbawiony kolorów, jest bez życia, ale Phyl była innego zdania, sądziła, że ożywiają go dywany, dzieła sztuki i książki. Reszta to tylko tło, rzeczy niezbędne, użyteczne, a nie na pokaz. „Proste, lecz w dobrym gatunku”, jak zauważyłaby czyjaś babcia. Wszystko to Phyl kupiła sama i za własne pieniądze.

Ubierała się w stylu równie surowym, najczęściej nosiła proste stroje japońskich projektantów mody. Jej blada twarz, czarne włosy zwinięte w węzeł, niebieskie oczy o przestraszonym spojrzeniu, usta umalowane czerwoną szminką pojawiały się często na ekranach telewizorów i na wieczorach autorskich w całym kraju. Nie tylko prowadziła z powodzeniem praktykę psychiatryczną, ale pisała także popularnonaukowe książki z dziedziny psychologii, które rozchodziły się w milionach egzemplarzy.

Dr Phyl na temat małżeństwa. Dr Phyl na temat przekwitania, rywalizacji między rodzeństwem, rozwodu, narkotyków, alkoholu... Potrafiła w prosty sposób wyjaśnić każdy trudny przypadek, podsunąć sposób, jak sobie z nim radzić lub go pokonać. Znana dziennikarka telewizyjna, Oprah Winfrey kochała ją.

Stojąc pod prysznicem Phyl rozmyślała o czekającym ją dniu: dyżur w miejskim szpitalu w San Francisco gdzie pracowała społecznie, po południu konsultacje w Uniwersyteckim Centrum Medycznym, potem, od 16.30 do 19.30, wizyty prywatnych pacjentów. Pokonanie ulicznych korków w drodze do domu, wreszcie prysznic i kieliszek czerwonego wina.

Potem, otulona białym szlafrokiem frotte, z czarnymi włosami wysuwającymi się z ciasnego węzła, bez makijażu i zawodowego uśmiechu, zje kolację. Jak zwykle samotnie.

Teraz jednak wycierała do sucha włosy ręcznikiem, oglądając poranny dziennik telewizyjny. Skandale polityczne, informacje dla kierowców, pogoda... i kilka najświeższych wiadomości. Kolejne morderstwo. Bardzo przystojny detektyw poinformował, że ofiarą jest młoda kobieta znaleziona w rozpadlinie skalnej przez mężczyznę wyprowadzającego psy na spacer.

Phyl z napięciem obserwowała najazd kamery na ludzi z brygady ratowniczej schodzących do ciała kobiety na wpół ukrytego w listowiu dużego krzewu. Położyli je na noszach i zaczęli windować w górę, a Phyl udało się dostrzec miedzianorude włosy ofiary, opadające z noszy blade ramię, stopę, z której wciąż zwisał czerwony sandałek.

Wzdrygnęła się i wyłączyła telewizor, przerażona własną reakcją. Podczas praktyki w szpitalu widziała wiele trupów, ale to, co teraz ujrzała, było obrzydliwe. Telewizyjne kamery podglądały ostatnie chwile bezbronnej młodej kobiety. Jeszcze ubiegłej nocy żyła, spotkała się z przyjaciółmi, chodziła, rozmawiała, może była z kimś

na obiedzie, tańczyła. Biedactwo, była dla kogoś „małą dziewczynką”. A dzisiaj matka dowie się strasznej, ostatecznej prawdy.

- Do diabła! - krzyknęła Phyl.

Włączyła suszarkę i popatrzyła na swe odbicie w lustrze łazienki. Życie mogło być byle jakie, potwierdziłoby to wielu jej pacjentów, ale zawsze było lepsze od tego, co przydarzyło się tej nieszczęsnej młodej kobiecie.

Wysuszyła włosy, zaciesała tak zdecydowanie, że zabolą ją skóra na głowie, i zwinęła w węzeł na karku. Potem ubrała się szybko. Nosila skąpą jedwabną bieliznę. Była szczupła i jej kształty nie potrzebowały podtrzymujących drutów ani lycry, a poza tym jedwab był odrobiną luksusu, tajemnicą ukrytą za surową czarno - białą fasadą, ale ostatnio nikomu jej nie zdradzała. Wzruszyła ramionami, zapinając żakiet czarnego kostiumu. Do licha, praca przede wszystkim. A poza tym celibat jest teraz modny.

Zbliżając twarz do lustra starannie umalowała usta czerwoną pomadką Palomy Picasso. Bez tej żywej barwy jej wargi wydawały się miękkie i bezbronne. Jaskrawa, aksamitna czerwień nadawała im charakter. Phyl była kobietą, z którą należało się liczyć. Osiągnęła szczyty kariery. Znała co do minuty swój rozkład dnia. Nawet jeżeli czasem - pomyślała z nagłym żalem - jej noce były trochę samotne.

Włożyła klipsy - małe onyksy oprawione w złoto. Nie nosila żadnej innej biżuterii, jedynie męski zegarek, wystarczająco duży, aby bez podnoszenia ręki do oczu odczytać godzinę. Jej pacjenci nie powinni wiedzieć, że na niego spogląda. Sięgnęła po czarną zamszową torebkę, odnalazła klucze i po raz ostatni rzuciła okiem na swój ubiór do pracy.

Chwyciła dużą torbę wypełnioną niezbędnymi jej dziś papierami, zjechała windą i wsiadła do samochodu, czarnego lexusa, surowego tak jak ona. Wyruszyła na spotkanie prawdziwego świata - na Potrero Hill, do miejskiego szpitala w San Francisco.

Było dopiero dwadzieścia po ósmej, pierwszy pacjent miał: przyjść o godzinie dziewiętej, więc podążyła w kierunku kawiarni. Po zobaczeniu w telewizji zamordowanej kobiety nie miała ochoty nawet na filiżankę kawy. W połowie drogi zmieniła jednak zdanie. Nie opodal szpitala, we włoskim sklepiku, można było dostać lepszą kawę i znakomite drożdżówki.

Na ulicy usłyszała sygnał karetki pogotowia. Odwróciła się i zobaczyła wyskakujących ludzi z brygady ratunkowej. W mgnieniu oka umieścili nosze na wózku i podtrzymując umocowaną do przedramienia pacjentki kropłówkę, pobiegli w stronę oczekującej na nich grupy lekarzy i pielęgniarek. Ciało rannej owijała lśniąca, aluminiowa folia przeciwwstrząsowa, a przymocowaną do noszy głowę podtrzymywały z każdej strony woreczki z piaskiem. Phyl mignęła ziemistoszara, posiniaczona twarz, zaciśnięte powieki, miedziane włosy zlepione krwią. Kobieta z rozpadliny.

„A więc żyje - pomyślała zaskoczona. - Jeszcze żyje” - dopowiedziała ponuro, przypominając sobie twarz o barwie wosku.

Przeszła jej ochota na drożdżówkę. Obróciła się na pięcie i wróciła ze zwieszoną głową do szpitala, rozmyślając o młodej kobiecie, o rodzicach, którzy zostaną wezwani, o jej szansie na przeżycie. Było jasne, że ma poważny uraz głowy i Bóg wie jakie wewnętrzne i zewnętrzne obrażenia.

„Biedactwo”, pomyślała ze smutkiem. Potrząsnęła głową, aby oderwać się od smutnych myśli, chwyciła z automatu kubek kawy i lśniącym korytarzem udała się do swego gabinetu, aby rozpocząć dzień.

Do godziny dwunastej trzydzieści Phyl przyjęła ośmiu pacjentów. Poczula, że jest bardzo głodna. Upychając w czarnej torbie notatki i papiery, myślała łakomie o

focacci z pomidorami, kurczakiem i świeżą bazylią. W połowie drogi do drzwi zawahała się jednak i spojrzała niezdecydowanie na telefon. Wciąż nie mogła zapomnieć o młodej kobiecie z rozpadliny. Przez cały ranek, prowadząc rozmowy z pacjentami, miała przed oczami stopę ze zwisającym z palców lekkim czerwonym sandałem, bladą jak ściana, zmasakrowaną twarz, zakrwawioną głowę. Zadrżała. Ruszyła pośpiesznie do drzwi, a potem na dół do hallu na oddział intensywnej terapii. Dyżurna pielęgniarka powitała ją uśmiechem.

- Ma pani na myśli tę dziewczynę, którą przywieziono dziś rano o 8.22 - odpowiedziała żywo na pytania Phyl. - Kiedy ją znaleźli w rozpadlinie, myśleli, że nie żyje, ale gdy wydobyto ją na górę, okazało się, że puls jest wyczuwalny. Ma złamane żebra, prawdopodobnie wewnętrzny krwotok i kilka dziur w czaszce, w lewej części skroniowej. Zabrali ją natychmiast na oddział reanimacji i jeszcze tam wszyscy są - podniosła wzrok znad notatek. - Myślę, że robią wszystko, co jest w ich mocy - zapewniała, a potem z nagłym zainteresowaniem spytała: - A więc pani ją zna?

Phyl pokręciła głową.

- Widziałam w porannych wiadomościach akcję ratowniczą. Jakoś nie mogę o tym zapomnieć.

- Wyobrażam sobie. - Pielęgniarka także była wzruszona. - Szkoda jednak, że pani jej nie zna, bo nie udało nam się ustalić tożsamości. Policjanci przeszukują rozpadlinę w poszukiwaniu torebki, i jak sądzę, jakichś innych śladów. Lecz na razie, o ile mi wiadomo, ciągle nic o niej nie wiedzą.

- Może opublikują zdjęcie w prasie - zasugerowała Phyl, wciąż myśląc o nieświadomej niczego matce dziewczyny. Dźwięk głosu matki, jej dotyk, czy choćby tylko obecność w tym samym pokoju, z pewnością by pomogły. Odnalezienie i sprowadzenie matki wydało jej się nagle niezwykle ważne.

- Nie będzie żadnych zdjęć - powiedziała pielęgniarka. - Nawet matka nie rozpoznałaby jej w takim stanie.

Phyl westchnęła z żalem, podziękowała i odeszła. Niepotrzebnie się tak angażowała, przecież nawet nie знаła tej młodej kobiety. A jednak miała nadzieję, że ona przeżyje. Zapominając ofocacci powoli ruszyła ruchliwymi ulicami w kierunku Centrum Medycznego Uniwersytetu San Francisco.

Wieczorem przyjmowała prywatnych pacjentów. Miała problemy z koncentracją i z ulgą powitała wiadomość, że ostatnia, zapisana na godzinę siódmą osoba odwołała wizytę. Dopiero jadąc do domu przypomniała sobie, że przez cały dzień nie miała nic w ustach.

„Nic dziwnego, że byłam taka rozkojarzona”, zganiła się w duchu. Miała wyrzuty sumienia, że nie poświęciła się całkowicie pacjentom.

Skręciła w ulicę Sansome, potem w Embarcadero i znalazła wolne miejsce do zaparkowania dokładnie przed II Fornaio. Restauracja jak zwykle była zatłoczona.

- Dla pani doktor znajdzie się miejsce przy barze - powiedziała kelnerka. Phyl często wpadała tu po pracy, gdy była zbyt zmęczona, aby myśleć o przygotowaniu kolacji w domu, i wszyscy dobrze ją tu znali. - To cichy kącik i nikt nie będzie pani przeszkadzał.

Kelnerka zaprowadziła ją do miejsca w końcu baru i wręczyła menu. Phyl zamówiła kieliszek czerwonego wina. Na blacie leżał egzemplarz "Kroniki", a na pierwszej stronie zamieszczone było zdjęcie z akcji ratowniczej. Ciało kobiety znalezione w Rozpadlinie Mitchella - głosił nagłówek. Przeczytała to ze zdziwieniem, lecz potem uświadomiła sobie, że początkowo wszyscy myśleli, że kobieta nie żyje. Prawdopodobnie jutro, jeśli nic ważniejszego nie zaprzątnie uwagi dziennikarzy, gazeta przywróci ją światu żywych. Chyba że do tego czasu umrze.

Phyl grzebała w makaronie, rozmyślając o powrocie do pustego mieszkania i o swych trzydziestych siódmych urodzinach. Pod wpływem nagłego impulsu zamówiła kieliszek szampana i niemal natychmiast tego pożałowała. Urodziny świętowane w samotności to żadna przyjemność.

Gdy przerzucała gazetę, jej uwagę zwrócił nęcący artykuł o podróży do Paryża. „Paryż”. Już samo słowo brzmiało obiecująco: wiosna, kwitnące kasztany, kawiarniane stoliki pod drzewami, spacerzy nad Sekwaną. Przystojny mężczyzna w łóżku, mocna, gorąca kawa wypita wspólnie następnego ranka... Oto przedmiot marzeń podczas deszczowych wieczorów w San Francisco.

Westchnęła tęsknie i przypomiwała sobie niejasno, że w tym roku ma się odbyć w Paryżu konferencja psychiatryczna. Może znalazłaby czas, aby wziąć w niej udział. Poczuli się lepiej. Poprosiła o rachunek, przypudrowała nos i poprawiła usta czerwoną szminką. Kiedy podniosła się do wyjścia, kobieta siedząca obok odwróciła się i uśmiechnęła. Wokół jej ramion falowały rude włosy i Phyl pomyślała z nagłym smutkiem o dziewczynie zawieszanej pomiędzy życiem a śmiercią na oddziale intensywnej terapii miejskiego szpitala.

Zatelefonowała tam z samochodu. Operacja powiodła się, ale kobieta była w stanie śpiączki. Lekarze ciągle nie byli pewni, jakie uszkodzenia nastąpiły w mózgu, i może upłynąć trochę czasu, zanim będą w stanie to stwierdzić.

Phyl jechała powoli w kierunku domu. Po jej policzkach spływały łzy. Przypomiwała sobie rzeczy, o których nie chciała pamiętać, które - jak na dobrego psychiatrę przystało - usiłowała zamknąć w przeszłości: strach, poczucie winy, smutek... Widok zmasakrowanej rudowłosej młodej kobiety leżącej w szpitalu uporczywie je przywoływał.

- Phyl Forster, jesteś straszną idiotką - powiedziała do siebie surowo.

Rozdział 3.

Młoda kobieta leciała coraz szybciej i szybciej przez ciemny tunel w stronę punkcika światła. Lecz choć tak bardzo pragnęła do niego dotrzeć, pozostawał wciąż w tej samej odległości. Wiedziała, że nie może pozwolić, aby zniknął, że musi dogonić światło, które było jej światem.

- Szybciej - powtarzała - szybciej, leć tam...

I nagle poczuła, że spada, o Boże, spadała, leciała w dół z rozpostartymi ramionami. Wiatr świstał jej w uszach, kiedy leciała w otchłań, z której nie było powrotu.

- Nie! - krzyknęła. - Nie, nie...

- Spokojnie, kochanie. Już wszystko dobrze. Nie musisz się o nic martwić.

Próbowała otworzyć oczy, lecz powieki były jak z ołowiu. Nie mogła się ruszyć, nic nie czuła. Lot w tunelu w kierunku punkcika światła nie miał sensu. I tak przecież nie żyła.

- Nie chcę umierać! - krzyknęła z bólem. - Nie chcę...

- Nie umierasz, kochanie - powiedziała uspokajająco pielęgniarka. - Jesteś w szpitalu. Miałaś wypadek, ale teraz wyzdrowiejesz. Wszystko jest już w porządku.

Pacjentka nie ufała jej. Wiedziała, że czeka na nią otchłań.

- Dlaczego nie mogę otworzyć oczu? - szepnęła zachrypłym głosem.

- Otworzysz, kochanie, otworzysz. Potrzebujesz tylko trochę czasu. A teraz leż spokojnie i odpoczywaj. Doktor zaraz przyjdzie.

Dziewczyna leżała nieruchomo, wsłuchana w otaczające ją dźwięki: przerywany piskliwymi sygnałami aparatury elektronicznej, chrzęst nakrochmalonego płótna, kroki stóp w butach na gumowych podszewkach.

Czuła szpitalną woń środków dezynfekujących i mydła. I jakiś słodki, niepokojąco znajomy delikatny, kwiatowy zapach, którego pochodzenia nie mogła sobie przypomnieć.

Zawiedziona rzuciła głową o poduszkę i w chwilę potem ból, ostry niczym pchnięcie noża, przeszył ją od podstawy czaszki aż do mózgu, zapierając dech w piersiach.

- Spokojnie, kochanie - pielęgniarka ułożyła ją z powrotem na poduszkach. - A oto i doktor - dodała z odcieniem ulgi.

Dziewczyna usłyszała szybkie kroki, a potem poczuła na przegubie dłoni dotyk chłodnych, delikatnych palców.

- Cóż, młoda damo, cieszymy się bardzo, że znowu jesteś z nami. - Głos lekarza, choć szorstki, był pogodny i pełen otuchy.

- Dlaczego? - zapytała swym nowym, dziwnie zachrypniętym głosem. - Myślał pan, że umrę?

Roześmiał się tak miło i szczerze, że poczuła, iż jej własne usta rozciągają się w uśmiechu.

- Bardzo się staramy, aby ładne pacjentki nam nie umierały - zażartował.

- Męski szowinista - szepnęła i znów usłyszała jego śmiech. - Proszę powiedzieć mi prawdę - poprosiła błagalnie. - Co się stało? Wyczuła, że się zawahał, po chwili usłyszała:

- Był wypadek, została pani ranna. Żebra są złamane, śledziona uszkodzona, musieliśmy usunąć...

- Moja głowa - nalegała - co się stało z moją głową?

- Czaszka wgnieciona w dwóch miejscach, ale naprawiliśmy wszystko podczas operacji. Jest pani jak nowa.

- A więc dlaczego nie mogę otworzyć oczu? - spytała żałośnie.

Podniósł jej lewą powiekę i poświecił czymś w oko. Gdzieś w głębi mózgu obudziły się wspomnienia światła dziennego i blasku słońca. Może udało jej się jednak wyjść z ciemnego tunelu?

- Czy pan istnieje naprawdę? - szepnęła z niedowierzaniem.

- Żyjesz, dziewczyno - zamknął jej ręce w swych dłoniach, ludzkich, silnych, budzących zaufanie. - Jest pani w miejskim szpitalu w San Francisco. Była pani w stanie śpiączki przez prawie trzy tygodnie. Teraz stan zdrowia będzie się polepszał. I proszę się nie martwić otwieraniem oczu. Wkrótce otworzy je pani i przekona się, że miałem rację. Tymczasem proszę odpoczywać, a potem może znowu porozmawiamy. Wtedy powie nam pani, kim jest.

- Kim jestem?

- Później - powiedział. - Teraz proszę się tym nie martwić.

Usłyszała oddalające się kroki, rozmowę szeptem z pielęgniarką i odgłos zamykanych drzwi. Potem zapadła cisza i dziewczyna wiedziała, że została sama.

Powiedział, że miała wypadek. Trzy tygodnie śpiączki. Jest w San Francisco. Czyżby mieszkała w San Francisco? Przez chwilę zastanawiała się nad tym. Przez głowę przeleciały jej niejasne obrazy: Wzgórze Telegrafu, gmach Transamerica, most Golden Gate.

- Pamiętasz - powiedziała do siebie z triumfem, ale nie знаła tego szpitala, nie wiedziała, gdzie jest ani jak się tu znalazła.

Wypadek. Rozważała to słowo, wyobrażając sobie katastrofę samochodową, nieprzyjemny zgrzyt metalu o metal, ostre crescendo tłuczonego szkła, śwąd hamulców i gumy, ale wszystko to nic dla niej nie znaczyło, było jak film bez bohaterów. Niczego nie pamiętała. Zadrżała. Może i lepiej.

Doktor powiedział, że miała obrażenia głowy, przeszła operację mózgu... Niespokojnie poruszyła szyją i ból zaatakował ją znowu. Jęknęła. I nagle zrozumiała. Nie może otworzyć oczu, gdyż jej twarz jest zmiażdżona. Uspokajali ją, aby nie zobaczyła tego okropieństwa. Usiłowała podnieść rękę, poczuć, odnaleźć palcami dowody, lecz jej ramię unieruchamiały igły i plastry, kroplówki i aparatura.

Z zamkniętych oczu dziewczyny sączyły się gorącymi, słonymi ścieżkami łzy rozpaczy. Spływały po policzkach do uszu., Jestem jak dziecko - pomyślała. - Płaczę leżąc w łóżku w ciemnościach, wołając mamę, tylko że mamy nie ma."

- Mamo? - niepewnie zapytała na głos. Ale wiedziała, że jej matki tu nie ma. Próbowała wyobrazić ją sobie, ale nie mogła. „To dziwne - pomyślała zakłopotana - pamiętam, jak wygląda gmach Transamerica i most Golden Gate, ale nie mogę przypomnieć sobie twarzy mojej matki. Nie pamiętam nawet, jak ma na imię."

A moje imię? Szukała w skołataniej głowie odpowiedzi. Nie znalazła jej. Była tylko nicość i tunel grożący ponownym porwaniem jej z dala od światła, od pamięci. Z dala od życia.

- Będziesz czuć się coraz lepiej, kochanie - po głosie pielęgniarki można było poznać, że się uśmiecha. - Może jutro odczepimy cię od niektórych kroplówek i urządzeń, a jeśli będziesz grzeczna, może dostaniesz po kolacji trochę lodów.

- Nie lubię lodów - odpowiedziała odruchowo.

- No to mrożony jogurt. To lubisz, prawda?

Nie pamiętała. A jednak wiedziała, że nie lubi lodów.

Zaniepokojona otworzyła oczy. Powieki uniosły się wolno, niczym kurtyna w teatrze odsłaniająca pograżone w półmroku dekoracje. Światło oślepiło ją, ale powoli pokój nabierał wyraźnych konturów. Pochyliła się nad nią jakaś postać z głową otoczoną świetlistą aureolą.

Miała twarz madonny. Jasną cerę, ciemne włosy, czerwone usta rozchylone w zachęcającym uśmiechu. Dziewczyna poczuła na czole chłodną rękę, a madonna powiedziała:

- Hej, cieszę się, że wreszcie się obudziłaś. Jestem Phyl Forster. Młoda kobieta chwyciła ją za rękę, jakby to była lina ratunkowa.

- Phyl - wyszeptała - ty musisz mnie znać. Powiedz mi, kim jestem.

Rozdział 4.

W pokoju brygady, na czwartym piętrze dzielnicowego posterunku policji, Mahoney siedział odchyłony w obrotowym fotelu i zastanawiał się nad tym, co przed chwilą przeczytał na temat bezimiennej dziewczyny, znalezionej w Rozpadlinie Mitchella. Policja nie miała zbyt wielu danych; liczne obrażenia, w tym wgniecenie czaszki w dwóch miejscach, wskazywały na ciosy zadane tępym narzędziem, choć z drugiej strony obrażenia te mogła odnieść obijając się o skały.

Kolejną zagadkę stanowiły ślady ukąszeń psa. Z pewnością podniosła prawą rękę, aby osłonić się przed atakiem. Specjaliści nie mieli wątpliwości, że pies był duży, może doberman albo rottweiler, ale nie pit buli. Ten miałby inny chwyt, no i nigdy nie puściłby ofiary.

Zalóżmy więc, że na dziewczynę napadł bezpański rottweiler, przed którym uciekła na krawędź rozpadliny. Może zrobiła bezmyślnie krok do tyłu, prosto w przepaść. Z niedowierzaniem potrząsnął głową. Jeżeli był tam pies, był także i człowiek. Czyżby poszczuł ją psem? Chciał zgwałcić, a potem zabić? Mahoney ze znużeniem wrzucił ramionami. Świat jest pełen psychopatów. Wszystko może się zdarzyć.

Jeszcze raz przyjrzał się szczegółom. Nadal nie ustalono tożsamości ofiary. Umundurowani policjanci czuwali w szpitalu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ponieważ dzisiaj także nie miał żadnych wiadomości, sądził, że młoda kobieta nadal pogrążona jest w stanie śpiączki. Nie było pewności, czy przeżyje.

Rozważył i odrzucił hipotezę samobójstwa. W San Francisco nikt nie wybrałby na samobójczy skok Rozpadliny Mitchella.

Było to z pewnością usiłowanie zabójstwa i gdyby nie fakt, że zarośla zahamowały upadek, a współczesna neurochirurgia potrafi zdziałać cuda, zabójstwo stałoby się faktem dokonanym. A Bóg jeden wie, że nie ma nic trudniejszego do udowodnienia niż próba morderstwa. Zawsze można uznać, że doszło jedynie do uszkodzenia ciała. Jakkolwiek by na to patrzeć, biedna kobieta była na przegranej pozycji. Albo straci życie, albo nie będzie miała satysfakcji z posłania swego napastnika na wiele lat za kratki.

Odsunął krzesło i poszedł zrobić sobie kawy. Pił ją bez mleka i cukru. Spróbował i stwierdził, że mogłaby być mocniejsza, ale obawiał się że pochłaniając codziennie takie ilości kawy skończy jako trzęsący się od kofeiny wrak.

Miał trzydzieści dziewięć lat, był dobrze zbudowanym mężczyzną, fanatycznie dbającym o kondycję. Cały swój wolny czas spędzał w siłowni lub biegając po wzgórzach. Dwukrotnie biegł w Maratonie San Francisco i planował wziąć udział w Maratonie Nowojorskim. Miał nadzieję, że może uda mu się to w przyszłym roku, jeśli znajdzie wystarczająco dużo czasu na treningi i ograniczy picie kawy. Uważał, że mimo wszystko kawa jest mniej niebezpieczna niż nałogi jego włoskiej rodziny ze strony matki. Nie znał nikogo, kto po wypiciu takich ilości grappy nadal trzymałby się na nogach. Irlandczycy zaś ze strony ojca, choć żłopali irlandzką whisky, potrafili nad ranem śpiewać w takt Zatokę Gallway.

Oparty o ścianę, popijał kawę i patrzył przed siebie. Jak zwykle we wczesny piątkowy wieczór na posterunku panowało zamieszanie: urywały się telefony, pierwsi pijani wrzeszcząc przeklinali w dyżurce, przesłuchiowano jakiegoś mężczyznę o pustym spojrzeniu, zdesperowani rodzice domagali się pomocy w odnalezieniu ich nastoletniego syna. Był tu też podejrzany o podpalenie i chłopak oskarżony o pchnięcie nożem.

Mahoney myślał, że trzeba mieć świętą cierpliwość, by wykonywać zawód gliniarza, a cierpliwości nikt nie uczy w szkole policyjnej. Ani tego, że nie wolno niczego przyjmować bez dowodów. Już tyle razy o tym się przekonał. „Cóż, moi

drodzy - pomyślał wracając powoli do biurka, by odebrać telefon - w prawdziwym świecie nic nie jest takie, jakie się z pozoru wydaje."

- Słucham - siedział przechylony, opierając nogi na biurku i ścisnął słuchawkę pomiędzy uchem a ramieniem, jednocześnie popijając kawę. - Doktor? Czekają tam? Dobra, powiedz jej, że zaraz przyjdę.

Ponownie przejrzał notatki. Doktor Forster została skierowana przez neurochirurga do pomocy przy rehabilitacji dziewczyny.

Nie wiedział do tej pory, że doktor Forster to kobieta. Nagle skojarzył ją sobie i westchnął ciężko. Wspaniale. Właśnie tego mu teraz potrzeba. Spotkanie ze sławną kobietą w piątkowy wieczór, kiedy ma się zająć pozbawioną poszlak próbą zabójstwa. Pomyślał, że jest pewnie jednym z niewielu którzy nie widzieli doktor Forster w telewizji ani nie czytali jej książki. Nie sądził, aby mogła mu w czymś pomóc. Jeżeli młoda kobieta obudzi się ze śpiączki, doktor Phyl Forster będzie chciała ochronić ją przed pytaniami. A on musi przesłuchać dziewczynę, gdy tylko będzie to możliwe, zanim zapomni to, co pamięta.

Zadecydował, że każę pani Forster trochę poczekać. Zrobi doktor psychiatrii mały test psychologiczny i przekona się, czy potrafi być naturalna, czy też zacznie odgrywać Wielką i Wszechmocną Panią Doktor spotykającą na swej drodze tępego gliniarza.

Phyl przyjechała na posterunek prosto ze szpitala. Od neurochirurga dowiedziała się, że detektyw Mahoney pragnie przesłuchać młodą kobietę, gdy tylko obudzi się ze śpiączki. Chciała poprosić go osobiście, aby przynajmniej trochę z tym poczekał. Spacerując niecierpliwie po korytarzu przyglądała się na pozór chaotycznemu, a w rzeczywistości zorganizowanemu życiu, które toczyło się za szklanymi drzwiami. Trochę przypominało jej szpital: to też był ułamek realnego świata, naruszający bezpieczeństwo jej własnego, starannie zaplanowanego i kontrolowanego bytu.

Popatrzyła niecierpliwie na zegarek. Do diabła, gdzie on się podziewa! Czekala dziesięć minut i była bardzo zmęczona. Może to reakcja na widok kobiety powracającej do życia, jak płetwonurek wypływający z głębin na powierzchnię. Mój Boże, co za ulga. A jednak przesłaniał ją cień smutku na myśl o tym, że młoda kobieta nie pamięta nawet, jak się nazywa. Tak czy inaczej, trzeba dziękować Bogu, że ona żyje, że może się poruszać i że mimo zrozumiałego przygnębienia zachowuje się rozsądnie.

- Pani Forster?

Odwrociła się i napotkała poważne spojrzenie irlandzkich niebieskich oczu Franka Mahoneya. Wyciągnęła rękę.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Chciałam porozmawiać z panem o bezimiennej dziewczynie. O kobiecie z rozpadliny.

- Czy się obudziła? - Jego oczy spoważniały jeszcze bardziej. - Prosiłem, aby zawiadomiono mnie natychmiast, jeżeli...

- Właśnie w tym celu do pana przyszedłam, panie Mahoney.

- Detektywie - poprawił ją.

- Detektywie Mahoney.

Westchnęła. Domyślała się już, że nie pójdzie gładko. Jej rozmówca był przystojny, przynajmniej dla kogoś, kto lubi dużych, dobrze zbudowanych mężczyzn z lekkim zarostem. Miał około 190 cm wzrostu, był szeroki w ramionach, wąski w biodrach, uzbrojony w supermęski pistolet. Gęste, falujące czarne włosy nosił zaczesane do tyłu, miał wydatny nos, zdecydowany podbródek, szerokie, sympatyczne usta, a zmarszczki w kącikach niebieskich oczu świadczyły o tym, że lubi się śmiać,

choć teraz trudno było w to uwierzyć. Gdyby nie stali obok siebie, nawet nie dostrzegłaby tych zmarszczek.

- Przed godziną odzyskała przytomność. Neurochirurg z którym rozmawiałam, zgodził się ze mną, że jeszcze za wcześnie na zadawanie pytań. Stan jest nadal ciężki, jest bardzo przygnębiona.

- Panno Forster - sapnął z irytacją Mahoney.

- Proszę zwracać się do mnie doktor Forster.

Niebieskie oczy uśmiechnęły się kpiąco.

- Pani doktor. Z pewnością rozumie pani, że mamy do czynienia z próbą zabójstwa, a do mnie należy schwytywanie sprawcy, czyli zabójcy.

- Kobieta żyje.

- Potencjalnego zabójcy - poprawił się niecierpliwie.

- Natomiast do mnie należy pomóc jej w odzyskaniu zdrowia. Zdrowia psychicznego, detektywie Mahoney. Pomijając poważne obrażenia ciała, kobieta cierpi na głęboki psychiczny uraz. Jeżeli rzeczywiście nie był to jedynie wypadek, lecz ktoś, jak pan twierdzi, usiłował ją zabić, może pan sobie wyobrazić, przez co ona musi teraz przechodzić, gdy próbuje sobie przypomnieć, co się stało.

- Próbuje sobie przypomnieć?

- W tej chwili, detektywie, pańska bezimienna dziewczyna nie pamięta nawet, jak się nazywa.

- O Boże!

Nie zwracając na nią uwagi osunął się w krzesło. Patrzyła na niego zimnym wzrokiem. Potem oparła się o blat biurka i posłała mu swój najbardziej kobiecy i błagalny uśmiech.

- Przykro mi, detektywie, ale robię to dla dobra tej kobiety. Niech pan sobie wyobrazi, że to pańska żona albo córka. Nie chciałby pan, aby musiała zdać sobie sprawę z tego, co się stało, zanim będzie wystarczająco silna, by znieść wstrząs. Ta młoda kobieta cierpi na amnezję wsteczną, utratę pamięci wydarzeń poprzedzających wypadek. Spowodowały to z pewnością nie tylko uszkodzenia czaszki, ale i uraz psychiczny wywołany świadomością napadu. Często w takich wypadkach pamięć powraca samorzutnie. Może już jutro dziewczyna przypomni sobie co się stało, może będzie pragnęła o tym mówić, poznać w końcu prawdę. Jeżeli nie, spróbuję jej pomóc. Tymczasem proszę być dla nas wyrozumiałym.

- No dobrze, skoro pani uważa, że to konieczne - westchnął niechętnie, a ona pomyślała z irytacją, że choć czasy się zmieniły, mężczyźni pozostali tacy sami.

- Sądzę, że ma pani rację - ciągnął Mahoney - ale proszę zrozumieć, że sprawa obchodzi mnie tak samo, jak panią. Ktoś próbował zabić tę dziewczynę. Jeżeli ona umrze, moim zadaniem będzie postawić sprawcę przed sądem i aby to zrobić, potrzebuję jej pomocy.

- A co pan o niej wie oprócz tego, jak wygląda i ile prawdopodobnie ma lat?

- Mogę to zamknąć w jednym słowie: niewiele. Gdy ją znaleźliśmy, była w dżinsach i białym podkoszulku. W pobliżu leżał kaszmirowy sweter i sandały.

Phyl przypomniała sobie czerwony sandałek zwisający smutnie ze stopy dziewczyny. Zadrżała.

- Żadnej biżuterii? Zegarka, obrączki?

- Tylko kolczyki z perłami.

- Dobrej jakości? Przytaknął.

- Małe, ale cenne, tak mi powiedzieli. Tylko że ona mogła je kupić wszędzie. Podobnie jak dżinsy i podkoszulek. Sweter nie ma metki, a sandały były francuskie. Kosztowne, tak jak kolczyki i sweter, ale można je kupić w eleganckich sklepach w Stanach, albo, jak sądzą, we Francji. Nie miała torebki. Przeszukaliśmy dokładnie

rozpadlinę i niczego nie znaleźliśmy. Nie zgłoszono też zaginięcia osoby, która odpowiadałaby jej rysopisowi. Odciski palców nie są zarejestrowane. Nie pojawił się nikt, kto by ją znał.

- Niech pan mi powie, Mahoney, dlaczego w takim razie uważa pan, że ktoś usiłował ją zabić?

Przez chwilę przyglądał jej się z irytacją, po czym zaczął wyjaśniać starannie dobierając słowa, jak gdyby mówił do dziecka:

- Rozpadlina położona jest tak daleko, że aby tam dotrzeć potrzebny jest samochód. Żadnego samochodu w pobliżu nie znaleziono. Nie mieszkała w sąsiedztwie, a więc nie mogła jedynie wyprowadzać psa na spacer. Ktoś musiał przywieźć ją na brzeg rozpadliny i tam wrzucić lub też, co jest bardziej prawdopodobne, zepchnąć.

- Nie została zgwałcona. - Phyl wiedziała o tym z raportu lekarza. Wzruszył ramionami.

- Może nie pozwoliła na to i facet się wściekł. To zdarza się częściej, niż pani myśli - dodał ponuro.

- A więc nie ma żadnych wskazówek?

- Żadnych, oprócz śladu po ukąszeniu przez psa. I tego, co sama może nam powiedzieć.

- A więc wracamy do punktu wyjścia, czyli powodu mego przyścia tutaj. - Znow uśmiechnęła się do niego i lekko wzruszyła ramionami.

- Owszem - powiedział oschle, wstając na znak, że wizyta dobiegła końca. - Daję pani czterdzieści osiem godzin, a potem ponownie wrócimy do sprawy.

Odprowadził ją do drzwi. Kiedy je otwierał, rzuciła ironicznie:

- Dziękuję za współpracę.

Gdy oddalała się korytarzem, patrzył na jej okryte czarną spódnicą kołyszące się biodra i długie smukłe nogi.

- Hej, panno Forster! - zawołał. Zawahała się, a potem odwróciła powoli.

- Doktor Forster - powiedziała lodowato.

- Tak jest, pani doktor. W pobliżu szpitala, za rogiem, jest przyjemna, włoska restauracyjka. Może moglibyśmy się tam wybrać po przesłuchaniu dziewczyny. Coś przegryziemy, porównamy notatki?...

Rozśmieszyła ją ta typowo męska zuchwałość.

- Cóż, dziękuję za zaproszenie, detektywie - odpowiedziała słodko - zastanowię się nad tym i „wrócimy do sprawy”.

Następnego ranka, o godzinie dziewiątej, Phyl z bukietem kwiatów zjawiała się w szpitalu. Całą noc zastanawiała się, kim jest młoda kobieta, i co się jej przydarzyło. Martwiło ją, że nikt do tej pory się po nią nie zgłosił: ani matka poszukująca zaginionej córki, ani kochanek czy mąż, przyjaciółka albo koleżanka z pracy. Choć otaczali ją ludzie, była jak gdyby niewidzialna - nikt tak naprawdę nie wiedział, kim jest.

A jednak sobotniego ranka była tu całkiem realnie. Sama we własnej osobie siedziała w łóżku i jadła śniadanie. Jej ogolona głowa, pokryta sinymi bliznami oraz posiniaczona i opuchnięta, choć niewątpliwie ładna twarz stanowiły szokujący widok.

- Proszę, proszę - powiedziała Phyl, uśmiechając się z prawdziwą przyjemnością - wracamy do życia. - Pochyliła się i pocałowała dziewczynę w policzek. - To dla ciebie - położyła jej na kolanach duży bukiet kwiatów.

Oczy obdarowanej rozbłysły radością. Podniosła kwiaty i ukryła w nich twarz.

- Mimoza - wyszeptła. - Co za niebiański zapach. Poczulałam go, kiedy odzyskałam przytomność. Czy to ty ją przyniosłaś?

Phyl zanotowała w pamięci fakt rozpoznania kwiatów, ale go nie skomentowała. Usiadła przy łóżku, dziękując uśmiechem pielęgniarce, która zaproponowała filiżankę herbaty.

- Jak się czuje pacjentka? - zapytała.

- Lepiej, niż spodziewaliśmy się zeszłego wieczoru, pani doktor. Sama pani widzi, że wszystko jest na dobrej drodze.

- Ostatniej nocy byłam w tunelu - młoda kobieta popatrzyła z rozpaczą na Phyl.
- Myślałam, że umarłam. Było tak ciemno i strasznie. Nie mogłam uciec. A potem już tylko spadałam w przepaść i wiedziałam, że nigdy się stamtąd nie wydostanę.

- No ale przecież wydostałaś się i sama teraz widzisz, że to był tylko zły sen.

- Phyl? - Ich oczy spotkały się. - Co się ze mną stało? Phyl zawahała się, lecz wiedziała że musi powiedzieć prawdę.

- To nie był tylko sen. Wpadłaś w rozpadlinę skalną. Na szczęście rosły tam krzaki, które zahamowały upadek i uratowały ci życie. Dziewczyna zakłopotana spuściła wzrok.

- Może to właśnie ten upadek pamiętam... Rozmyślałam o wszystkim i próbowałam coś sobie przypomnieć. Pamiętam coś niecoś z San Francisco - domy i most. Ale nie pamiętam, gdzie mieszkam. Pamiętam smak mrożonego jogurtu i że nie lubię lodów. I to, że lubię czerwony kolor, chociaż nie wiem, czy mam czerwoną sukienkę. Pamiętam zapach mimozy, ale nie wiem skąd. Pamiętam zeszły wieczór, ciebie, pielęgniarki i lekarzy, ale nie mogę przypomnieć sobie nikogo z przeszłości. Co ja teraz zrobię? - zapytała podnosząc na Phyl wielkie przerażone oczy. Doktor Forster poklepała ją uspokajająco po ręku.

- Teraz posłuchaj mnie. Minęło dopiero kilka godzin od przebudzenia ze stanu śpiączki, dopiero trzy tygodnie od poważnego urazu i operacji. Nie musisz teraz niczego pamiętać i przestań się tym martwić. Niedługo sobie przypomnisz. Do tego czasu skoncentruj się na rzeczach mniej ważnych, myśl o książkach, które chciałabyś przeczytać, muzyce, którą lubisz, ulubionych obrazach, ubraniach, które chciałabyś nosić.

- Podobają mi się twoje.

Phyl roześmiała się. Miała na sobie sobotni nieoficjalny strój: czarne džinsy, czarne zamszowe pantofle, białą koszulę i czarną skórzaną kurtkę.

- Szczególnie pasek. Czy jest z Tucson?

Phyl spojrzała na nią uważnie. Był to indiański pasek z czarnej skóry ze srebrną klamrą ozdobioną turkusami.

- Z Santa Fe (Tucson, Santa Fe - miasta w Stanach Zjednoczonych znane z ludowych wyrobów indiańskich. (Przyp. tłum.)) - powiedziała ucieszona - rozpoznałaś go.

- Chyba tak - młoda kobieta roześmiała się zaskoczona.

- A widzisz, już wraca ci pamięć. - Głos Phyl brzmiał uspokajająco.

- Ona jak gdyby gdzieś we mnie tkwi i sprawia, że wszystko samo wskakuje na właściwe miejsce - powiedziała dziewczyna. - Tak jak mimoza i pasek.

- Właśnie w ten sposób to się dzieje. No, aleja muszę się już zbierać. Nie mogę cię zamęczać, bo to by wszystko popsuło.

- Phyl?

Doktor Forster popatrzyła pytająco.

- Dlaczego mnie odwiedzasz? Przecież mnie nie znasz.

Phyl zawahała się. Nie chciała powiedzieć o tym, że widziała ją w telewizji. Istniał także jeszcze inny powód, o którym nikomu nie mówiła. - Byłam w szpitalu, gdy cię przywieźli. Martwiłam się o ciebie. Jestem psychiatrą i pracuję tutaj trzy dni w tygodniu.

Dziewczyna uśmiechnęła się z przymusem.

- Psychiatra. A więc jestem w dobrych rękach. Ma pani kolejny przypadek świra do wyleczenia, pani doktor. - Nagle oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia. - To ty jesteś tą sławną doktor Phyl Forster.

- No proszę, a jednak pamiętasz.

- Tak - odpowiedziała zadowolona. - I jest jeszcze coś, czego nigdy nie zapomnę: widok twej ślicznej twarzy uśmiechającej się do mnie, gdy wynurzyłam się z tego tunelu rozpaczy.

Phyl starała się nie okazać swych uczuć.

- Cieszę się, że byłam przy tobie - powiedziała cicho: - Do zobaczenia.

- Phyl? - była w połowie drogi do drzwi, gdy dziewczyna zawołała ją znowu. - Jeszcze jedno. Czy masz lusterko? Chciałabym zobaczyć, jak wyglądam. Ciągle jeszcze nie mogę wstać z łóżka, a wygląda na to, że nikt w całym szpitalu nie ma lusterka.

Phyl zawahała się, wiedziała, że to może okazać się niebezpieczne. Po pierwsze, dziewczyna dopiero przed kilkoma godzinami obudziła się ze śpiączki. Po drugie - była posiniaczona i potłuczona, a jej opuchnięta twarz i ogolona głowa wyglądały okropnie. I po trzecie wreszcie, mogła nagle rozpoznać siebie i przypomnieć sobie, co się stało. A na to było za wcześnie. Szok byłby zbyt duży.

- Może jutro przyniosę lusterko - obiecała machając ręką na pożegnanie.

Rozdział 5.

- Jesteś młoda i silna jak koń - rzekł do dziewczyny następnego ranka doktor Niedman. - Nawet pęknięcie czaszki nie wystarczy, aby cię zabić.

- Ale i konia można dobić, prawda - rozpląkała się bezradnie - a mnie zepchnięto w przepaść.

To po wizycie detektywa Mahoneya, który nalegał, aby z samego rana pozwolono mu przesłuchać dziewczynę, była teraz taka przygnębiona.

- Nie powinnaś wierzyć wszystkiemu, co mówią policjanci - powiedział z wesołym uśmiechem. - Może po prostu byłaś tam na spacerze i wpadłaś do rozpadliny. Któż chciałby zrobić krzywdę takiej miłej dziewczynie?

- Nie wiem - odparła szczerze. - Nie wiem nawet, jak się nazywam. Gdybym wiedziała, może wyjaśniłoby się, dlaczego ktoś próbował mnie zamordować.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Phyl Forster. Błyszczącymi gniewem oczami spojrzała na Niedmana.

- Słyszałam, że był tu Mahoney - rzuciła ze złością. - Czy dał mu pan zezwolenie na przesłuchanie pacjentki?

- Niestety, tak. Powiedział, że prosiła go pani o czterdziestoosmiodzinną zwłokę, ale każda upływająca godzina utrudnia mu pracę. A teraz gdy pacjentka przebudziła się, siedzi i jest przytomna, można by nas posądzić o utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Musiałem się zgodzić, chociaż bez entuzjazmu.

Phyl prychnęła gniewnie. Pocałowała dziewczynę w policzek i rzuciła na łóżko torbę z domu towarowego Saks Fifth Avenue.

- To prezent, aby poprawić ci nastrój przed zdjęciem zasłony - oświadczyła i dodała zwracając się do Niedmana: - Nadszedł dzień, aby obejrzała twoje dzieło.

Chirurg ze śmiechem zbierał się do wyjścia.

- Przepraszam za obcięcie włosów - powiedział do pacjentki. - Jestem za to specjalistą od zakładania szwów. Za parę miesięcy nie będziesz nawet pamiętać, że cię połataliśmy.

- Och, mam nadzieję, że będę - zaniepokoiła się, a oni wybuchnęli śmiechem.

- Najpierw jednak musimy zamienić tę szpitalną koszulę na coś bardziej miłego dla oka - powiedziała Phyl. - Pielęgniarka pomoże ci się przebrać, a ja wrócę za chwilę.

Dziewczyna odprowadziła ją zaciekawionym spojrzeniem, a potem otworzyła torbę i rozwinęła warstwę białej bibułki. Na widok bladoróżowego jedwabiu i koronek uśmiechnęła się radośnie.

- Jakie to ładne - powiedziała gładząc dłonią chłodny, gładki materiał. - Jakie śliczne.

Tymczasem Phyl próbowała dodzwonić się na posterunek z wiszącego w hallu automatu telefonicznego i niecierpliwie postukując pantoflem o podłogę czekała na połączenie z Frankiem Mahoneyem.

- Jest pan w gorącej wodzie kąpany, Mahoney - rzuciła, gdy wreszcie się odezwał. - Minęło dopiero siedem godzin, nie mówiąc o tym, że mieliśmy przedtem „powrócić do sprawy”.

- Rozmawiałem z odpowiedzialnym za pacjentkę chirurgiem - odparł chłodno. - Dał mi zezwolenie. W przeciwnym razie nie odważyłbym się.

Phyl zacisnęła zęby. Ten bezczelny, wszędobylski łajdak mógł zrobić jej pacjentce ogromną krzywdę.

- Do diabła, człowieku, dlaczego ją przesłuchiwałeś? Dlaczego przynajmniej nie pozwoliłeś mi w tym uczestniczyć?

- Zaraz, zaraz, nie jestem ludożercą. Byłem przecież delikatny, na litość boską. Nie nalegałem. Zapytałem ją co sobie przypomina, a ona powiedziała, że nic. Pytałem

ją o imię, a ona powiedziała, że nie pamięta. Nie mogłem stwierdzić czy mówi prawdę, czy chce wymigać się od odpowiedzi. Może pani, jako fachowiec, mi to powie?

- Czy jest pan idiotą? Oczywiście, że mówiła prawdę. Ta kobieta przeszła ciężki uraz. Nie pamięta, ponieważ podświadomie nie chce pamiętać. Spycha wszystko w jakiś zakątek umysłu dając nam sygnał: Proszę nie przeszkadzać. Jestem pewna, że nie jest w stanie świadomie przypomnieć sobie, co się stało, jeśli nic się nie zdarzy, co poruszy jej pamięć.

- I co wtedy?

- Wtedy? - Phyl zastanowiła się. - Cóż, lepiej żeby ktoś był przy niej i pomógł jej się pozbierać. - Mówiąc te słowa, wiedziała, że jej przypadnie ta rola.

Odwiesiła słuchawkę i powoli wróciła do pokoju pacjentki. Dziewczyna siedziała na łóżku uśmiechnięta i ubrana w nową, różową nocną koszulę. Spojrzała pytającym wzrokiem na wchodzącą,

- Wyglądasz dużo lepiej - pochwaliła Phyl. - Pomyślałam, że jest to prawdopodobnie jedyny moment w twoim życiu, kiedy możesz ubierać się na różowo.

- Uśmiechnęła się. - Kiedy odrosną ci włosy, będziesz znowu nosić niebieskie rzeczy.

- Dziękuję ci, jest śliczna. Ale nie powinnaś była... jestem dla ciebie obcą osobą.

- Wcale nie. Jesteś kimś ważnym dla nas wszystkich. Przybyłaś tu w rozsypce, a my złożyliśmy cię w całość. A skoro już o tym mówimy, czy jesteś gotowa na to, by na siebie popatrzeć?

W oczach młodej kobiety czaił się niepokój.

- Czy bardzo źle wyglądam? - wyszeptała z nagłym lękiem.

- Nie najlepiej - przyznała Phyl. - Twoja twarz istotnie jest spuchnięta i nieźle posiniaczona. Ale nie są to poważne uszkodzenia. Masz ciągle ten sam nos, oczy w tym samym miejscu, wszystkie zęby. Innymi słowy wszystko naprawi czas i nowa czupryna. Przygotuj się po prostu na widok ogolonej i pokrytej bliznami głowy.

Wyjęła i przytrzymała lusterko. Dziewczyna przyglądała się sobie przez dłuższą chwilę, a potem z jej oczu trysnęły łzy.

- Nie przejmuj się tak - powiedziała łagodnie Phyl.

- Nie znam jej - wyszeptała z bólem dziewczyna. - Nie znam tej kobiety.

Phyl wyjęła chusteczkę i otarła jej zapłakane oczy.

- Rozpoznasz ją, już niedługo. Obiecuję, że pomogę ci na nowo odnaleźć siebie. Zresztą, nie wyglądasz przecież teraz dokładnie tak jak przedtem. Pomyślała, że mówi jak do dziecka, i nagle sama poczuła, że zbiera jej się na płacz.

- Dlaczego jesteś taka dobra dla mnie? - zapytała młoda kobieta, przyciskając rękę lekarki do swego policzka. - Jestem nikim. Czymś bez znaczenia. Nie musisz być dla mnie miła. Masz tyle obowiązków, jesteś sławna, osiągasz sukcesy. Czemu zaprzątasz sobie mną czas?

- Ponieważ mam złote serduszko - odpowiedziała lekko Phyl.

- To nie dlatego. Jest coś więcej, prawda? Phyl przytaknęła.

- Czy możesz mi powiedzieć?

Nieoczekiwanie sytuacja się odwróciła. Teraz dziewczyna trzymała ją za rękę. Phyl poczuła dławienie w krtani, a mięśnie jej karku zeszywniały.

- Może któregoś dnia, kiedy poczujesz się lepiej... - powiedziała drżącym głosem, a potem, opanowując się, dorzuciła szybko: - Zapominam o zasadach. To ty jesteś pacjentką, a ja terapeutką, która ma ci pomóc. A nie odwrotnie.

Popatrzyły na siebie. Phyl pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczkę.

- Pewnie już nie zechcesz, abym nadal była twoją lekarką

- Tusz ci się rozmazał - powiedziała dziewczyna delikatnie

- Miał być odporny na łzy!

Obie uśmiechnęły się do siebie, a Phyl wyciągnęła ramiona i uściskała dziewczynę.

- Po prostu pomyślałam, że chcesz mieć kogoś bliskiego i że tym kimś mogę być ja.

- Nikt lepszy nie przychodzi mi na myśl. Ich oczy znowu się spotkały.

- Może oprócz mojej mamy - dodała z zadumą młoda kobieta

Rozdział 6.

To dziwne uczucie być anonimową, pomyślała tydzień później dziewczyna, przeglądając się w lustrze. Dziwne, a jednocześnie uspokajające. Ostatecznie, jeśli nikt nie wie, kim ona jest, nikt nie będzie próbował jej zabić. A w ogóle dlaczego ktoś miałby chcieć to zrobić? Co uczyniła, by stać się przyczyną czyjegoś gniewu i przemocy?

Popatrzyła na rząderek czerwonych blizn na przedramieniu, w miejscu gdzie według lekarzy ugryzł ją pies. Musiałaby to pamiętać. Detektyw Mahoney powiedział jej, że pies był duży, rottweiler albo doberman. Zapytał czy знаła kogoś, kto miał takiego psa. Pokręciła tylko przecząco głową. Pod wpływem gwałtownego ruchu z jej ust wyrwał się okrzyk bólu. Uniosła rękę.

- Przepraszam - powiedział Mahoney, a w jego niebieskich oczach kryło się współczucie. - Naprawdę nie chcę sprawić ci przykrości, ale między nami mówiąc, doktor Forster i ja musimy cię jakoś sklasyfikować. Ona zajmuje się przyszłością, a ja staram się odtworzyć przeszłość. Potrzebujemy jednak trochę inicjatywy z twojej strony.

- Próbuję - powiedziała, rozpaczliwie usiłując cokolwiek sobie przypomnieć mimo pustki w głowie. - Ale teraz mogę powiedzieć tylko tyle, że zupełnie nie przypomina pan detektywa.

Uśmiechnął się, a w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

- Skórzana kurtka to przebranie, aby okpić przestępców i udać, że się jest jednym z nich.

- Nigdy w to nie uwierzą - uśmiechnęła się także. - Wygląda pan zbyt sympatycznie jak na przestępcę.

- Zdziwiłabyś się, jak sympatycznie wygląda wielu przestępców, dlatego udaje im się namówić śliczne kobiety, na przykład takie jak ty, aby ich odwiedziły, albo poszły z nimi na randkę.

Wiedziała, że zarzuca wędkę, licząc iż złowi odpowiedź, i żałowała, że nie może mu jej udzielić.

- Może nie byłam typem kobiety, którą facet może poderwać w barze i zabrać do domu - powiedziała niezdecydowanie. - Naprawdę sądzi pan, że mogłam zrobić takie głupstwo?

- Nie, ale z pewnością jesteś diabelnie ładna. Ktoś mógł pójść za tobą. Rozmowa prowadziła donikąd. Detektyw westchnął, patrząc na żółty notatnik, w którym zapisał jedynie kilka krótkich informacji.

- Przykro mi - powiedziała - naprawdę chciałabym panu pomóc. Sama chcę wiedzieć, kim jestem. Być może dzięki temu, że nie pamiętam, czuję się bezpieczniej. Jeśli nikt nie wie, kim jestem, nikt nie będzie chciał mnie zabić.

Wzruszył ramionami i podniósł się do wyjścia.

- Porozmawiaj o tym z doktor Phyl - powiedział - to raczej jej branża. I jeszcze jeden drobiazg. Gdy znaleźliśmy cię, byłaś lekko ubrana, za lekko jak na wczesny marzec w San Francisco. Reszta kraju, z wyjątkiem kilku stanów, była pod śniegiem. Może przyjechałaś z Meksyku, Florydy albo z Hawajów? Z Dalekiego Wschodu? Sprawdziłem w liniach lotniczych, ale nie uwierzysz, jak wiele kobiet podróżuje samotnie do tych wakacyjnych kurortów i jak wiele samolotów przybywa każdego dnia. Sprawdzamy każdy z nich indywidualnie, ale jeśli dziś w nocy przyśni ci się przelot samolotem, daj znać, skąd wracałaś. Zaoszczędzi nam to masę czasu.

Mrugnął do niej wesoło, idąc do drzwi, a ona roześmiała się nie zważając na ból głowy.

Ciągle nie mogła rozpoznać w lustrze swej twarzy. Nie pamiętała, aby wsiadała do samolotu, a kiedy pokazał jej ubranie, nie rozpoznała go. Cofnęła się z trwogą na

widok zaplamionego krwią podkoszulka i swetra, ale dotknęła czerwonej skóry sandałka i odczytała metkę „Stephane Kelian, Paris”. Czując utkwione w sobie oczy detektywa, niepewnie przesunęła palcem wzdłuż napisu.

- Paryż? - powiedziała, próbując odnaleźć w mózgu wyjaśnienie tej nagłej iskierki podniecenia, którą poczuła. Ale nic nie znalazła i wybuchnęła płaczem.

Wtedy właśnie weszła Phyl i niemal wyrzuciła Mahoneya z pokoju.

- Brutal! - krzyknęła za nim w głąb lśniącego szpitalnego korytarza.

- Litości, pani doktor! - zawołał zawracając i wyciągając błagalnie rękę. - Wykonuję tylko swój zawód.

Phyl na ten gest zaniemówiła, a na widok jej oburzonej miny łyzy młodej kobiety zmieniły się w śmiech. To właśnie wtedy Phyl zasugerowała, by spróbowały hipnozy.

- Próbowałyśmy i przetestowałyśmy już wszystko - powiedziała - i szczerze mówiąc, nie doszliśmy do niczego. W przypadku amnezji wstecznej, takiej jak twoja, hipnoza daje często dobre efekty. Czy sądzisz, że byłabyś na to gotowa?

- Masz na myśli: gotowa poznać prawdę? Jakakolwiek by ona była? Phyl współczująco pokiwała głową.

- Jakakolwiek by była. Chcę, abyś wiedziała, że zawsze, w każdej sytuacji, możesz liczyć na moją pomoc.

- Wiem.

Więź, która je łączyła, w ciągu kilku tygodni znajomości zaczęła przeradzać się w przyjaźń. Jedna kobieta próbowała uwolnić się od swojej przeszłości, druga chciała ją odnaleźć. W dzień eksperymentu Phyl wpadła do pokoju dziewczyny z naręczem mimozy.

- Te kwiaty pierwsze pobudziły twą pamięć - powiedziała ustawiając bukiet na stoliku. - Może przyjdą nam z pomocą.

Zaciemniła pokój zaciągając zasłony i usiadła naprzeciw łóżka.

- Denerwujesz się? - zapytała, klepiąc uspokajająco dłoń pacjentki. Młoda kobieta przytaknęła. - Niepotrzebnie. Po prostu się rozluźnij. Nie myśl o niczym i słuchaj mnie.

Dziewczyna wykonała polecenie. Głos Phyl był niski, uspokajający, rytmiczny. Oczy pacjentki zamknęły się, a wydawane polecenia cofały ją w czasie, zabierały w daleką drogę, gdzieś w odległą przeszłość...

- Gdzie jesteś? - zapytała łagodnie Phyl.

- Och, w cudownym miejscu, tak tu pięknie - młoda kobieta westchnęła ze zdumieniem. - Ten zakątek kocham najbardziej na świecie. - Jej głos brzmiał bez troski i dziecinnie.

- A gdzie to jest?

- Daleko, daleko stąd. Jest tu tak spokojnie...

- Czy wiesz, gdzie się znajdujesz?

- Gdzie? - głos zadrżał. - Nie wiem, nie jestem pewna... Phyl zauważyła, że dziewczyna zaczyna się gubić.

- Opowiedz, co widzisz w tym pięknym miejscu - rzuciła szybko.

- Widzę dziecko siedzące na schodach cudownej różowej willi. Słyszę śpiew setek ptaków. Czuję na nogach chłód marmuru, a na twarzy ciepło słońca. Och, czuję też zapach mimozy... Nie słychać nic oprócz śpiewu ptaków i szelestu wiatru w gałęziach wysokich drzew... I... czegoś jeszcze.

Phyl przysunęła się bliżej. Niewinna radość na twarzy pacjentki zmieniła się w przerażenie.

- Co się stało? - spytała pośpiesznie. - Powiedz, możesz powierzyć mi swą tajemnicę...

- Słyszę odgłos kroków na żwirze. Ktoś nadchodzi, jest coraz bliżej... Groźna, czarna chmura opada na mnie, dusi, odgradza od różowej willi i światła... Został tylko zapach mimozy...

Phyl patrzyła przez chwilę na łzy toczące się po policzkach dziewczyny.

- Biedne dziecko - szepnęła. - Czy wiesz, kto to szedł? Młoda kobieta pokręciła głową. Płakała w milczeniu.

- Czy to ty jesteś tym dzieckiem? Ponownie zaprzeczyła.

- Nie wiem, naprawdę nic nie wiem.

- Czy wiesz, ile dziecko ma lat?

- Non, je ne k connais pas.

Phyl zamrugła oczami ze zdumienia.

- Odpowiedział mi po francusku. Czy znasz dobrze ten język?

- Oui. C'est k meme pour moi, frangais ou anglais.

- A czy możesz mi powiedzieć, gdzie nauczyłaś się tak dobrze francuskiego?

- N... nie wiem.

Wyglądała na zmartwioną, więc Phyl zadała ostatnie pytanie.

- Czy masz francuskie imię?

- Imię? Nie mam imienia... Nie wiem...

- Wszystko w porządku, nie martw się. Chcę, abyś zapamiętała to wszystko, co powiedział mi o różowej willi. Teraz obudź się. No, otwórz oczy i popatrz na mnie.

Pacjentka uniosła powieki. Podniosła rękę i dotknęła mokrych policzków.

- Łzy? - zapytała ze zdziwieniem. - Dlaczego płakałam?

- Peut - etre vos memoires sont tristes?

- Tristes? - spojrzała ze zdumieniem na Phyl, a potem powiedziała: - Mój Boże, mówiłam do ciebie po francusku. Phyl, powiedz mi, co to wszystko ma znaczyć - popatrzyła na nią błagalnie.

Lekarka powtórzyła jej to, co usłyszała na temat willi.

- Czy przypominasz sobie, że coś takiego ci się przydarzyło? Młoda kobieta pokręciła gniewnie głową.

- O Boże, bardzo bym chciała.

- Nie martw się, robimy postępy. Można powiedzieć, że to prawdziwy przełom.

- Naprawdę tak myślisz? - Jej radość z ukazanego przez Phyl małego promyka nadziei była wzruszająca. - Czy powiedziałam, ci jak się nazywam?

- Nie, jeszcze nie - roześmiała się Phyl - ale nie możemy wiecznie nazywać cię bezimienną dziewczyną. Dlaczego nie wymyślisz sobie imienia? Jakie ci się podoba? Pomyśl o wszystkich sławnych rudowłosych kobietach.

- Beatrycze - powiedziała dziewczyna po chwili namysłu. - Wiesz, ta od Dantego. Jest wystarczająco sławna. A poza tym nie czuję się jak Rita Hayworth czy królowa Elżbieta I.

- Hm, Beatrycze... Bea. Brzmi niezłe. A co powiesz na French, skoro francuski jest pierwszą rzeczą, jaką sobie przypomniłaś?

- Bea French. Świetnie brzmi. - Dziewczyna roześmiała się uradowana, zapominając chwilowo, jaki lęk ogarnia ją, gdy uświadomi sobie, że nie wie, kim jest. - Może wreszcie przestanę być kimś anonimowym.

Rozdział 7.

Dwa tygodnie później Mahoney skończył swą zmianę o siódmej wieczorem, czyli jak zwykle pracował trzy godziny dłużej.

- Wiesz, robisz to tylko po to, aby reszta chłopaków wypadła kiepsko - poskarżył się detektyw Valentino Benedetti. - Czy nie możesz choć raz skończyć o normalnej porze, tak jak my wszyscy?

Benedetti był wysokim mężczyzną, o brzuchu piwosza. Miał płaskostopie, które było zmurą jego życia i przedmiotem żartów policjantów w pokoju brygady. Był też znany z najmniejszej liczby przepracowanych godzin, co jakoś uchodziło mu na sucho. Nie stronił tylko od płatnych nadgodzin.

Siedzieli przy barze w restauracji Hanrana, próbując przy kuflu piwa rozwiązać problemy minionego dnia.

- Czemu pijesz to cienkie świństwo, zamiast coś porządnego, na przykład Budweisera? Co z ciebie za policjant, Mahoney?

- Zmęczony, Benedetti, po prostu zmęczony. Właśnie spędziłem cztery godziny w sądzie próbując wpakować za kratki prymitywnego bandytę, który obrabował swoją babkę, a potem przywiązał ją pończochami do ramy łóżka. I wyobraź sobie, cóż za dziwny zbieg okoliczności - babka zmarła. Nie przyznał się do winy. Powiedział, że przywiązał ją tylko dla żartu. To zupełny drobiazg, że pończochy zaciśnięte były na jej gardle i że na jego oczach udusiła się na śmierć. Urządził nam prawdziwe przedstawienie. Powiedział, że ma dopiero dziewiętnaście lat i kochał staruszkę jak matkę. Był zawsze dobrym chłopcem, tylko się tak bawił pod wpływem chwilowego impulsu. Wszystko potwierdziła grupa świadków. Najbardziej bezwstydną bandą kłamców, jaką zdarzyło mi się spotkać. Dostał dwa lata w zawieszeniu i pięćdziesiąt godzin pracy na rzecz miasta. Chryste, Benedetti, czyś ty się czasem zastanawiał, dlaczego jesteś policjantem?

Dokończyli w milczeniu piwo, dumając nad niesprawiedliwością amerykańskiego sądownictwa. Benedetti zamówił jeszcze dwa kufle i barman podsunął im je wzdłuż baru razem z miską precli.

- Czy wiesz, co się stało z dziewczyną z Rozpadliny Mitchella? - zapytał Benedetti, pociągając duży haust Budwtisera. - Nie jest to formalnie twój problem, skoro nie umarła, zastanawiam się tylko, czy napastnik kiedykolwiek się ujawni. No wiesz, czy wróci, aby spróbować jeszcze raz, na wypadek gdyby dziewczyna przypomniiała sobie, kim był?

Mahoney pokręcił głową.

- Byłem zajęty przez ostatnie dwa tygodnie. Nie doszliśmy do niczego sprawdzając linie lotnicze, a także zaginione osoby i odciski palców. Po dziewczynę nikt się nie zgłosił i jest ciągle w szpitalu. Jeszcze dochodzi do siebie po wypadku. Jednak to ugryzienie przez psa nie daje mi spokoju.

W okolicy jest wiele dużych domów i większości z nich pilnują psy. Sprawdziłem je, ale wszystkie okazały się miłutkimi domowymi pieszczoškami. Tej nocy, kiedy dziewczynę napadnięto, były w swych przytulnych domach i otoczone miłością zajadały smakołyki. Przynajmniej tak twierdzili ich właściciele i nie ma sposobu, by udowodnić, że było inaczej. Są solidnymi obywatelami z bogatych i poważanych rodzin, podporami społeczeństwa. - Mahoney uśmiechnął się drwiąco. - Ale obaj znamy się na tych podporach, prawda, Benedetti? Wiemy, że nie można ufać człowiekowi na podstawie kroju jego ubrania czy wysokości konta w banku. To tylko ludzie.

- Zupełnie jak my dwaj - zauważył ponuro Benedetti, zamawiając kolejne dwa piwa. - Nie mamy tylko dużego konta w banku. Mahoney uniósł dłoń.

- Dla mnie już nie zamawiaj. Zadzwoń do szpitala i dowiem się, czy mogę jeszcze dziś odwiedzić moją młodą bezimienną. Dziękuję za piwo.

Przez zatłoczony bar pośpieszył do automatu telefonicznego, wykręcił numer szpitala, przedstawił się i poprosił o połączenie ze stanowiskiem pielęgniarek na piętrze, gdzie znajdował się pokój młodej kobiety.

- Pacjentka śpi - poinformowała pielęgniarka - ale doktor Niedman właśnie skończył obchód. Czy chciałby pan z nim rozmawiać?

- Oczywiście.

Niedman podniósł słuchawkę, ale Mahoneyowi wydawało się, że przeszkadza.

- Nie będę panu długo zawracał głowy - rzucił szybko. - Czy mógłby mi pan tylko powiedzieć, co nowego słyhać u bezimiennej dziewczyny z Rozpadliny Mitchella?

- Och, chodzi panu o Beę French - usłyszał zmęczony głos.

- Co takiego? Bea French? - Mahoney zaczął prawie krzyczeć na Niedmana. Nikt nie zadał sobie trudu, aby skontaktować się z nim i powiedzieć mu, że dziewczyna przypomniała sobie, kim jest. - Więc tak ma na imię?

- Niezupełnie. Wymyśliły to razem z Phyl Forster. Kiedy na seansie hipnotycznym okazało się, że pacjentka mówi biegle po francusku, stwierdziły, że to odpowiednie imię.

Mahoney poczuł, że podnosi mu się ciśnienie. Do diabła, poczciwa doktor Forster hipnotyzuje dziewczynę i nie raczy mu nawet o tym wspomnieć. Bóg jeden wie co jeszcze wyszło na jaw oprócz tego, że zna francuski. Gotował się ze złości. Mieli wreszcie prawdziwą wskazówkę, a on dowiaduje się ostatni. Podziękował Niedmanowi, odwiesił słuchawkę i spojrzął na zegarek. Było prawie wpół do dziewiątej.

Poszedł na parking, z nawyku przyglądając się uważnie stojącej na chodniku grupce wyrostków. Szybko rozplłynęli się w mroku. Rozpoznał kilka twarzy i wiedział, że to włóczenie się po deszczu do niczego dobrego nie doprowadzi, ale był już po służbie i się śpieszył. Dziś wieczorem potrzebował odpoczynku.

Czarny mustang kabriolet z 1969 roku zapalił natychmiast. Mahoney przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w miły pomruk wspaniale wyregulowanego silnika, po czym ruszył z piskiem opon.

Phyl Forster mieszkała w wytwornej kamienicy w eleganckiej dzielnicy Pacific Heights. Detektyw zaparkował w niedozwolonym miejscu, wysiadł i aż zagwizdał z wrażenia na widok osłoniętego markizą wejścia, umundurowanego portiera i nienagannie utrzymanej fasady. Doktor Forster nieźle się powodziło.

Wcisnął ręce do kieszeni dzinsów i ruszył niespiesznie do drzwi. Portier popatrzył na niego podejrzliwie, lecz na widok policyjnej odznaki pośpiesznie wpuścił go do środka. Mahoney wszedł do wykładanego marmurem hallu. Podłogę pokrywał wschodni dywan, a ogromne lustro w złotych ramach odbijały kryształowe wazony wypełnione świeżymi kwiatami, antyczne konsole i głębokie wyściełane fotele.

Czekając, aż portier zatelefonuje dowiedzieć się, czy doktor Forster go przyjmie, zastanawiał się ile wynosi miesięczny czynsz za utrzymanie tego wszystkiego.

- Może pan iść na górę - powiedział w końcu portier niechętnie. Nie był przyzwyczajony do widoku policji w spokojnej, bogatej kamienicy. - Mieszkanie numer 10 b.

Mahoney stąpał ostrożnie po wschodnim dywanie w kierunku wykładanej drewnem windy. Jadąc bezszelestnie do góry przejrzał się w lustrze. Przyglądał włosy, otrząsnął krople deszczu ze skórzanej kurtki i pomyślał, co chciałby powiedzieć pani doktor w sprawie Bei French. Ciągle jeszcze kipiał z gniewu.

Drzwi mieszkania nr 10 b były otwarte, wszedł więc do środka. Phyl, ubrana była w obszerny, biały szlafrok frotte, nie miała makijażu, a jej czarne włosy luźno opadały

na ramiona. Leżała zwinięta w kłębek na czarnej sofie i robiła wrażenie wyczerpanej. Nie podniosła się na jego widok.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - zapytała zmęczonym głosem.

Czy nie jest trochę za późno na wizytę policji? przyjrzał się jej bez uśmiechu, cały najeżony ze złości. ~ Dlaczego, do diabła, nie powiedziała mi pani, że ma zamiar hipnotyzować tę kobietę? Dlaczego nie przekazała nam, jaki był tego rezultat? Jak to, u licha, możliwe, że jestem ostatnią osobą, informowaną o tym, co dzieje się z Beą French?

Szafirowe oczy Phyl pociemniały jak dżety od nagłego gniewu.

- Jak pan śmie na mnie krzyżeć! - wrzasnęła. - Przecież powiedział mi pan, że się już nią nie interesuje. Chyba że umrze, rzecz jasna. Wtedy miałby pan pole do popisu. Sprytny, przystojny policjant, ulubieniec dziennikarzy, rozwiązuje kolejną zagadkową zbrodnię. Cóż, przykro mi, ale muszę pana rozczarować, Mahoney. Ona nie umarła. Żyje i teraz ja się nią zajmuję - a nie pan.

Stał nad nią z rękami w kieszeniach. Zmierzyli się wzrokiem, a on powiedział spokojnie:

- A jak pani sądzi, co zrobi nasz morderca, gdy dowie się, że Bea żyje? Że jej nie zabił? Skoro jest pani taka mądra, niech mi pani odpowie. Ten ktoś chciał ją zabić. A jak mówi stare przysłowie, do trzech razy sztuka. Proszę mi wierzyć, on spróbuje jeszcze raz.

Patrzyła na niego oniemiała. Z napiętą, pobladłą twarzą wydała mu się nagle bezbronna.

Mahoney rozejrzał się po urządzonej z wykwinną prostotą, nienagannie utrzymanym mieszkaniu. Wszystko lśniło, było starannie skomponowane i na swoim miejscu. Zdjął czarną skórzaną kurtkę, rzucił ją na krzesło, które wyglądało, jakby nikt nigdy na nim nie siadał, i przeszedł do kuchni dalej w stali i granicie.

Otworzył lodówkę, sprawdził jej zawartość i zaczął wyjmować rozmaite rzeczy z szafek.

- Na miłość boską, co pan wyprawia? - Głos Phyl drżał z oburzenia i zmęczenia.

- A jak pani sądzi? Zamierzam ugotować obiad, bo wydaje mi się, że pani nie ma na to siły.

- Obiad! Nie zapraszałam pana nawet na drinka, nie mówiąc już o obiedzie.

Uśmiechnął się kpiąco.

- Wie pani, co jej dolega? To siedzenie na tyłku przez cały dzień, a może i wylegiwanie się na sofie. Powinna pani ćwiczyć, trenować, biegać. Pobudzać szare komórki.

- Tak jak pan, prawda? - Poderwała się z sofy i przechyliła przez oddzielający ją od kuchni czarny granitowy blat.

Oderwał wzrok od pomidorów, które właśnie kroił.

- Myśli pani, że jestem chłopcem bez wykształcenia, z biednej dzielnicy, prawda? Facetem, który z trudem wyszkolił się na detektywa? Ma pani rację. Nie przyszło mi to łatwo. - Wzruszył szerokimi ramionami. - Dostałem w Berkeley stypendium uniwersyteckie, ale brałem każdą robotę, żeby wystarczyło mi na jedzenie. Ukończyłem studia na wydziale literatury angielskiej z wyróżnieniem. Pisałem pracę na temat wpływu europejskich poetów romantycznych na pojmowanie związków międzyludzkich we współczesnej Ameryce. Kiedy byłem na drugim roku studiów doktoranckich na uniwersytecie w Stanford, postanowiłem zostać policjantem, a nie profesorem. - Spojrzał na nią chłodno. - Tyle dla pani wiadomości, pani doktor.

Patrzyła na niego w milczeniu. Podwinął rękawy koszuli i kroił pomidory pogwizdując cicho arię z Traviaty, której tytułu nie mogła sobie przypomnieć. Usiadła ciężko na krześle i zawstydzona ukryła twarz w dłoniach.

- Przepraszam - powiedziała. - Jestem po prostu potwornie zmęczona. To był taki długi dzień, długi tydzień, miesiąc, rok... A swoją drogą jest pan w błędzie. To ja jestem z biednej dzielnicy.

Wrzucił warzywa na patelnię wraz z odrobiną oliwy i krzyżując ręce na piersiach, oparł się o blat, czekając z powagą na jej opowieść. Ale blada twarz Phyl pozostała zamknięta, ściągnięta przechowywanym w pamięci bólem, z którego nie chciała mu się zwierzyć. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Jestem tak pochłonięta zajmowaniem się problemami wszystkich wokół, że po prostu nie starcza mi czasu dla siebie - powiedziała w końcu potrząsając głową z zakłopotaniem. - Pracę zabieram ze sobą do domu.

Mahoney rozejrzał się po zimnym, bardzo eleganckim pokoju.

- Cóż, to widać. Wygląda na to, że zapomniała pani, że tu mieszka. Zdjął ze stojaka butelkę czerwonego wina i popatrzył na etykietę.

- Niezłe - powiedział z aprobatą napełniając szczerze kieliszek Phyl. - Moja włoska mama zwykła mi mówić, że kieliszek czerwonego wina rumieni policzki dziewczyny i rozświecła jej serce. Zawsze chciałem się przekonać, że to prawda.

Uśmiechnęła się i upiła łyk, patrząc zmęczonym wzrokiem w kieliszek.

Mahoney przeszedł na drugi koniec pokoju, aby przyjrzeć się kolekcji płyt kompaktowych. Wkrótce czyste dźwięki arii z Normy śpiewanej przez Marię Callas popłynęły przez wysokie, ciche wnętrza jak orzeźwiający powiew wiatru.

Piętnaście minut później Phyl siedziała naprzeciw detektywa przy kuchennym stole. Przed nią stała miska pachnącego makaronu ze świeżym sosem pomidorowym.

- Przepraszam, ale nie udało mi się znaleźć chleba - usprawiedliwił się Mahoney, nalewając wina do kieliszków. - Były tylko zeschnięte skórki, które leżą tu chyba od tygodnia. Widzę, że nie przepada pani za pieczywem. Dbamy o linię, prawda?

- Wcale nie - odparła z oburzeniem. - Uwielbiam focacci, pieczywo na oliwie i chleb na zakwasie. I, dzięki Bogu, nie muszę jeszcze dbać o linię.

Mahoney patrzył z uśmiechem, jak nabiera makaron na widelec, a Phyl zrozumiała, że tylko się z nią drażni.

- To wszystko dlatego, że rzadko jadam w domu - wyjaśniła. - Zwykle jest późno i wstępuję gdzieś na kolację w drodze powrotnej.

- Dlaczego dzisiaj pani tego nie zrobiła?

- Byłam zbyt zmęczona, aby o tym pomyśleć - odpowiedziała szczerze.

- Albo zbyt samotna - dopowiedział popijając wino i przyglądając się jej.

Spoglądała na niego przez chwilę w milczeniu. Przypatrywała się, jak idzie przez pokój, aby zmienić płytę, i pomyślała, że chodzi jak sportowiec, zaczynając krok z pięty. Jest gibki jak pantera przemierzająca dżunglę miejskich ulic. Nagle przypomniała sobie to, co powiedział o zabójcy, i poczuła lęk o Beę.

Mahoney usiadł naprzeciwko niej, opierając łokcie na stole. Popijał wino i patrzył, jak zjada swoją porcję. Phyl skończyła makaron i westchnęła z zadowoleniem.

- Było pyszne. Od roku nie jadłam domowego spaghetti. Odchyliła się w krześle i oboje popatrzyli na siebie.

- Mahoney, czego właściwie pan chce od życia? - zapytała z nagłym zaciekawieniem.

Roześmiał się nonszalancko.

- Och, zostać pewnego dnia komisarzem policji albo kandydować w wyborach na burmistrza. Tak jak każdy prawdziwy policjant. A pani?

- Co, ja?
- Czego pani chce od życia?

Rozpostarła ramiona wskazując piękne mieszkanie, bezcenne dywany, dzieła sztuki. - Czego więcej może pragnąć kobieta - powiedziała obronnym tonem. - Mam wszystko.

- Na to wygląda, pani doktor. - Wstał gwałtownie i włożył kurtkę.

Spojrzała na niego. Wiedziała, o czym myśli, chociaż nic więcej nie powiedział. Może mogłaby pragnąć mężczyzny, który by ją kochał, dzieci, szczęśliwego, kipiącego życiem domu, psa, a nawet kilku psów.

Ale dlaczego, do diabła, ma pozwalać temu antyfemińście, policjantowi wielbiącemu poezję, operę i ćwiczenia w siłowni, na stawianie jej życia pod znakiem zapytania. I to właśnie teraz, gdy wszystko sobie w nim poukładała.

- Jest pani zmęczona - powiedział na pożegnanie wyciągając rękę. - Dziękuję za obiad i towarzystwo. Proszę dać mi znać, co się dzieje z Beą.

To nowe imię dziwnie zabrzmiało w ustach Mahoneya. Zupełnie jak gdyby wypowiadając je przywrócił dziewczynę na nowo do życia.

„Zmartwychwstanie”, pomyślała Phyl, zamykając drzwi za detektywem.

Następnego dnia rano czekał na nią doktor Niedman.

- Nasza pacjentka czuje się już dobrze, doktor Forster - powiedział. - Prawdę mówiąc, wystarczająco dobrze, by mogła opuścić szpital. - Popatrzył na Phyl znad swych notatek. - Oczywiście nasuwa się pytanie, dokąd pójdzie. Z tego, co mówił detektyw Mahoney, zrozumiałem, że śledztwo utknęło w martwym punkcie, a ponieważ pani także niczego nie ustaliła, naprawdę nie wiem, co z nią zrobić. Nie mogę umieścić jej w szpitalu psychiatrycznym, ponieważ poza utratą pamięci, ma umysł w pełnym porządku. Z drugiej strony przeżyje szok, jeśli skierujemy ją do opieki społecznej.

Phyl pomyślała o Bei, o jej ogolonej głowie i okropnych bliznach, o tym, że nic o sobie nie wie, nawet tego, co się jej przytrafiło. Wyobraziła sobie dziewczynę blakającą się po ulicach i przypomniały jej się słowa Mahoneya: jeżeli zabójca dowie się, że ona żyje, może spróbować znowu. Może już wie z gazet i teraz czeka, aż niedoszła ofiara opuści szpital...

- Bea może zamieszkać ze mną - powiedziała szybko. - Mimo wszystko to ja jestem odpowiedzialna za jej rehabilitację.

Krzaczaste brwi Niedmana uniosły się w górę ze zdumienia.

- Czy nie posuwa się pani nieco za daleko w wypełnianiu zawodowych obowiązków, doktor Forster?

- Lubię ją - powiedziała Phyl obronnym tonem. - Jest nie tylko moją pacjentką, ale i przyjaciółką.

- Rozumiem. Cóż, to miła dziewczyna, a pani propozycja rozwiązuje problem. Wypis w następny weekend, czy to pani odpowiada? Phyl poszła przekazać Bei dobrą nowinę.

- Minęło już sześć tygodni - powiedziała. - Musisz mieć serdecznie dosyć patrzenia na te cztery ściany, więc może dla odmiany przyjdiesz i popatrzysz trochę na moje. Przynajmniej widok jest ładniejszy, choć nie gwarantuję za jedzenie - tu uśmiechnęła się na myśl o pysznym makaronie Mahoneya.

Bea roześmiała się uradowana.

- Wierz mi, wszystko jest lepsze niż szpitalny wikt. Ale czy dobrze się nad tym zastanowiłaś? Przecież to straszny ciężar przyjmować do domu zupełnie obcą osobę.

- Jak to obcą? Nie zapominaj, że w tej chwili znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. A poza tym cię lubię i będzie nam wesoło razem mieszkać. Od zakończenia

studiów nie miałam współlokatorki. - Śmiała się rozglądając po pustym szpitalnym pokoju. - Nie będziemy się kłócić, przynajmniej o miejsce w szafie.

Następnego wieczoru, ku zaskoczeniu Phyl, Mahoney odwiedził ją ponownie, Tym razem miał ze sobą upominek: urocze kremowoczekoladowe syjamskie kociątko. Wydawało się maleńkie, kiedy siedziało w jego dłoniach mrucząc z zadowoleniem, pewnie, że będzie kochane. Pomyślałem, że jest tu zbyt pusto - wyjaśnił. - Kotka zajmie panią, ustrzeże przed zamykaniem się w sobie. Proszę traktować to jako rodzaj terapii, tylko najpierw niech się pani zastanowi, czy tego chce, bo syjamski kot uważa się za człowieka. Będzie pani musiała postępować tak, jak ona sobie tego życzy. Bawić się z nią, kiedy tego chce, dawać jej jeść kiedy jest głodna, poddawać się jej pieszczotom. Proszę więc od razu powiedzieć, czy jest pani na to gotowa, bo jeżeli nie, zawiozę ją z powrotem do hodowcy.

- Kto jest hodowcą? - duże niebieskie oczy zwierzątka patrzyły na Phyl.

- Moja ciotka Sophia z Sacramento.

- Jechał pan taki kawał drogi, aby mi go przywieźć?

- Pomyślałem, że przydałoby się pani coś, czym można się zaopiekować - powiedział niedbale. - Kiedy musi się myśleć o kimś innym, choćby o takim małym kotku, łatwiej zapomnieć o własnych problemach.

Popatrzyła na niego oskarżycielsko.

- Chce pan uczynić ze mnie istotę bardziej „ludzką”? Uśmiechnął się.

- Myślę, że można to tak określić. W każdym razie, kotka Wabi się Coco. Pomyślałem, że to eleganckie imię. Będzie pasowała do pani.

- To bardzo osobisty podarunek, Mahoney - powiedziała ostrożnie Phyl.

Kotka wdrapywała się jej na ramię, ocierając miękkim, wilgotnym noskiem o szyję i zaplåtując łapki we włosy.

Roześmiała się:

- Ale pańska ciotka Sophia z pewnością wie, co robi.

- A więc zatrzyma ją pani? - popatrzył wyczekująco. - Proszę pamiętać, że potrzebuje miłości i serdeczności.

- Wiele mam do ofiarowania, chociaż pan pewnie myśli inaczej - obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem. - A jak mogę zrewanżować się za prezent?

- Postawić mi któregoś dnia obiad. Roześmiała się przytulając kotkę.

- Robi pan świetne interesy, detektywie. Nawiasem mówiąc, będę miała współlokatorkę.

- Wiem, mówił mi doktor Niedman. Od kiedy?

- Od przyszłej soboty. Pomyślałam, że będę mogła kontynuować tu z nią terapię. Pamiętam też, co mówił pan o mordercy. U mnie będzie chyba bezpieczna, dopóki nie przypomni sobie, kim jest. A poza tym dziewczyna nie ma pieniędzy, ale na dobrą sprawę może być dziedziczką fortuny.

- Jedna szansa na milion, choć wiem z doświadczenia, że nigdy nie można odrzucać żadnej możliwości. Przepraszam, ale kotka potrzebuje tacy z piaskiem. Niech się pani o to postara jak najszybciej, by Coco wiedziała, gdzie ma załatwiać swoje potrzeby. Wtedy nie będzie z nią problemów.

- Mówi pan jak ekspert.

- No cóż, mam trzy własne koty. To one, opera i gotowanie bronią mnie przed zbytnim zamykaniem się w sobie. Ale będę już się zbierał. Muszę być w sądzie za pół godziny. Do zobaczenia - zatrzymał się w drzwiach. - A swoją drogą próbuję ustalić z urzędem imigracyjnym i biurem paszportowym francuskie powiązania dziewczyny. Jeśli Bea jest Francuzką, wkrótce dowiemy się, kim jest.

Rozdział 8.

Bea czuła się jak debiutująca na scenie życia aktorka. Wiedziała, jak wykonywać codzienne czynności, jaką muzykę lubi, a nawet jak gotować. Co prawda nie były to wyszukane dania, ale pamiętała wiele, głównie francuskich przepisów. Pamiętała twarze pokazywanych w telewizji znanych osobistości, nazwiska autorów ulubionych książek, filmy które jej się podobały. Ale nie pamiętała gdzie widziała przedtem te twarze, gdzie czytała książki, ani gdzie znajdowały się kina, w których oglądała filmy.

- Nie przejmuj się tym - pocieszała ją Phyl. - To wszystko stopniowo samo przyjdzie. Pamiętaj, że jesteś tu po to, aby odpocząć i wrócić do zdrowia. Chcę tylko, abyś znów była silna i cieszyła się życiem.

Mimo przekonania dźwięczącego w głosie Phyl, Bea nie była wcale pewna powrotu pamięci, gdyż za każdym razem gdy próbowała cofnąć się myślami w przeszłość, natrafiała na pustkę. Zupełnie jak gdyby umysł dziewczyny spowijała taka sama czarna chmura jak ta, która otaczała owo dziecko siedzące na stopniach schodów różowej willi. Bea była pewna, że widziała je tylko we śnie. Gdyby dom rzeczywiście istniał, musiałyby go pamiętać. Przecież rozpoznałyby siebie, gdyby to ona była tym dzieckiem.

Nie powiedziała jednak o tym Phyl. Jej przyjaciółka była przekonana, że nastąpił przełom, a z pewnością fakt, że Bea mówiła po francusku z taką samą łatwością, jak po angielsku, był ważnym odkryciem. Specjaliści określili jej akcent jako paryski, choć nie pamiętała, czy kiedykolwiek była w Paryżu. Znajomość francuskiego była jedyną pewną rzeczą dotyczącą przeszłości, chyba że nie była to prawdziwa pamięć, a jedynie automatyczna reakcja, coś na zawsze zakodowanego w mózgu niby w komputerze, tak jak umiejętność gotowania.

Phyl powiedziała, że znajomość francuskiego to cenna umiejętność, która może przydać się później, ale nie wyjaśniła do czego. Tak czy owak dziewczyna nie chciała myśleć o tym, co będzie potem. Nie chciała myśleć o niczym poza chwilą obecną.

Już od miesiąca mieszkały razem i Bea rzadko wychodziła z domu Tego wieczoru Phyl postanowiła jednak zabrać ją na zakupy. Bea nie wiedziała, czy ma się z tego cieszyć. Przerazała ją myśl o zatłoczonych sklepach, ludziach przyglądających się jej krótko obciętym włosom, o oglądaniu, wybieraniu, chodzeniu po ulicach, siedzeniu w restauracji. Przerazało ją zwyczajne życie. Woląла przebywać tutaj, w pięknym mieszkaniu Phyl. Było duże, jasne, przestronne i bezpieczne.

Zadzwonił telefon; Mahoney zapowiadał swoje przyście. Nabral zwyczaju wpadania od czasu do czasu, by - jak twierdził - sprawdzić jak czuje się kotka.

- Czyli odwiedzić Phyl - drażniła się z nim Bea, śmiejąc się z jego zmieszanej miny. - No, niech się pan przyzna detektywie, mnie to wcale nie dziwi. Ona jest cudowna. Piękna i wspaniałomyślna.

- I czasem nie do wytrzymania - uśmiechnął się Mahoney pozwalając kotce wspinać się po nogawce dżinsów. Zgarnął ją z podłogi i posadził sobie na dłoni, a ona rozglądała się wokół zwycięsko. - A swoją drogą, skąd wiesz, że nie przychodzę tu w celach zawodowych? Może udaję, że odwiedzam Coco, a w rzeczywistości kontroluję ciebie i sprawdzam, czy nie nabierasz nas, że niczego nie pamiętasz?

- Nie nabieram - odpowiedziała poważnie Bea. - Naprawdę nie przypominam sobie niczego z przeszłości. Nawet tego - zawahała się i na jej twarzy pojawił się lęk - nawet tego, kto próbował mnie zabić.

Trzasnęły drzwi. To Phyl zjawiła się wcześniej, aby zabrać Beę na zakupy. Odkąd dziewczyna zamieszkała z nią, życie lekarki uległo zmianie. Oto ona, nałogowa samotnica, nie ujawniająca swoich uczuć i ceniąca nade wszystko prywatność i niezależność, dzieliła mieszkanie z niedoszłą ofiarą zabójstwa syjamskim kotem. Co więcej była z tego zadowolona. Sprawiało jej przyjemność, że ktoś czeka na jej powrót

do domu, że z kuchni wydobywają się smakowite zapachy i że Coco, muskając łapkami wypolerowane podłogi, pędzi na jej powitanie. Nie przeszkadzała jej nawet kocia sierść na czarnej marynarce.

Były sobie potrzebne nawzajem. Phyl, mądra doktor psychiatrii, która zatapiała się w pracy, by zapomnieć o tym, co czuje i co przeżyła, oraz Bea, dziewczyna bez przeszłości, nad którą wisiało zagrożenie.

- Cześć! - zawołała Phyl rzucając prochowiec na sofę zamiast powiesić go starannie do szafy, co z pewnością uczyniłaby jeszcze nie tak dawno. Chciała dzisiaj rozpocząć rehabilitację Bei i miała w związku z tym pewne plany. Zamierzała jej o tym powiedzieć przy obiedzie.

Westchnęła na widok Mahoneya.

- Znowu pan - powiedziała zjadliwie. - Jak oni sobie radzą bez pana na policji. A może jest pan właśnie na tropie kryminalnej zagadki stulecia?

Mahoney westchnął przesadnie głęboko, rozłożył ramiona i gdy Bea z uśmiechem patrzyła, jak się sprzecają, wyrecytował melodyjnym głosem:

A jeśli w ukochanej twojej zbudzi się złośnica, uwięź jej jedwabną dłoń i pozwól jej zlorzeczyć, i pij, pij długo niezwykłość jej oczu...

Potem oświadczył uroczyście:

- Pani doktor, ktoś powinien powiedzieć, że agresja nie jest w pani stylu. Wydaje mi się, że Swinburne znalazł właściwą odpowiedź.

- Nie jestem pańską „ukochaną”, więc proszę nie cytować mi europejskich poetów, Mahoney. Jeżeli przyszedł pan tu w sprawie obiadu, który jestem mu winna, to bardzo mi przykro, ale już się z kimś umówiłam.

Mahoney uśmiechnął się:

- Wiem, Bea mi mówiła. Zakupy i obiad. Niestety nie mogę iść z wami. Przyszedłem tylko upewnić się, czy Coco ma właściwą opiekę, i powiedzieć, że nic nie ustaliliśmy w urzędzie imigracyjnym i biurze paszportowym. Sprawdziliśmy wszystkie Francuzki w wieku Bei, które przyjechały do kraju w czasie poprzedzającym ten... ten incydent. Jednocześnie wciąż przekopuję się przez zawarte w wykazach linii lotniczych tysiące nazwisk kobiet, przybyłych do San Francisco w tygodniu przed wypadkiem. Docieramy do każdej z nich. Zdobywamy też informacje o prywatnych samolotach. Przyleciało ich mnóstwo tego wieczoru, z Meksyku, Baja, Palm Desert, Hawajów. Wszystkie pilotowane były przez właścicieli i żaden nie miał na pokładzie kobiety pasażera.

Bea posmutniała. Bardzo liczyła, że jej nazwisko odnalezione zostanie na listach linii lotniczych. Mahoney poklepał ją uspokajająco po ramieniu i powiedział:

- Muszę już iść, bo inaczej spóźnię się z rozwiązaniem zagadki zbrodni stulecia i stracę szansę na zostanie burmistrzem!

Przystanął i podrapał za uszami kotkę, trzymaną na rękę przez Phyl.

- Ładnie pani wygląda, pani doktor - uśmiechnął się z aprobatą.

- Dziękuję, Mahoney. - W jej głosie znowu pojawił się sarkazm. - Nie jestem pewna, czy potrzebuję pańskich dwuznacznych komplementów.

Roześmiał się, idąc do drzwi, a Phyl odwróciła głowę czując na sobie jego wzrok.

- Sam nie wiem - powiedział z namysłem. - Może to ten siedzący tryb życia, przed którym panią ostrzegałem, a może domowa kuchnia, ale wydaje mi się, że ma pani większą pupę.

- Kretyn! - wrzasnęła, on ze śmiechem zatrzasnął drzwi. - Bydlę, świnia!

Drzwi otworzyły się znowu i ukazała się w nich twarz Mahoneya, wyraźnie zaszokowanego.

- Ależ, pani doktor. Uciekamy się do brzydkich wyrazów? Niech się pani zastanowi, co to może oznaczać...

- Ty... ty, glino! - zawołała, a on zniknął nie przestając rechotać. Bea zaśmiewała się i Phyl, wbrew sobie, także zaczęła się śmiać.

- Dlaczego go lubię? - zapytała samą siebie. - Przecież to zadufany w sobie szowinista.

Była jednak zadowolona, że rozśmieszał Beę. Z przyjemnością przyjrzała się swej podopiecznej gotowej do pierwszego wyjścia. Jej miękkie włosy koloru miedzi odrastały zasłaniając wstrętne blizny. Lekkie jak puch czyniły dziewczynę podobną do Audrey Hepburn sprzed lat. Duże, miedzianobrazowe, aksamitne oczy były o ton jaśniejsze od włosów, a skóra, dawniej biała jak ściana, nabrała koloru świeżej śmietanki. Oczywiście Bea była ciągle zbyt chuda, po prostu skóra i kości. Można było policzyć kręgi w kręgosłupie, a ścięgna szyi, kości przegubów i kostek nóg wyraźnie się odznaczały. Lecz w porównaniu ze stanem sprzed miesiąca wyglądała wspaniale.

Była w dżinsach i koszuli. Dostała je od Phyl, która wiedziała, że ubieranie Bei sprawi jej przyjemność i miała rację: na wysokiej i szczupłej dziewczynie wszystko wyglądało dobrze.

Przeszły przez markowe działy sklepów i butiki z ubraniami dla młodzieży, a Phyl, mimo protestów swej podopiecznej, zaopatrzyła ją na wszelkie możliwe okazje - na co dzień i na wieczór.

- Ale gdzie będę nosić te wszystkie piękne rzeczy - dopytywała się Bea, gdy wracali do samochodu obładowane mnóstwem paczek.

- Powiem ci przy obiedzie - odparła z ożywieniem Phyl. - Jeżeli jakieś kobiety zasłużyły kiedyś na dobry obiad, to właśnie my. Dzielnie walczyłyśmy w sklepach, szczególnie ty, i unosimy zwycięskie trofea. Trzeba to uczcić.

Miały zarezerwowany stolik w Stars, ale zanim tam poszły, Bea narzuciła na siebie nową, miękką, zamszową kurtkę i wpięła w uszy długie bursztynowe kolczyki, na które namówiła ją Phyl. Lekko pomalowała usta poleconą przez sprzedawczynię szminką Havana firmy Prescriptives.

- No, no - spojrzała na nią z podziwem Phyl, gdy usiadły przy stoliku. - Wyglądasz fantastycznie i budzisz ogólne zainteresowanie.

- Myślałam, że patrzą na ciebie. - Bea rozejrzała się ostrożnie po sali. - Wszystko jest cudowne - mówiła uradowana - ale wolałabym, żebyś nie wydawała na mnie pieniędzy. Obiecuję, że kiedyś ci oddam. Gdy tylko znajdę pracę.

- A propos pracy. Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać - wpatrywała się ze zdumieniem w Phyl, a ona tymczasem zamówiła lampkę wina i przestudiowała menu.

- Za ciebie, kochanie - powiedziała wznosząc kieliszek. - Za twój powrót do zdrowia i za naszą przyjaźń.

- To ja muszę ci podziękować za wszystko. Za dach nad głową, za różne stroje - popatrzyła z wdzięcznością na Phyl i dodała cicho: - I że jestem normalna.

Pora na drugi etap rekonwalescencji - ciągnęła Phyl. - Może mój pomysł trochę cię przerazi, ale na pewno pomoże ci osiągnąć dwie bardzo istotne rzeczy.

Bea spojrzała na nią z niepokojem. Nie chciała żadnych zmian, pragnęła, aby życie toczyło się po prostu tak jak dotychczas.

- Mam przyjaciółkę Millie Fenwick - powiedziała Phyl. - Jest bogata jak Rockefeller i zupełnie zwariowana. To największa optymistka, jaką znam. Mieszka w Nowym Jorku i poszukuje sekretarki, kogoś, kto będzie pilnował terminów spotkań, telefonował i towarzyszył jej w podróżach, czyli był kimś w rodzaju „przynies, wynies”. Ale ona jest tylko na pozór starą megierą. W każdym razie chce jechać do Paryża. Ponieważ ty znasz francuski, a Millie nie potrafi wydusić z siebie ani słowa, nadajesz się do tej pracy jak mało kto.

Bea na samą myśl o tym poczuła skurcz w żołądku. Nie chciała jechać do Nowego Jorku i bała się wyprawy do Paryża..

- Znam dobrze Millie - powiedziała Phyl. - Pomogłam jej wyjść z kilku kryzysów i zwalczyć poczucie winy, że posiada taką masę pieniędzy i ma czym zaspokajać swe kaprysy. Możesz mi wierzyć: daje tak samo dużo, jak wydaje. Nie ma na ziemi bardziej wielkodusznej i życzliwej kobiety niż Millie Fenwick. Ale ostrzegam cię, jest dziwaczką. To stara szkoła. Chcę, abyś sama pojechała do Nowego Jorku, spotkała się z nią i dokonała istotnej zmiany w swym życiu. Jeśli masz zamiar kiedykolwiek wrócić do świata, to właśnie teraz nadchodzi taki moment. - Popatrzyła z napięciem na dziewczynę. - No więc? Co ty na to?

Pomimo obaw Bea wiedziała, że Phyl ma rację. Uśmiechnęła się trochę smutno.

- A więc po to były potrzebne te wszystkie eleganckie stroje.

- Millie uwielbia duchy i bywa tylko w najlepszych restauracjach, hotelach i kurortach. To brzmi zachęcająco, prawda? Roześmiały się, a Bea powiedziała:

- Wspomniałaś o tym, że pracę dla Millie powinnam podjąć z dwóch powodów. Jaki jest drugi?

Popatrzyły na siebie ponad stolikiem.

- Chcę, abyś opuściła San Francisco, bo tu nie jesteś bezpieczna. Oczy dziewczyny pociemniały z przerażenia:

- Sądzisz, że on może wrócić? Spróbować jeszcze raz? - wyrzuciła z siebie to, o czym wiele razy myślała.

- Z Millie nie musisz się niczego bać - zapewniła ją Phyl. - Nikt tam cię nie zna ani nie wie, co się stało. Wkrótce wyjedziesz do Paryża I jeszcze jedno. Pomyślałam, że może we Francji zacznie wracać ci pamięć.

- I co wtedy? - szepnęła z lękiem Bea. - Co będzie, jeśli przypomnę sobie, kim jestem? I kto chciał mnie zabić?

- Po prostu zadzwonisz do mnie i ja przyjadę - obiecała Phyl. - Możesz na mnie liczyć. Tak czy owak jestem zaproszona w przyszłym miesiącu do Paryża na konferencję medyczną. Czas szybko płynie, a ja będę miała na co czekać. Zobaczę Paryż, ciebie i Millie.

Powiedziała Bei, że zarezerwowała na czwartek bilet do Nowego Jorku. Zostały tylko dwa dni.

- Aby nie było czasu się rozmyślić - stwierdziła stanowczo.

Wiedziała, że Bea nie będzie miała ochoty jechać. I wiedziała także, że mieszkanie bez niej wyda jej się bardzo puste. Choć miała pewność, że postąpiła słusznie, nie chciała stracić swej towarzyszki.

Przed odjazdem zrobiła zdjęcie: Bea, wysoka i elegancka w nowym kostiumie koloru mięty, przytulała do twarzy kotka trzymając go w obydwu rękach jak małą dziewczynkę. Uśmiechała się niepewnie, a w jej oczach czaił się niepokój, lecz Phyl pomyślała, że wygląda niezwykle ładnie. Kupiła srebrną ramkę i postawiła fotografię na nocnym stoliku, jak gdyby było to zdjęcie jej córki.

- Nie oceniaj Millie zbyt pochopnie, bo nie wytrzymasz tam nawet jednego dnia.

To były jej pożegnalne słowa, gdy odprowadzała dziewczynę na lotnisko. Bea wkrótce przekonała się dlaczego.

Rozdział 9.

Gwałtowna ulewa i wiatry wiejące z huraganową siłą sprawiły, że życie na Manhattanie zamarło. Autobusy i samochody stały w korkach przed rozbitymi światłami ulicznymi, a znalezienie taksówki było niepodobieństwem. Bea musiała przejść piechotą dziesięć przecznic, zanim dotarła do mieszkania swej przyszłej pracodawczyni, mieszczącego się w kamienicy przy Piątej Alei naprzeciwko Parku Centralnego. Przemoczona i wysmagana wiatrem zdołała przybyć na czas.

Mieszkanie pani Fenwick zajmowało całe piętro. Gdy Bea wysiadła z windy, Millie sama otworzyła jej drzwi.

- Dlaczego tak późno? - zapytała z pretensją w głosie, przechodząc niecierpliwym krokiem z kosztownie urządzonego hallu do obitej złotym brokatem bawialni. Władczym ruchem ręki nakazała dziewczynie iść za sobą. - Spóźniłaś się. Mam nadzieję, że nie robisz tego stale. Ten przeklęty lokaj właśnie zrezygnował z pracy, a gospodyni ulotniła się w zeszłym tygodniu razem z częścią mojej najcenniejszej biżuterii. Do kuchni przyjechała kobieta z Filipin, która prawie nie rozumie po angielsku. Jestem bliska obłądu.

Millie była niska, pulchna, uczesana w złote loczki jak mała dziewczynka. Nosiła kunsztownie marszczoną wiśniową suknię i pantofle na wysokich obcasach. Jej oczy były mocno podmalowane, usta grubo uszmkowane, a na palcach powykręcanych artretyzmem lśniły duże pierścienie z kamieniami we wszystkich barwach. Burza kolorów stanowiła jej własny styl.

Phyl ostrzegła Beę, że Millie Fenwick jest bogatą, rozpieszczoną kobietą w nieokreślonym wieku. Jedyne pewnikiem w jej biografii było to, że udaje młodszą, niż jest naprawdę. Szczegóły życiorysu zmieniała zależnie od nastroju i słuchającego ją towarzystwa, przeistaczając się z osieroczonej, dobrze urodzonej dziedziczki fortuny w sprytną business - woman lub ze szczęśliwej hazardzistki w bogatą, lecz nieszcześliwą kobietkę.

Przez minutę wpatrywała się w twarz Bei sprytnymi czarnymi oczami, a potem powiedziała chrapliwym głosem:

- Cóż, nigdy nie widziałam nikogo, kto by bardziej niż ty potrzebował pracy. Przydałby ci się solidny obiad. - Wytrząsnęła papierosa z pomiętej paczki marlboro i nie zwracając uwagi na leżącą obok na stole ozdobną złotą zapalniczkę, zapaliła go wyjętymi z kieszeni najtańszymi zapalnikami. Zgasiła zapalnik i zaciągnęła się z rozkoszą nałogowego palacza. Zlustrowała wzrokiem przemoczoną młodą kobietę, która oczekiwała wodą na jedwabny chiński dywan, głośno odkaszlnęła i rzekła z ironią:

- Czy Phyl zajmuje się teraz oprócz psychiatrii opieką nad bezdomnymi zwierzętami?

Bea uniosła głowę do góry i urażona zawróciła do drzwi:

- Chyba lepiej sobie pójdę.

- Och, na miłość boską! - Millie z irytacją strząsnęła popiół do dużej kryształowej popielniczki, z której wysypywały się poplamione szminką niedopałki wypalone aż do filtra. - Nie możesz obrażać się tak łatwo, jeśli mamy razem zamieszkać. Zdejmij płaszcz i te przemoczone buty. Siadaj tutaj przy kominku i opowiedz mi o sobie.

Jej uśmiech, na pół przeproszący, na pół psotny, był tak szczery i pełen ciepła, że Bea usłuchała. Taka właśnie była Millie Fenwick. Uwielbiało się ją, i zaraz po chwili nie można było z nią wytrzymać. Raz była dobra, raz okropna. Zupełnie jak ta dziewczynka z loczkiem na czole z wierszyka dla dzieci.

Bea posłusznie zrzuciła mokre buty i płaszcz, kładąc je na marmurowej podłodze w hallu, aby niczego nie zniszczyć. Potem wróciła do biblioteki i usiadła niepewnie na

brzeżku krytej złotym brokatem sofy, Czująca na sobie pełne ciekawości spojrzenie czarnych jak węgielki oczu Millicent.

- No i cóż? - powiedziała Millie wyczekująco. - Phyl przedstawiła mi jedynie zarys całej historii.

- Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Miałam wypadek, chociaż policja sądzi inaczej. Myślę, że ktoś próbował mnie zamordować. - Mówiąc to Bea uniosła mokre włosy, aby odsłonić czoło i pokazać biegnącą przez nie bliznę.

- Czuję się teraz dobrze - zapewniła, niepokojąc się o los przyszłej posady. - Jedyнным problemem jest to... że nic nie pamiętam, nawet tego, kim jestem.

- A policja nic nie ustaliła?

- Nie było żadnych zaginionych osób odpowiadających mojemu opisowi. Nikt mnie nie szukał. Chyba nikomu nie zależy na tym, czy żyję, czy nie. Z wyjątkiem Phyl i oczywiście detektywa Mahoneya.

Millie po raz ostatni zaciągnęła się papierosem i zgasiła go pośród stosu niedopałków w kryształowej popielniczce.

- Proszę, proszę, kobieta bez przeszłości - popatrzyła na Beę z tajemniczym uśmiechem. - Idealne towarzystwo dla kobiety bez przyszłości.

- Możesz zacząć pracę natychmiast, przynosząc mi następną paczkę papierosów z mojego pokoju. A potem napijemy się czegoś gorącego, powiedz Filipince w kuchni, żeby przygotowała herbatę dla dwóch osób, ale jeśli i tym razem poda za mocną, to ją zabiję. I kanapki z wędzonym łososiem i pastą z jajek. Kanapki - paluszki, bez skórki, ona wie, jakie lubię. Potem podzwoń i spróbuj znaleźć mi nowego lokaja. Nie lubię sama otwierać drzwi. - Spojrzała na ogromny wysadzany diamentami zegarek. - A potem będzie niemal pora na pierwszy kieliszek szampana. - Wzniosła oczy do nieba i wykrzywiła się. - Boże, dlaczego w moim wieku uważam, że kieliszek bąbelków wypity przed zachodem słońca to pierwszy krok do upadku? Przecież gwizdź na to. I swoją drogą to nie alkohol mnie zabije, tylko te przeklęte fajki...

I tak Bea wprowadziła się do wspaniałego czternastopokojowego mieszkania z oknami wychodzącymi na Park Centralny. Jej miły biało - niebieski pokój przylegał do wytwornego apartamentu Millie.

- Wystarczająco blisko, aby cię zawołać, jeśli będę w potrzebie - powiedziała wesoło Millie.

Dziewczyna rozpakowywała się, a ona siedziała na łóżku przyglądając się i komentując każdą odwieszoną do szafy część garderoby.

- Hm, widzę, że nie lubisz kolorów, moja droga - stwierdziła z dezaprobatą na widok kolejnej lnianej sukienki w stonowanym odcieniu. Jakim cudem chcesz zostać zauważona w tych beżach? To z pewnością wpływ Phyl. Ona chodzi tylko w bieli i czerni. Mnie by to działało na nerwy. - Uśmiechnęła się rozpędzając ręką dym i dodała z zadowoleniem: - Zawsze uważałam, że jaskrawe kolory to najlepszy sposób, aby przykuć uwagę mężczyzny. Najlepszy jest różowy. I oczywiście kilka niezłych brylantów. Ale z drugiej strony rozumiem, że po tym, co się stało, nie masz ochoty rzucać się w oczy. - Poklepała współczująco Beę po ręku. - Nie martw się, kochanie. Z Millie będziesz bezpieczna.

Bea uśmiechnęła się z wdzięcznością. Podejrzewała, że życie z Millie będzie serią wzlotów i upadków, ale wyczuwała pod pozornym despotyzmem jej dobre serce.

- Poza tym, na co komu mężczyźni? - zapytała Millie podnosząc w górę sweter niemal takiego samego koloru miedzi, jak włosy Bei. - Miałam trzech mężów, moja droga. - Pokręciła z dezaprobatą głową. - Pierwszy był graczem w polo. Drugi dżokejem, bo byłam wtedy na etapie wyścigów konnych. A ostatni międzynarodowym playboyem. I muszę ci powiedzieć, że nie znam nikogo mniej zabawnego od playboyów. Po nim stwierdziłam, że do trzech razy sztuka. Widocznie nie nadają się

do małżeństwa. Co nie znaczy, że nie miałam chwil zapomnienia - w ciemnych oczach pojawił się chochlik - ale przynajmniej nie kończyły się ślubem.

Bea roześmiała się razem z nią, ale Millie przerwała niecierpliwie:

- Moja kochana, pośpiesz się teraz i przebierz. Wychodzimy na lunch do Le Cirque. Włóż najelegantszy z tych upiornych beżowych kostiumów, nie zapominaj o ładnym uśmiechu i przygotuj się na spróbowanie najlepszego jedzenia w Nowym Jorku. Koniecznie zamów wszystkie najbardziej tuczące dania, bo powinnaś przybrać trochę na wadze. Wieczorem wydają obiad na cel dobroczynny w hotelu Waldorf. Będzie przemawiał prezydent. Pomyślałam, że to może być interesujące, i wykupiłam stolik. Przedstawię cię wielu osobom.

Dziewczynie zabiło mocniej serce, gdy to usłyszała, ale Millie dostrzegła jej niepokój. - Oczywiście, że dasz sobie radę - powiedziała szybko. - Powiem im po prostu, że miałaś wypadek i masz drobne problemy z pamięcią, i że poza tym jesteś całkowicie normalna - dodała, wybuchając śmiechem.

Następne dwa tygodnie były dla Bei szalonym wirem lunchów, obiadów i balów na cele dobroczynne. Udało jej się też przyzwycząić do ciągłego narzekania Millie na skromność jej strojów, oszczędny makijaż i niechęć do jedzenia obfitych śniadań.

- Jesteś równie męcząca jak moja matka - zauważyła Bea któregoś dnia rezygnując z deseru podczas eleganckiego lunchu.

- Przypuszczam, że twoja matka nie odmówiłaby deseru w Lu - tece. - Millie popatrzyła niedbale na Beę i dodała: - A swoją drogą, jaka ona była?

Dziewczyna przeraziła się. Popatrzyła pustym wzrokiem na Millie.

- Właśnie powiedziałam coś na temat mojej matki, prawda? Tylko widzisz, gdy próbuję ją sobie wyobrazić, kiedy słyszę, jak mówi: „Jedz śniadanie, bo nie urośniesz”, natrafiam w mózgu na ślepią ścianę. Po prostu nic nie widzę.

Podniosła głos i Millie uspokajająco poklepała ją po rękę. Phyl prosiła, by zwracała uwagę na oznaki powrotu pamięci, ale Millie nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Bea będzie przygnębiona.

- Biedne dziecko - powiedziała cichym głosem, niepodobnym do jej zwykłego hałaśliwego paplania. - Musisz się czuć bardzo samotna. Ja też wiem, czym jest samotność, powinniśmy więc pocieszać się nawzajem, prawda? W każdym razie w przyszłym tygodniu wyjeżdżamy do Paryża, a nic nie rozweseli serca dziewczyny lepiej niż Francja.

Bea miała nadzieję, że tak się stanie.

Rozdział 10.

Kilka dni po wyjeździe Bei Mahoney zatelefonował do Phyl.

- Dzwonię w sprawie długu - oświadczył pewnym głosem. - Pamięta pani? Mam obiecany obiad.

- Pamiętam, rewanż za Coco. Jestem kobietą, która zawsze spłaca swe długi, proszę więc wyznaczyć godzinę i miejsce.

- Jutro - powiedział wyczuwając, że się uśmiecha - gdziekolwiek, byle nie w MacDonaldzie.

- Jutro - zgodziła się ze śmiechem. - Niech pan przyjedzie po mnie o wpół do ósmej.

- Wpół do ósmej - powtórzył, rozprostowując dłoń. Trzymał kciuki podczas rozmowy i nie mógł uwierzyć, że naprawdę się zgodziła.

- I jeszcze jedno... To nie będzie MacDonald, więc proszę postarać się choć raz wyglądać przyzwoicie, dobrze?

Odłożył słuchawkę śmiejąc się głośno.

Następnego wieczoru dokładnie o umówionej godzinie zadzwonił do drzwi Phyl. Otworzyła i w milczeniu przyjrzała się eleganckiemu ciemnemu garniturovi, białej koszuli i wyzywająco czerwonemu krawatowi z kwiecistego jedwabiu. Ciemne włosy Franka, wciąż wilgotne po kąpieli, nosiły ślady zębów grzebienia. Buty tak lśniły, że gdyby Phyl chciała, mogłaby się w nich przejrzeć. W jednej ręce detektyw trzymał bukiet kwiatów, a w drugiej brązową papierową torebkę.

- Wygląda pan jak glina, który udaje porządnego obywatela - rzekła rozbawiona.

- Cóż, widzę, że pani trochę złagodniała - odparł, uśmiechając się na widok jej rumieńca.

Ciemne włosy Phyl, zazwyczaj zwinięte w ciasny węzeł, były rozpuszczone. Jak zwykle ubrana była na czarno, ale tym razem miała na sobie gładką, obcisłą sukienkę głęboko wyciętą. Wokół roztaczał się zapach lilii i gardenii.

Mahoney wręczył bukiet, patrząc na Phyl z podziwem.

- Pachnie pani ładniej niż prawdziwe kwiaty - powiedział.

- To Bellodgia - odparła chłodno. - Perfumy trochę staroświeckie, ale dziś pasują do mojego nastroju. Dziękuję za piękne róże.

Były różowe z odcieniem kremowym, a ich aksamitne pączki właśnie zaczynały się rozwijać.

- Nazywają się Oceana - powiedział. - Pomyślałem, że przypominają ogrodowe róże. Są trochę staroświeckie, jak pani perfumy. Zdaje mi się, że dobrze wczułem się w nastrój naszego wieczoru.

Dał papierową torebkę kotce, która mrucząc ocierała mu się o nogi.

- A to dla Coco. Będzie miała się czym zająć, kiedy pani wyjdzie z domu.

Roześmieli się, gdy kotka błyskawicznie wydostała z torebki myszkę z kocimiętką i podrzucając ją w powietrzu skoczyła za nią.

Phyl zaproponowała wypicie lampki szampana.

- Świetny wybór - rzekł smakując z uznaniem. - I niebanalny. Laurent Perrier to dobra stara winiarnia, a jego Grand Siecle dorównuje najlepszym szampanom.

Phyl patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Kiedy przestanie mnie pan zaskakiwać, Mahoney? - zapytała. - Nigdy bym nie rozpoznała smaku Grand Siecle. Jak pan to, na miłość boską, robi?

Niedbale wzruszył ramionami.

- To po prostu jedna z rzeczy, jakich uczą w szkole policyjnej - uśmiechnął się przekornie. - Oczywiście żartuję. Po skończeniu studiów spędziłem rok we Francji i byłem na winobranii w Epernay. We wszystkich barach i kawiarniach serwują tam szampana, więc próbowałem wyrobów różnych małych winnic. Tak mi się to

spodobało, że postanowiłem odwiedzić wszystkie winiarnie. Miałem czule podniebienie, wiedziałem, co mi smakuje, i w ten sposób trafiłem na Grand Siecle. - Wzruszył ramionami. - Jak widać, nie ma w tym żadnej tajemnicy. Po prostu tak się szczęśliwie złożyło, że wybrała pani mojego ulubionego szampana.

- Niemal żałuję, że to nie pan gotuje dzisiaj - powiedziała tęsknie Phyl. - Trudno panu dorównać.

- Jestem na wezwanie. Proszę tylko zagwizdać, a ja już się zjawiam i wypróbuję na pani moje włoskie specjalności. Risotto z grzybami Marcelli Hazan, petite Nieoise farcis Rogera Yerge i zupa pistou, staroświecka, wegetariańska lasagna mojej mamy i najlepsze desery na zachód od Rzymu.

- Tiramisu - poprosiła żartobliwie. To był jeden z jej ulubionych deserów.

- Dostanie pani, chociaż tego nie znoszę.

- Nie dzisiaj - powiedziała biorąc kurtkę. - Robi się późno. Mahoney uniósł brwi na widok długiej czarnej limuzyny czekającej przy krawężniku. Phyl uśmiechnęła się do niego kpiąco, kiedy szofer otwierał im drzwi.

- Nie sądził pan chyba, że pozwolę mu prowadzić po alkoholu. W każdym razie nie chcę być odpowiedzialna za porażkę w wyborach na burmistrza.

Mahoney rozejrzał się niespokojnie, zanim usiadł obok niej.

- Dobrze, że przynajmniej jest czarna - powiedział nerwowo. - jeśli zobaczy mnie któryś z kolegów, może pomyśli, że wracam z pogrzebu, a nie że pracuję po godzinach jako sutener. Pani doktor, nie było mowy o limuzynie. Prosiłem tylko o skromny obiad.

- I dostanie go pan - zapewniła spokojnie. - Założę się, że będzie to najlepszy skromny obiad, jaki ostatnio pan jadł. Chociaż kto wie - dodała, przypominając sobie spaghetti. - Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, aby choć tego wieczoru nazywać mnie Phyl, a nie panią doktor. To jakoś lepiej brzmi.

Mahoney pokiwał z powagą głową. Jechali do leżącego na północ od miasta hrabstwa Marin.

- Zgoda, Phyl - uściśnął jej dłoń. - Jestem Franco. Muszę ci powiedzieć, że do takiego życia można się przyzwyczaić. Piękne kobiety, limuzyny, wspaniałe jedzenie. A może już jestem w rajku?

- Nie zakładałabym się o to - ostrzegła go.

Był bardzo ciepły majowy wieczór, a przez otwarte okna gospody Lark Creek napływało balsamiczne powietrze. Płomyki świec na stołach drżały w lekkim powiewie, a oni popijali kalifornijskiego Merlota.

- Mocne, ale wspaniałe - powiedział Mahoney - tak jak ty.

- Dzięki, Franco. Powiedz, dlaczego zawsze jest coś dwuznacznego w twoich komplementach. Westchnął głęboko.

- Nie wiem, Phyl. Chyba będziesz musiała zastosować jakąś terapię, żeby sprawdzić, co dzieje się złego z moją psychiką.

- Twoja psychika jest w zupełnym porządku - odparowała. - Masz problem z głową. Spuchła ci od hałasu, jaki robią wokół ciebie dziennikarze. - Pochyliła się ku niemu z ciekawością. - Powiedz mi, jak ty to robisz? Jak rozwiązujesz te wszystkie zagadki kryminalne?

- Ciężka praca. Intuicja. Staranne badanie faktów. Dobry wzrok, potrzebny do zbadania miejsca zbrodni i kiepska pamięć, by zapomnieć codzienne horrory. - Mahoney skrzywił się. - Nie ma nic cudownego w byciu policjantem z Wydziału Zabójstw. To tylko wymysł dziennikarzy.

- Więc dlaczego to wybrałaś zamiast uniwersytetu?

- Mój irlandzki pradziadek był policjantem i włoski dziadek i ojciec. Nie mogłem wyzwolić się od rodzinnego dziedzictwa.

- Albo chciałeś robić coś pożytecznego - zasugerowała miękkim głosem. - Pomóc innym ludziom.

- Jasne - roześmiał się. - Zgadza się. Święty Franco. Nieźle by to brzmiało w pokoju brygady. Phyl, szczerze mówiąc, jestem po prostu ciężko pracującym gliną, który z jakiegoś nie znanego mi jeszcze powodu odczuwa satysfakcję z łapania morderców i szaleńców. Takich, co uważają, że mogą bawić się w Pana Boga i zabijać innych dla kaprysu, za pięć dolarów, albo tylko dlatego że krzywo na nich spojrzeli. Gwałcicieli, którzy zabijają swoje ofiary, aby nie mogły ich oskarżyć. Chłopców, którzy obwiązują swojej babci gardło pończochą i patrzą, jak się dusi, aby zabrać nędzne oszczędności jej całego życia. Sto pięćdziesiąt dolarów ukrytych pod starym materacem. I na co ten chłopak ich potrzebuje? Na parę sportowych butów Nike i tanią skórzaną kurtkę, którą zaimponuje swojej dziewczynie? Może jeszcze kupi jej colę, a ona za to się z nim prześpi. - Przystojna twarz Franka sposepniała, a Phyl patrzyła na niego z lękiem. - Przepraszam - powiedział cicho - ale sama pytałaś.

- Rozumiem.

Przyglądał się jej z upodobaniem. Powiew wiatru poruszał płomieniami świec, rzucając światło na twarz Phyl. Na tle miękkiego czarnego szyfonu jej ramiona i piersi miały barwę świeżej śmietanki.

- Powinnaś ubierać się na czerwono - powiedział lekko, zmieniając nastrój i temat rozmowy - to by świetnie pasowało do twej cery. Zmieszana spuściła wzrok, rozmowa przybrała nagle ton osobisty.

- Kolor czerwony noszą wesołe panienki w Las Vegas - powiedziała chłodno - albo przesadnie wystrojone starsze panie na rejsach.

- Naprawdę? - W jego oczach czaiła się kpina. - Niektórzy uważają, że to kolor róż i walentynek. Zastanawiam się, jak mógłby to wyjaśnić dobry psychiatra.

- Powiedziałby prawdopodobnie, że jak na swój wiek jesteś wciąż niemądrze romantyczny, Franco Mahoneyu.

Roześmieli się oboje, a Franco pomyślał, że bardzo lubi jej chłodną niezależność. Rozmawiali, przekomarzając się, jedząc pieczonego kurczaka, którego - jak przysięgał Franco - musiał wyhodować dobrej klasy fachowiec, a upiec prawdziwa gospodyni, która zna się na kuchni.

- Nie zrobiłbym tego lepiej - powiedział z pełnym satysfakcji westchnieniem. - To był bardzo mądry wybór, doktor Phyl. Znasz mnie lepiej, niż sądziłem.

- Na tym polega mój zawód - odrzekła z przekornym uśmiechem. - Namawiam cię na spróbowanie budyniu maślanego. Jest po prostu znakomity.

- Jeżeli tak pani twierdzi, madame. Staję się marionetką w twoich rękach - roześmiał się bardzo z siebie zadowolony. - "Chyba mógłbym przyzwyczaić się do roli zabawki: limuzyny, wino, obiady, piękna towarzyszka, która za to wszystko płaci. Chociaż to chyba zbyt rozrzutny rewanż za małego kotka.

Nie tylko za kotka - ujęła go za rękę, a on spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Oczywiście miałaś rację tamtego wieczoru. Dokładnie przeanalizowałaś moje głupie, egoistyczne, poszufladkowane życie. Nigdy nie odważyłabym się wobec siebie na taką szczerłość. Może nigdy nie przestałabym myśleć o przeszłości, zamiast żyć tym, co dzieje się teraz. Ale dzięki tobie, Coco i Bei całe moje życie się zmieniło.

- Czy chcesz mi o nim opowiedzieć? - popatrzył na nią pytająco.

Spojrzała w dół, przesuwając palcem wzdłuż deseni zdobiącego nóż. Zaczęła mówić z wahaniem i tak cicho, że Mahoney musiał przysunąć się bliżej.

- Miałam kiedyś męża. Byliśmy oczywiście zbyt młodzi. Odpracowywaliśmy praktyki w szpitalu miejskim w Chicago. Był to chyba najbardziej przepełniony szpital w kraju, szczególnie podczas weekendów. Mówiło się na to „gorączka sobotniej nocy”, chociaż zamieszanie zaczynało się już w piątek. Ludzie pili, bili się i mordowali. Mego

przyszłego męża spotkałam podczas ostrego dyżuru, gdy oboje pochyłaliśmy się nad czyjąś wielokrotnie kłutą raną. On był z uniwersytetu w Stanford, a ja z Yale. Znienawidziliśmy się od pierwszego wejrzenia, więc oczywiście musieliśmy się w sobie zakochać.

Uśmiechnęła się ze smutkiem, wspominając słodycz miłości i młodości.

- Był staroświecki. Chciał się ożenić, mieć dzieci i żonę, która zostanie w domu, aby troszczyć się o rodzinę. Dziecko pojawiło się prawie natychmiast. Dziewczynka. Taka ładna i słodka. - Phyl popatrzyła na Mahoneya, a jej twarz nagle rozświetliła miłość. - Och Franco, wiesz jak większość dzieci ciągle płacze? Ale nie ona. Była od pierwszego dnia wymarzonym dzieckiem.

Mój mąż miał zamożną rodzinę, finansowali mu studia medyczne. Ze mną było inaczej. Jako dziecko zostałam porzucona. Nigdy naprawdę nie znałam mojej matki i nie słyszałam o ojcu. Kiedy opuściła mnie, decyzją sądu zostałam umieszczona w rodzinie zastępczej. W wieku od trzech do siedemnastu lat przeszłam przez siedem zastępczych rodzin. Mój Boże, jak ja tęskniłam za moją matką przez te wszystkie lata. Nawet teraz... Trudno przyzwyczać się do myśli, że się jest nie chcianą.

Rozumiesz więc, że zdecydowałam, iż moja córeczka nie podzieli tego losu. Zrezygnowałam z ambicji i jako etatowa mama osiadłam w ładnym domku w Dearborn. Mój mąż pracował osiemnaście godzin dziennie. Rozumiałam, że jest przemęczony, gdyż sama przez to przeszłam. Postanowiłam, że wybierzemy się na wakacje tylko we dwoje.

Phyl przerwała i przez długą chwilę milcząc wpatrywała się w stół. Franco czekał bojąc się odezwać. W końcu zdławionym głosem wyszeptła:

- Zostawiliśmy dziecko u dziadków w San Diego i pocałowaliśmy je na pożegnanie. Kiedy odjeżdżaliśmy do Meksyku, machała swą pulchną rączką, przesyłając nam pocałunki. Mieliśmy spędzić tylko tydzień lub dwa nad morzem, pod błękitnym niebem, w całkowitym spokoju.

Franco widział otwartą ranę jej duszy, kiedy popatrzyła na niego pustymi niebieskimi oczami. Wziął ją za rękę. Chciał objąć ramionami, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze...

- Drugiego dnia pobytu zadzwonił telefon. Dziecko zachorowało. Podejrzewano zapalenie opon mózgowych. Pierwszy samolot odlatywał dopiero następnego ranka. Wynajęcie samolotu trwało godziny.

- Nie mów nic - powiedział Franco ściskając jej chłodną dłoń. - To zbyt bolesne.

Phyl zdawała się go nie słyszeć. Jej oczy lśniły od łez.

- Moja córeczka umarła, zanim dotarliśmy na miejsce. Miała dopiero dwa latka. Myślałam tylko o tym, że musiała mnie wołać, że wołała: mamó, mamó... A mnie tam nie było. Mamy nie było.

- O Boże! - Franco niemal odczuwał jej cierpienie, widział, że stara się nad sobą zapanować.

- Minęły lata, zanim byłam w stanie poradzić sobie z tym. Czasem zastanawiam się, czy to dlatego tak dobrze wykonuję moją pracę. Dlatego że sama wiem, co to ból? Staram się o tym zapomnieć, ale gdy zobaczyłam Beę w telewizji i gdy wszyscy myśleli, że ona nie żyje, tamto powróciło. Wyobraziłam sobie matkę, której nie było przy niej, która się dowie... że jej córka nie żyje.

- Dziękuję, że mi to powiedziałaś. Phyl skinęła głową.

- Było to równie trudne dla mojego męża. Uważał, że powinniśmy od razu mieć drugie dziecko, ale ja nie mogłam znieść myśli o tym. Wróciłam na medycynę, w szpitalny młyn... Dwa lata później rozwiedliśmy się. Jest teraz wziętym internistą w San Diego. Żonaty, ma czwórkę dzieci. A ja jestem doktor Phyl, zaabsorbowaną wszystkim i wszystkimi, z wyjątkiem siebie samej.

- A może teraz powinnaś pomyśleć o sobie. Życie jest po to, aby żyć, a ty jesteś kobietą, która ma wiele do ofiarowania. Zatrzymaj się nad sobą, pokochaj siebie.

- A wtedy może i mnie ktoś pokocha? - usiłowała się uśmiechnąć. - Mnie, królową śniegu? Nie sądzę, Franco. Ja wybrałam swój los.

Patrzył na nią. Była piękna ze łzami lśnącymi na długich czarnych rzęsach, miękkimi ustami drżącymi z bólu po utraconej miłości i z poczucia winy, które nie chciało jej opuścić. Pomyślał, że za tą niezdobytą fasadą Phyl Forster jest najbardziej bezbronną kobietą, jaką znał. Jedną z najdzielniejszych i najbardziej samotnych. Wiedział, że któregoś dnia ta skorupa musi pęknąć.

Ścisnął mocniej jej dłonie i pochylił się, by je ucałować. Miał nieokreśloną nadzieję, że kiedy to nastąpi, będzie obok.

- Cóż, teraz wiesz, kim jestem naprawdę, więc nie wracajmy już do przeszłości. - Phyl otarła łzy i posłała mu olśniewający uśmiech. - pomówmy o Bei. - Wysunęła rękę z jego dłoni i przyglądała włosy. - Zamówmy budyń maślany - powiedziała z ożywieniem, a Franco znów podziwiał jej odwagę i współczuł, że tak niemądrze postępuje w życiu.

Powiedziała mu, że praca dla Millie wypełnia Bei cały czas, a dziewczynie bardzo to odpowiada. Wciąż nie jest pewna tego, kim jest.

- Widzisz, w jej życiu pojawiła się jakby ogromna wyrwa - powiedziała. - I to mnie przeraża. Jej istnienie nie ma żadnych korzeni, tych wszystkich szczegółów, dzięki którym jesteśmy kimś: rodziców, sióstr, braci, kuzynów. Szkoły, uniwersytetu i meczów piłki nożnej. Nie wie, jakie było jej życie. Mówi, że doprowadza ją to do obłądzenia, więc odrzuca to od siebie i żyje chwilą. Jutro wyjeżdżają do Paryża.

- Brzmi nieźle. Dużo lepiej niż pałowanie się po twoim mieszkaniu w oczekiwaniu na powrót pamięci. Albo mordercy. Czy Phyl rozszerzyły się.

- Czy naprawdę myślisz, że on wróci? - zapytała ze strachem. Mahoney bezradnie uniósł dłonie.

- Mogę jedynie powiedzieć, że nasze śledztwo nic nie wykazało i sprawa jest oficjalnie umorzona. Odłożona do szuflady z innymi nie rozwiązanymi zagadkami. Przyjęto, że był to przypadkowy morderca i każdy mógł stać się jego potencjalną ofiarą. Po prostu Bea miała pecha.

- A ty też tak myślisz?

Phyl była tak przerażona, że Mahoney miał ochotę otoczyć ją ramieniem i zapewnić, że wszystko jest w porządku, że znajdzie mordercę, rozwiąże zagadkę i ona nie będzie musiała się już więcej martwić. Ale niczego takiego nie mógł obiecać.

- Nie, nie myślę tak - powiedział - uważam, że była to świadoma i celowa próba morderstwa. Ten człowiek znał Beę i z jakiegoś powodu chciał się jej pozbyć. Muszę tylko dowiedzieć się dlaczego. Ale jeżeli Bea nie odzyska pamięci, nie ma na to zbyt dużych nadziei. Praca detektywa to w pięćdziesięciu procentach harówka i w pięćdziesięciu intuicja - dodał gorzko. - Wyczuwasz przestępców, nawet jeśli pozornie wydają się normalni. Zwykli, na pozór porządni ludzie, tacy jak ja i ty. Ale sławna doktor Forster z pewnością wie lepiej niż inni, co dzieje się w umysłach ludzi. W tych głębokich, ciemnych zakamarkach świadomości. Co ukrywa się za urodą, urokiem osobistym i drogimi ubraniami. Ci, którzy biją żony, znęcają się nad dziećmi, mordercy są po prostu ludźmi jak ty i ja.

- Mów za siebie - odparowała. - Lepiej powiedz, co to za sympatyczny, przystojny i czarujący młody człowiek próbował zamordować Beę. I dlaczego?!

- Wciąż nie rezygnuję z wyjaśnienia zagadki - odrzekł - to ci mogę obiecać.

Gdy wracali do domu, drogę spowijały upiorne girlandy mgły. Phyl zamknęła oczy opierając się o poduszki siedzenia, była zmęczona.

- Powiedz mi teraz, Mahoney, że limuzyna nie była dobrym pomysłem - mruknęła.

- To nie był dobry pomysł, pani doktor - potwierdził posłusznie, a ona jęknęła.

- Ciągłe czekam - dorzuciła.

- Na co?

Oparła głowę na jego ramieniu, a Franco uśmiechnął się czule, patrząc przed siebie, na oświetlone budynki miasta.

- Oczywiście na cytaty z poezji. Nie słyszałam aby zdarzyło ci się nie wykorzystać okazji, albo zabrakło ci słów.

- Masz rację - zastanawiał się przez chwilę i rzekł: - co powiesz na to?

Jest jak ta noc lekka, powabna W przepychu gwiazd bujnie urocza. Sekret ciemności, istota światła Zawarte są w jej jasnych oczach.

- To Byron - powiedział.

- Wiem - otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

- Może staromodne, ale pasuje do sytuacji. Miał to być komplement dla gospodyni wieczoru, która jest tak piękna jak noc. Jej oczy uśmiechały się do niego w ciemności.

- Dziękuję, Mahoney... - szepnęła.

- ...Franco - czuł, że powiedziała to szczerze i poklepał czule jej rękę.

Limuzyna zatrzymała się przed domem Phyl, Mahoney wyskoczył i pobiegł naokoło otworzyć jej drzwi, zanim zrobi to szofer. Siedziała nadal oparta o poduszki siedzenia. Pod oczami miała fiołkowe cienie, a z jej ust starła się szminka. Pomyślał, że wygląda jak zmęczona mała dziewczynka. Wziął ją za rękę i zaprowadził po schodach do drzwi.

- Wyśpij się.

Pochylił głowę i pocałował ją lekko w policzek, wdychając jej zapach.

- Dziękuję za niezapomniany wieczór, pani doktor. Było wspaniale. Przytaknęła.

- Lubię w tobie to, że potrafisz mnie rozśmieszyć, Mahoney.

- To wynika z mojej pracy, proszę pani. Jesteśmy tu po to, aby służyć - powiedział z uśmiechem.

- Możesz ugotować mi obiad. Następnym razem.

- Tak, proszę pani. Zaklepane. Kiedy tylko zechcesz. Patrzyła, jak idzie do samochodu. Odwrócił się i spojrzał na nią, a ona powiedziała cicho:

- I dziękuję za to, że mnie wysłuchałeś. I za wszystko, co zrobiłeś dla Bet. Wiem, że jeśli ktokolwiek może znaleźć mordercę, to właśnie ty. Zasalutował jej kpiąco, recytując:

Więc, że nie mogę na modłę kochanków Spędzać dni pięknych i godnych pochwały, Postanowiłem okazać się łotrem I próżną radość dni tych znienawidzić.

- To Szekspir, Ryszard Trzeci.

podniosła oczy ku niebu w komicznej rozpacz, machając ręką na pożegnanie, ale kiedy zamykał drzwi samochodu, widział że uśmiechnęła się znowu.

Kierowca limuzyny wzdrygnął się, kiedy Mahoney poprosił go o podwiezienie do starego miejskiego więzienia.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy pan nie śpi - uśmiechnął się Franco. - Może być na policję.

- To ten sam budynek, prawda?

- Może nawet to samo miejsce.

Chciał jeszcze raz sprawdzić akta Bei. Był pewien, że musi być w nich jakaś wskazówka prowadząca do rozwiązania zagadki.

Rozdział 11

Millie i Bea zatrzymały się w Paryżu w apartamencie Chanel w hotelu Ritza i spędzały całe dnie u krawców na Avenue Montaigne, zamawiając jesienną garderobę Millie, a także w sklepach z antykami na lewym brzegu Sekwany, kupując mnóstwo najrozmaitszych rzeczy. Millie rzucała się pod wpływem chwilowego impulsu na wszystko, co jej się spodobało, i zwykle tego potem żałowała.

- Prawdę mówiąc, moja droga, mój ojciec, a przed nim dziadek produkowali instalacje hydrauliczne w Pittsburghu - wyznała kilka wieczorów później, kiedy spędzały miłe chwile w barze u Ritza, popijając przed kolacją drinka, a Millie sprawdzała, czy nie zna kogoś ze stałych gości.

- Dlatego mogę sobie na to wszystko pozwolić - ciągnęła. - Tatuś zbił ładny majątek, zanim zginął w katastrofie lotniczej. Był młody, a moja matka została jeszcze młodszą wdową z czteroletnią córką i ogromną ilością pieniędzy. Była nieśmiała i nie miała wielu przyjaciół, Miałam samotne dzieciństwo - westchnęła, popijając w zamyśleniu Campari z wodą sodową. - Może to i lepiej, że nie pamiętasz swojego, Beo. Mogłabyś się rozczarować.

- Nie sądzę, że w przeszłości przydarzyło mi się coś złego.

Przywykła do tych zadawanych znienacka, często nieudolnych, sondujących pytań i wiedziała, że Millie próbuje jej pomóc na życzenie Phyl. Na razie nie było żadnych rezultatów oprócz tego, że Bea czuła się w Paryżu jak ryba w wodzie. Znała francuski na równi z angielskim i władała nim tak biegle, że brano ją za rodowitą Francuzkę.

Millie pomachała komuś znajomemu, Zdawała się mieć ich wszędzie. - Zawsze pragnęłam zmian i silnych wrażeń, może z powodu prowincjonalnego, wiktoriańskiego wychowania - powiedziała. - Uwielbiam ludzi, przyjęcia, stroje i biżuterię. Blask i blichtr. Kiedy byłam dziewczyną, chciałam mieć czerwony jedwab zamiast wiśniowego pluszu, rubiny zamiast granatów i brylanty zamiast opali. Lubiłam wspaniałe hotele, dokąd mama czasem zabierała mnie na wakacje. Wisiąły tam migocące kandelabry i podawano musujące wino w kieliszkach o kształcie spodków. Nawet gdy byłam bardzo młoda, wołałam orchidee, nie róże herbaciane i błyszczące, złote bransoletki zamiast spokojnej kości słoniowej.

Wciąż pamiętam słowa mamy: „Millicent, zanim dostaniesz deser, musisz zjeść ziemniaki i jarzyny”. Prychnęła lekceważąco - nic dziwnego, że byłam nie tylko niska, ale i gruba jak dynia. I wiesz co, Bea - pochyliła się bliżej, mówiąc głośnym konfidencyjnym szeptem - dopiero gdy skończyłam osiemnaście lat zaczęłam nosić jedwabną bieliznę. To było po śmierci mojej matki.

Nie miałam żadnej rodziny oprócz dalekiego kuzyna w Ohio, który po przesłaniu kondolencji więcej się do mnie nie odezwał. Musiałam więc troszczyć się tylko o siebie. - Skinęła na kelnera i zamasyście podpisała czek. - Ale nie bałam się sama pokierować swym życiem i wypłynąć na szerokie wody. Taka już jestem.

Dostałam duży spadek - kontynuowała w prowadzonym przez szofera samochodzie, w drodze do Robuchon. - Duży dom w Pittsburghu, pełen tureckich dywanów i srebrnych kandelabrów, którego upiornego przepychu nienawidziłam, oraz 50 milionów dolarów. A muszę ci powiedzieć, Bea, że w latach trzydziestych 50 milionów to było dużo pieniędzy, szczególnie dla młodej dziewczyny. Byłam dziedziczką fortuny, niezłym kąskiem.

Na samą myśl o tym wybuchnęła śmiechem.

- Opuściłam dom i Pittsburgh, by zamieszkać na Manhattanie. Wynajęłam apartament w hotelu Plaža, zapłaciłam komuś, kto znał się na rzeczy, aby poszedł ze mną po zakupy, i sprawiłam sobie zupełnie nową garderobę. Od góry do dołu, poczynając od bielizny. - Millie westchnęła rozkosznie na samo wspomnienie. -

Wszystko było w jasnych kolorach i z jedwabiu, chociaż nie gardziłam też atłasem. Oddałam do Bucelattiego stare brylanty mamy do renowacji i kupiłam mnóstwo nowych lśniących klejnotów we wszystkich kolorach tęczy - kolczyki, naszyjniki, bransoletki, pierścionki, zegarki. Potem poszłam do fryzjera i cztery godziny Później wyszłam jako platynowa blondynka w typie Jean Harlow, która była wtedy bardzo modna.

Poklepała przyjaźnie Beę po kolanie. - Wiesz, przez całe lata nikomu poza Phyl o tym nie mówiłam. Ona stwierdziła, że dobrze mi zrobi wyrzucenie tego z siebie. Teraz każdemu, kto nie zaprotestuje, opowiadam całą prawdę o sobie. - Przechyliła na bok jasnowłosą głowę, zastanawiając się nad swymi słowami, i poprawiła się: - A przynajmniej część prawdy, A potem, moja droga, zaczęłam się rozglądać za towarzystwem. Znalazłam je w drużynie graczy w polo w Palm Beach. Kupiłam wspaniały mauretański zamek i poślubiłam przystojnego, dwa razy starszego ode mnie kapitana wizytującej drużyny argentyńskiej. Oczywiście szukałam tatusia, tego Phyl nie musiała mi wyjaśniać. W każdym razie nie byłam z nim długo. Był kiepski w łóżku, moja droga - wyszeptła głośno i konfidencjonalnie, a Bea zachichotała. - Ja sama, jako nowicjuszka, też nie byłam dobra, ale wiedziałam, że to musi być zabawniejsze, bo inaczej dlaczego ludzie mieliby to robić.

Przybyły do restauracji i Millie pewnie wkroczyła do środka, ściskając na powitanie dłoń maitre d'hotel i zwracając się po imieniu do kelnerów.

- Nie wiedziałam, że tak często bywasz w Paryżu - powiedziała ze zdumieniem Bea. - Znają cię wszędzie, gdzie się pojawimy.

- To nie tylko mój urok osobisty, kochanie. Daję astronomiczne napiwki - odparła chytrze Millie. - Mogę sobie w końcu na to pozwolić. Bo i dlaczego nie, skoro wygląda to wyboje na drodze życia i uszczęśliwia innych.

- Pieniądze naprawdę nie mają dla ciebie znaczenia? - zdumiała się Bea.

- Nie wierz w to, moja droga. Pieniądze są dla mnie wszystkim. Kupiłam za nie wiele przyjemności i miło mi, że umiałam się nimi dzielić.

- Phyl uważa, że przynosisz szczęście.

- Naprawdę? Tylko tak mówiła. Wszyscy wiedzą, że jestem po prostu bogatą, frywolną starą babą, która marnuje czas i pieniądze na egoistyczne zachcianki. I właśnie dlatego tutaj jesteśmy - dodała, zamawiając potrawy dla siebie i Bei, bo wiedziała, co tu jest najsmaczniejsze.

Bea rozpromieniona rozglądała się po eleganckiej restauracji. Millie powiedziała, że to jedna z najlepszych w Paryżu, a po spróbowaniu każdej potrawy Bea była skłonna się z tym zgodzić. Zdumiewało ją, jak Millie może jeść i jednocześnie bez przerwy mówić.

- Z Palm Beach przeniosłam się do Saratogi na wyścigi konne - ciągnęła. - Uwielbiałam panujący tam zamęt. Nadal to lubię. Właśnie w Saratodze poznałam drugiego męża.

Rzecz jasna był niski, zresztą musiał być niski pracując w tym zawodzie - wspominała gryząc faszerowanego morskiego okonia. - Ale najważniejsza część jego osoby nie była mała. Z pewnością nauczył mnie paru rzeczy w łóżku, moja droga. Chociaż traktował mnie trochę jak konia. Zawsze wydawało mi się, że chciałby mnie osiodłać. - Wiesz, siodło, strzemiona i szpicruta, a potem zaprowadzić do stajni, ostudzić, wycesać zgrzeblem, dać worek owsa czy coś w tym rodzaju. Oczywiście nie trwało to długo, nie mogło, i nie liczyłam na to. To nie miało „trwać”. Mimo wszystko miałam tylko dwadzieścia dwa lata i zdobywałam dopiero wiedzę o życiu i mężczyznach.

Potem przyszedł czas na playboya. Miał tytuł szlachecki i to nawet niezupełnie zmyślony. Był trzecim synem i jego najstarszy brat naprawdę odziedziczył tytuł

księcia. Playboy był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam, uwielbiał przyjęcia i od dwudziestu lat uczestniczył w każdym liczącym się wydarzeniu towarzyskim. Pomyślałam, że to idealna para dla mnie, gdyż w tym czasie miałam zamiar zostać królową zabaw. Coś bardzo w stylu Scotta Fitzgeralda. A skoro już o nim mowa, to spotkałam go, rzecz jasna, na Riwierze wraz z jego zwariowaną żoną. Bywali tam wtedy Chanel, ten niesforny Picasso i Cocteau.

Westchnęła, wspominając wesołe czasy na Lazurowym Wybrzeżu.

- Były tam wtedy tylko małe wioski rybackie, moja droga. Słoneczne dni zdawały się nie mieć końca, a Hotel du Cap, choć mały, był najszykowniejszym hotelem na wybrzeżu. W każdym razie, wyobraź sobie, że starzejący się playboy, gdy tylko ożenił się z młodą dziedziczką fortuny, przestał być playboyem. Cóż za niespodzianka. Nagle stracił ochotę do zabawy. Chciał być właścicielem ziemskim, mieszkać w wielkim zamku pełnym służących w liberii. Zaczął nawet myśleć o zajęciu się polityką. Uciekłam od niego szybciej, niż się przy nim pojawiłam.

Wybuchnęła śmiechem na samo wspomnienie.

- Wróciłam do Stanów i kupiłam mieszkanie przy Piątej Alei. Zatrzymałam też dom w Palm Beach, choć rzadko tam bywałam. Nie umiałam długo pozostać w jednym miejscu. Wszędzie dobrze gdzie nas nie ma, więc stale podróżowałam, przemierzałam ocean na statkach, a przestworza w aeroplanach. To były czasy - wspominała przy deserze i kawie. - Teraz są tylko nudne jumbo jęty, concordy i prywatne odrzutowce Gulfstream. Teraz już wiesz, Bea, dlaczego znają mnie we wszystkich wielkich hotelach na świecie.

Witają mnie z otwartymi ramionami i szczerą, mam nadzieję, sympatią, bo znam wielu z nich sprzed prawie czterdziestu lat, z czasów gdy byliśmy młodzi. Jestem zawsze hojna i chyba zabawna, a oni wytrzymują moje dziwactwa i kaprysy. Tak jak ty, moja kochana - dodała, klepiąc Beę z czułością po policzku.

Bea uśmiechnęła się promiennie.

- Oczywiście że tak - powiedziała - i dziękuję, że opowiedziałas mi tę historię.

- To pułapka - ostrzegła Millie, zapalając marlboro. - Liczę na to, że któregoś dnia, może już niedługo, opowiesz mi swoją.

Bea, uśmiechając się, obiecała zrobić wszystko, co w jej mocy. Pomyślała, że lubi Millie Fenwick. Rozumiała, że milionom zawdzięcza przelotne szczęście i dużo samotności. Włóczyła się po wielkich hotelach świata, z nadzieją że powodem ciepłego powitania maitre d'hotel i pracowników jest prawdziwa radość z jej przybycia, a nie wydana fortuna i wysokie napiwki.

- Tak się dzieje pewnie dlatego, że mój ojciec zginął, gdy byłam jeszcze dzieckiem - powiedziała Millie, a jej oczy nagle zwilgotniały. - Myślę, że przez całe życie było mi go brak. A rozmowa o Lazurowym Wybrzeżu sprawiła, że zatęskniłam za nim - otarła łzy, spojrzała na Beę i jej oczy rozbłysły. - Dlaczego nie miałybyśmy tam jutro pojechać?

- Ale Phyl przyjeżdża do Paryża za dwa tygodnie - zaprotestowała Bea.

- I na pewno będzie uwiązana przez cały dzień i pół nocy na konferencji tych mądrali. Może potem przylecieć i dołączyć do nas w Hotel du Cap. Znają mnie tam i otoczą opieką jak córkę marnotrawną.

Bea wiedziała, że nie ma sensu oponować. Kiedy Millie coś postanowiła, nie było odwrotu. A więc Hotel du Cap. Jutro.

Rozdział 12.

Był początek czerwca i Lazurowe Wybrzeże odpowiadało swej nazwie: czyste błękitne niebo, spokojne, lazurowe morze, blask słońca. Zgodnie z przewidywaniami Millie pracownicy Hotel du Cap przywitali ją jak starą przyjaciółkę. Spędzała popołudnia grając z zadowoleniem w brydża w gronie nowych znajomych, a Bea próżnowała na basenie spoglądając na Morze Śródziemne i opalając się na jasnozłoty kolor.

Tydzień później, widząc siebie w lustrze, pomyślała, że zmieniła się nie do poznania. Potrząsała głową, aż jej włosy zaczęły przypominać chryzantemę koloru miedzi. Były już tak długie, że zasłaniały oczy i tworzyły małą kitkę na karku, ale nie chciała ich obcinać. Patrzyła na nie z przyjemnością i cieszyła się, że są coraz dłuższe.

Wczesnym rankiem, gdy Millie spała jeszcze w swym luksusowym apartamencie, Bea wędrowała wśród ulicznych bazarów, podziwiając stragany odurzające zapachem róż i lili, lśniące od świeżych brzoskwiń, moreli, bakłażanów i oliwek. Razem z szykownie ubranymi kobietami przerzucała przecenione płócienne żakiety, spódnice z paryskimi metkami, niedrogą biżuterię i sznury bajecznie kolorowych, szklanych paciorków.

Potem siadywała na tarasie kawiarni, a jej zmartwienia ginęły jak pyłki kurzu w słońcu. Znad kawy ze śmietanką i rogalika z masłem patrzyła radośnie na świat wokół siebie. Szpital, pęknięta podstawa czaszki i człowiek, który chciał ją zamordować, wydawały się odległe o tysiące mil. Jedynie nocami wciąż nawiedzał ją lęk przed nieznaną przeszłością, koszmar nie kończącego spadania w głąb czarnego tunelu...

Wciąż jeszcze zrywała się roztrzęsiona z łóżka i biegła do otwartego okna, aby popatrzeć na granatowe nocne niebo i poczuć na rozpalonej skórze chłodny powiew. Czekala, aż jej serce przestanie walić i znów poczuje się normalnie. Na tyle normalnie, na ile mogła się czuć młoda kobieta nie znająca swej przeszłości. Było jednak wiele nocy, kiedy piękno i cisza nie uspokajały jej. Były to noce, gdy rozpacz zwyciężała, a Bea szlochała do świtu, zanim usnęła z wyczerpania. Nigdy nie opowiadała Millie o tych bezsennych długich godzinach. Nie chciała obarczać jej swymi problemami. A Millie, jeśli zauważyła jej bladość i podpuchnięte oczy, nie robiła żadnych uwag.

Bea nie chciała także martwić Phyl. Uznała, że jej nowi przyjaciele zrobili dla niej wystarczająco dużo i nadszedł czas, aby sama zajęła się swoim życiem.

Millie wynajęła białego odkrytego mercedesa i z Beą za kierownicą penetrowała wybrzeże i okoliczne wzgórza. Pamiętała, jak wyglądały „za dawnych czasów”, kiedy była zbuntowaną dziewczyną, tańczącą i flirtującą hazardzistką.

- Nie zepsuto jeszcze wtedy tych okolic, Bea - mówiła z nostalgią. - Szkoda, że nie byłaś tu, wtedy gdy miasta wzdłuż wybrzeża były tylko małymi wioskami rybackimi. Przypuszczam, że takie wspomnienia wynagradzają nam to, że się starzejemy. Nie można ich stracić.

Millie rzuciła się w wir życia towarzyskiego Riwiery, odnajdując starych znajomych, poznając nowych, uczęszczając na uroczyste otwarcia, bankiety i koncerty. Bawiła się wspaniale. Jako kobieta, która może pozwolić sobie na zaspokajanie kaprysów, oświadczyła niespodziewanie, że ma zamiar kupić tu dom.

Bea zrobiła wszystko, aby jej to wyperswadować, tłumacząc, że to po prostu kolejny kaprys, którego będzie potem żałowała, ale Millie nie dała się przekonać. Postanowiła, jak za „dawnych czasów”, spędzić lato na Riwierze. ' Na poszukiwanie domu wyruszyły z samego rana. Millie ubrała się z tej okazji szczególnie starannie. W powiewnej zielonoróżowej sukni i różowym słomkowym kapeluszu na jasnych lokach wyglądała jak tłuściutki, egzotyczny ptak.

Krytycznym wzrokiem obrzuciła Beę w granatowych jedwabnych szortach i białej koszulce.

- Powinnaś zawsze nosić kapelusz - powiedziała stanowczo. - Uwierz mi, inaczej po czterdziestce pożałujesz tego. Będziesz miała cerę jak krokodyl. - Roześmiała się, gdy Bea posłusznie włożyła sportową czapkę z daszkiem. - Niezupełnie to miałam na myśli, moja droga, ale ładnie ci w tym.

Pojechały do eleganckiego biura sprzedaży nieruchomości w Cannes, gdzie Millie poinformowała przesadnie grzecznego, zapiętego na ostatni guzik pośrednika, że szuka „czegoś z klasą”,

- Niech pan nie zawraca mi głowy pokazywaniem tych białych gipsowych pudełek, ozdobionych marmurem, z przesuwanymi szklanymi drzwiami, a stojących na działkach wielkości pocztowego znaczka - ostrzegła go. - Chcę tarasów z balustradami, porządnymi francuskimi okien, łuków i kolumn. I widoku na Morze Śródziemne. Klasa, mój drogi panie, tego właśnie mi potrzeba.

Pośrednik uniósł lekceważąco brwi i powiedział, że ich firma zajmuje się tylko tym, co najlepsze.

Lecz po kilku dniach i obejrzeniu kilku tuzinów domów oboje byli wyczerpani i zaczęli tracić cierpliwość. Wtedy Millie wycofała się w zacisze hotelu i brydżowego stolika.

- Przekazuję ci tę sprawę, moja droga - powiedziała Bei. - Wiesz dokładnie, czego chcę, więc znajdź coś odpowiedniego.

Następnych kilka dni upłynęło Bei na radosnym włóczeniu się po zakątkach wybrzeża i oglądaniu posesji, z których jednak żadna się nie nadawała. Gdy była na wzgórzach w pobliżu Vence, zauważyła burzową chmurę wiszącą groźnie nad górami. Temperatura i wilgotność powietrza wzrosły, zdecydowała się więc wstąpić do kawiarni, by napić się czegoś zimnego.

Rynek miasteczka był pusty, a jedynym klientem siedzącym na tarasie kafejki był pochłonięty pisaniem młody człowiek.

Bea popijała chłodny napój, zerkając na swego towarzysza i zastanawiając się, nad czym z takim zapałem pracuje. Uznała, że jest przystojny. Był niezbyt wysoki, miał potargane brązowe włosy, które wyglądały, jakby o jeden raz za dużo przeczesał je palcami, interesującą twarz o wystających kościach policzkowych i usta, o jakich w romantycznych powieściach mówi się, że są „pięknie zarysowane”. Przypuszczała, że ma około trzydziestki i zdecydowawszy, że musi być pisarzem, zastanawiała się czy jest sławny i czy może zna jego nazwisko.

Podskoczyła, kiedy błyskawica nagle przecięła pociemniałe niebo, a zaraz potem huknął piorun i rozpadał się deszcz. Nagły powiew wiatru rozrzucił papiery mężczyzny, więc Bea pobiegła pomóc mu je pozbierać, by nie zmokły. Podziękował jej po francusku, ale po akcencie poznała, że jest Anglikiem.

Po kolejnej błyskawicy deszcz zaczął lać strumieniami. Pobiegli do kawiarni.

- Lepiej przeczekać tu burzę - powiedział uśmiechając się do Bei. - Czy mogę zaprosić cię na drinka w podzięce za ocalenie mojego bezcennego rękopisu?

Usiedli przy małym zniszczonym drewnianym barze, popijając vin rose. Powiedział, że nazywa się Nick Lascelles i zapytał Bei, skąd przyjechała.

Popatrzyła na niego zmieszana. Pytanie było proste, ale jej nie było łatwo odpowiedzieć.

- Chyba z San Francisco - odparła w końcu.

- Nie jesteś o tym przekonana? - spojrzał na nią kpiąco.

- Ależ tak - rzuciła szybko, z zakłopotaniem. - Oczywiście, że jestem.

- Pewnie przyjechałaś tu na wakacje?

- Coś w tym rodzaju. Ma to być praca, ale są to raczej wakacje. - Opowiedziała mu o Millie rozgrywającej nie kończące się partie brydża w Hotel du Cap i o poszukiwaniach willi, która spełni jej oczekiwania,

- A ty co tu robisz? - zapytała w końcu.

- Zbieram materiały do książki o zbrodniach na Riwierze od początku wieku do dnia dzisiejszego. Zbrodnie namiętności i przemocy, słynne kradzieże i morderstwa. Rozwiązane i nie rozwiązane zagadki. - Uśmiechnął się. - Zdziwiłabyś się, jak wiele ciekawych rzeczy tu się wydarzyło.

Huk grzmotu złowrogo zadudnił po wzgórzach, Nick spojrział na zegarek, a potem z nadzieją na Beę.

- Ta burza jeszcze trochę potrwa, czy nie zjadłabyś ze mną lunchu? - zapytał.

Usiedli przy małym stoliku obok okna, a kawiarnia tymczasem wypełniła się ludźmi. Bea patrzyła, jak deszcz uderza o kocie łby rynku, i poczuła nagle, że jest jej dobrze. Nick Lascelles był miły, młody, atrakcyjny i mówił bez przerwy, zajadając się obfitym daniem dnia za 75 franków.

Przy zupie opowiedział jej, że jego matka była Francuzką, a ojciec Anglikiem.

- Z jednej z tych „dobrych rodzin” o starym nazwisku, za to z małą ilością pieniędzy - mówił z uśmiechem. - Byłem najbiedniejszym chłopcem w „szkole dla bogatych chłopców” w Szwajcarii. Żadnych helikopterów unoszących mnie na weekend na jachcie ani prywatnych samolotów zabierających na wakacje do domu.

Jedząc omlet powiedział, że wszystkim, co pozostało z wielkiej niegdyś fortuny rodzinnej, był stary dwór i kilka akrów ziemi w hrabstwie Gloucestershire, które odziedziczył jego brat, a także stara podupadła winnica w pobliżu Bordeaux ze ślicznym zameczkiem, co z kolei jemu przypadło w udziale i co usiłował zmodernizować zgodnie z duchem XX wieku.

- Ale tak naprawdę to jestem pisarzem - dodał, kończąc befszytk z frytkami. - Zacząłem od lokalnej gazety i po kilku latach niewolniczego pisania o wiejskich pokazach kwiatów i uroczystościach kościelnych awansowałem do jednego z krajowych dzienników. Potem chciałem spróbować czegoś nowego i napisałem moją pierwszą książkę o winie, potem przewodnik po Francji, artykuły o życiu w Europie dla pism amerykańskich i inne rzeczy w tym rodzaju.

Jedzenia było tak dużo, że Bea podziękowała za ser i sałatę. Patrzyła ze zdumieniem na Nicka, który pożarł wszystko i powiedział, że stać by go było na wygodne życie, gdyby nie pakował wszystkiego w „Jałmużniczkę”, czyli swoją posiadłość, wymagającą nowych dachów, nowoczesnych stalowych kadzi do fermentacji i innych urządzeń.

- To dlaczego to robisz? - zapytała ze zdziwieniem Bea. - Po co zawracać sobie głowę ratowaniem starej winnicy, skoro nie przynosi to żadnej finansowej korzyści.

Nick popatrzył na nią poważnie miłymi szarymi oczami.

- Myślę, że to mój obowiązek. Pomimo wszystko jest w rodzinie od niemal dwustu lat. Muszę ją postawić na nogi, aby przyszłe pokolenia miały co odziedziczyć. - Śmiejąc się, dorzucił: - Oczywiście dach się rozpada, podłogi gniją, a na domiar złego, w belkach są kołatki. Trzydziestoma hektarami winorośli nikt się nie zajmował przez kilkadziesiąt lat. Moją ambicją jest przywrócić winnicy dawną świetność. Chcę robić wino Grand Cru z appellation controlee i przeżyć resztę życia w szczęściu i chwale. Myślę, że będę przez to w nędzy co najmniej dwadzieścia lat i dlatego właśnie nazwałem posiadłość „Jałmużniczką”. Oddaję jej wszystkie moje pieniądze.

Bea śmiała się razem z nim. Był taki wesoły i świadomy tego, czego chce, a ona pragnęła właśnie tego rodzaju siły.

Kiedy dokończyli kawę, zaczęło się robić późno, ale Bea zaprosiła Nicka wieczorem do hotelu na drinka.

- Przyjdź poznać Millie - zachęcała. - Myślę, że się polubicie.

Czekała na niego dokładnie o wpół do ósmej, ubrana w najładniejszą sukienkę, krótki, lniany futerał koloru bursztynu, którego barwa zlewała się z jej złością

opaloną skórą. Miękkie włosy koloru miedzi zwisały w luźnych puklach, a niespokojne brązowe oczy dziewczyny rozświetliły się, gdy zobaczyła Nicka idącego pewnym krokiem w jej kierunku.

Kręcone włosy miał na tę specjalną okazję starannie uczesane, był ubrany w pogniecioną marynarkę z kremowego płótna, białą koszulę i dżinsy. Bea pomyślała że wygląda wspaniale, ale Millie popatrzyła na niego krytycznie i prosiła, aby opowiedział o sobie.

- Nick nie miał nam dostarczyć podania z życiorysem - zaprotestowała. - Przyszedł tylko na drinka. Czy nie moglibyśmy porozmawiać na przykład o pogodzie?

- Nigdy nie rozmawiam o pogodzie - odrzekła niecierpliwie Millie. - Pogoda jest albo ładna, albo brzydka i na tym rozmowa się kończy. Interesują mnie ludzie. Bea opowiedziała mi o twojej książce, drogi chłopcze. Mam przeczucie, że opisujesz kogoś z moich starych przyjaciół. To była banda hultajów. W zbrodni jest coś fascynującego - dodała wzdrygając się z lubością - chociaż nasza kochana Bea jest innego zdania.

Bea rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie. Nie chciała aby Nick Lascelles dowiedział się, co przeżyła, a przynajmniej jeszcze nie teraz.

Millie uznała towarzystwo Nicka za bardzo przyjemne i zdecydowała, że zostanie z nimi na obiedzie.

- Jak to miło, że Bea poznała kogoś w swoim wieku - powiedziała, a zakłopotana dziewczyna wzniosła oczy do nieba.

Millie naprawdę tak myślała. Patrzyła na nich z aprobatą, myśląc jak ożywiona i ładna jest Bea tego wieczoru, w prostej sukience z bursztynowego lnu, ze sznurkiem zielono - srebrnych paciorków wokół szyi, kupionych za kilka franków na targu w Antibes. Dziewczyna taka jak Bea nie potrzebowała wyzywających strojów. Nadawała wszystkiemu, co nosiła instynktowne piętno elegancji.

- Zaprosz Nicka znowu, moja droga - zagrzmiała później, mówiąc mu dobranoc. - Lubię, kiedy jest z nami. Bea spojrzała kwaśno na towarzysza.

- Obawiam się, że dostałeś już rozkazy - powiedziała przewrotnie, odprowadzając go do samochodu.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparł z zadowoleniem. Przystanęli i popatrzyli na siebie niepewnie. Pochylił się i pocałował ją lekko w policzek. - Jutro o tej samej porze?

Przytaknęła, machając na pożegnanie, a on wskoczył do małego, czerwonego alfa romeo i odjechał.

„To był dobry dzień - pomyślała - najlepszy od czasu wypadku.”

Następnego ranka pośrednik powiedział jej o kolejnej willi, starej, podupadłej i nie zamieszkannej od lat.

- Spełnia wszystkie warunki Madame Fenwick - zaznaczył. - Ma charakter, elegancję i widok na morze. Zbudowano ją w latach dwudziestych i należała do jednej rodziny. Dziesiątki lat nikt w niej nie mieszkał, ale dopiero teraz wystawiono ją na sprzedaż. To prawdziwa perła na zboczach wzgórza, ale ostrzegam, trzeba będzie trochę w nią włożyć. Oczywiście ma to wpływ na cenę - dodał patrząc na dziewczynę wyniośle. - Proszę powiedzieć Madame Fenwick, że to prawdziwa okazja.

Pokazał Bei na mapie, jak dojechać, i powiedział, że jest tam ogrodnik, który ją oprowadzi.

Po wczorajszych burzach Bea poczuła poranny świeży i słodki powiew, opuściła dach mercedesa i w dobrym nastroju pojechała drogą wzdłuż wybrzeża, a potem na wzgórze myśląc więcej o Nicku Lascelles niż o domu, który miała zobaczyć. Z pewnością była to kolejna wyprawa z motyką na słońce. Swoją drogą, ciągle nie mogła zrozumieć, dlaczego Millie tak upiera się przy decyzji zakupu willi. Bea niemal zyczyła

sobie, aby dom okazał się nieodpowiedni i aby mogła zakończyć poszukiwania. Uważała, że to po prostu kolejny kaprys, którego Millie będzie potem żałowała.

Wjechała na szczyt wzgórza białą, zakurzoną ścieżką biegnącą wzdłuż oblażącego z farby różowego muru zarośniętego różami i bugenwillą. Zatrzymała samochód przed dużą żelazną bramą i pociągnęła za rączkę umieszczonego w kamiennej niszy starego dzwonka z brązu. Słuchając jego dźwięku wpatrywała się w podjazd zakręcający w oddali, między drzewami.

Nikt nie nadchodził, więc jeszcze raz szarpnęła za rączkę i czekała. Było cicho i gorąco, nie docierały tu żadne odgłosy ludzi, samochodów czy maszyn. Bea oparła się o różowy mur, czując na plecach jego ciepło, zamknęła oczy i słuchała cykania świerszczy, szumu wiatru w koronach wysokich starych cedrów i nieprzerwanego brzęczenia pszczół w kwiatach. Czowała na ramionach gorące słońce, a w nozdrzach zapach dzikiego rozmarynu... To ukryte miejsce było tak dzikie i ciche, że wydawało jej się, iż poza nią nie ma tu żadnej istoty ludzkiej na tej pięknej ziemi.

- Mademoiselle, uprzedzono mnie, że pani przyjedzie.

Otworzyła gwałtownie oczy i spojrzała na ogrodnika. Był stary i kruchy. Miał na sobie jaskrawoniebieskie robocze spodnie, a podwinięte rękawy niebieskiej koszuli odsłaniały wychudłe ramiona i ręce zdeformowane latami fizycznej pracy. Jego twarz przecinały głębokie bruzdy, a błękitne oczy przypominały swą spłowiałą niewinnością inne, spokojniejsze czasy. Ukłonił się grzecznie, uchylając zniszczonego słomkowego kapelusza.

- To miło znów zobaczyć gościa, mademoiselle - powiedział, gdy szli podjazdem. Ucieszył się, kiedy odpowiedziała po francusku. - Długo nikogo tu nie było. Za długo - westchnął głęboko. - Wydaje się, że całe wieki.

Żwir zgrzytał pod nogami, a kiedy minęli zakręt, ich oczom ukazał się dom.

Bea stanęła, jakby wrosła w ziemię. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a serce zaczęło gwałtownie walić. Nie wierzyła własnym oczom. Patrzyła na piękną różową willę, na wysokie okna z wyblakłymi, zielonymi okiennicami, na otwarte duże podwójne drzwi, za którymi widać było fragment zacienionego hallu, na kolumny i marmurowe schody portyku.

Zadrżała, a słoneczny dzień gdzieś się oddalił.

Czowała w nozdrzach upajający zapach mimozy, chociaż nie kwitła nigdzie o tej porze roku. W uszach dźwięczał śpiew nie istniejących ptaków. Czy tu już była? Czyżby była to mieszanina wszystkich willi, jakie widziała w ciągu ostatnich tygodni, i jej własnej wyobraźni i tęsknoty? A może patrzyła na dom ze swojego snu?

- Et voild. Willa Mimoza - powiedział z dumą staruszek. - Czy źle się pani czuje, mademoiselle? - spojrzał z niepokojem na Beę. - Proszę wejść do środka. Słońce pali mocniej, niż się wydaje. To nierozsądne chodzić bez kapelusza... - pobiegnął po szklankę wody.

Została sama w hallu. Włosy na karku zjeżyły się jej, a na ramionach wyskoczyła gęsia skórka.

Znała ten dom. Dokładnie wiedziała, jak rozmieszczone są pokoje: na lewo jadalnia, na prawo duży salon, a w tylnej części domu długi pokój z wieloma oknami wychodzącymi na łukowato sklepiony taras z widokiem na morze. Podłogi wyłożone były chłodnym marmurem z różowymi żyłkami, a tuż przed Beą wznosiły się piękną linią wygięte półkolistości schody prowadzące do szerokiej galerii na górze.

- Te schody wykonane są z bardzo rzadkiego gatunku drewna - powiedział ogrodnik, podając jej szklankę wody. - Jakiegoś tropikalnego, specjalnie sprowadzonego - zależało mu na aprobachie gościa. - Sama pani widzi, mademoiselle, że wszystko tu jest najlepsze.

Bea powoli jak we śnie wędrowała przez willę. Mimo że tynk się łuszczył, a stare, poplamione tapety odklejały, wszystko było tak piękne, jak się spodziewała. Zadrzała, pytając samą siebie, skąd miałyby to wiedzieć. Jaki kaprys losu ją tu sprowadził? Czy to możliwe, że we śnie zobaczyła przyszłość?

- Zacząłem tu pracować będąc jeszcze chłopcem, jako pomocnik ogrodnika - powiedział staruszek. - Dla Madame Leconte. Niedługo potem poślubiła Cudzoziemca i wyjechali za granicę - zawahał się próbując sobie przypomnieć, ale był stary, a jego wspomnienia mgliste. - Kiedy Madame wróciła - powiedział w końcu - była w ciąży. Chciała, aby dziecko urodziło się tutaj, we Francji, w domu, który tak kochała. To ją zgubiło. - Westchnął głęboko, wracając do swych wspomnień. - Mąż kochał ją do szaleństwa. Nigdy nie widziałem tak zakochanego mężczyzny. Traktował ją jak kosztowne cacko z sewskiej porcelany. I wszystko na nic. Dwa tygodnie po urodzeniu dziecka nie żyła. Bei przebiegł dreszcz po plecach.

- Nie żyła? Jak to?

- Upadła, mademoiselle. Spadła z tych kunsztownych schodów, zbudowanych specjalnie dla niej. Jej mąż, Cudzoziemiec, wyjechał zaraz po pogrzebie i nigdy tu nie wrócił.

Bea zadrzała patrząc na fatalne schody. Wyobraziła sobie kobietę staczającą się z nich na marmurową posadzkę parteru. A jednak, mimo tragicznej historii, dom nie wydawał jej się przerażający. Był jak czarodziejska willa w bajce, chroniona przez wysokie mury, cedry i sosny, ukryta w zaroślach ciernistych róż damasceńskich i mimozy, od której przyjęła swoje imię. Pomyślała, że jest jak uspiońy zamek, czekający na księcia, który przywróci go do życia.

Wyszła na zewnątrz i usiadła na marmurowych stopniach. Zamknęła oczy, próbując odnaleźć swój sen, wyobrażając sobie, że znów jest tamtym dzieckiem...

Na gołych nogach czuła chłód marmuru... Niebo pociemniało groźnie, a Bea wstrzymała oddech, czekając złowrogiego odgłosu kroków na wysypanej żwirze alei.

Lecz kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że to tylko słońce schowało się za chmurę i nadciągała kolejna burza. Popatrzyła w górę, na przelatujące jej nad głową kwilące stado mew i przypomniała sobie śpiew setki ptaków we śnie. Z niepokojem spojrzała na starego opiekuna posesji.

- Gdzie są ptaki, monsieur? Popatrzył ze zdziwieniem.

- Ptaki? Nie ma tu ptaków, odkąd w latach trzydziestych została zniszczona ptaszarnia, ale skąd pani wie, że tu była?

Błękitne aksamitne oczy Bei pociemniały od lęku.

- Jeżeli nie ma ptaków - wyszeptała z niepokojem - to jak mogę je pamiętać?

Rozdział 13.

Oczywiście, że to tylko przypadek - powiedziała Millie, patrząc z niepokojem na Beę. Siedziały w hotelowym ogrodzie, a Bea właśnie wyrzuciła z siebie całą historię o odkryciu willi Mimoza, willi ze swojego snu. - Obejrzałaś tyle domów, moje dziecko, że one wszystkie mieszały ci się w jedno w głowie. Sama doświadczam czasem uczucia déjà vu i przyznaję, że to dziwne wrażenie, gdy się rozpoznaje miejsce, w którym się nigdy przedtem nie było. Bea spojrzała na nią z przestraszeniem.

- A może już tam kiedyś byłam, Millie. Może mieszkałam - przed wypadkiem?

- Nie mów głupstw. Pośrednik powiedział ci, że od wielu lat willa stoi pusta. Sama się o tym przekonałaś - zaniedbane, poodklejane tapety, stare instalacje hydrauliczne. - Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. - Ale powiadasz, że miejsce ma swój urok - dodała w zamyśleniu.

- To najpiękniejsza willa, jaką kiedykolwiek widziałam - powiedziała szczerze Bea. - Jest jak tajemniczy dom, który czeka, aby ktoś odkrył go, pokochał i poświęcił mu czas.

- I pieniądze - dodała Millie.

- Obawiam się, że dużo pieniędzy. - Bea z żalem pokiwała głową. Umilkły, spoglądając na morze. Nadciągnęły burzowe chmury i woda przypominała falujący, płynny ołów.

- Może widziałas przyszłość, a nie przeszłość - powiedziała po chwili Millie. - Może to właśnie dlatego myślisz, że rozpoznałaś dom. Moja astrolog, jedna z tych sławnych, o których czyta się w gazetach i które doradzają gwiazdom filmowym i prezydentom - mówiła mi, że to się czasem zdarza. A ona zawsze ma rację.

Bea popatrzyła na nią z nadzieją. Millie umiała jakoś sprawić, że wszystko wydawało się logiczne. Postanowiła, że zadzwoni do Phyl i opowie jej o tym odkryciu. Phyl przylatywała następnego dnia do Paryża i parę dni później miała być w Nicei. Wtedy Bea zabierze ją do willi i opowie o swym dziwnym przeżyciu. Zapyta ją, czy to tylko tęsknota i chęć, aby jej życzenia się spełniły, czy też rzeczywiście coś się za tym kryje.

Nick przyjechał po Beę wieczorem, właśnie gdy rozpętała się burza. Zaparkowali samochód za starym mołem w Cannes i trzymając się za ręce, pobiegli ze śmiechem do opustoszałej kawiarni. Zajęli stolik przy oknie, patrzyli na deszcz bębniący o bruk i na błyskawice. Nick uśmiechnął się i powiedział:

- Mam wrażenie, że już tak raz siedzieliśmy. Bea rzuciła mu uważne spojrzenie.

- Zdarza mi się to dzisiaj już drugi raz - powiedziała. - Tylko teraz wiem, że to prawda. Popatrzyła na niego z zadumą, myśląc jak różni się ich życie. Nick wiedział, kim jest i dokąd zmierza. Nie przypuszczał, że beztraska osoba zwana Beą French kryje w sobie niewiadomą: młodą kobietę zmagającą się z nocnym koszmarem ciemnego tunelu - i mordercy bez twarzy.

Wydał się tak bliski, reagujący podobnie jak ona, że żałowała, iż nie może pozostać na zawsze Beą. Wiedziała, że to niemożliwe. Pewnego dnia widma przeszłości powróciłyby po nią i miałyby wyrzuty sumienia, że oszukiwała Nicka.

Niespodziewanie zaczęła opowiadać mu o tym, co zdarzyło się w San Francisco: o podejrzeniach policji, że ktoś próbował ją zabić, o utracie pamięci, wizji, jaką miała pod wpływem hipnozy i która dzisiaj, gdy zobaczyła willę Mimoza, wydała się rzeczywistością.

- Millie uważa, że mogłam ujrzeć przyszłość - powiedziała drżącym głosem, lękając się, że uzna ją za szaloną. - Ale co z ptakami? Skąd wiedziałabym o nich, gdybym tam nigdy nie była?

- Biedactwo - Nick starał się ją uspokoić. - Spotkały cię okropne rzeczy. Ale nie martw się. Jestem pewien, że wszystko się jakoś ułoży i wkrótce powróci ci pamięć.

Z nieszczęśliwą miną pokręciła głową. Miała inne zdanie.

- Zadzwoń dzisiaj do Phyl - powiedziała, a w jej głosie, na myśl o przyjeździe przyjaciółki, która potrafiła przywrócić jej równowagę, pojawiła się nutka nadziei. - Ona będzie wiedziała, co zrobić.

Nick zaintrygowany był opowieścią ogrodnika o nieszczęśliwym wypadku Madame Leconte.

- To moja branża - rzekł z namysłem. - Tragiczna śmierć we wspaniałej willi na Riwierze. To musiało trafić na pierwsze strony gazet. Wiesz co, Bea, poszperam jutro w gazetach z tamtych lat i zobaczymy, co z tego wyniknie. Jeśli znajdę więcej informacji na temat domu, może coś sobie przypomnisz.

Następnego ranka Nick znalazł to czego szukał w archiwum nicejskiego „Le Matin”. Gazeta z 5 października 1926 r. przedstawiała na pierwszej stronie historię fatalnego upadku Madame Leconte. Napisano, że pochodziła ze znanej marsylskiej rodziny i mieszkała w willi Mimoza przez kilka lat. Dwa tygodnie przed wypadkiem urodziła dziecko. Jak przypuszczano, doznała zawrotu głowy, który spowodował upadek kobiety ze szczytu schodów na marmurową posadzkę hallu. Nie wspomniano o śledztwie ani o mężu ofiary. Poinformowano jedynie, że pogrzeb odbył się tego samego popołudnia.

O Wpół do trzeciej Nick udał się do Antibes na spotkanie z Millie i Beą. Mieli zamiar obejrzeć willę Mimoza, ale Millie niespodziewanie poczuła się „zbyt zmęczona”, aby iść z nimi.

- Wolę spokojną partię brydża, moja droga - powiedziała znużonym głosem. - Ale ty musisz iść. Pokaż Nickowi willę. Jeżeli jemu także się spodoba, kupujemy ją.

Bea, zaszokowana, pokręciła głową.

- Nie możesz tego zrobić tak pochopnie, Millie. Powinnaś przynajmniej ją zobaczyć. Co będzie, jeśli się rozczarujesz?

- Wierzę w twój dobry gust - odrzekła niedbale Millie. - A poza tym antyczne meble, które kupiłam w Paryżu, gwałtownie potrzebują domu. Znajdź dobrego dekoratora, który doprowadzi go do ładu. I powiedz mu, że ma to być gotowe na wczoraj, inaczej go zwalniam. Zrozumiano?

- Znów kierujesz się przelotnym kaprysem, Millie - ostrzegła Bea. - Potem tego pożałujesz, jak zwykle.

Millie pokręciła głową tak energicznie, aż podskoczyły jej blond loki.

- O nie, moja droga. Na pewno nie pożałuję - odrzekła z tajemniczym uśmiechem i machając swym młodym przyjaciółom na pożegnanie, oddaliła się spokojnie w stronę brydżowego stolika.

- Nawet jak na Millie to szaleństwo - powiedziała ze zdenerwowaniem Bea do Nicka, kiedy czekali, aż ogrodnik otworzy im bramę.

- Wiem, że jest bardzo bogata i może pozwolić sobie na zaspokajanie kaprysów, ale - wzruszyła ramionami - żeby nawet nie obejrzeć domu?

- To dosyć kosztowny kaprys - dziwił się Nick zaglądając przez kratę. - Czy masz pojęcie, jak ogromny teren zajmuje ta posiadłość? I ile kosztuje tu hektar ziemi?

- Nie. I ona też nie ma o tym zielonego pojęcia. Tak właśnie jest, Nick. I zastanawiam się, dlaczego ona chce kupić tę willę?

- Może dlatego, że ty się w niej zakochałaś? Bea pokręciła głową.

- Nic podobnego. Kupuje ją, bo jest zakochana w przeszłości. To stara dama, która próbuje dogonić swą młodość.

Nick popatrzył na Beę, młodą, ładną, z puszystymi, połyskującymi w słońcu włosami, i pomyślał, że dziewczyna jest w błędzie. Samotna, stara Millie Fenwick znalazła w niej wnuczkę, której nigdy nie miała. Może to z powodu tego strasznego wypadku? Utrata pamięci pozostawiła Beę tak samotną i bezbronną, że Nick założyłby

się, iż Millie pragnie sprawić jej przyjemność i próbuje pomóc przywrócić pamięć. Co z tego, jeśli ceną za to ma być kupno willi.

Szli podjazdem za starym ogrodnikiem, Nick cicho gwizdnął z podziwu, gdy wreszcie zobaczył willę Mimoza. Bea nie przesadzała. Dom wyglądał jak różowy tort weselny, z pełnymi kolumn tarasami i portykiem, z balkonami o marmurowych balustradach. Lecz wszędzie widoczne było zaniedbanie. Wyblakłe, zielone okiennice wisiały krzywo, szyby w wielu oknach były wybite, a marmurowe tarasy popękane. Pozarastane trawniki zbiegały po zboczu w stronę morza, a stare krzewy róż walczyły o przetrwanie z wybujałą bugenwillą i kapryfolium, tamaryszkiem i mimozą.

Mały strumyk szumiąc wypływał z grotty na wzgórzu ponad domem, a pusta kamienna fontanna ozdobiona kruszącymi się najadami i delfinami sterczała samotnie w wysokiej trawie, która kiedyś była aksamitnym trawnikiem. Srebrny gaj odwiecznych drzew oliwnych szumił i skrzypiał niesamowicie na wietrze marszczącym leniwie lazurowe morze za półwyspem.

Nick wziął Beę za rękę. Kiedy tak stali i patrzyli, willa rzuciła na nich swój czar. To było jak miłość od pierwszego wejrzenia. Nick widział oczami wyobraźni różowe stiukowe ściany połyskujące nową warstwą farby, oszklone okna odbijające zachód słońca, stare okiennice otwarte szeroko na powiew wiatru. Niemal czuł zapach świeżo ściętej trawy i słyszał pluskanie wody w fontannie.

Trzymając się za ręce weszli do hallu i stanęli patrząc na wysokie, półkoliste schody. Nick pokręcił głową i uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Coś tu się nie zgadza. Widzisz ten szeroki podest w połowie schodów, i ten drugi mniejszy na górze? Jakim cudem Madame Leconte mogła spaść z góry na sam dół, tak jak napisano w gazecie? Musiałaby zatrzymać się na podeście.

- Może spadła z podestu, a w gazecie się pomylili. Wiesz, jak to jest.

- To dziwne - powiedział z namysłem Nick. - Czuję, że coś się za tym kryje. Ciekawe, co powie nam ogrodnik.

Staruszek czekał na zewnątrz. Ściął dla Bei różę, dużą, o ciemnych, aksamitnych pąkach i dziewczyna podziękowała mu uśmiechem, wdychając jej staroświecki zapach piżma i kadzidła.

- To ulubione róże Madame Leconte - powiedział. - Kochała ich zapach.

Nie wiedział wiele na temat wypadku.

- Nie widziałem tego, monsieur - powiedział - niech pan pamięta, że byłem jeszcze chłopcem, chodziłem do szkoły i mieszkałem w wiosce z moją rodziną. Byliśmy biedni i pracowałem jako pomocnik ogrodnika, by zarobić parę groszy. - Zastanowił się głęboko i dorzucił: - Przychodził tu dziennikarz. Był bardzo młody, niewiele starszy ode mnie, napisał o tym do nicejskiego „Le Matin”. Ale czy jeszcze żyje, wie tylko Je bon Dieu”.

Sekretarka w biurze nicejskiej gazety „Le Matin” bardzo im pomogła. Powiedziała, że oczywiście zna dziennikarza. Wszyscy znają Monsieur Ivlarquanda. Latami, aż do emerytury, był jednym z głównych reporterów. Naturellement żyje i nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Zwykle można go spotkać w Cafe du Marin w Antibes, gdzie przychodzi codziennie rano od piętnastu lat.

Zastali Aristida Marquanda siedzącego wygodnie przy swoim stoliku na tarasie i popijającego kieliszek pastis. Gdy mu się przedstawili, zerwał się sprężyć na nogi i jak przystało na Francuza, popatrzył z upodobaniem na Beę. Mimo podeszłego wieku był ciągle przystojny, żwawy i elegancki w kapeluszu panama, uprasowanych w ostre kanty białych spodniach i granatowej płóciennej marynarce. Francuz nigdy nie jest zbyt stary, aby poznać się na ładnej młodej kobiecie.

- To dziwne, że o to pytacie - powiedział do Nicka, przyjmując zaproszenie na drinka. - Ubiegłego dnia myślałem o willi Mimoza. Słyszałem, że w końcu wystawiono ją na sprzedaż.

- Nasza znajoma myśli o kupieniu jej - wyjaśnił Nick - ale słyszeliśmy, że wydarzyła się tam tragedia.

Powiedział Monsieur Marquandowi, że także jest dziennikarzem i zbiera materiały do książki o zbrodniach popełnionych na Riwierze.

- Tak więc będę wdzięczny za wszelkie informacje - dodał, patrząc z nadzieją na starszego pana.

- Dziwne rzeczy wydarzyły się w willi Mimoza - powiedział Monsieur Marquand.
- Dziwniejsze, niż się komukolwiek wydaje. Ale upłynęło tyle czasu, że nie mają już większego znaczenia i mogę wam o nich opowiedzieć.

Nachylili się, czekając niecierpliwie na to co powie, a on powoli Popijał pastis, zbierając myśli.

- Riwiera stawała się coraz bardziej modna - zaczął wreszcie. - Ludzie zjeżdżali tutaj nie tylko zimą do kurortów Nicei i Cannes, ale i latem na plażę. To szaleństwo rozpoczęła oczywiście Chanel, kiedy °palona niczym chłopiec okrętowy, przybyła tu w 1922 roku na jachcie księcia Westminsteru. Potem zjawili się Amerykanie: Cole Porter, Murphy'owie, Fitzgeraldowie i wreszcie towarzystwo z Paryża.

Nastąpiła nowa era opalania się, kostiumów plażowych, miękkich kapeluszy i mocnych drinków. W Antibes początkowo był tylko maleńki Hotel du Cap i stare domy. Potem nagle przyjechały eleganckie małżeństwa z dziećmi i ich niańkami. Wybudowali kosztowne wille projektowane przez wytwornych architektów z Paryża, białe, błękitne i zielone, pełne chłodnych, marmurowych podłóg i czarnych, atlasowych sof. Obok nowych basenów z turkusową wodą i widokiem na morze stanęły ogromne, pasiaste parasole. Na skalistych zboczach powstały piękne ogrody, w których posadzono duże palmy i cieniste drzewa. Widzicie, wszystko musiało być natychmiast, nie było czasu na czekanie, aż rośliny i drzewa urosną. Chciano mieć wszystko już.

- Wy, młodzi - wspominał - nie macie pojęcia, jak tu wtedy było wszystko bliskie natury. Słońce zdawało się wypalać mózgi i uwalniało od zahamowań. To był czas dzikich, nagich przyjęć na plaży, tańców do świtu w nowo powstałych klubach. Wielkich wygranych i przegranych w kasynach, picia bladego różowego wina i długich, leniwych lunchów na tarasie Hotel du Cap.

W spłowiałych, niebieskich oczach Aristida Marquanda pojawił się cień żalu, kiedy zamyślił się nad tym, co minęło.

- Ach, monsieur - powiedział miękko - to był czas kochanków, odwzajemnionych namiętności w długie gorące letnie popołudnia, za zielonymi okiennicami.

Lecz kobieta, o którą pytacie, Madame Leconte, nigdy nie brała w tym udziału. Zawsze trzymała się z boku. Niezdarna pani w średnim wieku, jedząca samotnie obiad na tarasie, a potem, zawsze samotnie, powracająca do swojej willi. Może stawała na balkonie, pod gwiazdami, i patrzyła na księżyc na nocnym aksamitnym niebie, tęskniąc za miłością. I chociaż zwracano się do niej Madame Leconte, był to tylko honorowy tytuł należny jej z racji wieku i pozycji materialnej, gdyż wszyscy znali ją po prostu jako la celibataire - starą pannę.

Bea westchnęła wstrząśnięta.

- Jakże to okrutne - wyszeptwała.

- Owszem - przytaknął staruszek. - Ale byli to powierzchowni ludzie żyjący złudnym, powierzchownym życiem. By zostać przyjętym do ich kręgu, musiało się mieć urodę albo styl, talent albo arystokratyczne nazwisko, być pisarzem, artystą lub

kompozytorem, najnowszą gwiazdą komedii muzycznej, królewiczem lub księciem. Same pieniądze nie wystarczały.

Nick zamówił kolejne pastis, a Monsieur Marquand sączył je, opowiadając o Madame Leconte, córce ubogiego chłopca z Marsylii, który dzięki własnej pomysłowości i inicjatywie zrobił majątek na handlu bronią. Ożenił się późno i kiedy urodziła mu się córka nazwał ją Maria Antonina, bo była jego własną małą księżniczką. Trzymał ją w domu, kształconą przez guwernantki i podobno kochał tak bardzo, że zawsze bał się, iż inny mężczyzna mu ją zabierze. Wcześniej stracił żonę, a kiedy umarł, Maria Antonina zbliżała się do czterdziestki i została zupełnie sama.

- Wiecie, nigdy nie była ładna - mówił Monsieur Marquand. - Była krępową kobietą, o ciemnych włosach bez połysku, czarnych oczach i ciężkich brwiach. Jej twarz była długa i wąska, z dziwnymi dołkami, które jak mawiali niegrzeczni ulicznicy, przypominały dziurki wysuszone w śniegu. Oczywiście ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Żyła pod kloszem, a że jej ojciec zawsze zapewniał ją, iż jest piękna, sama zaczęła dostrzegać to w lustrze. Dowiedziała się prawdy dopiero potem, kiedy po jego śmierci została sama w willi Mimoza.

Ojciec zbudował dla niej dom w 1922 roku, ponieważ kochała słońce i świeże powietrze, a nie lubiła wspaniałego, paryskiego mieszkania. Odziedziczyła to wszystko. La celibataire w wieku lat czterdziestu została spadkobierczynią wielkiego majątku.

Pamiętam, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Miała ziemistą cerę, duży biust i figurę matrony, a ubrana była zgodnie z modą 1920 roku na podlotka, co zupełnie do niej nie pasowało. - Marquand popatrzył na Nicka i dodał z wymownym wzruszeniem ramion: - Prawdę mówiąc, monsieur, gdyby ubrać ją w chłopską czarną suknię i szal wyglądałaby jak wieśniaczka. Nigdy nie powiedziałaby pan, że jest dziedziczką fortuny. I nagle w jej życiu pojawiła się miłość. Był Amerykaninem, przystojnym blondynem, dużo od niej młodszym. Wszyscy mówili, że to „łowca posagów”, ale nawet jeśli to prawda, nie zachowywał się typowo, być może był bardzo sprytnym młodzieńcem. Kiedy wychodzili gdzieś razem, nie spuszczał z niej oka. Nie zwracał nawet uwagi na zalotne spojrzenia młodych piękności.

Wszędzie widywano ich razem, bywali w najwytworniejszych kawiarniach i klubach. Madame Leconte kupiła łódź i pływali po zatoce zatrzymując się na kąpiel lub lunch przy małych plażowych restauracjach. Chodził z nią do salonów mody, doradzał wybór strojów, kazał przerobić jej staroświecką biżuterię. Namówił na kupno samochodu, rzecz jasna odkrytego bugatti - wszyscy wtedy za takimi szaleli - czerwonego, z gołębioszarą, skórzaną tapicerką, a Maria Antonina nauczyła się prowadzić. Nikt nigdy nie widział Amerykanina za kierownicą, tak że nie można było powiedzieć, że la celibataire kupiła mu samochód. Zdawał się nie przyjmować niczego. Oprócz jej serca.

Pojechali do Paryża, wzięli ślub, a potem zabrał ją tam, skąd przybył. Nie pamiętam dokładnie dokąd. W każdym razie po roku wróciła, sama, w zaawansowanej ciąży. Pamiętajcie, że była po czterdziestce i uważano że jest zbyt stara, aby rodzić.

Oczywiście plotkowano. Pamiętam, że służba mówiła, iż pani jest blada i wygląda na chorą, że ma oczy przerażonego zwierzęcia, takiego jak te wyładowywane z furmanek i pędzone do rzeźni w Marsylii. Te zwierzęta wiedziały, że idą na śmierć. Sam widziałem jak wychodziła od lekarza w Cannes, wydało mi się wtedy, młodemu i wrażliwemu, że ona także o tym wie. W jej dużych, ciemnych, pustych oczach zobaczyłem śmierć.

Przystojny mąż powrócił. Służący mówili, że zachowywał się jak święty, otaczał żonę troską i czułością, obsypywał kwiatami, podarunkami dowodami miłości. Ale

ona unikała go, samotnie spacerowała po ogrodzie i jadła posiłki w swym pokoju. Sama spała. Oczywiście była wtedy w ciąży i zmęczenie czy wytrącenie z równowagi nie było niczym niezwykłym.

Urodziło się dziecko. Chłopiec. A kilka tygodni później Madame Leconte spadła ze schodów. Okazało się, że miałem rację - była naznaczona przez śmierć.

Monsieur Marquand znów wzruszył z rezygnacją chudymi ramionami.

- Powiecie, że to smutna historia. Tak. Bardzo smutna - umilkł, popijając w zamyśleniu drinka. Bea westchnęła ciężko, bliska łez.

- Nie powiedział nam pan wszystkiego, prawda? - zapytał Nick. - Coś jeszcze się wydarzyło. Marquand skinął głową.

- Ma pan dziennikarski węch. To wszystko było tak dawno, że nikomu nie zaszkodzi, jeżeli wam o tym opowiem.

- Byłem wtedy bardzo młodym, najniższym rangą reporterem. Późnym wieczorem znajdowałem się sam w biurze, przepisując na maszynie swoje teksty - zawiadomienia o urodzinach, zgonach, ślubach, drobnych lokalnych zdarzeniach. Nie dostąpiłem jeszcze zaszczytu pisania o wydarzeniach i skandalach towarzyskich miejscowej śmietanki, nie mówiąc już o najświeższych wiadomościach. Byłem po prostu kimś, kogo gazeta wysyłała, kiedy nikt inny nie miał czasu. Wtedy zadzwonił któryś służący z willi Mimoza. Zdarzył się wypadek. La celibataire nie żyła.

To była szansa dla mnie. Wskoczyłem na rower i jak szalony pognałem przez uśpione miasteczko, wzdłuż wybrzeża, do willi na wzgórzu. Światło z okien na parterze padało na trawniki i tarasy, a wszystko wyglądało tak uroczyście jak gdyby wydawano przyjęcie. Zadzwoiłem do drzwi i czekałem, ale nikt nie nadchodził. Odkryłem później, że mąż posłał wszystkich służących spać. Pchnąłem lekko drzwi, a one same się otworzyły. Wszedłem do hallu i spostrzegłem ciało la celibataire.

Leżała twarzą do ziemi na marmurowej podłodze, w pewnej odległości od schodów i pamiętam, że pomyślałem, iż ktoś musiał ją po upadku przesunąć. Serce podeszło mi do gardła, na widok lepkiej masy, w którą zmienił się tył jej głowy. Wtedy właśnie niespodziewanie wyszedł z biblioteki mąż, ubrany w jedwabny szlafrok.

Zapalił duże cygaro i spokojnie przyglądał się ciału. Ludzie reagują bardzo różnie pod wpływem szoku i cierpienia, on był panem swych emocji i podziwiałem jego opanowanie.

Nagle zobaczył mnie i jego oczy rozbłysły gniewem. „Kim pan u diabła jest? - rzucił rozkazująco. - Proszę się stąd wynosić. Jak pan śmiał wejść? Jedyne szef policji ma prawo tu przebywać.” Ruszył groźnie w moim kierunku, a ja uciekłem, przeproszając głośno. „Nie waż się tu wracać” - wrzasnął za mną. Ale ja, jak na reporterskiego nowicjusza przystało, nie miałem zamiaru zrezygnować łatwo z sensacyjnego tematu.

Schowałem się w krzakach pod oknem i czekałem. Przybył szef policji. Przyjechał swym własnym, a nie policyjnym samochodem, i najwyraźniej ubierał się w pośpiechu. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Zajrzałem przez okno, wyteżając słuch, by usłyszeć o czym mówią.

Mąż powitał uprzejmie przybysza, uśmiechając się i ściskając mu dłoń. Poczęstował hojną porcją brandy, opowiadając o tym, co się stało. Nie widział wypadku. Nie mógł spać i czytał w bibliotece. Ale usłyszał krzyk i odgłos spadającego ciała. Uszkodzenia - rozległa rana z tyłu głowy - wydawały się zastanawiające, ale z pewnością da się wyjaśnić jak powstały. „Może przeszlibyśmy do biblioteki i porozmawiali, może jeszcze jednego drinka i cygaro?” - zaproponował. I wtedy, monsieur, zrobił coś co mi zmroziło krew w żyłach.

Aristide Marquand przerwał i spojrzął na Nicka ze zgrozą.

- Podczas mej dziennikarskiej kariery widziałem wiele ofiar i ich morderców, ale nic nie równało się z tą obojętnością. Ciało Marii Antoniny, z mózgiem rozprysniętym na białej marmurowej podłodze, leżało pomiędzy szefem policji a mężem, a on przestąpił przez jej roztrzaskaną głowę, jak gdyby była to skóra tygrysa. Proszę mi wierzyć, monsieur, zazwyczaj każdy trzyma się z daleka od zwłok, okrąża je, trzyma się kilka metrów od nich. Nigdy nie przestępuje przez nie. A to była jego żona.

Patrzyłem przez okno na nich, rozmawiających, palących cygara, popijających dobre brandy. Uśmiechali się, jak gdyby to była wizyta towarzyska, a w hallu nie leżała martwa kobieta. Wślizgnąłem się do środka, podkradłem na palcach i spojrzałem na nią jeszcze raz. I wtedy dowiedziałem się, że nie upadła. Z tyłu głowy ziała wielka dziura. Wielka, czerwona dziura, którą mogła zrobić tylko kula.

Szef policji wyszedł po godzinie, a na schodach obaj mężczyźni podali sobie ręce. Ciało błyskawicznie przewieziono do kostnicy i zamknięto w trumnie. Nie było śledztwa, wystarczyło stwierdzenie szefa, że był to wypadek. Ofiarę pochowano i na tym koniec. Z wyjątkiem tego, że ja wiedziałem, iż została zamordowana. I uważałem, że zrobił to jej mąż.

Marquand wzruszył ramionami na widok ich oszołomionych min.

- Powiecie: młody chłopiec z rozbujaną wyobraźnią. Wy tłumaczcie mi więc, dlaczego szef policji, miejscowy obywatel, żyjący bardzo skromnie, nagle przeszedł na wcześniejszą emeryturę pod pretekstem słabego zdrowia? Kupił wspaniałą willę w pobliżu Marsylii, w nowym garażu postawił elegancki samochód, a konto w banku pozwoliło mu żyć w luksusie przez resztę życia.

Nick miał wiele pytań. Chciał wiedzieć, kim był mąż, skąd przybył, co się z nim potem działo. I co stało się z dzieckiem?

Staruszek pokręcił głową.

- Nigdy się tego nie dowiedziałem. Zwierzyłem się memu szefowi z tego, co zobaczyłem, a on stwierdził, że mam świra, i ostrzegł mnie, że jeśli kiedykolwiek pisnę słowo, to mnie wywali - wzruszył ramionami. - I na tym koniec. Byłem młody, miałem przed sobą karierę... Poza tym nie mogłem zrobić nic, ani niczego udowodnić. A moja opowieść to teraz tylko bredzenie starego człowieka. Mogę jedynie panu powiedzieć, że mąż wyjechał nazajutrz po pogrzebie, zostawiając zaledwie kilkutygodniowego syna pod opieką angielskiej niani. Ciągle pamiętam jej nazwisko: Beale, niania Beale.

Mieszkali samotnie, tylko ze służbą w tej upiornej willi. Stanowili charakterystyczny obrazek na wybrzeżu, kiedy przejeżdżali dużym srebrnym rollsem Madame Leconte po promenadzie w Nicei lub Cannes. Pamiętam, że niania wyglądała bardzo nobliwie. W zimie nosiła szary flanelowy płaszcz, czarne buty i jeden z tych śmiesznych, angielskich kapeluszy z rondem. W lecie zawsze wkładała niebieską suknię, biały nakrochmalony fartuch, słomkowy kapelusz i praktyczne, niepokalanie białe buty. Nigdy się nie uśmiechała, kiwała tylko wyniośle głową na dzień dobry temu czy owemu. I ona i dziecko byli trochę tajemniczy, choć sądzę, że służba plotkowała o nich, jak to ma w zwyczaju.

Mogę wam jeszcze powiedzieć, że niania Beale wróciła tu po latach. Miała domek u stóp wzgórza, na którym stoi willa, spędziła tam ostatnie lata życia, pielęgnując róże i, jak sądzę, własne wspomnienia. W każdym razie, monsieur, jej domek wciąż tam stoi. Nikt tam nie chodzi, nikt niczego nie zmienia, wygląda tak jak za życia właścicielki. Może tam znajdzie pan odpowiedź na niektóre ze swych pytań.

Rozdział 14.

Mahoney sapał ze zmęczenia. Jak na tak potężnego mężczyznę był dobrym biegaczem i od trzech godzin utrzymywał równe tempo uprawiając jogging po wzgórzach hrabstwa Marin. Jego koszulka była mokra od potu, a kolana zamieniły się w kawałki ołowiu. - Wyszedłem z formy - mruknął gniewnie sam do siebie. Był zbyt zajęty, aby przestrzegać treningów, i w ten sposób niemal stracił szansę na wzięcie udziału w Nowojorskim Maratonie.

Z westchnieniem zwolnił i po dziesięciu minutach powolnego truchtu przeszedł w marsz. Otarł czoło dużą chustką w czerwone kropki i usiadł wreszcie na pobliskim kamieniu oddychając głęboko i powoli. Przed nim, daleko, majaczyły zarysy ogromnych sekwoi rosnących w Lasach Muir, a w dole, na zboczach wzgórz stały ładne domki. Niżej leżało Sausalito i rozciągała się zatoka ze lśniącem pomarańczowo w oddali mostem Golden Gate.

Horyzont przeciął samolot, który wlatywał coraz wyżej, zostawiając na błękitnym niebie biały ślad, i Mahoney pomyślał o Phyl Forster znajdującej się teraz w drodze do Paryża.

- San Francisco będzie bez niej puste - stwierdził, a potem zapytał sam siebie co, u diabła, przez to rozumie. Prawie jej nie widywał.

Fakt, że zadzwoniła wieczorem na posterunek i zapytała, czy ma czas i czy mogłaby przyjść do niego, nic nie znaczył. Po prostu obiecał zaopiekować się kotką, a ona chciała mu ją podrzucić, a także porozmawiać o Bei. Mahoney lubił Phyl i dobrze się z nią czuł. Ciętymi ripostami i skrywaną wrażliwością wydobywała z niego to, co najlepsze i najgorsze. Uważała też, że jest diabelnie twarda, bo potrafiła na chłodno uporządkować sobie życie. Na wspomnienie ostatniego wieczoru westchnął z rozdrażnieniem, mógłby się założyć, że Phyl wpadnie w sidła niewłaściwego faceta.

Mahoney mieszkał w kiepskiej, portowej dzielnicy miasta, ale jego mieszkanie było wysokie, miało ściany z cegły, parkiety i przestrzeń. Znajdowało się na ostatnim piętrze bez windy i kiedy Phyl zadzwoniła z dołu, Mahoney zbiegł po schodach na jej spotkanie.

- Na wypadek gdybyś się bała - rzekł szczerząc kpiąco mocne zęby.

- Potrafię znakomicie sama troszczyć się o siebie - odcięła się chłodno.

- Wszystkie tak mówią, proszę pani - odparował, biorąc koszyk z kotem i wchodząc za nią po schodach.

- Jeśli usłyszę jakiegokolwiek komentarze na temat rozmiaru mojej pupy - rzuciła przez ramię - każę cię aresztować za molestowanie seksualne.

- A dlaczego miałbym robić komentarze na temat twojej pupy? - zapytał żałośnie. - Wygląda wspaniale.

- Mahoney! - obróciła się z oczami rozbłysłymi gniewem i oboje wybuchnęli śmiechem.

- Jesteś głupi - powiedziała, wchodząc do mieszkania.

- Cóż - zgodził się - może masz rację.

Nalał Phyl kieliszek czerwonego włoskiego wina, a ona tymczasem zaciekawiona wędrowała po mieszkaniu. Przez szeroko otwarte okna wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca i powiew znad oceanu. Z głośników grzmiała opera Wagnera, a trzy koty - dwa smukłe syjanki i dobrze odżywiony, przypominający wypchaną poduszkę z żółtymi oczami, burasek - tłoczyły się na kuchennym blacie, patrząc wrogo na wciąż siedzącego w swym koszyku przybysza.

Mieszkanie w zasadzie składało się z jednego pokoju, podzielonego sprytnie japońskimi parawanami. Umeblowane było eklektyczną mieszaniną staroci i prostych ludowych wyrobów ze sklepów Crate & Barrel i Williams - Sonoma, którą uzupełniało

kilka niezłych, używanych wschodnich dywanów i parę ciekawych antycznych drobiazgów. Wzdłuż dwóch ścian stały półki z książkami.

Były wśród nich zarówno prace z dziedziny psychologii na temat umysłowości przestępców, jak i opracione partytury większości oper, sporo poezji, parę tuzinów książek kucharskich, stare numery „Gourment”, magazynu o wykwintnym jedzeniu, poradniki poświęcone kotom, i stos pism o tej tematyce z kilku lat... a także setki kryminałów.

- Wszystko, czego potrzebuje dobrze rozwinięta osobowość - stwierdziła ze śmiechem Phyl, oglądając ogromny, zajmujący cały kąt pokoju, domek dla kotów. Podziwiała stereo, najlepszego Bang & Olufsen, i przyznała, że obrazy, których większość stała oparta o ścianę, są intrygujące.

- Wykonali je młodzi artyści, którzy nie odnieśli sukcesu na rynku.

Wielu z nich mieszka w pobliżu, a tylko na takie prace mogą sobie pozwolić. Co nie znaczy, że nie są dobre - dodał. - Najważniejsze, że mnie się podobają. Każdy obraz wybierałem starannie i sprawia mi wiele radości.

Przesunęła palcami po drewnianej rzeźbie. Jej subtelne linie miały gładkość, której nie można było się oprzeć.

- Jeśli chodzi o rzeźby - powiedział z zażenowaniem - muszę wyznać, że to ja jestem ich autorem.

- Doprawdy nie ma końca twoim talentom, Mahoney - rzuciła Phyl, opadając na stół przy kuchennym blacie.

- Nie ma - zgodził się nieskromnie. - I kolejnym dowodem na to jest oglądana przez ciebie tak krytycznie kuchnia, którą sam zaprojektowałem i urządziłem.

Popatrzyła na stalowy restauracyjny piec, blaty z pieńków rzeźniczych, wiszące ponad nimi rondle o miedzianych dnach wraz z baterią trzepaczek, mieszadeł, tasaków i noży o morderczym wyglądzie.

- Co ty, u diabła, robisz jako policjant - zapytała w końcu. - Mógłbyś być wspaniałym szefem kuchni albo hodowcą kotów, rzeźbiarzem, poetą, profesorem, gwiazdą opery.

Spojrzał na nią i roześmiał się.

- Wszystkim z wyjątkiem gwiazdy operowej. Nie słyszałaś, jak śpiewam. Ale szefem kuchni, być może. Obiad będzie według przepisu Rogera Verge - fricassee z kurczaka ze świeżymi ziołami - i możesz mi wierzyć, że ten człowiek wie, co gotuje. Mówię ci, gdybym mógł, jutro zamieniłbym się z nim na miejsca.

Zrzucił koty ze stołu i ustawił talerze.

- Restauracja Vergego jest na południu Francji, tam, dokąd się wybierasz. Powinnaś spróbować ich kurczaka. Powiesz mi, jak to się ma do mojej wersji.

- Może tak zrobię - zawahała się, żałując przez chwilę, że z nią nie jedzie. - Mahoney, Bea dzwoniła do mnie dziś po południu. Mówiła, że odnalazła willę ze swego snu. Tę, o której opowiadała mi w hipnozie.

Słuchał z powagą jej opowiadania o willi i kobiecie, która tam umarła. Phyl dodała, że w domu od lat nikt nie mieszkał, a Bea pamiętała ptaki, które rzeczywiście kiedyś tam były.

- Jak to wyjaśnisz, Mahoney? - zapytała w końcu.

- Istnieją tylko dwa logiczne wyjaśnienia: albo była tam przedtem, albo ktoś jej o tym opowiedział.

- Musiałby mówić w sposób niezwykle sugestywny, skoro zapamiętała wszystkie szczegóły, zapach mimozy, ptaki. Nie potrafiłam jej tego wyjaśnić. - Phyl popatrzyła na Mahoneya i dodała szczerze: - Biedna Bea liczy, że jej pomożę.

- Możesz zrobić tylko to, co jest w twojej mocy - rzekł ze współczuciem Mahoney.

- Napuszone banały nie przywrócą jej pamięci - warknęła gniewnie, ale za chwilę popatrzyła na niego przepaszająco. - Wybacz, pomyślałam tylko, że gdybyś mógł odnaleźć napastnika, wiedzielibyśmy, kim ona jest.

- Co było najpierw: kura czy jajko? - zapytał cicho. Podniósł się, nastawił kolejną płytę i dolał wina. - Wydział badania zachowań prowadzonego przez FBI Narodowego Centrum Badania Zbrodni przygotował psychologiczny portret mordercy Bei, to znaczy potencjalnego mordercy. Nie mieli zbyt wielkiego materiału dowodowego, zaledwie sposób dokonania zbrodni. Brak użycia broni wskazuje, że była to osoba chcąca zachować tak zwane czyste ręce. Chciał upozorować wypadek ze względu na siebie. Wskazuje to, iż był człowiekiem liczącym się z opinią społeczną, osobą publiczną, może nawet sławną. To morderca z wyższych warstw społecznych. Ma około trzydziestu, czterdziestu lat, odnosi sukcesy, jest atrakcyjny i ma charyzmę. A ludzie którzy go znają prawdopodobnie sądzą, że to miły, normalny facet.

- Ale dlaczego chciał ją zabić? Mahoney wzruszył ramionami.

- Osobiście przypuszczam, że Bea stanowi dla niego zagrożenie, chciał więc się jej pozbyć.

- Bea? Zagrożenie?

- Wie o nim coś, o czym nikt inny nie może się dowiedzieć. Coś co mu zagraża.

- Więc nie uważasz, że to przypadkowe morderstwo, które mógł popełnić każdy i po prostu trafiło na Beę?

- Nie sądzę. Myślę, że ten ktoś dokładnie wiedział co robi. Czy zastanawiałaś się nad śladami ukąszenia na jej prawym przedramieniu? Co powiesz na taki scenariusz: Bea spotyka naszego faceta. Jego pies jest wytresowanym napastnikiem. Facet wydaje rozkaz, pies rzuca się na dziewczynę i ją zagryza. On strzela do psa, zeznaje, że zwierzę nagle się wściekło, i jest załamany wypadkiem.

Nagle nieprzejezdane oczy Mahoneya napotkały wzrok Phyl.

- Zabójstwo przy pomocy psa. Mogłoby tak być, prawda? Żadnej broni i związanych z tym kłopotów. Całkowicie nie do udowodnienia. Phyl popatrzyła na niego.

- Osoba, którą opisujesz, jest socjopata. Potrafi podejść racjonalnie do swych czynów. Nie ma wyrzutów sumienia. Wszystko wydaje jej się logiczne i proste, jak coś, co musi być wykonane. Ale co ją do tego skłoniło?

- Tego nadal nie wiemy. Ani tego, kim naprawdę jest Bea.

Kiedy później Mahoney odwoził Phyl do domu, siedziała milcząc obok niego i nawet nie żartowała ze stylowego mustanga. Domyślał się, że zastanawia się nad tym, co jej powiedział, i kiedy dojechali, popatrzył na nią ze współczuciem. Pochylił się, ujął jej podbródek i badawczo spojrzął na jej zmartwioną twarz.

- Hej! - zbeształ - czy tak wygląda kobieta wybierająca się do cudownego Paryża, kulinarnej stolicy świata. Zapomnij, co ci mówiłem. Baw się dobrze i przekaz Bei moje pozdrowienia. Powiedz, że nie spocząłem na laurach.

Phyl pochyliła się i pocałowała go lekko w usta.

- Dzięki, Mahoney - powiedziała otwierając drzwi. - Będę myślała o tobie w Paryżu.

- Trzymam za słowo - uśmiechnął się. - I nie zapomnij o Rogerze Verge, Restauracja Moulin de Mougins. Pomyśl o mnie jedząc kurczaka.

- Spróbuję - odparła z kpiącym uśmiechem.

To wszystko wydarzyło się zeszłego wieczoru, a Mahoney przez resztę nocy spacerował po mieszkaniu i zastanawiał się co, u diabła, ma robić dalej ze sprawą Bei French, aż nadszedł czas udania się na nocną zmianę. Było jasne jak słońce, że nie ma żadnych dowodów i nawet przeprowadzone przez FBI laserowe testy odcisków palców na ubraniu ofiary nie dały żadnych wyników. Nie było żadnych obcych włókien ani

włosów czy skrawków możliwej do zidentyfikowania materii, które mogłyby stanowić jakiś ślad.

Mahoney pomyślał, że potencjalnemu mordercy Bei French udało się wywinąć i tylko ponowna próba zabójstwa może dać szansę na jego ujęcie.

Rozdział 15.

Phyl prawie nigdy się nie spóźniała. Siedziała na tylnym siedzeniu limuzyny w drodze na międzynarodowe lotnisko w San Francisco i spoglądała nerwowo na zegarek. Tkwili w korku ulicznym na autostradzie w okolicach Parku Candlestick, posuwając się wolno zderzak w zderzak. Jęknęła widząc morze czerwonych tylnych świateł ciągnących się przed nią w nieskończoność. Powinna była wyjść wcześniej, ale po prostu musiała przyjąć ostatniego pacjenta. Był w rozpacz, potrzebował jej i nie mogła zostawić go do przyszłego tygodnia bez porady.

Na tym polega problem, że wszyscy liczą na nią, pomyślała. Był to jeden z powodów, dla których zdecydowała się na zawód psychiatry: rozpaczliwie pragnęła znowu być potrzebna. Nie mogło to zastąpić potrzeby bycia matką, ale zaspokajało jakąś smutną i samotną cząstkę jej duszy. Dzięki osobistym cierpieniom i rozterkom psychicznym mogła wczuć się w sytuację pacjentów. Bardzo rzadko, chyba że tak jak dzisiaj, była szczególnie zmęczona, pozwalając depresji zapanować nad sobą.

Ostatniej nocy, kiedy skończyła pakowanie, usiadła wyczerpana na łóżku, patrząc na zamknięte walizki. Gdyby nie myśl o ładnej buzi i niespokojnych brązowych oczach dziewczyny czekającej na nią w Nicei, podniosłaby słuchawkę telefonu i odwołała wyjazd. Najbardziej teraz pragnęła wczłgać się do łóżka i zostać tam przez tydzień.

Ale rzecz jasna było to niemożliwe. Nawet gdyby Bea nie była jej ukochaną przyjaciółką, ciągle pozostawała jej pacjentką i Phyl musiała spełnić swój obowiązek.

Spojrzała gniewnie na zator samochodów.

- Jak idzie? - zapytała kierowcy, myśląc z niepokojem o godzinie odlotu.

- Wszystko będzie dobrze, gdy tylko miniemy stadion - powiedział. - Niech się pani nie martwi, dojedziemy na czas.

Wsunęła się głębiej w siedzenie i zamknęła oczy, myśląc o tym, jak wiele razy mówiła ludziom, że nie ma sensu martwić się czymś, co jest nieuniknione. Trzeba sobie po prostu z tym poradzić. „Ale mnie to oczywiście nie dotyczy”, pomyślała z ironią, czując, że ogarnia ją stres. Boże, tak nienawidziła się spóźnić i nigdy w życiu nie uciekł jej samolot.

Kierowca miał rację. Przy zjeździe do Parku Candlestick od rzeki czerwonych świateł oddzielił się strumień - część pojazdów skręciła w bok i na autostradzie rozluźniło się. Limuzyna mogła ruszyć w kierunku lotniska. Kierowca wezwał tragarza, i szybko wyładował dwie torby, podczas gdy Phyl pobiegła do stanowiska kontroli biletów pierwszej klasy.

- Spóźniłam się - podała bilet pełna poczucia winy.

- Pasażerowie są już na pokładzie - poinformował ją urzędnik. - Zadzwoń i powiem, żeby poczekali na panią z odlotem. - Uśmiechnął się i wręczył jej z powrotem bilet. - Ale proszę się pośpieszyć.

- Dzięki - chwyciła podręczny bagaż, odwróciła się szybko i niemal wpadła w ramiona stojącego za nią wysokiego jasnowłosego mężczyzny.

- Och! - chwyciła się go aby nie upaść, i z trudem złapała oddech. - Przepraszam - przyjrzała się nieznanemu i nie byłaby kobietą, gdyby nie dostrzegła, jaki jest przystojny. - Spóźniłam się! - zawołała przez ramię, biegnąc przez halę w kierunku przejścia. - Ucieknie mi samolot.

Słyszała jego śmiech i pomyślała z irytacją, że nietrudno być takim spokojnym, jeśli ma się samolot odlatujący pewnie za godzinę. Pracownik linii lotniczych czekał przy bramce, aby odprowadzić ją na pokład. Rozejrzała się po pustej pierwszej klasie i opadła z ulgą na siedzenie.

„Bardzo dobrze - pomyślała. - Mam cały samolot dla siebie. Zaraz zamknę oczy i zdrzemnę się trochę. Wygląda na to, że mimo wszystko dotrę na tę konferencję.”

Westchnęła i pokręciła głową, zła na samą siebie. Konferencja międzynarodowych specjalistów w jej dziedzinie powinna być wyczekiwana przyjemnością, a nie obowiązkiem.

Spojrzała na zegarek, zaskoczona, że nie zamknięto jeszcze drzwi. Samolot miał już dziesięciominutowe opóźnienie.

- Co się stało - zapytała stewarda.

- Czekamy na jeszcze jednego pasażera - odpowiedział. - Tymczasem proponuję kieliszek szampana.

Odmówiła, myśląc z irytacją że niepotrzebnie omal się nie zabiła biegnąc całą drogę. Słyszała, jak steward wita spóźnialskiego, a potem głos kapitana rozkazującego zamknąć drzwi. Kiedy ostatni pasażer przechodził, spojrzała na niego ze złością. Był to jasnowłosy przystojny facet, w którego ramiona wpadła przy stanowisku kontroli biletów.

Na jej widok zabłysły mu oczy.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział z przeproszącą miną. - Chciałem powiedzieć, że nie ma potrzeby tak biec, ale była pani za szybka. Ruszyła pani...

- Jakby mnie furie goniły - dokończyła za niego i pokręciła głową, śmiejąc się sama z siebie. - Po prostu nienawidzę się spóźniać.

- Zawsze uważałem punktualność za cnotę - powiedział podając kurtkę stewardowi i wpychając ręczny bagaż do schowka. - W każdym razie powinienem przeprosić za opóźnienie lotu. Szczególnie teraz, kiedy wiem, jak bardzo nienawidzi pani się spóźniać. Ale proszę się nie martwić, wiatr wieje w ogon i dostarczy nas na czas.

Uśmiechnął się do niej i Phyl pomyślała z nagłym przypływem zainteresowania, że jest naprawdę atrakcyjny: wysoki i szczupły, długonogi, z gęstymi, gładkimi ciemnoblond włosami, twarzą o ostrych rysach i jasnoniebieskimi oczami za okularami w złotych oprawkach od Armaniego. Wyglądał na człowieka bardzo z siebie zadowolonego. Zastanawiała się, czym się zajmuje.

- Skąd pan wie, że wiatr wieje z tyłu? - zapytała.

- Zwykle wolę latać sam - odparł z lekkim, niedbałym wzruszeniem ramion. - Niestety dzisiaj w ostatniej chwili mieliśmy kłopoty z systemem elektrycznym, a jutro rano muszę być w Paryżu. Dlatego jestem tutaj, a lot się opóźnił. - Jego śmiech miał miłe głębokie brzmienie.

Przeprosił jeszcze raz i poszedł na swoje miejsce, a samolot zaczął wjeżdżać na pas startowy.

Zmęczenie przyćmiło ciekawość Phyl. Zrezygnowała z posiłku, zgasiła światło i zamknęła oczy, ale zamiast snu zapadła jedynie w niespokojną drzemkę. Samolotem rzuciło i światelko „zapiąć pasy” nie gasło. Napiła się gorącej herbaty, połknęła aspirynę, aby złagodzić pulsowanie w głowie, i jeszcze raz spojrzała na zegarek. Lecieli pięć godzin i rozciągała się przed nią wieczność niespokojnego lotu.

Wstała, by wyjąć czarną torbę z materiałami do pracy ze schowka nad głową i spostrzegła, że jej towarzysz podróży ma zapalone światło. Pisał coś na żółtych kartkach notatnika. Pomyślała kpiąco, że tryska energią i wykorzystuje każdą chwilę. Tak jak według własnych słów powinna postępować.

Wyjęła artykuł przygotowywany na konferencję i zaczęła go przeglądać. Kiedy znów podniosła wzrok, świeciło, a stewardzi podawali śniadanie i sok pomarańczowy. „Dzięki Bogu, jesteśmy już prawie na miejscu”, pomyślała odkładając papiery.

Gdy w końcu samolot zaczął schodzić do lądowania, Paryż ukryty był pod węglowoszarą chmurą. Phyl idąc wzdłuż przejścia skinęła na pożegnanie przystojnemu towarzyszowi podróży. Nadal zajęty był zbieraniem swoich papierów i

wyglądało na to, że zupełnie się nie śpieszy. Zachowywał się, jak gdyby świat musiał poczekać na niego.

I może poczeka, pomyślała patrząc na chaos panujący jak zwykle na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Oczekiwanie na bagaż trwało wieki i przez ten czas wszystkie taksówki zniknęły, a Phyl została sama na chodniku, w strugach siekącego deszczu. Patrzyła na czekającego w pobliżu ciemnoniebieskiego bentleya z szoferem i kolana ugięły się pod nią z napięcia i wyczerpania.

- Wygląda na to, że nie ma pani dzisiaj szczęścia - usłyszała rozbawiony głos, a odwróciwszy się ujrzała roześmiane oczy przystojnego sąsiada z samolotu.

- To moja wina. Powinam była zamówić samochód - wzruszyła ramionami. - Myślę, że niedługo pojawi się taksówka.

- W Paryżu? W czasie deszczu? - wyszczerzył zęby. - W żadnym wypadku. Ale miło mi będzie panią podwieźć. Spojrzała na niego i na ogromnego benteleya.

- To pański? - zapytała wskazując w jego stronę.

- To samochód firmy. Mój własny gust skłania się raczej ku liniom wyścigowym.

- W tej chwili wydaje mi się wspaniały - roześmiała się. - Ale nie chciałabym, aby przeze mnie nakładał pan drogi. Zatrzymuję się w hotelu Rafael.

- Proszę najpierw do Rafaela, Adams - zadysponował angielskiemu kierowcy. - A potem do domu.

Phyl wsiadła do samochodu i z wdzięcznością wtuliła się w luksusowe skórzane poduszki. Spojrzała z uśmiechem na towarzysza. W ogromnym samochodzie zdawały się oddzielać ich od siebie kilometry, a jednak była świadoma jego męskiej obecności, jak gdyby jej dotykał. „To musi być Paryż”, pomyślała rozbawiona.

- Wygląda pani na zmęczoną - zauważył współczująco.

- Ma pan pewnie na myśli, że wyglądam jak wrak. Tak właśnie się czuję. Wszystko, czego pragnę w tej chwili, to gorąca kąpiel, coś zimnego do picia i miękkie łóżko. - Popatrzyli na siebie. Samochód gładko prześlizgiwał się pomiędzy pojazdami.

- Może powinniśmy przedstawić się sobie - powiedziała Phyl wyciągając rękę przez dzielącą ich przestrzeń. - Jestem Phyl Forster.

- Brad Kane. - Jego ręka była twarda i niespodziewanie zimna.

- Przyjechałam do Paryża na konferencję psychiatryczną - dodała Phyl.

- Oczywiście. Doktor Phyl. Przepraszam, powinienem był panią rozpoznać.

- Niekoniecznie. W tym stanie z pewnością nie przypominam fotografii na okładce książki. - Roześmiała się mimo ogarniającego ją zmęczenia. Podobał jej się ten przystojny dobry samarytanin.

Zadzwonił telefon. Kane odebrał i wdał się w szybką rozmowę po francusku. Phyl zamknęła oczy.

- Przepraszam bardzo - powiedział - ale muszę wykonać kilka pilnych telefonów.

Oparła się wygodnie i na wpół drzemała wsłuchana w uspokajający szmer jego głosu, zastanawiając się, kim on jest, i czy tym miękkim seksownym głosem rozmawia z kobietą. Jednocześnie myślała tęsknie o czekającym na nią łóżku i ucieszyła się, gdy wreszcie przybyli do hotelu,

Nowy znajomy podał jej rękę, gdy wysiadała z samochodu, i jeszcze raz przeprosił za rozmowy telefoniczne.

- Doprawdy nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie ocalił mnie pan przed deszczem - powiedziała ze zmęczonym uśmiechem.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie, a potem Brad wyjął z kieszeni wizytówkę z adresem i telefonem i podał Phyl.

- Może zadzwonisz do mnie, zajęta damo - powiedział lekko - jeżeli będziesz miała wolną chwilę w Paryżu. Podniósł jej rękę do ust, kiwnął na pożegnanie, a potem z uśmiechem wsiadł do samochodu i odjechał.

„Jak mężczyzna spotkany we śnie”, pomyślała niedługo potem Phyl, zanurzając się w gorącej kąpieli. Rafael był jednym z tych niewielkich hoteli francuskich, które szczyła się swym luksusem, obsługą i dyskrecją. Woda była gorąca, mydło pachniało cudownie, w wodzie Evian pływały kostki lodu, a łóżko miało miękkie poduszki, nakrochmalone prześcieradła i przytulne koce. Phyl usnęła w ciągu kilku minut.

Obudziła się sześć godzin później i czując, że nie przywykła jeszcze do zmiany miejsca, rozejrzała się ze zdziwieniem po zaciemnionym pokoju. Po chwili przypomniała sobie: jest w Paryżu.

Zegarek przy łóżku wskazywał wpół do siódmej wieczorem. Phyl podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Szare budynki po przeciwnej stronie ulicy jeszcze bardziej poszarzały, a chodniki lśniły. Westchnęła, spoglądając na przepływający w dole ruch uliczny. To jej pierwsza noc w Paryżu, a ona jest sama i pada deszcz.

Wzięła szybki prysznic, umalowała się, włożyła małą czarną sukienkę i pachnąca ulubionymi perfumami poszła na dół.

W barze zamówiła kieliszek czerwonego wina Brouilly i w zamyśleniu skubała cierpkie, zielone oliwki dumając o czekającym ją długim nudnym wieczorze. Szybki rzut oka na salę uświadomił jej, że były tu same pary, a osoby samotne najwyraźniej na kogoś oczekiwały. Ogarnęło ją poczucie samotności, szare i ponure jak chmury nad Paryżem. Czowała się zagubiona bez codziennej rutyny, która nie zostawiała jej czasu na takie luksusy jak „poczucie samotności”. Pierwszy raz od lat nie była szczęśliwa w swoim towarzystwie.

Założyła nogę na nogę, próbując wyglądać nonszalancko, jak gdyby oczekiwała na przyjaciela. Była w najpiękniejszym mieście świata, królestwie wspaniałego jedzenia, twierdzy kultury, schronieniu kochanków. I była sama.

Kelner przyniósł jej wino odpowiednio schłodzone i popijając je, myślała o wetkniętej do torby kuszącej wizytówce z numerem telefonu i adresem Brada Kane'a. Oczywiście nie powinna do niego dzwonić, powiedziała sama do siebie. Na pewno jest zajęty. Mężczyzna taki jak on ma z pewnością tuzin dziewczyn, lub może jedną, tę wyjątkową. W każdym razie, w przeciwieństwie do Phyl, na pewno nie siedzi w mieszkaniu kontemplując w samotności wieczorny posiłek.

Obserwowała smętnie, jak bar stopniowo napełnia się ludźmi, całującymi się na powitanie w policzki. Słuchając wielojęzycznych rozmów, czuła się jeszcze bardziej samotna. W rozpaczy wyłowiła z torebki wizytówkę i zaczęła studiować jej treść.

Oczywiście nie może do niego zadzwonić. Położyła wizytówkę przed sobą na stolicku i patrzyła na nią. Potem wstała, wygładziła spódnicę i szybko, aby nie mieć czasu na zmianę zdania, pośpieszyła na poszukiwanie telefonu.

Gryząc wargi, słuchała sygnału, zabawnego, piszczącego dźwięku francuskich telefonów, zdenerwowana jak uczennica przed pierwszą randką. Niecierpliwie postukiwała wizytówką o marmurowy kontuar. Po dziesięciu sygnałach, gdy już miała na pół z ulgą, a na pół z rozpaczą, odłożyć słuchawkę, niespodziewanie odebrał telefon.

- Pan Kane? - zawołała. „Idiotko - jęknęła w duchu, rumieniąc się - oczywiście, że to on.”

- Kto mówi?

Głos Brada Kane'a był chłodny i pełen dystansu, jak gdyby myślał o czymś innym lub był z kimś w pokoju.

- Mówi Phyl Forster. - Nastąpiła długa chwila ciszy, a Phyl przygryzła nerwowo wargę. - Spotkaliśmy się w samolocie.

Wiedziała, że rozpoczynanie wszystkiego było głupim pomysłem, ale teraz musiała brnąć dalej. Cisza zdawała się trwać nieskończenie długo. W końcu odezwał się, a w jego głosie dzwięczała nutka śmiechu.

- To bardzo miło z pani strony. Nie przypuszczałem, że pani do mnie zadzwoni.
- Nie przypuszczał pan - powiedziała z powątpiewaniem i dodała z nagłym przyływem gniewu na samą siebie: - W takim razie dlaczego trzymał się pan dawaniem mi wizytówki i prosił, abym zadzwoniła?
- Jestem optymistą - odciął się ze śmiechem. - Spodobała mi się piękna i mądra pani. Chciałem znów ją zobaczyć. To znaczy chcę. Jeżeli przeproszę, czy zje pani dziś wieczorem ze mną obiad? O ile, rzecz jasna, nie ma pani żadnych zawodowych spraw do załatwienia - dodał gładko, dając jej możliwość wycofania się, gdyby chciała.
- Phyl roześmiała się, nagle uradowana.
- Cóż - rzuciła, podejmując grę - w zasadzie powinnam spotkać się z kolegą... Ale to mój pierwszy wieczór w Paryżu i pada deszcz. Chętnie zjem z panem obiad.
- Wspaniale. Ma to być jakaś elegancka restauracja, czy może prawdziwe francuskie bistro? Wybór należy do pani.
- Marzę o prawdziwym, francuskim bistro.
- Jest takie niedaleko ode mnie. To moje ulubione i myślę, że spodoba się pani. Mógłbym przyjechać powiedzmy o wpół do dziewiątej. Spojrzała na zegarek.
- Są straszne korki. Może po prostu wezmę taksówkę i spotkamy się na miejscu?
- Jeśli tak, to może wpadnie pani do mnie wcześniej na drinka? Czy ma pani mój adres?
- Tak - z ulgą skinęła głową.
- A więc o wpół do dziewiątej, pani doktor Phyl Forster - roześmiał się. - I proszę mi przypomnieć, abym spytał czy Phyl jest skrótem od Phyllis? A może Filomeny albo Filodendrona, albo filozofii...
- Albo fiksutki - powiedziała do siebie odkładając z uśmiechem słuchawkę.

Rozdział 16.

Ruch pojazdów na Polach Elizejskich spiętrzył się i kierowcy musieli wykorzystywać swój spryt. Szofer taksówki, przeklinając pogodę, innych kierowców i taksówkarzy, a także francuskie przepisy drogowe, wjechał kołem na chodnik i wyprzedził tuzin uwięzionych w korku, trąbiących kierowców. Szybko skręcił w boczną ulicę na prawo, i po serii gwałtownych zakrętów wyjechał na równie zatłoczoną Aleję McMahona. Ocenił sytuację i ze zniechęceniem wzruszył ramionami.

- To zajmie co najmniej dwadzieścia minut. Lepiej pani zrobi idąc pieszo.

Phyl spojrzała na swoje eleganckie czarne zamszowe pantofle i na zalane deszczem chodniki. Ulewa przeszła w mżawkę, przypominającą mgłę na wietrze. Westchnęła z rezygnacją. Do diabła, to tylko buty, nawet jeśli kosztowały małą fortunę.

Kierowca wyjaśnił jej, jak ma iść, a Phyl zaciągnęła pasek czarnego jedwabnego prochowca, otworzyła parasolkę i ruszyła w stronę rogu Alei McMahona modląc się w duchu, by prawidłowo zrozumiała wyjaśnienia taksówkarza.

Aleja Focha była szeroką, piękną, wysadzaną drzewami ulicą, wzdłuż której ciągnęły się eleganckie domy i kamienice. Okazała się jednak dłuższa, niż Phyl przypuszczała. Przemoczona, spóźniona i bez tchu dotarła po dziesięciominutowym marszu do wytwornej kamienicy.

Umundurowany portier zapytał ją o nazwisko i po sprawdzeniu na liście odprowadził do windy. Mosiężna klatka skrzypiąc poniosła ją w górę i Phyl znalazła się w ogromnym dwupoziomowym apartamencie.

Brad Kane czekał na nią. Był jeszcze bardziej przystojny, niż go zapamiętała: wysoki, szczupły, jasnowłosy. Miał na sobie wytwornie skrojoną granatową kaszmirową marynarkę, niebieską koszulę rozpiętą pod szyją, starannie wyprasowane niebieskie dżinsy i kosztowne kowbojskie buty. Jego jasnoniebieskie oczy na wpeł kryły się za okularami w złotych oprawkach. Pomyślała z uśmiechem, że wygląda jak model z reklamy Ralphi Laurena, kiedy podchodził do niej z wyciągniętymi dłońmi.

- Ma pauvre petite! - wykrzyknął zapraszając przemoczonego gościa do środka. - Paryż próbował panią utopić. Proszę wejść, trzeba coś z tym zrobić.

„Musi być bardzo bogaty”, pomyślała ze zdumieniem. Mieszkanie uderzało przepychem. Wypolerowane parkiety pokryte ogromnymi dywanami z Aubusson zdawały się ciągnąć kilometrami. Wokół stały masywne meble w stylu Boullé'a, wisiały weneckie lustra i iskrzące się żyrandole. Idąc za Kane'em przez hali zobaczyła na ścianie olbrzymie malowidło Rembrandta, potem Renoira i chyba Corota.

- Niech pani pozwoli za mną - powiedział gospodarz, biorąc ją za rękę i prowadząc przez bawialnię, kolejny hali, aż do sypialni. Phyl zastygła w progu.

- Szybko, proszę zdjąć te mokre buty i pończochy - zarządził. Popatrzyła na niego nic nie rozumiejąc, a on podszedł do nocnego stolika i nacisnął guzik dzwonka. Potem spojrzał na nią i roześmiał się.

- Wszystko w porządku. Nie mam zamiaru pani uwieść. Poproszę tylko mojego lokaja, aby je wysuszył. Mimo wszystko nie może pani siedzieć cały wieczór z mokrymi nogami.

Phyl wiedziała, że się rumieni i że on się z niej śmieje. Pomyślała ze złością, że nie czuła się tak głupio od kiedy skończyła siedemnaście lat.

Wskazał łazienkę.

- Jest tam para pantofli i ręcznik - powiedział.

Weszła i zamknęła drzwi. Zdjęła rajstopy, przycesała włosy i przycisnęła chłodny ręcznik do płonących policzków. Pantofle frotte były na nią za duże i uśmiechnęła się z przymusem na widok dziwnego odbicia w lustrze: czarna,

seksowna sukienka od Alaia i miękkie pantofle. Odetchnęła głęboko, wzięła się w garść i szurając pantoflami wyszła, aby poszukać Brada.

- Hej! - Stała w progu, uśmiechając się niepewnie. - Przepraszam, że się spóźniłam, ale te korki... i deszcz...

- Nie ma znaczenia, skoro wreszcie pani tu dotarła. - Ich oczy spotkały się. - I jest taka piękna, jak ją zapamiętałem.

Młody Azjata w białej marynarce krążył obok nich zbierając mokre buty.

- Proszę dać Francois pozostałe rzeczy do wysuszenia - rzekł Brad.

Zrobiła, tak jak powiedział, i Francois zniknął. Brad podsunął jej krzesło i poprosił, aby usiadła. Posłusznie wykonywała każdy jego rozkaz, zdumiona swoją uległością. Na ogół to ona kontrolowała sytuację.

Zaskoczyło ją, że tak łatwo weszła w nową rolę kobiety potulnej i że sprawia jej to subtelną przyjemność. Patrzyła w milczeniu na Brada, który ukląkł obok z rękami. Zdjął jej pantofle, ujął w dłonie prawą stopę i zaczął delikatnie osuszać.

Potem podniósł oczy i uśmiechnął się.

- Kobiety mają za sobą zbyt wiele lat noszenia wysokich obcasów i ciasnych butów. Tylko niektóre mają ładne stopy. Ale te są naprawdę piękne, smukłe, gładkie, o pięknych kościach, delikatnych jak u wyścigowego konia.

Obraz mężczyzny klęczącego przed nią, trzymającego jej stopę miał w sobie taki ładunek erotyzmu, że Phyl przeszedł dreszcz.

„Idiotka - znów skarciła się surowo w myślach, szybko wkładając pantofle i przechodząc wraz z Bradem do ogromnego salonu. - Jesteś tu od pięciu minut i już dwa razy zdawało ci się, że on próbuje cię uwieść.”

- Proszę usiąść tutaj, moja droga doktor Phyl - powiedział, prowadząc ją do kosztownej okazałej sofy stojącej przed płonącym kominkiem. - Przypiecz swoje piękne paluszki, podczas gdy ja spróbuję naprawić krzywdy wyrządzone przez deszcz, nalewając drinka.

W pobliżu, na stoliku, czekał szampan w srebrnym wiaderku.

- Za szczęśliwy zbieg okoliczności - powiedział Brad wznosząc kieliszek i patrząc Phyl głęboko w oczy - dzięki któremu lecieliśmy razem do Paryża. I za to że mogłem cię znowu zobaczyć.

- Spędzasz chyba dużo czasu w samolotach - zauważyła przypominając sobie ich rozmowę.

- Moja praca zmusza mnie do częstych podróży.

Założyła sztywno nogę na nogę i ostrożnie wypila łyk szampana.

- A na czym polega twoja praca?

- Zdziwisz się, kiedy ci powiem - roześmiał się ujmująco. - Mam jedną z największych hodowli bydła w Ameryce. Phyl wybuchnęła zdumionym śmiechem.

- Nie tak wyobrażałam sobie prawdziwego kowboja.

- Może teraz nie. Ale nim byłem i nadal jestem, kiedy zajdzie taka potrzeba. Jako dziecko uwielbiałem jeździć konno i zaganiać bydło. A teraz są tylko liczby i procenty, podatki i arealy, rządowe subwencje i milion innych problemów. Ale myślę, że nadal to kocham. A przynajmniej kocham ziemię. I tradycję. Ranczo Kanoi założył mój dziadek. Po jego śmierci odziedziczył je ojciec, a teraz należy do mnie, mamy je więc od trzech pokoleń. Może to nie najstarsze ranczo w Stanach, ale jest jednym z kilku, które nadal pozostają w tej samej rodzinie.

- To cudowne kochać to, co się robi, i kim się jest.

- Naprawdę to kocham. Namiętnie. Można powiedzieć, że to mój *raison d'etre*. Jego oczy spoważniały.

- Nigdy nie rozstałbym się z Kanoi, choć sam Bóg wie, jak wiele Miałem propozycji. I to wspomniałych - głównie od Japończyków. Ale Kanoi nigdy nie przestanie należeć do rodziny. Nigdy. Prędzej bym umarł.

- A kiedy naprawdę umrzesz, kto je po tobie odziedziczy?

Miał zagadkowy wyraz twarzy.

- Jak to kto, oczywiście mój syn.

Phyl pomyślała z żalem, że mogła się była tego domyślić. Wszystko było za piękne, aby mogło być prawdziwe - miał żonę.

- A ile ma lat twój syn? - zapytała na tyle niedbale, na ile ją było stać, upijając łyk szampana. Wybuchnął śmiechem.

- Na razie zero. To wizja przyszłości. Muszę jeszcze przedtem znaleźć żonę. Żonę doskonałą - nappełnił jej szklankę, a w jego oczach zabłyśły iskierki. Przejście od powagi i głębi do flirtu było tak nagłe, że Phyl się zdumiała.

- Opowiedz mi o sobie - rzucił rozkazująco. Roześmiała się niepewnie.

- To ja zazwyczaj zadaję pytania. Nie jestem pewna, czy mam ochotę znaleźć się po przeciwnej stronie.

- Nie masz przecież nic do ukrycia, prawda?

- Stwierdziłam, że większość ludzi coś ukrywa - powiedziała poważnie. - Może nawet ty i ja.

Zacząła opowiadać mu o swojej pracy i o wypełnionym obowiązkami życiu.

- Ciągłe gdzieś się śpieszę - przyznała z westchnieniem - ze studia telewizyjnego do szpitala, potem do pacjentów, do pisania, na wieczory autorskie. Muszę wyznaczyć, że wyjazd do Paryża to wymówka, aby na tydzień uciec od tego wszystkiego. - Roześmiała się. - Czuję się jak dziecko na wagarach.

Frangois powrócił z butami, cudownie suchymi i wyglądającymi jak nowe. Włożyła je na nogi i ruszyli do bistro Chez Georges, które mieściło się tuż za rogiem.

Kiedy szli, Brad objął ją ramieniem, przytulając do siebie i osłaniając parasolem. Dostosowując krok do długich nóg swego towarzysza, Phyl czuła ciepło jego ciała, bliskość, dotyk dłoni. Delikatny, intymny ucisk jego ramienia na barkach wywoływał w niej dreszcz podniecenia, tak aż odsunęła się w obawie, że on to wyczuje. Powiedziała sobie ostro, że zachowuje się jak uczennica z liceum podczas pierwszego pobytu w Paryżu, ale po chwili uśmiechnęła się lekceważąco. Od dawna nie bawiła się tak dobrze i nie czuła się tak młodo i beztrosko.

Bistro było zatłoczone. Lamy rzucały kręgi złotego światła na stoły nakryte białymi obrusami, a w powietrzu unosił się aromat dobrego jedzenia i miękki szmer francuskich rozmów. Phyl nie rozumiała ich i siedząc z Bradem przy narożnym stoliku czuła się odizolowana od wszystkich.

Kręciło jej się w głowie od wina i zmiany czasu i zdawała się być kimś innym niż spokojna, opanowana, zapracowana doktor Forster. Tak jak gdyby tego wieczoru zostawiła za sobą swój prawdziwy świat i wszystkie sprawy. Czuła się kobieca, zmysłowa i pełna życia. A także, co zauważyła z pewnym zdenerwowaniem, mniej pewna siebie. Lecz Brad Kane był czarujący, przystojny i seksowny, a ona czuła się w Paryżu swobodna i wolna. Tego wieczoru, u Georges'a, życie wydawało się piękne.

Brad złożył zamówienie u kelnera i zaczął opowiadać o swoim idyllicznym dzieciństwie na Hawajach. O rodzicach: przystojnym ojcu i oszałamiająco pięknej matce. O swobodnym życiu na ich własnej prywatnej wyspie, wielkim domu w posiadłości Diamentowa Głowa i tysiącach hektarów ziemi na największej wyspie archipelagu.

Phyl zachwyił ten doskonały świat. Różnił się tak bardzo od bolesnych opowieści rodzinnych, które zazwyczaj słyszała, i pomyślała, że Brad jest prawdziwym szczęściarzem.

- To mój ojciec zaszczepił we mnie głęboką miłość do Kanoi - mówił, a Phyl pomyślała oczarowana, że ma głos głęboki i jedwabisty jak czerwone wino, które właśnie piła. - Dzięki niemu poznałem historię Hawajów, dzieje rodziny Kane'ów, która ciężko pracowała przez prawie sto lat na nasze dziedzictwo. Ojciec mówił mi o pocie, brudzie i bólu, które uczyniły z Rancza Kanoi to, czym jest dzisiaj. Chłonałem jak gąbka jego mądrość. Przekazał mi swe wartości. Powiedział, że nazwisko Kane i Ranczo Kanoi są dla nas najważniejsze i nic więcej się nie liczy. - Mówiąc to spojrział szczerze w rozszerzone, szafirowe oczy Phyl. - Dlatego tak dużo podróżuję. Dzielę czas pomiędzy Europę, gdzie zajmuję się naszymi interesami, i ranczo na Hawajach.

- Opowiedz mi o swoim ojcu - poprosiła Phyl, zainteresowana wszystkim, co dotyczyło życia Brada. - Zdaje mi się, że był dynamiczną osobowością.

- Owszem - roześmiał się. - Jack Kane był twardym mężczyzną. Dużo pił. Nikomu nie ufał i nie miał przyjaciół, ale kobiety twierdziły, że jest fascynujący. Był wysoki, przystojny, wysportowany. Jeździł na koniu lepiej niż kowboj. Przyglądałem mu się jako dziecko i pamiętam, że myślałem, iż jest uosobieniem wdzięku, kiedy niemal płynie na koniu, jak gdyby stanowiąc z nim jedną całość. Żył dla Kanoi.

- A twoja matka? Oczy Brada pociemniały.

- Matka była rozpieszczona i kapryśna, ale trudno wyobrazić sobie piękniejszą kobietę. Była obdarzona urokiem, który jak zatruta strzała przebija serca mężczyzn. Ojciec wściekał się, kiedy inni mężczyźni patrzyli na nią, choć sam nie był jej wierny.

- Czy ona o tym wiedziała?

- Myślę, że tak - powiedział i patrząc w zamyśleniu w kieliszek, pociągnął łyk wina. Potem jak gdyby uświadamiając sobie, że zbyt się odsłonił, dodał lekko: - Muszę pamiętać, że mam do czynienia z psychiatrą. - Uśmiechnął się promiennie do Phyl i zmienił nastrój z szybkością, która ją zadziwiła. - Ani się obejrzę, jak położysz mnie na kanapce i okaże się, że mam mnóstwo kompleksów i fobii, których nigdy nie podejrzewałem.

Phyl czuła jak wzdłuż jej kręgosłupa pełnie powoli uczucie zmęczenia, nogi i ręce stały się nagle ciężkie, a powieki zaczęły opadać, jakby miała na nich odważniki. Ziewnęła, usprawiedliwiając się, a Brad rzucił szybko, że to jego wina i że oboje nie przestawili się jeszcze na czas europejski.

Poszli z powrotem do mieszkania, po samochód Brada, czarne ferrari. „Cóż innego mógłby posiadać taki mężczyzna”, pomyślała Phyl, opierając się sennie o miękkie skórzane oparcie w drodze do domu.

Zatrzymał samochód przed hotelem i odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Dawno nie spędziłem tak miłego wieczoru - powiedział miękko. - Dziękuję, doktor Phyl. - Wstrzymując oddech w oczekiwaniu na pocałunek zajrzała mu w oczy. - Powinniśmy spotkać się znowu. - Pocałował jej dłoń. - Czy mogę do ciebie zadzwonić?

- Jestem zajęta na konferencji, a we wtorek wyjeżdżam na Riwierę - odrzekła z żalem.

- Będę o tym pamiętał - powiedział. Pomachała ręką, kiedy odjeżdżał, znikając wśród innych samochodów.

Następnego wieczoru, po powrocie z konferencji, zastała mnóstwo białych tulipanów i frezji wraz z karteczką od Brada: „Kolacja dzisiaj wieczorem? Proszę, powiedz tak”.

Nie zastanawiając się wymówiła się od przyjęcia dla uczestników konferencji i zadzwoniła do niego.

- Zabiorę cię do jednej z najstarszych i najlepszych restauracji w Paryżu - obiecał.

Nie mogła się zdecydować, którą sukienkę włożyć, w końcu, po długim namyśle wybrała czarną koronkową, krótką i kobiecą. Uśmiechnęła się, przypominając sobie

uwagę Mahoneya na temat czerwonego koloru, i wsunęła we włosy czerwoną różę, a w uszy wpięła kolczyki z rubinami i diamentami. Kiedy spojrzała na siebie w lustrze, ujrzała inną kobietę, ożywioną, pełną miękkości, seksowną. Westchnęła głęboko, ale tym razem nie miało to nic wspólnego ze zmęczeniem lub smutkiem. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła się kobietą.

Na dole, w barze, Brad popatrzył na nią z podziwem.

- Amerykanin powiedziałby, że wyglądasz jak milion dolarów - powiedział całując z galanterią jej dłoń. - Lecz dziś wieczorem to Francuz musi powiedzieć, że jesteś ravissante.

Zabrał ją do Le Grand Vefour. Rokokowa sala jadalna, ze złożonymi lustrami i ogromnymi bukietami, wydała się Phyl boska, jedzenie było pyszne, a wina wyszukane. Brad Kane troszczył się o nią, jak gdyby była jakimś cennym cieplarnianym kwiatem. Uśmiechnęła się czując, jak rozkwita w ciepłe jego subtelnym komplementów, myśląc o tym, jak kiedyś powiedziała Mahoneyowi, że jest królową śniegu. Mahoney nie uwierzył jej i teraz okazało się, że miał rację. Czowała niemal, jak się roztopia pod ciepłym spojrzeniem Brada.

Był idealnym gospodarzem i najbardziej opiekuńczym towarzyszem, polecał potrawy, które jak sądził, będą jej smakowały, zamówił jej ulubione czerwone wino, wskazywał znakomitości znajdujące się na sali. Opowiedział historię starej restauracji, historyjki i plotki z życia Paryża. Zadał sobie wiele trudu, aby ją zabawić, i odniósł sukces - Phyl była oczarowana.

Kiedy podano kawę, uśmiechnął się i powiedział spokojnie:

- Zdaje mi się, że dzisiaj tylko ja mówiłem. A ty? Opowiedz mi o swoim życiu, Phyl. O swojej fascynującej pracy. Z żalem wróciła do rzeczywistości.

- Fascynuje mnie odkrywać, co kryje się w umysłach ludzi - przyznała. - Zdziwiłbyś się, jak szokujące marzenia mają na pozór zwykli ludzie, a osoby odnoszące niezwykle sukcesy mówią mi, że ich życie pełne jest rozpacz i niewiary w siebie. Zajmuję się ludźmi z psychozą depresyjną, którzy nie widzą sensu życia, i sogopatami, którzy popełniają okropne czyny i nie mają wyrzutów sumienia. Mam do czynienia z prześladowanymi dziećmi, pełnymi problemów nastolatkami, młodymi matkami, które na skutek zachwianej równowagi psychicznej pragną zabić swoje dzieci. - Potrząsnęła głową patrząc smutnie na swój kieliszek wina. - Czasem po powrocie do domu zastanawiam się, czy ktokolwiek na tym świecie jest normalny. Włącznie ze mną.

- Nie powinnaś brać na siebie ciężaru ich problemów - stwierdził Brad - to chyba źle.

- Oczywiście, że nie powinnam. Próbuję tego nie robić. W nocy staram się zrelaksować, zapomnieć o tym. Wypijam kieliszek wina, słucham muzyki, czytam. Tylko w jednym przypadku pozwoliłam sobie zaangażować się osobiście, dlatego że potrzebuję tego tak samo jak ta osoba. To przypadek utraty pamięci.

- Z pewnością nie jest trudno przywrócić komuś pamięć - rzekł Brad. - Przecież przychodzą krewni, brat, mąż albo matka?

- Nie do tej dziewczyny. Straciła pamięć na skutek wypadku i jak na razie nikt się po nią nie zgłosił - uśmiechnęła się. - Mówię o niej jak o zagubionej rzeczy.

- Na swój sposób nią jest.

- Przypuszczam, że tak. Nie zdołałam jeszcze przywrócić jej pamięci. Teraz próbuję resocjalizować ją, aby powróciła do normalnego życia. Znalazłam jej pracę u mojej przyjaciółki. W przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Antibes, właśnie po to aby się z nimi zobaczyć.

- Sprawdź, jak postępuje eksperyment? - pytanie wydało Phyl się cyniczne.

- To nie przypadek kliniczny - odparła z odcieniem dawnej pewności siebie. - Moja pacjentka jest po prostu młodą kobietą. To, że mogę jej pomóc, wiele dla mnie znaczy.

- Touche, pani doktor, ale - uśmiechnął się przepaszająco - ja po prostu nie mam czasu na choroby umysłowe. Złamana noga - podkreślił wyrazistym gestem - to potrafię zrozumieć. Ale szaleństwo? Nigdy.

- Moi pacjenci to nie szaleńcy - zaprotestowała. - Mają po prostu problemy ze sobą.

Roześmiał się i wziął ją za rękę. Odwrócił dłoń do góry i czule ucałował. Patrząc na nią, powiedział:

- Myślę, że jesteś bardzo szlachetną i piękną damą, doktor Phyl Forster.

W jego jasnoniebieskich oczach błysnęło pożądanie. W jednej chwili Phyl zapomniała o pracy, morderstwach i Bei. Widziała tylko oczy Brada, czuła jego dotyk. Nagle niemal zabrakło jej tchu z pożądania.

Wypłynęła z restauracji wsparta na jego ramieniu, ledwie zdając sobie sprawę, że pracownicy mówią im grzecznie do widzenia. Pojechali w milczeniu do mieszkania Brada, nie dotykając się, lecz świadomi swojej bliskości. Zostawili samochód w podziemnym garażu i trzymając się za ręce poszli do windy.

Kiedy na nią czekali, Brad otoczył Phyl ramionami i zaczął całować. Delikatnie, drobnymi pocałunkami pokrywał jej twarz, oczy, szyję. Winda brzęknęła i wysiadło eleganckie starsze małżeństwo. Popatrzyli z rozbawieniem na przytuloną parę, ale Phyl nawet tego nie zauważyła.

Kiedy znaleźli się sami w windzie, Brad wsunął ręce pod jej płaszcz. Przyciągnął do siebie, przytulając mocno, zbliżył swe usta do jej warg. Przebiegło ją rozkoszne drżenie, chciała, by pocałunek nigdy się nie skończył. Kiedy winda zatrzymała się w hallu apartamentu, Brad wziął Phyl w ramiona i zaniósł do mieszkania, nie przestając całować. Osunęli się zagubieni w sobie na wielką sofę krytą brokatem. W końcu przestał ją całować, przyglądał jej potargane włosy i zajrzał pytająco w oczy. Odnalazł w nich odpowiedź pełną pożądania. Uniósł podbródek i usta Phyl do swoich, pijąc ją jak wino. Poczula jakby prąd elektryczny przebiegł od jej ust ku piersiom, z dołu brzucha do palców u nóg i jęknęła ze szczęścia.

Nie opierała się, gdy wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni. Lampy o cienistych abażurach rzuciły miękkie kręgi światła na duże wsparte na czterech kolumnach łoże z baldachimem. Za kratą ozdobnego kominka płonął ogień. Ciemny parkiet pokrywały jedwabiście miękkie dywany o delikatnym szaroróżowym odcieniu, a długie zasłony broniły nocy dostępu. Byli w swoim własnym świetle, miejscu, w którym Phyl nie przebywała od dawna. A może nigdy przedtem.

Odwrócił ją i rozpiął zamek czarnej koronkowej sukienki. Uwolniła ramiona i pozwoliła jej zsunąć się na podłogę. Za chwilę oboje byli nadzy.

Stali patrząc na siebie. Potem Brad wyciągnął rękę, a ona ufnie podała mu swoją. Przyciągnął ją i ich drżące, nagie ciała przylgnęły do siebie. Odrzuciła głowę w ekstazie, kiedy zaczął całować najpierw jej szyję, potem piersi, aż oboje upadli na łóżko. Włożył pod nią ręce i uniósł jej ciało do ust, aby pić z niego, aż zaczęła drżeć, jęczeć i błagać o litość. Dopiero wtedy w nią wszedł. Był wymagającym kochankiem, żądał więcej niż przypuszczała, że ma do ofiarowania. Objęła go ciasno nogami wspinając się raz po raz na niemal nieosiągalny szczyt pożądania. Później, kiedy przez długi czas spoczywali milczący i wyczerpani, ich ciała wciąż przebiegały dreszcze.

Brad oparł się o poduszki leżąc z rękami pod głową. Popatrzył na Phyl i powiedział miękko:

- Nie czułem czegoś takiego, odkąd skończyłem czternaście lat.

Uśmiechnęła się do niego, ciągle zanurzona w słodkiej, gorącej mgle. Czekwała leniwie na opowieść o pierwszej miłości, o jakiejś dziewczynie ze szkoły i pierwszym pocałunku, który sprawił, że ziemia uciekła mu spod chłopięcych nóg.

Lecz głos Brada zabrzmiał niespodziewanie twardo, kiedy zaczął mówić.

- Miałem czternaście lat i przepełniała mnie ciekawość seksu, chociaż nie posiadałem żadnej wiedzy praktycznej. Kiedy pewnego popołudnia jeździłem na rowerze, pękła mi opona. Ponieważ zdarzyło się to tuż obok domu przyjaciela mojego ojca, poprowadziłem rower wzdłuż podjazdu mając nadzieję, że ktoś mi pomoże.

Zastałem otwarte drzwi, ale wokół nie było nikogo. Zajrzałem do pustego hallu, a potem okrążyłem dom spodziewając się znaleźć gospodarza na korcie tenisowym lub przy basenie. Okno pokoju, który nazywano bawialnią, było otwarte i usłyszałem dobywający się stamtąd dźwięk. Zatrzymałem się nad słuchując. Był to dziwny, niesamowity głos. Coś nakazało mi ostrożność, na palcach podszedłem bliżej i zajrzałem przez okno.

Zobaczyłem nagą kobietę leżącą na ogromnym złocistym futrze. To z jej ust wydobywał się ten dziwny dźwięk. Miała nogi owinięte wokół szyi mężczyzny, jego ręce podtrzymywały jej pośladki i uda. Zdawał się ją pożerać, ona zaś jęczała i krzyczała. Miała zamknięte oczy, a twarz zniekształconą namiętnością.

Brad w milczeniu patrzył w sufit, a Phyl czekała zastanawiając się, co będzie dalej. Po chwili powiedział:

- To było moje pierwsze doświadczenie seksualne i na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Uciekłem zawstydzony, ale nigdy nie zapomniałem tego widoku. Wyrył niezatarte piętno w mej pamięci i przysięgam, że nigdy w życiu nie kochałem się nie mając przed oczami tej sceny.

- Wyobrażam sobie - powiedziała ze zrozumieniem Phyl. - Pierwsze doświadczenie pornograficzne.

- Coś więcej. - Brad wstał i podszedł nagi do okna. Wziął ze stołu paczkę gitane'ów, wytrząsnął jednego papierosa i zapalił. Zaciągnął się głęboko, wypuszczając ostro pachnący dym i patrząc niewidzącymi oczyma na obsypany liśćmi, oświetlony lampami dziedziniec. Jego głos brzmiał lodowato kiedy powiedział w końcu. - Mężczyzna był przyjacielem domu i dobrze go znałem, a kobieta, którą tak chciwie pożerał, była moją matką.

Oczy Brada były przerażająco puste. Phyl zrozumiała, że zagląda mu w głąb duszy i nie wiedziała, jakimi słowami go uspokajać. Nie wiedziała, co powiedzieć swemu kochankowi. Traktując sprawę profesjonalnie, zachowując dystans konieczny między pacjentem a lekarzem, potrafiłaby znaleźć rozwiązanie, właściwą odpowiedź, która uwolniłaby go od gorzkich wspomnień. Lecz ta sytuacja była inna. Leżąc nago w jego łóżku, jeszcze gorąca od ich miłości, mogła tylko powiedzieć: „Przykro mi”.

Wzruszył ramionami z ponurą miną.

- Taka właśnie była Rebeka. Nie dowiem się nigdy, jak mój ojciec znosił to przez te wszystkie lata. Ani dlaczego. Był przystojny, bogaty, odnosił sukcesy, ale matka wywodziła się z towarzystwa, z miejscowej arystokracji, a on był tylko synem ranczera. Musieli sobie jednak nawzajem odpowiadać. Nigdy z nim o tym nie rozmawiałem i nigdy nie powiedziałem nikomu o tym, co zobaczyłem. - Podszedł do Phyl i pocałował ją lekko w policzek. - Nie powinienem był opowiadać tego nawet tobie. Wybacz mi.

Naturalnie wybaczyła, lecz wciąż jeszcze była zaszokowana. Zmiany jego nastroju, przechodzące od powagi do nienaturalnej wesołości, były niepokojące.

Odepchnął od siebie dręczące go zmyślenia i zabrał Phyl na śniadanie do Cafe Flore. Potem robili zakupy na rue du Cherche - Midi i szperali w książkach u bukinistów nad Sekwaną. Phyl zupełnie zapomniała o konferencji na którą przyjechała do Paryża.

Brad był przystojny, czarujący i zabawny. Byli teraz tak pociągający seksualnie dla siebie i tak zwariowani na swoim punkcie, że sądziła iż ludzie muszą czuć bijący od nich żar, kiedy przystawali w drzwiach sklepu, aby się bezwstydnie całować lub tylko zajrzeć sobie głęboko w oczy. W ogarniającej ich gorączce seksualnej pragnęli tylko siebie. Phyl zapomniała o Bei, o Millie, o Franku Mahoneyu. Potrafiła myśleć tylko o Bradzie.

Spędzali długie zmysłowe popołudnia za zasłoniętymi oknami jej sypialni, romantyczne wieczory w nastrojowo oświetlonych bistrach i cudowne noce w jego mieszkaniu. Wchodząc zrzucali ubrania dotykając się, całując i pożerając nawzajem. Pewnej nocy Brad nie czekając nawet, aż się rozbiorą, wziął Phyl opartą o ścianę, podnosząc ją i wchodząc w nią dziko. Krzyczała z bólu, ale nie przestał, dopóki nie osunęli się spleceni na podłogę, śmiejąc się i płacząc zarazem. Kochali się wszędzie, w jego łóżku, w wielkim salonie na leżącym przed kominkiem beczennym dywanie z Aubusson i w kabinie prysznica, śliscy od mydła i własnych soków.

W poniedziałek wieczorem Phyl wreszcie opamiętała się i przypomniała sobie, że następnego ranka powinna polecieć do Nicei. Byli w mieszkaniu Brada i właśnie skończyli się kochać. Kiedy mu to powiedziała, stał w oknie sypialni paląc papierosa.

Popatrzył na nią w milczeniu, a potem odwrócił się i błędził wzrokiem po dachach.

- Odwołaj to - rzucił zimno.

- Nie mogę. Obiecałam.

- I obietnica znaczy dla ciebie więcej niż ja?

- Proszę, Brad, nie bądź dziecinny. Sam wiesz, że to nieprawda. Wolałabym być tutaj z tobą.

- Więc dlaczego tego nie odwołasz? Dlaczego nie pojedziesz tam kiedy indziej?

Phyl pokręciła głową, śmiejąc się z jego niemądrego zachowania, skrycie zadowolona, że tak bardzo jej pragnie. Usiadła na łóżku podciągając prześcieradło pod brodę i odgarnęła czarne, długie włosy, świadoma, że jej ciało jest wciąż wilgotne od potu i miłości.

- Zrozum, Brad - powiedziała prosząco. - Chodzi o moją pacjentkę, tę, która straciła pamięć. To poważna sprawa i nie mogę złamać obietnicy, którą jej dałam.

- Jak sobie życzysz - odrzekł krótko.

Patrzyła zaszokowana, jak idzie do łazienki i zamyka za sobą drzwi. Słuchając szumu prysznica, zastanawiała się, dlaczego nie mógł zaakceptować faktu, że ona ma coś ważnego do załatwienia. Przecież na pewno wiedział, że wolałaby być z nim. Westchnęła mówiąc sobie, że przez ostatnie dni zachowywała się nieodpowiedzialnie, a Brad z pewnością pogodzi się z jej nieobecnością, jeśli mu powie, że wróci za kilka dni.

Ale on nie odzywał się, kiedy zjeżdżali windą do garażu.

- Wracam w piątek - powiedziała, gdy odwiózł ją do hotelu.

Niebieskie oczy Brada patrzyły obco. Stała na chodniku, uśmiechając się łagodząco, ale on odjechał bez słowa.

Ze łzami w oczach wróciła samotnie do hotelu.

W pokoju zadzwonił telefon. Serce podskoczyło w niej, kiedy biegła odebrać.

- Tak, słucham! - zawołała radośnie, myśląc, że to Brad.

- Mała kontrola - powiedział wesoło Franco Mahoney. - Sprawdzam, czy dajesz sobie radę z tymi francuskimi mądralami. Chciałem ci powiedzieć, że Coco miło zadomowiła się wśród swoich krewnych. Lepiej nie zostawaj zbyt długo, bo nie zechce wrócić do domu.

Głos Franka był mocny i bezpośredni, odległy o lata świetlne od Paryża i zmiennych nastrojów Brada Kane.

- Dziękuję za opiekę nad Coco - powiedziała smętnie Phyl.
- Nie ma sprawy - po długiej chwili ciszy dodał łagodnie: - Czy wszystko w porządku? Nie mów mi, że przygnębiają cię żabojady.
- Francuzi, nie żabojady - poprawiła go automatycznie. - Nie, nie, wszystko w porządku. Pewnie zmęczona. Wiesz? zmiana czasu i w ogóle.
- Rozumiem, że jutro zobaczysz się z Beą. Chciałem przekazać jej serdeczne pozdrowienia i powiedzieć, że ciągle zajmuję się jej sprawą. Mam nadzieję, że ona też nie zrezygnowała i jeśli przyszło jej coś do głowy, wskoczę w samolot i sam się tam zjawię - dodał półżartem.
- Zadzwoń i dam ci znać - powiedziała zmęczonym głosem. - Jest późno, muszę iść spać.
- Właśnie o to chciałem cię spytać. Co ty, u diabła, robisz do czwartej nad ranem. Tak cię męczą na tej konferencji, czy co? - dzwonił co godzinę i był zaniepokojony.
- Zgadza się, Mahoney - odparła. - Dobranoc. Ucałuj ode mnie Coco.
- Zrobione - rzucił krótko.

Rozdział 17.

Zamówiony przez Millie dekorator wnętrz z Cannes wyceniał pracę, którą trzeba będzie włożyć, aby willa nadawała się do zamieszkania. Pograżona w myślach Bea czekała na frontowych schodach, patrząc przed siebie.

Zauważyła mały czerwony kabriolet Nicka, dopiero gdy ten podjechał do niej.

- Millie powiedziała mi, że tu jesteś - zawołał wesoło. - Wskakuj. Pojedziemy zobaczyć domek niani Beale.

- Naprawdę? A skąd wiesz, gdzie on jest? - jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Pobudziłem pamięć staruszka Marquanda następną kolejką pastis w Cafe du Marin Bule. Przypomniał sobie, że był niedaleko wili. Radził, żebym pojechał ulicą w dół, aż do bocznej dróżki, przy której stoi kilka domów. Powiedział, że rozpoznamy właściwy, bo jest w angielskim stylu.

Pojechali wąską wijącą się drogą, aż napotkali skupisko domów przycupniętych w załomie wzgórza. Małeńki domek miał ogrodzenie z palików i ogródek z grządkami pełnymi róż, ostróżki i stokrotek.

- Prawdziwy angielski ogród - zauważył Nick ze śmiechem.

Domek był świeżo pomalowany, miał wylewiony ogródek, a róże poprzycinane. Zglądając przez czyste okna dojrzeli skrawek schludnego pokoju. Pomimo że wnętrze było nie zamieszkałe, nie wyglądało na opuszczone. Ktoś musiał o nie dbać.

Gdy Nick poszedł wypytać sąsiadów, Bea usiadła na poobłupywanej, drewnianej ławce. W zielonym cieniu zwisającej winorośli wyobrażała sobie starą angielską damę pielęgnującą swój ogródek. Może siadywała tutaj wieczorami, by patrzeć na mieniące się w zachodzącym słońcu morze i rozmyślała o przeszłości i małym chłopcu pozostawionym jej na wychowanie.

Nick powrócił z informacją, że ktoś przychodzi co tydzień sprzątnąć dom i zająć się ogrodem. Sąsiadka podała im nazwę agencji, która to organizuje, i powiedziała, że jeśli się pośpieszą, powinni złapać tam kogoś przed dwugodzinną przerwą na dejeuner.

Pojechali szybko do sąsiedniego miasteczka. Bea czekała w samochodzie, patrząc niecierpliwie na zegarek. Wydawało jej się, że Nicka nie ma całe wieki. Kiedy wreszcie wyszedł, pomachał triumfalnie kluczem.

- Wykorzystałem cały mój urok osobisty - wyszczerzył zęby - ale praktycznie musiałem dać gwarancję w postaci konta w banku nie mówiąc o własnym życiu, zanim dama z agencji rozstała się z kluczem. Skłoniłem ją też do ujawnienia, kto opłaca ogrodnika. Dowiedziałem się, że fundacja o nazwie Fundusz Flory Beale, zarządzana przez bank w Londynie. Płacą regularnie co kwartał i damie z agencji bardzo taki układ odpowiada. Kiedy powiedziałem jej, że jestem pisarzem i mogę wspomnieć o niej w mej książce o życiu na Riwierze, zmiękła jak wosk. Natychmiast z uśmiechem wręczyła mi klucze. - Śmiał się, gdy odjeżdżali. - Oto złudny blask sławy.

Kiedy w końcu otworzyli drzwi domku i stali rozglądając się wokół, poczuli się jak intruzi. Wydawało się jakby niania Beale nadal tu mieszkała.

Domek mógł być scenerią staroświeckiego angielskiego filmu. Przed kominkiem stał duży wiktoriański bujany fotel, a obok pokryta kwiecistym kretonem sofa, zarzucona wyszywany poduszkami. Na podłodze leżał wesoły dywan w czerwony wzór, a na półce dębowego biureczka stało mnóstwo fotografii w srebrnych ramkach, przedstawiających dzieci. Okulary niani, w okrągłych szylkretowych oprawkach, spoczywały na otwartej powieści Dickensa Dawid Copperfield, tak jak je zostawiła. Szary flanelowy płaszcz wisiał w szafie obok kilku prostych sukienek. Pod nimi stały równo wygodne buty - czarne na zimę, białe na lato. Na półce leżały kapelusze z okrągłym rondem, granatowy i słomkowy, dokładnie takie, jakie opisał monsieur Marquand.

Bea westchnęła z satysfakcją rozglądając się wokół. Domek był skromny, lecz z pewnością spełniał swoje zadanie. Wąskie łóżko z wiśniowego drzewa nakryte ciężką białą kapą, proste naczynia w kuchni i puste kryształowe wazony były dobrej jakości, lecz zostały wybrane przez kobietę, która z powodu swej pracy zawsze żyła życiem innych ludzi i nie miała wiele czasu, aby wyrobić sobie własny gust. Domek świadczył, że niania Beale miała tylko rzeczy niezbędne. I to jej wystarczało.

Bea usiadła niezdecydowanie w fotelu niani.

- Nianiu Beale, nianiu Beale - szepnęła z nadzieją, kołysząc się lekko. Przesunęła dłoń po stronach książki, dotknęła okularów, jak gdyby miało to przybliżyć ich właścicielkę. - Jestem pewna, że cię znalazłam.

Przyglądała się uważnie twarzom na fotografiach: pochodziły sprzed wielu lat i przedstawiały dzieci o bardzo angielskim wyglądzie, ubrane w wykrochmalone białe sukienki i sztywne marynarskie ubranka. Dzieci siedzące w wózkach zaprzężonych w kucyki przed wielkimi angielskimi rezydencjami lub, z koszulami włożonymi w pantalony, krzywiące się od słońca na zdjęciach znad morza, utrwalone dla potomności, gdy taplały się we wzburzonym wiatrem oceanie w miejscach noszących nazwy Frinton lub Margate.

Bea z niechęcią myślała o wkraczaniu w prywatne życie Flory Beale, ale Nick powiedział jej, że niepotrzebnie ma jakieś opory.

- Jeżeli ktokolwiek wie coś na temat la celibataire i jej męża to właśnie ta kobieta - stwierdził przeszukując szafki i szuflady pełne prostych, białych, płóciennych chustek, koronkowych kołnierzyków, wykrochmalonych białych fartuchów i starych bawełnianych prześcieradeł. Niania Beale trzymała wszystko na swoim miejscu. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak musztruje swoich podopiecznych, zaszczepiając im cnoty czystości i porządku, napominając, aby myły zęby i zawsze miały w kieszeni czystą chusteczkę do nosa.

Bea z nadzieją obserwowała poszukiwania, ale jedynym ich plonem było kilka starych rachunków ze sklepu i z pralni. Nick nie znalazł niczego ważnego, choć szukał wszędzie, nawet w starym, blaszanym kufrze na strychu.

Z założonymi rękami oparł się o drzwi sypialni.

- Pomyślmy, gdzie taka stara dama mogłaby trzymać swoje sekrety? - Napotkał wzrok Bei i uśmiechnął się. Wszedł do sypialni, podniósł materac, wsunął rękę pod spód, natrafił na coś palcami i wyciągnął. - Mam! - zawołał z triumfem.

Była to duża żółta koperta wypchana papierami. Usiedli przy kuchennym stole i wyjęli wszystko, przyglądając się dokumentom, listom i małemu srebrnemu kluczykowi. Wiele listów nosiło adresy angielskich rezydencji i zawierało znakomite referencje panny Flory Beale, jej wspaniałego charakteru, zrównoważenia, całkowitego oddania dzieciom i obowiązkom. Były także dwa listy pisane po francusku. Bea i Nick popatrzyli na siebie podekscytowani. Pochodziły od Madame Marii Antoniny Leconte i dotyczyły zatrudnienia panny Flory Beale w roli opiekunki jej jeszcze nie narodzonego dziecka.

Flora Beale napisała do Madame Leconte w sprawie pracy niani.

„Miło mi będzie podjąć trud pracy w innym kraju” - miała okrągłe, staranne pismo kobiet, których wykształcenie, jak zwierzyła się w liście Madame - ograniczało się do szkółki parafialnej, a skończyło gdy miała lat trzynaście i poszła na służbę do miejscowego dworu w Oxfordshire.

„Jednak przez wiele lat zdobyłam doświadczenie w pracy z dziećmi - pisała w końcu listu - aż z pewnością zgodzi się Pani, że jeśli chodzi o opiekę nad dziećmi, nie ma lepszego wykształcenia niż doświadczenie.”

Madame Leconte odpisała natychmiast po angielsku, proponując jej pracę. Napisała, że dziecko, którego się spodziewa, jest dla niej wszystkim... Znaczy dla mnie więcej niż własne życie."

Bea podniosła oczy znad tych smutnych słów.

- Monsieur Marquand miał rację - powiedziała drżącym głosem. - Madame Leconte wiedziała, że musi umrzeć.

- Zastanawiam się - zamyślił się Nick - czy myślała wówczas, że jej mąż zdolny jest posunąć się do morderstwa. A jeśli tak, dlaczego nie starała się temu przeciwdziałać.

- Założę się, że to kobieca duma. Pamiętaj, była la celibataire, niegustownie ubraną, brzydką kobietą, zawsze z boku, zawsze samą, pomimo dużych pieniędzy. Była przedmiotem żartów przez te wszystkie lata. Nawet dzieci na ulicy ją przedrzeźniały. A potem pojawił się przystojny młody facet, udający na oczach wszystkich kochającego męża. Może miała nadzieję, że mimo wszystko myli się co do niego.

- Jest tutaj coś jeszcze - powiedział Nick. Trzymał w ręku dokument związany różową, urzędową taśmą. - Spójrz, niania Beale nawet zadała sobie trud i poświadczyła to u notariusza.

Głowa przy głowie zagłębili się w słowa Flory Beale.

„Muszę zapisać to wszystko - czytali - aby pewnego dnia ci, którym będzie na tym zależało, poznali prawdę.”

Niania pisała:

„To proste. Wiedziałam wszystko, od chwili kiedy zobaczyłam męża. Ożenił się z biedną Marią Antoniną Leconte dla pieniędzy. Bo na cóż przystojnemu, bezwzględemu mężczyźnie potrzebna byłaby kobieta taka jak ona?

Madame Leconte poprosiła mnie, abym zaczęła pracę trzy miesiące przed narodzeniem dziecka, abym - jak powiedziała - mogła przyzwycząić się do obyczajów nowego kraju. Ale w głębi serca domyślałam się, że chodzi o dotrzymanie jej towarzystwa. Była bez wątpienia najsamotniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałam.

Poznałam Madame na krótko przed jej śmiercią, ale przekonałam się że jest uprzejma, delikatna i inteligentna, chociaż nie była dobrze urodzona i nie posiadała «dobrego smaku» moich poprzednich pracodawców. Nie miałam wątpliwości, że dziecko jest dla niej wszystkim i że nie ufa swojemu mężowi.

Madame dała mi list, który napisała dla swego nie narodzonego maleństwa, i poprosiła o przechowanie go w bezpiecznym miejscu. Miałam oddać go dziecku «jeżeli cokolwiek się stanie i umrę przed nim», powiedziała, patrząc smutnie ciemnymi oczami, jak gdyby przewidywała, co stanie się zaledwie kilka tygodni później.

Madame Leconte przekazała mi swój depozyt, a także to co miała najcenniejszego - dziecko - więcej warte dla niej niż wszystkie pieniądze. Poprosiła, żebym, jeśli coś się stanie, zaopiekowała się nim. Oczywiście obiecałam jej to. Każda kobieta by to zrobiła.

W zamian za to była dla mnie hojna. Powiedziała, że nigdy nie zabraknie mi pieniędzy. Kupiła nawet domek i ustanowiła fundusz, z którego przez całe życie będę dostawać rentę.

Kiedy zdarzył się wypadek, byłam na pierwszym piętrze, w dziecinnym pokoju. Usłyszałam podniesione głosy, a potem głośny huk, jak gdyby z pistoletu. Przestraszyłam się, a hałas obudził maleństwo, które zaczęło płakać, tak że dopiero po paru minutach wybiegłam na górny stopień z dzieckiem w ramionach.

Patrzyłam wstrząśnięta na okropną scenę rozgrywającą się poniżej. Madame Leconte leżała twarzą do ziemi na marmurowej podłodze, a wszędzie wokół, jak wydawało się mym przerażonym oczom, była krew.

Mąż nadszedł z biblioteki. «Mój Boże, wypadek!», zawołał jak na mój gust raczej teatralnym głosem. Zbiegła się służba i patrzyła na nieruchome ciało Madame. «Idźcie. Idźcie stąd!», wrzasnął na nas i odpędził gniewnie. To «coś okropnego», czego lękała się Madame Leconte, w końcu się wydarzyło. I chociaż mąż powtarzał, że był to wypadek, w głębi duszy wiedziałam, że ją zabił.

Następnego dnia pochowano biedną Madame, a zaraz potem mąż wyjechał do Paryża porozmawiać z prawnikami i już nie powrócił. I tak zostałam rzeczywistą opiekunką młodego pana Jeana Leconte, do którego zawsze, z najgłębszym uczuciem, zwracałam się Johnny.

Obiecałam Madame, że będę strzegła jej syna. Przez pięć lat udawało mi się dotrzymywać obietnicy i żyliśmy spokojnie w willi Mimoza. Lecz kiedy w końcu zdarzyło się to, czego się obawiałam, nie miałam dość siły, by przeciwstawić się wrogowi."

Bea wiedziała, co będzie dalej, zanim jeszcze zaczęła czytać. Widziała to w ciemnych zakamarkach swego umysłu, przeczuwała jak w swym śnie.

Był czerwcowy poranek, godzina wpół do ósmej. Ptaki powitały już słońce i ucichły, a najmniejszy powiew nie poruszał powierzchni wody w ozdobnych sadzawkach. Nic nie zakłócało ciszy, a kamerdyner skinął z szacunkiem głową, otwierając drzwi ciemnowłosemu chłopcu, który mijając go wybiegł na portyk węsząc powietrze z żarliwością wypuszczonego na wolność szczeniaka.

Było to małe, ciemne, pomarszczone pięcioletnie dziecko, chude, o patykowatych rękach i nogach i inteligentnych brązowych oczach. Nie przypominał ani trochę swego jasnowłosego, niebieskookiego, przystojnego ojca i nie miał jego zdrowia. Niania Beale, pamiętając o obietnicy danej zmarłej matce, chowała go w cieplarnianych warunkach, z dala od innych dzieci, lękając się zarazków. A pamiętając o jego bogactwie i przyszłej pozycji społecznej, ubierała w jedwab od stóp do głów, niczym małego lorda Fauntleroy.

Niania była jego przyjacielem, a kamerdyner, szofer, pokojówki i ogrodnicy - towarzyszami. Szafy pokoju dzieciennego wypełniały wszystkie możliwe zabawki i gry, choć nie miał żadnych przyjaciół w swym wieku, z którymi mógłby się nimi bawić. Najukochańszą rzeczą, którą posiadał i najprawdziwszym przyjacielem był piesek o imieniu Fido, wełniany, ponieważ niania powiedziała, że prawdziwy, żywy pies jest zbyt brudny, ma pchły i roznosi niebezpieczne „zarazki”.

Odkąd Johnny pamiętał, życie wokół niego toczyło się w ten sposób, i był szczęśliwym dzieckiem, bo nie znał innego i stanowił centrum swego małego wszechświata.

Siedział na marmurowych stopniach, czując ich chłód przez krótkie jedwabne spodenki i radośnie rozglądał się po swej posiadłości. Poranne powietrze było tak świeże, jak nadzieja w sercu chłopca, że ten dzień będzie jeszcze lepszy niż poprzedni. Poprzez trawniki i wielkie cedry patrzył na leżące daleko w dole lazurowe morze. Słyszał dobiegający z pobliskiego ogrodu różanego skrzek paw i wdychał zapach rozmaitych kwiatów, których nazw nauczył go ogrodnik. Najbardziej lubił pachnącą tylko wiosną mimozę, od której wzięła swą nazwę willa.

Żółte i niebieskie kanarki oraz wesołe papużki świergotały w srebrnej ptaszarni, którą, jak powiedziała niania, dziadek zbudował dawno temu w prezencie urodzinowym dla jego matki, a przyjemny plusk wody we wspaniałej fontannie na dziedzińcu mieszał się z szumem rwącego strumyka wypływającego z grotu na wzgórzu za domem.

To było jego królestwo, jego cały świat.

Wtem zadźwięczał brązowy dzwonek przy bramie. Chłopiec z zainteresowaniem podniósł głowę, mrużąc oczy od słońca.

Na żwirze zaskrzypiały kroki. W jego kierunku nadchodził wysoki, przystojny mężczyzna. Słońce lśniło na jego jasnych włosach. Mężczyzna stanął u stóp schodów i popatrzył na niego. Chłopiec usłyszał za sobą odgłos stóp nadbiegającej niani Beale. „To dziwne - pomyślał, uśmiechając się do przybysza - niania nigdy nie biega, uważa, że to damie nie przystoi.”

Choć mówiono mu, aby nigdy nie rozmawiał z obcymi, powiedział, uśmiechając się ufnie:

- Jestem Johnny Leconte, a pan?

Mężczyzna przyglądał się chłodno jego ziemistej cerze, wątlej budowie i jedwabnemu ubranku.

- Jestem twoim ojcem - odparł w końcu obojętnym tonem i zwracając się do niani Beale rzekł: - Spakuj go. Zabieram go ze sobą. - Zupełnie jakby chłopiec był przesyłką.

- Dokąd jedziemy? - dziecko z lękiem zwróciło się do niani i ujrzało w jej oczach przerażenie.

- Do kraju pogan - jęknęła. - Na koniec świata. Chłopca ogarnął nieokreślony strach. Nadpłynęła ciemna chmura, zasłaniając piękny poranek, śpiew ptaków, światło słońca. Zasłaniając cały jego świat.

„Kochałam to dziecko - pisała niania. - Pragnęłam dotrzymać obietnicy danej Madame, tak jak ona dotrzymała swojej. Choć moje serce drżało na samą myśl o podróży, za nic w świecie nie mogłam pozwolić, by mój mały chłopiec jechał sam z tym złym człowiekiem. Moim obowiązkiem było pojechać razem z nim. Zastanawiałam się jednak, dlaczego po tylu latach powrócił po swego syna.

Nastąpiła najokropniejsza podróż w moim życiu. Na włoskim statku, który z Marsylii płynął do Ameryki, umieszczeni zostaliśmy z Johnem w nędznej małej kabinie najniższej klasy. Jego ojciec królował w pierwszej, nie zwracając żadnej uwagi na obecność syna. Kiedy na środkowym Atlantyku napotkaliśmy sztorm, rozchorowałam się i byłam przykuta do koi, a biedny mały Johnny był pozostawiony sam sobie. Potem Nowy Jork i nie kończąca się podróż pociągiem przez Amerykę, wielki, barbarzyński kraj. Musieliśmy spać na siedząco, choć wiedziałam, że jego ojciec wysypia się w luksusach, gdzieś w innej części pociągu.

Po przybyciu do San Francisco pojechaliśmy do wspaniałego hotelu. Monsieur Leconte wysiadł szybko z samochodu, ale gdy ruszyłam za nim, zatrzasnął mi drzwi przed nosem, mówiąc, że zostały już wydane inne, dotyczące nas rozporządzenia. Mieliśmy sami udać się następnym statkiem do Honolulu.

Na pokładzie pełno było silnych, podejrzanie wyglądających mężczyzn, ale nie mogłam okazać strachu przed Johnnym, który dzięki Bogu zbyt interesował się wszystkim naokoło, by się bać. Łódź była stara i zardzewiała, z załogą okropnych pogańskich Chińczyków, którzy nie mówili ani słowa po angielsku. Podróż wydawała się trwać bez końca. Przez wiele dni szalał sztorm i byłam pewna, że wielkie zielone fale nas pochłoną. I co za jedzenie tam dawali, obce, pogańskie, nie nadające się do spożycia. Johnny i ja musieliśmy przetrwać na diecie z gotowanego ryżu.

Wreszcie, kiedy w końcu przybyliśmy do Honolulu, wsadzono nas natychmiast na inną, mniejszą łódź i przewieziono na prywatną wyspę ojca Johnny'ego. Do jego królestwa.”

Na tych słowach urywał się dokument Flory Beale. Bea i Nick popatrzyli na siebie ciekawi co było dalej. Starannie przejrzeni pozostałe papiery, ale Niania nie napisała nic więcej.

Nagle Bea zaczęła płakać cichym, rozpaczliwym łkaniem. Nick uspokajająco objął ją ramieniem.

- Biedactwo. Zrobiliśmy krok do przodu, wiesz teraz przynajmniej, choć nie wiem jakim cudem, co znaczy twój sen - powiedział odgarniając jej włosy z czoła.

- Nie rozumiem tego - szlochała. - Nick, to nie tylko słowa niani Beale. One są w mojej głowie. Strach chłopca jest w moim sercu. Czuję, jak gdyby to, przez co przeszedł, mi się przytrafiło. I po prostu nie mogę tego znieść. Boję się.

Rozdział 18.

Millie miała świeżo zaondulowane włosy. Była ubrana w pasującą do nich kolorem żółtą jedwabną sukienkę w kwiaty, do której przypięła kilka brylantowych broszek. Usta umalowała jaskraworóżową szminką. Siedziała przy stoliku, na tarasie Hotel du Cap, czekając na powrót z lotniska Bei i Phyl. Ale nie myślała o nich, tylko o nocnej rozmowie telefonicznej z adwokatem z Ohio.

- Kto, do stu diabłów, dzwoni do mnie z Ohio o wpół do trzeciej w nocy? - zapytała słabym głosem, sięgając po okulary i wkładając je na nos, jak gdyby mogły pomóc lepiej zrozumieć głos w słuchawce.

Adwokat wyjaśnił, że dzwoni z wiadomością o śmierci jej dawno nie widzianego kuzyna Fenwicka. Razem z żoną zginął tragicznie w wypadku samochodowym, osierocając dwoje dzieci. W testamencie kuzyn wyznaczył Millie, swą jedyną krewną, na ich opiekunkę. Dziećmi już się zaopiekowano i jeżeli Millie zrezygnuje z roli opiekunki, zostaną umieszczone w rodzinach zastępczych, a w końcu być może adoptowane.

- W żadnym wypadku. - Millie była zaszokowana. - Krewni to krewni, nawet jeśli do tej pory nie miałam o ich istnieniu zielonego pojęcia. Te biedactwa powinny mieć dom - ciągnęła. - Proszę im kupić wszystko, czego potrzebują, a rachunek przesłać tutaj, Muszę mieć tylko trochę czasu, by to wszystko zorganizować. Tymczasem niech im pan powie, że ciotka Millie kocha je i nie może doczekać się chwili, gdy otoczy swych podopiecznych miłością i obsypie zabawkami.

Odłożyła słuchawkę, zaskoczona, lecz zadowolona z perspektywy nagłego zostania „matką” w swoim wieku. W głębi duszy czuła, że postąpiła słusznie.

„Oczywiście wszyscy pomyślą, że to tylko mój kolejny kaprys - powiedziała do siebie parę godzin później zasypiając wreszcie. - Ale jak zwykle w tym szaleństwie jest metoda.”

Millie siedziała na tarasie patrząc rozmarzonym wzrokiem na morze, kiedy usłyszała swoje imię. Uśmiechnęła się do nadchodzących: swej starej przyjaciółki Phyl i nowej przyjaciółki Bei.

- Jesteś nareszcie, kochanie - powiedziała przyciskając ręce Phyl do miękkiego łona. - Jak zwykle wyglądasz wspaniale, nawet w tej nieśmiertelnej czerni. Zupełnie jak w żałobie, moja droga, najwyższy czas, żeby to zmienić.

- Nie ty pierwsza mi to mówisz - roześmiała się Phyl przypominając sobie Mahoneya.

Millie odsunęła ją od siebie na długość ramienia, przyglądając się krytycznie.

- Hmm - dodała - nie jestem jednak pewna, czy podobają mi się te sińce pod oczami. Czy to ta konferencja trzymała cię całe noce na nogach, a może to sprawa kogoś innego. Dla twego dobra wołałabym żeby prawdą było to drugie. Dobrze ci to zrobi.

Uśmiechnęły się do siebie. Nie miały przed sobą sekretów. Phyl wiedziała wszystko o Millie, a Millie o niej.

- Jestem pewna, że Bea opowiedziała ci już najnowsze nowiny - rzekła Millie i skinąwszy władczo na towarzyszkę, pozegłowała z godnością w stronę „swojego” stolika na tarasie. - Wydaje mi się, że posuwamy się wreszcie w dobrym kierunku, choć nie bardzo rozumiem dokąd. To twoja działka, Phyl - dorzuciła zamawiając herbatę. - A teraz mam dla was małą niespodziankę. - Popatrzyły wyczekująco, a ona uśmiechnęła się, zadowolona z wywołanego napięcia. - Nigdy byście nie zgadły... - drażniła się.

- Nie mów mi, że kupiłaś także apartament w Monte Carlo? - zapytała podejrzliwie Bea.

- Oczywiście że nie. Jestem już pełnoprawną właścicielką willi Mimoza. Czegóż mogłabym chcieć więcej?

- No, Millie. Nie trzymaj nas w niepewności - powiedziała błagalnie Phyl.

- Niebawem zostanę matką - parsknęła śmiechem, i gdy popatrzyły na nią z niedowierzaniem, opowiedziała im o telefonicznej rozmowie z Ohio.

- Nazywają się Scott i Julia Fenwick i mają dziewięć i siedem lat. Czy nie uważacie, że to wspaniałe imiona? Ten zadowolony z siebie adwokat zapytał, kiedy wracam do domu, aby mógł wysłać dzieci samolotem do Nowego Yorku. Chciałabym zobaczyć jego minę, kiedy powiedziałam mu, że dom jest właśnie tutaj na Riwierze. „Mogą przyjechać i chodzić do miejscowej szkoły - powiedziałam mu - jeżeli była wystarczająco dobra dla księżniczki Karoliny, będzie wystarczająco dobra dla nich.” Oprócz tego - dodała kładąc rękę na sercu współczującym gestem - myślę, że zmiana otoczenia zrobi dobrze biednym maleństwu po tym wszystkim co przeżyły. Powiedziałam jednak, że muszą poczekać tydzień czy dwa, aż willa będzie wykończona.

- Tydzień czy dwa - wyjąkała słabo Bea przypominając sobie zdemontowaną willę, po której szkieletcie wciąż jeszcze pełzali dekarze, stolarze i malarze. W miejscu gdzie miał być nowy basen kąpielowy, ziała wielka dziura, a ogrodnicy zajęci byli karczowaniem krzaków i układaniem warstw nowej darni.

- Cóż, może odrobinę dłużej - przyznała Millie. - Ale już dzwoniłam do tego napszonego dekoratora wewnątrz i powiedziałam mu, aby brał się do roboty. Ma ostateczny termin. Jeden miesiąc - to wszystko. Przecież - mówiła, patrząc ze wzruszeniem na Phyl - nie mogę sprowadzić tu dzieci i wysłać ich do hotelu po tak długiej podróży i po tym wszystkim co przeszły. Potrzebują porządnego domu i ja go im zapewnię.

Pomyślcie tylko, ja, Millie Fenwick, po tylu latach zostanę matką. - Na samą myśl o tym znowu parsknęła śmiechem. - Nie mógł tego sprawić żaden z moich bezużytecznych mężów. Zawsze mówiłam, że to ich wina.

Los Scotta i Julii Fenwick był głównym przedmiotem dyskusji przy obiedzie tego wieczoru i dopiero potem, kiedy znalazły się same w pokoju, Bea mogła pokazać Phyl dokument i listy niani Beale.

Phyl powiedziała, że według Mahoneya ktoś musiał opisać dziewczynie willę. - To jedyne logiczne wyjaśnienie - mówiła. - Ta sama osoba musiała opowiedzieć ci historię ojca powracającego po dziecko i dlatego to pamiętasz.

- Jeśli tak, Phyl, to dlaczego tak silnie to odczuwam? Dlaczego mam okropne przeczucie czegoś złego, jak gdybym to ja siedziała na schodach czekając aż zawali mi się świat?

- Może był to ktoś ci bliski?

- Ktoś, kogo kochałam, to masz na myśli? Ale jakim sposobem mogłam zapomnieć kogoś, kogo tak bardzo kochałam? Phyl potrząsnęła głową.

- Bea, radzę ci patrzeć przed siebie, a nie w tył. To co było - minęło. Pewnego dnia minione wydarzenia same ułożą ci się w głowie, tak jak rozpoznałaś zapach mimozy pierwszego dnia w szpitalu, i przypomnisz sobie wszystko, nawet to kim jesteś.

W miedzianobrazowych oczach Bei była rozpacz. Tylko Phyl wiedziała, jak głęboki lęk odczuwa z powodu, że nie wie, kim jest ani dlaczego ktoś próbował ją zamordować. Choć zdawała sobie sprawę, że Phyl ma rację, musiała dowiedzieć się co spotkało nianię Beale i małego Johnny'ego Leconte, przywiezionych na wyspę złego ojca.

Nick zwrócił uwagę na to, że o mężu Marii Antoniny gazety pisały zawsze jako o Monsieur Leconte. Udał się więc ponownie do Cafe du Marin Bleu zapytać Monsieur Marquanda, czy wie, dlaczego Amerykanin używał nazwiska swojej żony.

- Cudzoziemiec przybrał je, ponieważ ojciec Marii Antoniny zastrzegł to sobie w testamencie - wyjaśnił Marquand. - Napisał, że jeżeli Maria Antonina kiedykolwiek zmieni nazwisko, straci spadek. Oczywiście próbował w ten sposób powstrzymać ją od zamążpójścia. Nie mógł pogodzić się z myślą, że utraci córkę nawet po swojej śmierci i zdecydował, że przynajmniej jego nazwisko zabierze ze sobą do grobu. Jak pan widzi, chodziło przede wszystkim o spadek - dodał. - Jestem pewien, że z tego samego powodu Cudzoziemiec powrócił po swego syna.

Proszę zrozumieć, przyjacielu, że we Francji nadal obowiązuje kodeks Napoleona. Zgodnie z nim po śmierci współmałżonka nie dziedziczy się całości majątku. Dzieci mają pierwszeństwo. W tym przypadku było tylko jedno dziecko, i ono automatycznie odziedziczyło po matce połowę fortuny. Cudzoziemiec dostał drugą połowę i musiał od niej zapłacić podatek. Poza tym willa Mimoza i mieszkanie w Paryżu była to tylko część wszystkich posiadłości i pieniędzy. Według prawa, mąż nie mógł natychmiast tego sprzedać. Musiał poczekać, aż syn skończy osiemnaście lat. Wtedy wszystko mogło być sprzedane, a pieniądze podzielone.

Domyślam się więc, że kiedy Cudzoziemiec zdał sobie sprawę, że nie zwycięży francuskiego prawa o dziedziczeniu, powrócił po swoją przyszłą finansową wygraną, po syna. Ten człowiek dużo wydawał - dodał z namysłem Marquand. - Założę się, że przez pięć lat poradził sobie z większą częścią majątku odziedziczonego po Marii Antoninie i że było tego dużo mniej, niż się spodziewał. Potrzebował więc pieniędzy chłopca.

Nick zadzwonił do banku londyńskiego i umówił się następnego ranka na spotkanie z administratorami Funduszu Flory Beale.

- Może dowiemy się nareszcie, co przydarzyło się małemu Johnny'emu Leconte na dalekiej wyspie - powiedział z nadzieją do Bei odprowadzającej go na lotnisko.

Rozdział 19.

Kiedy kilka dni później Phyl wróciła do Paryża, jej pokój hotelowy wyglądał jakby wtargnęła do niego kwiaciarka. Na każdym stole stały pachnące bukiety, a na poduszce leżał nawet hawajski naszyjnik z białych orchidei. Była też wiadomość: „Tęsknię za tobą. Proszę, przebac mi. Brad”.

Phyl rozebrała się, wzięła chłodny prysznic, włożyła na szyję orchidee i zadzwoniła do Brada.

- Dziękuję za rozrzutne powitanie - powiedziała z uśmiechem w głosie.

- To także przeprosiny. Nie odważyłem się mieć nadziei, że zadzwonisz, nie zasługuję na to. Byłem chyba po prostu zazdrosny. Pokręciła głową i powiedziała z westchnieniem:

- Brad, wiedziałeś przecież, że nie jadę na spotkanie z innym mężczyzną.

- Jestem zazdrosny o każdego, kto mi ciebie zabiera.

- Nie jest to zbyt rozsądne - powiedziała z nagłym przypływem swej dawnej chłodnej niezależności.

- Owszem. Ale ja jestem nierozsądny... tam gdzie chodzi o ciebie.

Roześmiała się dotykając spoczywających na jej piersiach kwiatów. Słyszała, jak oddycha z ulgą, kiedy poprosiła, aby do niej przyszedł.

Pół godziny później otworzyła mu drzwi, naga, jedynie w naszyjniku z orchidei na szyi, a długie włosy spływały niczym chmura dymu na jej blade ramiona. Zastanawiała się, czy jej uczucia do niego nie uległy zmianie podczas wyjazdu, kiedy miała szansę poddać je próbie, lecz Brad był wciąż atrakcyjny, czarujący i tak pewny siebie jak przedtem. Przez długą chwilę przyglądał się jej, a potem pokręcił z niedowierzaniem głową, oszołomiony jej widokiem, i powiedział, że jest najszcześniejszym mężczyzną na świecie. Wziął ją w ramiona i zaniósł do łóżka.

Następnego dnia Phyl odwołała swój odlot do domu i wszystkie spotkania umówione na następny tydzień w San Francisco. Opuściła hotel i przeniosła się do mieszkania Brada. Przez cały tydzień prawie nie wychodzili, a jeśli już to robili, to tylko po to, aby przejść do bistro za rogiem lub włóczyć się po bulwarach, trzymając za ręce i przesyłając sobie wzrokiem prywatną wiadomość o pożądaniu.

Phyl nie myślała o niczym. Wiedziała, że pierwszy raz w życiu zachowuje się nieodpowiedzialnie, ale nic nie mogła na to poradzić. Po latach bycia królową śniegu znów stała się zmysłową kobietą, której ciało odpowiadało drzeniem na każdy odcień sztuki miłosnej Brada.

A jednak były chwile kiedy uświadamiała sobie, że nie zna tego mężczyzny, chociaż poznała intymnie każdy centymetr jego ciała. Brad Kane był obcym człowiekiem obecnym w jej życiu dopiero od kilku dni. Czasem czuła, że ich miłość nie wystarcza mu, że pragnie posunąć się dalej, do niebezpiecznych gier, w których ona nie chciała brać udziału. Jako psychiatra miała niemiłą świadomość, że osobowość Brada kryje nieznaną głębie i wiry. Ukazała to już jego nieuzasadniona zazdrość o wyjazd na Riwierę. Phyl była jednak zbyt zaślepiona, aby się tym przejmować. Powiedziała sobie, że nie będzie analizować psychiki swego kochanka, lecz tylko cieszyć się chwilą.

Pewnej nocy, gdy wyczerpani miłością leżeli spleceni w łóżku, Brad zaczął opowiadać o swojej rodzinie. Powiedział, że jego dziadek, Archer Kane, był jankeskim awanturnikiem. Opuścił dom w wieku trzynastu lat i wyruszył na zachód.

- Dziadek płukał złoto, kopał węgiel, zbierał owoce, pracował na ranchach. Robił wszystko cokolwiek byś wymieniła - mówił Brad, uśmiechając się dumnie. - Wylądował w San Francisco i stamtąd ruszył na Hawaje, pracując na statku handlowym przewożącym konie i bydło na Wielką Wyspę. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, gdy poznał swą przyszłą żonę.

Phyl patrząc na Brada, z głową opartą na rękę, słuchała zafascynowana opowieści o żonie Archera.

- Na imię miała Lahilahi, co po hawajsku znaczy „delikatna”, i była strzeżoną jak skarb córką szlachetnej hawajskiej rodziny. Dopiero gdy siedemnastolatka o słodkiej twarzy zaczęła zagrozić, że serce pęknie jej z rozpacz, rodzice zgodzili się niechętnie na małżeństwo ze złotowłosym cudzoziemcem.

Dziadek mówił - ciągnął Brad - że wyprawili im huczne wesele, jak przystało na dziewczynę o takiej pozycji i bogactwie. Cztery dni trwały uczyty i tańce. Podano dziesiątki świń pieczonych na gorących kamieniach, luau, łososia lomilomi, hupię, wiele galonów poi i inne przysmaki. Panna młoda miała na sobie lśniący błękitny sarong i królewski lei, naszyjnik z piór, orchidei i kwiatów maile, a na błyszczących czarnych włosach, które według słów dziadka jak wodospad spadały poniżej jej kolan, ślubny wieniec upleciony z pachnących kwiatów pakałana.

Archer, bardzo przystojny młody człowiek, ubrany był w jaskrawo - kolorową koszulę i wiele naszyjników z kwiatów. Jako ślubny prezent ofiarował pannie młodej sznur pereł, wprawdzie niewielkich, lecz o pięknym kolorze.

Nikt nie domyślał się, skąd Archer wziął pieniądze na taki drogi prezent - dodał cynicznie Brad psując nastrój opowieści. - Wiadomo było, że nie jest jednym z bogatych haolów, białych przybyszów. Ale wiedział o nie znanych prostym Hawajczykom zakazanych miejscach, gdzie mężczyźni mogli zastawić swą przyszłość, a nawet duszę, za pożyczkę kilkuset dolarów.

Archer był od nich sprytniejszy: w zamian za naszyjnik z pereł dostał wyspę. Co prawda małą, lecz leżącą u wybrzeży Maui i będącą w posiadaniu rodziny panny młodej od czasów króla Kamehameha. Ofiarowali ją w prezencie ślubnym i mieli nadzieję, że Archer zrobi majątek na uprawie trzciny cukrowej i ananasów.

Kiedy czterodniowe uroczystości dobiegły końca, młoda para pożeglowała na swoją wyspę. Przez część drogi towarzyszyły im setki innych wesoło przystrojonych łodzi, pełne weselnych gości śpiewających tradycyjne pieśni pożegnalne i aloha - życzące szczęścia. Dziadek mówił, że był to wspaniały widok i czuł się naprawdę jak król.

Szybko woń kwiatów maile przytłumił ostry, słony zapach Pacyfiku. Kiedy inne łodzie zawróciły w kierunku domu, a panna młoda po raz ostatni machała im na pożegnanie, Archer zobaczył, że po jej policzku spływa łza. Odwrócił niecierpliwie twarz żony, aby patrzyła w kierunku wyspy i ich przyszłości. Miał już dosyć hawajskich wesel i liczył teraz dochody, które zdobędzie dzięki jeszcze nie zasianym plonom. Taki właśnie był mój dziadek Archer - Brad uśmiechnął się pobłaźliwie. - Myślę, że mogłabyś go nazwać człowiekiem pragmatycznym .

- Nazwałabym go raczej twardym - odparła Phyl, myśląc o młodziutkiej romantycznej pannie młodej, tak pięknej i smutnej z powodu rozstania z kochającą rodziną.

- To prawda - zgodził się z uśmiechem Brad. - Czy ja cię nie zanudzam? Słyszałem tę historię tak wiele razy. To część naszej rodzinnej sagi przekazywanej z pokolenia na pokolenie.

- Nie, nie, mów dalej - powiedziała wtulając mu się w zagłębienie ramienia i kryjąc twarz w jego szyi. Kochała jego zapach, dotyk skóry, łagodny dźwięk głosu. Była szczęśliwa.

- Opowiem ci więc o naszej wyspie. Jest sercem rodziny, czy, jak mogłabyś powiedzieć, duszą. Jeżeli ją mamy - dodał z nagłym cynicznym uśmiechem.

Czy możesz wyobrazić sobie Lahilahi wpatrującą się z zapałem w swą wyspę, kiedy jej skaliste brzegi wynurzyły się z oceanu. Widziała, że jest mała, ma bowiem zaledwie dwadzieścia kilometrów w najszerszym miejscu i może trzydzieści trzy

długości. Północno - wschodni kraniec jest skalisty i gwałtowne fale uderzają tam o urwiste klify, a niebezpieczne prądy mogą w ciągu paru sekund pociągnąć w głąb oceanu nieostrożne czółno. Lecz łagodne południowo - wschodnie wybrzeże otaczają plaże o piasku białym jak talk. Na ich obrzeżach rosną palmy, cieniste morskie winogrona, kwitnące drzewa koa, akacji hawajskiej, i powoje.

Pasma małych niegdyś wulkanicznych gór o kształcie muszli biegnie jak kręgosłup przez środek wyspy, oddzielając część wschodnią od zachodniej. Zatrzymuje burze nadchodzące od Pacyfiku, deszcz więc najczęściej pada na zachodnią stronę. Niższe stoki gór stopniowo porosły gęstymi zaroślami hau i hibiskusa, których czerwone, żółte i pomarańczowe kwiaty uwieńczyły wzniesienia. Lahilahi sądziła, że są jak lei wokół szyi Pele, bogini wulkanów, której duch z pewnością tam żyje, czekając, aż ponownie wydostanie się na zewnątrz.

Zachodnia strona wyspy, za górami, to kraina głębokich wąwozów i spływających w dół wodospadów. Spięta mostem tęczy, zalesiona wielkimi drzewami, winoroślą, bluszczem i porośnięta paprociami. Między nimi leżą szerokie trawiaste przestrzenie przeplatane zastygłą, czarną lawą, która wiele lat temu spłynęła z wulkanicznych szczytów aby utworzyć rzekę kamieni biegnącą aż do oceanu.

Łagodniejsza wschodnia strona byłaby nieurodzajna, gdyby nie obyczaje dawnych podróżników. Kiedy badali wyspę, przedzierając się przez góry na swych silnych konikach, rozrzucali nasiona drzew ananasowych ze swego rodzinnego kraju. Nasiona ukorzeniały się, a wzrastające drzewa chroniły ziemię przed erozją. Osłaniały też doliny od palącego słońca, tak że na stokach gór wokół wodospadów rosły bujnie trawy i owoce.

Kiedy młoda Lahilahi wysiadła z czółna na brzeg, chwyciła za rękę swego przystojnego złotowłosego męża. Spojrzała na półkolistą, białą plażę, na wysokie palmy i kolorowe kwiaty wieńczące stoki gór, na nagie podobne do muszli wulkaniczne szczyty, które jak piersi bogini Pele górowały nad wyspą. Westchnęła ze szczęścia.

- Ach mężu - powiedziała miękko - musimy nazwać ją Kalani - Niebiosa - bo tym właśnie jest.

Patrząca na Brada Phyl miała ze wzruszenia łzy w oczach. Leżał na plecach, z rękami pod głową, patrząc w sufit, jak gdyby widział tam niebiańską wyspę.

- To najbardziej romantyczna historia, jaką kiedykolwiek słyszałam - wyszeptwała.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem, wstał i nalał sobie kieliszek brandy. Skierował karafkę w stronę Phyl, ale odmówiła.

- Nie spodziewałem się, że kobieta o naukowym umyśle wzruszy się taką operą mydlaną - powiedział kpiąco. - Prawda jest taka, że romans właśnie się skończył. Archer Kane dostał to, czego chciał. Pożerała go duma z posiadania własnej ziemi. Pierwszą rzeczą, którą zrobił, było zorganizowanie wyspiarzy, mieszanki niezaradnych Hawajczyków i Chińczyków, aby pomóc im zbudować z drewna koa małą chatę ze strzechą z liści palmowych.

Pierwszego roku pracował ciężko, lecz zbiory nie udały się. Był zniecierpliwiony i zły. Myślał, że wyspa będzie pierwszym krokiem na drodze do bogactwa, a wszystko układało się kiepsko Wyjechał więc do Honolulu, aby zabawić się z dziewczkami w porcie i zapomnieć o problemach. Minął właśnie rok, kiedy przyjechali powiedzieć mu co stało się z jego żoną.

Służba zeznała, że Lahilahi włożyła swój ślubny sarong, zawiesiła na szyi lei z płatków maile i wpięła we włosy pachnące kwiaty plumerii. Był potężny sztorm, szalał wiatr, a fale piętrzyły się jak wieże. W tę burzliwą noc Lahilahi wypłynęła samotnie czółnem na ocean.

Jasnoniebieskie oczy Brada miały zagadkowy wyraz.

- Nikt jej więcej nie widział - dokończył cicho.

- O Boże - wyszeptła Phyl. - Czy ta biedna dziewczyna zabiła się? Brad niedbale wzruszył ramionami.

- Dziadek twierdził, że nie wie. Oczywiście rodzina Lahilahi go obwiniała. Mówili, że złamał serce ich córce. Archer nie pojawił się na stypie, ale słyszał, że teściowie rzucili przekleństwo na niego i wszystkich jego potomków. Roześmiał się tylko i powiedział, że ważniejszy od ich klątw jest fakt, iż Kalani należy teraz do niego.

Brad uśmiechnął się lodowato popijając brandy.

- I w ten sposób wyspa Kalani stała się kamieniem węgielnym fortuny Kane'ów.

Phyl patrzyła, jak spaceruje po pokoju niczym niespokojny kot, i mróz przebiegł jej po krzyżu. Dziwiło ją, iż zdawał się nie dostrzegać nic złego w postępowaniu swego dziadka. Jedyną rzeczą, która miała dla niego znaczenie była, tak jak dla Archera, wyspa i szansa w zdobyciu fortuny.

- Czy nie żal ci tej biednej dziewczyny? - zawołała ze złością. Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Było to prawdziwe nieszczęście - powiedział spokojnie. - Ale ujmijmy to w ten sposób: gdyby Lahilahi nie zginęła, dziadek nie osiągnąłby tego wszystkiego. Może byłby przez całe życie ubogim plantatorem trzciny cukrowej.

Brad uniósł kieliszek i roześmiał się.

- A co wtedy stałoby się ze mną? - zapytał. - Mógłbym z trudem wiązać koniec z końcem na maleńkiej hawajskiej wyspie i z czystej frustracji zaglądać do butelki coraz wcześniej każdego wieczoru. Jak bohater opowiadania Somerseta Maughama. Daj spokój, Phyl, to było dawno temu. Nie mogę się nad tym roztkliwiać.

- Tak jak twój dziadek - odpaliła gniewnie.

- Teraz jesteś niemądra.

Phyl owinęła się prześcieradłem i siedziała na łóżku ciasno oplatając ramionami kolana.

- Nie powinienem był ci tego mówić. Myślałem, że spodoba ci się ta historia.

Phyl przypomniała sobie opowieść o wyspie i zdała sobie sprawę, jak wiele dla niego znaczy ten skrawek ziemi.

- Podobała mi się - przyznała. - I wiem, że tylko udajesz cynicznego. Kochasz Kalani, prawda? Usiadł obok, czule głaszcząc jej włosy.

- To miejsce, gdzie jestem najszczęśliwszy na świecie - wyznał, przesuwając delikatnie wargami po jej ustach. - I pewnego dnia zabiorę cię tam, abys przekonała się, czy przedstawiłem je obiektywnie.

Kiedy objął ją ramionami, uśmiechnęła się znowu i wtuliła twarz w jego szyję. Czowała pod językiem jej szorstkość, kiedy obsypywała ją drobnymi, motylimi pocałunkami. Każdy ma w rodzinie czarną owcę, powiedziała sobie. U Brada przypadkowo jest nią Archer Kane.

Ale następnego wieczoru Brad opowiedział inną rodzinną historię, która sprawiła, że ziemia usunęła się Phyl spod nóg.

Opowiadał o swoim dzieciństwie, o wakacjach, które spędzał uganiając się swobodnie po wyspie. Chata którą wznosił jego dziadek została rozbudowana. Była teraz rozłożystym, wygodnym letnim domem, z długimi lanai, czyli werandami, chłodzonymi przez zwisające z sufitu wiatraki, i hamakami rozwieszonymi między palmami. Zieleń morza miała swój odpowiednik w głębokich, zarośniętych paprociami wąwozach i szmaragdowej barwie maleńkich jak klejnoty salamander. Mówił o jaskrawoszkarłatnych ptakach i podwodnym świecie koloru akwamaryny, w którym uwijały się małe rybki, kolorowe jak ozdoby na choinkę.

W głosie Brada gdy wspominał wyczuwało się uśmiech i pobłażanie, ale nagle jego nastrój zmienił się w mgnieniu oka, a on sam stał się napięty.

- Moja matka nienawidziła wyspy - powiedział raptownie. - Nigdy tam nie przyjeżdżała. Lubiła tylko Diamentową Głowę albo San Francisco, gdzie miała mieszkanie. Uwielbiała kupować i miała garderoby pełne ubrań. Rzadko pozwalała mi wchodzić do swego pokoju, twierdząc, że płacze jej się pod nogami. Wyganiała mnie stamtąd, na wpół ze śmiechem, ale wiedziałem, że naprawdę jej przeszkadzam. Oczywiście zawsze chciałem z nią być. Miałem dopiero sześć lat i kochałem ją. Była moją piękną, obwieszoną klejnotami, uwielbianą matką.

Spojrzał na Phyl i jego głos znów stał się czuły kiedy mówił.

- Zawsze spała do późna, a ja wślizgiwałem się rano do sypialni, aby spojrzeć na jej uśpioną twarz. Pod oczami miała smugi tuszu, na ustach wciąż ślady szminki, ale zawsze wtedy wyglądała tak spokojnie i niewinnie.

Czasami chowałem się w jej garderobie, pomiędzy owiniętymi w bibułki ubraniami, czekając, aż się obudzi, abym mógł sprawić jej niespodziankę. Siadywałem na podłodze, spoglądając w górę na fantastyczny świat szeleszczących kolorów, szyfonów, tiuli i cekinów, myśląc o tym jak rozśmieszę matkę. Pewnego ranka ukryłem się tam i patrzyłem na zmiętą falę kolorów, na jaskrawe błękity, zielenie i czerwienie, które kochała, I wtedy zobaczyłem buty. Były duże, wykonane z orzechowobrazowej skóry i pięknie wypolerowane. Wiedziałem, że nie należą do mojej matki. Miały jasne, lśniące podeszwy i wisiały nad moją głową.

Moje oczy powędrowały wyżej, ku skarpetkom. Były jaskrawoczerwone, a ja uśmiechnąłem się. Znałem tylko jedną osobę, która takie nosiła, mężczyznę, często odwiedzającego moją matkę, którego polecono mi nazywać wujkiem Wahoe. Spojrzałem na nogi w szarych flanelowych spodniach i ze śmiechem wyskoczyłem ze swojej kryjówki. „Wujku Wahoe - powiedziałem - też przyszedłeś bawić się w chowanego?” - Głos Brada stał się ochrypliwy. - Odsunąłem stłoczone wizytowe suknie i popatrzyłem na niego. Wokół szyi miał zaciśnięty sznur, na którym zwisał z szyny. Głowa była groteskowo przekrzywiona, twarz fioletowa, z otwartych ust wystawał czarny spuchnięty język, a oczy były wybałuszone jak u ropuchy.

Brad ukrył twarz w dłoniach, całe jego ciało wyrażało rozpacz. Phyl patrzyła na niego z przerażeniem, ale nie miała odwagi się odezwać. Po chwili podniósł głowę. Zapalił papierosa i powiedział spokojnie:

- Stałem tam przez długą przerażającą chwilę, a potem pobiegłem po matkę. Siedziała w łóżku trzymając tacę ze śniadaniem.

„Co ty tu robisz? - zapytała gniewnie. - Mówiłam ci abyś nigdy nie wchodził bez zezwolenia.”

Popatrzyłem na nią. Mimo przerażenia uderzyła mnie jej uroda. Była wysoką ciemnowłosą kobietą o migdałowych oczach. Miała silne ciało i teraz wiem, że świadomie poruszała się seksownie, a każdy ruch jej smukłych bioder był tak wykalkulowany, by podkreślić kształty.

„Dlaczego wujek Wahoe jest w twojej garderobie?”, zapytałem czepiając się jej ręki. Odepchnęła mnie, czytała list i ledwie słyszała co do niej mówię. „W garderobie?”, rzuciła obojętnie. „Wygląda tak dziwnie zwisając z szyny - powiedziałem. - Przestraszyłem się.” Popatrzyła na mnie znad listu. Teraz wiem, że to był list od niego, zawiadamiający, że ma zamiar popełnić samobójstwo, ponieważ ona z nim zerwała. Rzuciła go i nie mógł tego znieść. Matka zbladła.

„Ty wstrętny chłopcze. Coś ty zrobił - wrzasnęła na mnie. - To wszystko twoja wina.” Nadbiegła służba.

Brad popatrzył na Phyl martwym wzrokiem.

- Miałem sześć lat. Dlatego przez większą część mego życia uważałem, że to ja jestem jakoś odpowiedzialny za samobójstwo wuja Wahoe.

Zaciągnął się papierosem, a potem zgasił go ze złością.

Wziął Phyl w ramiona i kochał się z nią, jeżeli można to tak nazwać. Phyl nie była nawet pewna, czy Brad wie kogo trzyma w objęciach, zamknęła oczy, nie chciała patrzeć mu w twarz i być świadkiem bólu, jaki przeżywał. Po chwili wszystko się skończyło.

- Nie powinienem był ci tego mówić - powiedział potem zachrypłym głosem. - Ale jest w tobie coś takiego, Phyl Forster, co zmusza mężczyznę do wyjawiania sekretów.

Rozdział 20.

Mahoney stał z założonymi rękami oparty o ścianę, patrząc na swego partnera Benedettiego, przesłuchującego właśnie podejrzanego o morderstwo. Przyprawiali go tutaj o czwartej nad ranem. Teraz była dziesiąta i Benedettiego trafiał szlag ponieważ musiał pracować po godzinach, a w dodatku czuł w głębi duszy, że facet zabił swą dziewczynę miażdżąc ją o ścianę samochodem.

Podejrzany, łysiejący trzydziestokilkulatek o twarzy łasicy, cofniętym podbródku i kilkucentymetrowym czole, którego rozmiary nie wskazywały na dużą objętość mózgu, utrzymywał, że nie było go w pobliżu miejsca wypadku. Był z przyjaciółmi w klubie w North Beach.

- W jakim klubie? - powtarzał Benedetti. - Z jakimi przyjaciółmi? Na miłość boską, człowieku, przestań pleść. Wiemy, że została zabita twoim samochodem. Twoja dziewczyna, twój samochód, a ty mówisz, że byłeś w North Beach w jakimś pieprzonym klubie, którego nazwy nie pamiętasz, z przyjaciółmi, których imion nie możesz sobie na poczekaniu przypomnieć. Ładni przyjaciele, skoro nie wiesz nawet, jak się nazywają.

Podejrzany pokręcił z uporem głową, wbijając wzrok w podłogę po prawej stronie swego inkwizytora.

- Mówiłem już panu, że ktoś musiał mi ukraść samochód.

Benedetti popatrzył z irytacją na Mahoneya. Śledztwo trwało już dwie i pół godziny i nic z niego nie wynikało. Dziewczynę znaleziono z wnętrznościami na wierzchu, a temu wszarzowi ujdzie to na sucho, o ile nie zmuszą go, aby się przyznał. Nie mieli świadków, a on, mimo swojego ptasiego mózdzku, był na tyle sprytny, aby o tym wiedzieć. To prawda, każdy mógł prowadzić ten samochód, gdyby nie to, że wiedzieli iż tym kimś był on.

- Może zrobisz przerwę? - zaproponował Mahoney. - A my tu sobie z panem Zachariaszem trochę porozmawiamy.

Benedetti skinął głową i zmęczonym ruchem odsunął krzesło.

- Przekazuję ci sprawę, Mahoney - powiedział idąc do drzwi.

Była to wypróbowana metoda: najpierw ostry atak, zalewanie podejrzanego potokiem słów, próba złamania go, aby albo się przyznał, albo sam wsypał w kolejnych kłamstwach, które pogrążałyby go coraz bardziej w gównie. Ten jednak był twardzielem i nie dał się złamać. Przyszła więc kolej na Mahoneya i rutynową przyjacielską pogawędkę.

- Wygląda pan na tak samo zmęczonego jak i ja - powiedział Franco. - Nie napiłby się pan gorącej kawy?

Zachariasz nie patrząc na niego skinął głową. Mahoney poszedł do hallu i wrócił z dwoma styropianowymi kubkami zawierającymi ciecz, która nieudolnie udawała kawę, lecz była przynajmniej gorąca. Postawił jeden przed Zachariaszem.

- Papierosa? - podsunął nową paczkę marlboro.

Zachariasz ciągle nie podnosząc oczu wziął jednego, a Mahoney zauważył z satysfakcją, że podejrzanemu trzęsą się ręce. Sam był niepalący, ale dla towarzystwa też się poczęstował. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu.

- Niech pan pije kawę póki gorąca - powiedział łagodnie detektyw. - Długa noc, prawda?

Zachariasz przytaknął ospale, popijając ciemny płyn.

- Słuchaj, chłopie - odezwał się po kilku minutach Mahoney. - Sam miałem kłopoty z babą. Wiem, jak to jest. Można dostać świra - westchnął głęboko. - Miałem dziewczynę i mówię ci, chłopie, wyglądała super. Ale wie pan, jak to jest z glinami, pracujemy w dziwnych godzinach, na zmiany, zupełnie jak w fabryce. Okazało się, że kiedy harowałem w nocy, ona też nie próżnowała. Z mężem swojej najlepszej

przyjaciółki. Rozumie pan? Takich rzeczy po prostu nie można darować, no nie? Jest coś takiego jak męska duma.

Podejrzany się nie odezwał i przez chwilę palili w milczeniu.

- Wie pan co, Zachariasz - rzucił swobodnie Mahoney - musi pan umierać z głodu. Wyślę kogoś po parę drożdżówek, a potem sobie pogadamy. Opowie mi pan o niej. - Westchnął głęboko. - Założę się, że ta lala to musiała być niezła dziwka. Takie nie doceniają tego, że porządny facet się o nie troszczy.

Zachariasz popatrzył na niego ostrożnie i przytaknął.

- To była dziwka pierwszej klasy - rzucił porywczo.

- Puszczala się na lewo i prawo? - Mahoney uśmiechnął się współczująco.

Zachariasz pokiwał głową. Ręce drżały mu tak bardzo, że z trudem mógł utrzymać kubek. Mahoney przyglądał się czekając, aż podejrzany zacznie pękać. Wiedział, że to nastąpi i że już go ma. Kiedy pojawiły się drożdżówki, Zachariasz połknął jedną z nich, nie podnosząc oczu.

- Niech pan weźmie więcej - powiedział Mahoney. - Są prawie takie dobre jak te, które robi moja mama.

Zachariasz wziął jeszcze jedną i pomiędzy kęsami zaczął wyrzucać z siebie swoją wersję całej historii: dziewczyna była dziwką, a on opiekował się nią, dbał, kupował jej duchy, jedzenie...

- Heroina? - zasugerował Mahoney, myśląc o zaropiałych rankach na rękach dziewczyny.

Wiedział, że według wszelkiego prawdopodobieństwa i tak wkrótce by przedawkowała narkotyk albo umarła na posocznicę lub AIDS. A miała dopiero dziewiętnaście lat. Nienawidził siedzącego naprzeciwko bydlaka tak bardzo, że dziwiło go, iż on tego nie wyczuwa.

- To była szmata - przyznał podejrzany.

- Skąd miała pieniądze? - zapytał Mahoney ze współczującym uśmiechem.

- Kurwiła się jak one wszystkie. - Zachariasz wzruszył obojętnie ramionami.

- Te kobiety są zdolne do wszystkiego - mruknął detektyw. - Założę się, że nie oddawała panu pieniędzy, tak jak powinna.

- Tak. To prawda. Ale miarka się przebrała! - krzyknął tamten, wybuchając nagłym gniewem.

- Niech pan słucha, Zachariasz - powiedział Mahoney, przechylając się przez stół, zbliżając twarz do podejrzanego i patrząc mu w oczy. - Może miał pan swoje powody, aby stuknąć ją samochodem. Uważa pan, że na to zasłużyła. Zróbmy interes, chłopie. Obaj wiemy, że pan to zrobił. Nie ma fizycznej możliwości, abyśmy mogli to teraz jakoś obejść. Ale jeśli opowie mi pan, jak to się stało, zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc. Może znajdą się jakieś okoliczności łagodzące. Mówił mi pan przecież, że wchodziła tu w grę prowokacja? Dziewczyna pracowała dla pana i nie oddawała pieniędzy. Znała zasady, ale wolała przepuścić wszystko na heroinę.

- Tak - zgodził się zmęczonym głosem Zachariasz.

Spoglądał ponuro i najwyraźniej intensywnie się zastanawiał, jak postąpić. Kątem oka Mahoney dojrzał zagląającego przez okienko w drzwiach Benedettiego, ale nie dał mu żadnego znaku. Czekał, aż Zachariasz zacznie mówić.

- Obiecuje pan wyciągnąć mnie z tego? - uległ w końcu podejrzany. Mahoney rozłożył ręce i wyjaśnił spokojnie.

- Wie pan, że nie mogę tego przyrzec, ale jeżeli dowiem się prawdy, obiecuję sprawiedliwą rozprawę i zrobię dla pana wszystko co będę mógł. Zobaczymy, może znajda się okoliczności łagodzące, mniejszy wyrok.

- Cóż, sama się o to prosiła prawda? - zaczął Zachariasz wpadając nagle w wojowniczy nastrój. - Sama tego chciała, ta dziwka. Wie pan, jak to jest...

Mahoney skinął na Benedettiego, który parę minut później wszedł razem z zaopatrzoną w notes stenotypistką. Postawił przed Zachariaszem kolejny kubek z kawą i włączył magnetofon, a Mahoney pchnął w jego kierunku paczkę marlboro.

- Opowiadaj, chłopie - powiedział zmęczonym głosem - żebyśmy mogli wreszcie pójść spać.

Mahoney miał być w sądzie o drugiej po południu, a przedmiotem rozprawy była typowa zbrodnia sobotniej nocy. Kilka miesięcy temu w wynajmowanym w czynszówce obskurnym mieszkaniu kobieta zastrzeliła swego śpiącego, pijanego męża. Kiedy Mahoney tam przybył, troje dzieci w wieku poniżej siedmiu lat kulilo się w kącie pokoju kryjąc głowy pod brudnym kocem, tak aby nie widzieć, co się stało. Były posiniaczone, a matka, płacząc cicho, siedziała bezradnie w połamanym bujanym fotelu z pistoletem na kolanach. Sąsiedzi zawiadomili policję i Mahoney pierwszy przybył na miejsce.

Mąż pobił dzieci o jeden raz za dużo, wyjaśniła ponuro, a poza tym odkryła, że napastuje je seksualnie. Patrzyła zgnębiona na detektywa, miała podbite oko, zakrwawione usta, wybite zęby. Mąż bił ją od lat, ale kiedy zaczął dobierać się do dzieci, poczuła, że nie zniesie tego dłużej. Sąsiedzi potwierdzili tę opowieść, a Mahoney poczuł litość na widok kulących się maluchów. Był pewien, że przysięgli odczują to samo, i miał nadzieję, że sędzia nie będzie dla niej surowy.

Nienawidził sądów i wyczekiwania aż przyjdzie jego kolej. Po złożeniu zeznań czekał jeszcze do końca rozprawy. Potem złożył wizytę w miejskiej kostnicy, aby przekonać się, czy znaleźli czas na rozkrojenie spuchniętego ciała wyłowionego zeszłej nocy z zatoki. Chciał ustalić, czy denata zastrzelono lub zabito uderzeniem w głowę, zanim znalazł się w wodzie, czy też po prostu sam do niej wpadł po pijanemu.

Potem zajrzał do baru Hanrana, gdzie spotkał kilku chłopaków, siedzących przy piwie po zakończeniu zmiany, narzekających na wypadki minionego dnia. Usiadł przy barze i zamówił Bud Light.

- Czy myśleliście czasem, po co my to robimy? - zapytał zmęczonym głosem. - Jakiś masochizm czy coś w tym rodzaju?

- Właśnie, coś w tym rodzaju - odparł któryś ponuro. - Kto oprócz bandy kretynów wybrałby taką pracę. Żona skarży się, że nie widziała mnie od tygodni. Wchodzę do domu, a dzieci patrzą na mnie, jak na kogoś obcego. Mówię im: „Hej, to ja, wasz tatuś. Wiecie, taki facet co chodzi do pracy i przynosi do domu forsy.” „Tak, skarbie - moja żona na to - naprawdę kupę forsy.” Boże, Mahoney, czy to jest tego warte?

Franco pomyślał o Zachariaszu unieszkodliwionym za kratkami dwie przecznice stąd i o dziewiętnastolatce, która zostanie pomszczona dzięki temu, że Mahoney i Benedetti zrobili, co do nich należy. Pomyślał o uldze malującej się tego popołudnia na twarzy kobiety, kiedy sędzia uwzględnił zagrożenie, w jakim żyła, i fakt, że broniła swoich dzieci. Skazał ją na rok z zawieszeniem i wyszła wolna razem z dziećmi. Mahoney mógłby się założyć, że po raz pierwszy od lat mogła podnieść głowę wysoko nie bojąc się, że dostanie pięścią w twarz.

- Myślę, że to całkiem dobra praca - powiedział z uśmiechem. - To znaczy, jeśli trafi się dobry dzień.

- Ty wyglądasz jakby trafił ci się bardzo długi. Co tu właściwie robisz, Mahoney? Myślałem, że w tym tygodniu pracujesz w nocy.

- Cóż, zdaje się że zapomniałem pójść do domu - przypomniał sobie, że nie spał od dwudziestu czterech godzin i ogarnęło go zmęczenie. Pożegnał kolegów i wolno pojechał do siebie, aby złapać parę godzin snu, zanim zacznie się następna zmiana.

Stał właśnie pod prysznicem, kierując na siebie pod różnymi kątami najpierw gorący, a potem lodowaty strumień wody, próbując w ten sposób pobudzić się do życia, kiedy usłyszał dzwonek domofonu. Wyszedł z łazienki i owijając sobie ręcznik wokół bioder podniósł słuchawkę.

- Słucham?

- Mahoney? To ja, Phyl Forster.

Zupełnie zapomniał, że zostawiła mu na automatycznej sekretarce wiadomość, iż wróciła już z Paryża i wpadnie odebrać kota. Miał zawiadomić ją telefonicznie, gdyby było mu to nie na rękę.

- Wchodź na górę - powiedział. - Ale ostrzegam, że jestem nie ubrany. Nie będzie ci to przeszkadzać?

- Mam nadzieję, że nie - odrzekła kwaśno.

- Stęskniłem się za tobą - powiedział, gdy weszła. Wyglądała tak pięknie, jak ją pamiętał. - Nowy? - zapytał podziwiając czerwony kaszmirowy blezer narzucony na biały podkoszulek.

- Kupiłam go w Paryżu.

- Widzę, że posłuchałaś mojej rady na temat koloru.

- Skąd wiesz, że to właśnie twojej rady posłuchałam, a nie kogoś innego? - roześmiała się impertynencko.

Nadbiegła Coco. Choć była jeszcze mała, miauczała zaskakująco głośno. Phyl podniosła ją i przytuliła.

- Będziesz cała w sierści - ostrzegł Mahoney. - Strasznie linieje.

- Wszystko jedno. Stęskniłam się za nią.

- A ja? Za mną się nie stęskniłaś? - uśmiechnął się poprawiając ręcznik.

- Widzę, że jeśli chodzi o stroje, twój gust się nie zmienił - powiedziała złośliwie.

- Ciągłe nie wiesz, jak się ubrać na spotkanie z damą.

- Zaskoczyłaś mnie w biegu. Pracowałem do późna i zapomniałem, że masz przyjść - skłonił się nisko i wskazał drogę do pokoju. - Proszę BOI wybaczyć i czuć się jak u siebie w domu, doktor Forster, a ja tymczasem doprowadzę się do ładu.

Phyl podeszła do okna. Było szeroko otwarte i wpadał przez nie nocny powiew. Oparta łokciami na parapecie patrzyła na wielki statek, pewnie transatlantyk, przepływający ciemną zatoką ze światłami błyszczącymi niczym gwiazdy. Dwa tajemnicze syjamskie koty Mahoneya siedziały w przeciwległych kątach niszy okiennej wężąc w kierunku wiatru, który rozwiewał im sierść. Gruby jak poduszka buras drzemał z zadowoleniem na poręczy fotela, a jego łapy zwisały niczym u leżącego na drzewie po dobrym posiłku lamparta. Piękny głos Pavarottiego śpiewającego stare włoskie piosenki płynął w noc, a na płycie wielkiej stalowej kuchni bulgotało coś pysznego. Phyl z uśmiechem spojrzała na Mahoneya. Lubiała tu przebywać i czuła się jak w domu.

Franco włożył niebieskie szorty, podkoszulek z napisem „Siłownia Machonachies” i stare adidas.

- Przynajmniej wybrałem błękit - pasuje do moich oczu - powiedział, napotykać jej rozbawione spojrzenie. - Nie marudź, Forster. Jest gorąco, a ja padam ze zmęczenia - podszedł do kuchni i skontrolował makaron. - A propos zmęczenia, czy mi się zdaje, że masz podkrążone oczy?

- Tylko dlatego aby pasowały do twoich - powiedziała wysuwając obronnie podbródek. - Mam za sobą jedenaście godzin lotu. Jak, do licha, chcesz, żebym wyglądała? Ja mam przynajmniej wymówkę.

- Ja też - powiedział - ale nie mówmy o tym. Hm, przez chwilę myślałem, że może powinienem być zazdrosny, bo spotkałaś innego faceta... Westchnęła nie dając się sprowokować.

- Dziękuję za opiekę nad Coco. Mam prośbę. Czy mógłbyś zatrzymać ją jeszcze przez kilka dni w ten weekend?

- Jasne - nie pytając o nic, nalał jej kieliszek wina i zaczął nakładać spaghetti, a kiedy usiedli przy stole, podsunął kawałek parmezanu i tarkę.

- Nie pytasz, dokąd się wybieram?

- Jasne. Dokąd się wybierasz?

- Wszystko jedno - odparła wykrętnie i dodała po chwili: - Pyszny makaron.

- Przykro mi, nie mam dziś nic szczególnie wyszukanego. Tylko czosnek i świeży parmezan.

- I domowe tagliatelle.

- Z delikatesów Forneau - pokręcił głową. - Robią lepszy makaron niż ja. Ale opowiedz o Bei. Odnalezienie willi Mimoza wygląda na zadziwiający zbieg okoliczności.

- Nie wierzysz w przeznaczenie?

- Naturalnie, że wierzę. Wierzę też w zbiegi okoliczności. Gdyby nie to, nie złapałbym zbyt wielu morderców. Zdziwiłabyś się, jak wiele zbiegów okoliczności może pokazać komputer, kiedy wprowadzi się do niego materiał dowodowy. Jak powiedział Sir Thomas Browne w Religio Medici, z pewnością w życiu każdego człowieka istnieją rozmaite relacje i poplątania, które zdają się podporządkowane kategorii przypadku, a w rzeczywistości okazują się działaniem ręki Boga. - Uśmiechnął się do Phyl. - Można powiedzieć, że zbieg okoliczności jest moim sposobem na życie.

- Wolę myśleć, że to przeznaczenie. Swoją drogą mamy kolejne morderstwo, które może cię zainteresować. - Opowiedziała mu historię Marii Antoniny Leconte i jej męża, a także o tym, czego był świadkiem stary francuski dziennikarz.

Mahoney dokończył spaghetti i oparty wygodnie popijał wino.

- Wiesz, jesteś bardzo ładną kobietą - powiedział bez związku.

- Mahoney - popatrzyła na niego szafirowymi oczami, a on uśmiechnął się w odpowiedzi. - Do diabła, opowiadał ci o czymś ważnym. O morderstwie.

- Tak - odrzekł nie ukrywając zmęczenia. - Ale niewiele mogę w związku z tym zrobić. Zdarzyło się dawno i nie na moim terenie. Ważniejsze jest to, co stało się z tym chłopcem, z Johnnym.

- Ojciec powrócił po niego pięć lat później. Przypuszczamy, że po to, aby mieć pewność, iż dostanie spadek w swoje ręce. Nie mógł nic zrobić, dopóki chłopiec nie skończy osiemnastu lat.

- Chyba że wcześniej by zmarł.

- Nie pomyślałam o tym - popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Dokąd go zabrał?

- Na Hawaje. Nie jestem tylko pewna, na którą wyspę.

- To musiało być przed przyłączeniem Hawajów do Stanów Zjednoczonych. - Mahoney wzruszył ramionami. - Mieli tam wtedy swoje własne prawa i wszystko mogło się zdarzyć. A jak ten człowiek się nazywał?

- Ze względu na spadek przyjął nazwisko swojej żony. Jej ojciec postawił taki warunek w testamencie. Na ogół mówią o nim „Cudzoziemiec” i wydaje się, że nikt nie zna jego prawdziwego nazwiska.

Mahoney westchnął.

- Bez nazwiska niczego nie mogę sprawdzić. Wokół archipelagu są pewnie setki wysp. Bardzo łatwo mógł zniknąć bez śladu, tak jak wielu w tamtych czasach. Czy Cudzoziemiec zgłosił się kiedykolwiek po resztę majątku?

- Jeszcze nie wiemy, ale Nick stara się to ustalić.

- Nick? - Mahoney uniósł brwi, a Phyl roześmiała się.

- Zapomniałam ci powiedzieć, że Bea ma chłopca. - Opisała Nicka i opowiedziała, jacy są oboje szczęśliwi, mimo że Bea przejęta jest tajemnicą Willi Mimoza.

- Dobrze się złożyło - powiedział w końcu Mahoney. - Wygląda na to, że zabójca nie natrafił na ślad Bei.

- Franco, czy sądzisz że te dwa morderstwa mają ze sobą coś wspólnego? - zapytała zmartwionym głosem Phyl.

- Nie jestem jasnowidzem. Nie mam żadnej wskazówki, nie mam nawet nazwiska. Teoretycznie, biorąc pod uwagę zbiegi okoliczności, wypadki mogą być powiązane. Praktycznie - nie wiem. Ale lepiej informuj mnie na bieżąco o tym co jeszcze Bea i Nick odkrywają. Może gdzieś w tej plataninie znajdę coś, co naprowadzi nas na ślad. Szkoda że to było tak dawno. Zajmuję się aktualnymi tajemnicami, Phyl, a nie tymi z przeszłości.

Skinęła głową.

- To dziwne - zauważyła - nie pomyślałam o Hawajach ani razu od lat. A teraz pojawiły się w moim życiu dwa razy w tym miesiącu w związku z dwiema odrębnymi sprawami. Poznałam mężczyznę, który tam mieszka. - Uśmiechnęła się nieśmiało do Mahoneya. - To właśnie do niego jadę w przyszłym tygodniu. Zaprosił mnie na małe wakacje.

- A więc mężczyzna! Czyli mimo wszystko mam być zazdrosny, Forster?

Przypomniała sobie na moment szaleńczą zazdrość Brada, a potem roześmiała się patrząc na Mahoneya. Był tak prostolinijny, że wykladał swoje problemy na stół obok makaronu, aby je omówić i uporządkować. Zachowywał się zupełnie inaczej niż Brad, którego ukrytych nastrojów nigdy nie była pewna.

- Poznałeś go w Paryżu, prawda? - zapytał Mahoney.

- Spotkałam go w samolocie.

- A więc straciłaś swą chłodną głowę dla jakiegoś Francuza? - zakpił, a ona zarumieniła się. - Nie martw się - powiedział sucho - nie będę zachowywał się jak policjant i zadawał pytań.

- To nie tajemnica - broniła się. - Jest Amerykaninem. Ma mieszkanie w Paryżu, nazywa się Brad Kane.

- Brad Kane? - zastanowił się. - Słyszałem już gdzieś to nazwisko.

- Prawdopodobnie słyszałeś o Ranczu Kanoi. Jest jednym z największych w Stanach.

- A on jest właścicielem, tak? Skinęła głową.

- Zobaczę je w przyszłym tygodniu.

- Szczęściara - powiedział Mahoney, myśląc o błękitnym niebie, plażach i słońcu opalającym piękne ciało Phyl. - Chyba jednak jestem zazdrosny.

- Przyślę ci pocztówkę - obiecała zabierając torebkę i kota. - Och, byłabym zapomniała. Mam dla ciebie prezent. - Wręczyła mu siatkę zawierającą woreczki prowansalskich ziół, słoiczki korzeni i przypraw. - To ze sklepu Moulin de Mougins. Będiesz miał pojęcie, co tam jadłam. Nie pytaj, jak zdołałam zmylić czujność policyjnych psów na lotnisku. Byłam pewna, że zaaresztują mnie za przewożenie nielegalnych produktów.

- Potrafią to odróżnić - powiedział wachając woreczki pachnących ziół, zadowolony, że o nim pamiętała. - Następnym razem zabiorę cię do Moulin na kolację - obiecał. - Ja stawiam.

Phyl śmiała się, kiedy odprowadzał ją na dół do samochodu.

- Daleko mierzysz, Mahoney.

- Nie wiesz, że jestem facetem, który zawsze daleko mierzy - nachylił się do okna samochodu, aby na nią spojrzeć. Wychyliła się i pocałowała go lekko.

- Wiesz co, Mahoney, jesteś słodki - powiedziała.

Mahoney słyszał, jak śmiała się odjeżdżając. Westchnął ciężko i spojrział na zegarek. Było wpół do jedenastej. Na sen nie zostało mu zbyt wiele czasu i właściwie mógł równie dobrze pójść wcześniej na nocną zmianę.

Rozdział 21.

Samolot Brada, połyskliwy Gulfstream IV czekał z włączonymi silnikami na pasie startowym międzynarodowego lotniska w San Francisco. Phyl była jedynym pasażerem, a na pokładzie powitała ją czteroosobowa załoga.

- Pan Kane przeprasza,, że nie mógł przybyć - powiedział steward. - Lubi sam pilotować samolot, ale dziś miał zbyt wiele umówionych spotkań.

Samolot był przestronny i miał wygodne fotele ustawione wokół małych stoliczków. W ogonie mieściła się mniejsza kabina z rozkładanymi siedzeniami i małą, lecz znakomicie wyposażoną łazienką. Steward zaoferował Phyl pisma oraz kilka najnowszych powieści, zaproponował kieliszek szampana i poinformował, że lot do Honolulu potrwa pięć godzin.

- Mam nadzieję, że podróż nie będzie uciążliwa - powiedział z uśmiechem. Phyl była tego pewna.

W Honolulu helikopter z Rancza Kanoi czekał, by zabrać ją do domu Brada. Lecieli wzdłuż plaży Waikiki, a potem wznieśli się ponad górujące nad nią klify. Z tej wysokości roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na czarne skały, o które biły spienione fale szmaragdowego oceanu. Zatoczyli koło nad imponującą posiadłością Diamentowa Głowa i zaczęli schodzić do lądowania. Phyl ze zdumieniem przyglądała się domowi. Dopiero teraz naprawdę zaczęła zdawać sobie sprawę jak bardzo Brad jest bogaty. Z góry rezydencja Kane'ów wydawała się ogromna, połączenie palmowych ogrodów pełnych soczystej zieleni rozciągały się aż do krawędzi wysokiego klifu. Brad czekał na trawniku, i kiedy helikopter zaczął lądować, pobiegł w jego kierunku. Chwycił Phyl w ramiona, a jego przystojną twarz rozjaśnił uśmiech pełen wdzięczności.

- Stęskniłem się za tobą - powiedział przyciskając ją do siebie.

- A to moje królestwo - rozłożył dumnie ramiona. Phyl popatrzyła na długą, niską budowlę stanowiącą szereg pawilonów w hawajskim stylu, połączonych lanai i zadaszonymi przejściami. - Nie zmienił się specjalnie od czasów dziadka Archera - dodał. - Może trochę urósł.

Z gorącego słońca weszli po schodach do chłodnych, cienistych lanai. Dom urządzony był z prostotą: blada zieleń, powiewne białe zasłony, jasna marmurowa posadzka. Stare, ciemne hawajskie kufry i ciężkie stoły połączone były ze współczesnymi meblami i żywymi barwami abstrakcyjnego malarstwa.

Chińscy służący, ubrani w białe kurtki i miękkie czarne pantofle, poruszali się bezszelestnie. Oprowadzana przez Brada po pokojach, Phyl zauważyła jednak, że nie uśmiechali się, a podając napoje odwracali wzrok.

Brad pokazał jej najpierw swą dumę i radość, trzy obrazy Hockneya, potem ogromne malowidła Marka Rothko w długiej galerii i delikatne wodne lilie Moneta w saloniku. Były też dzieła Edwarda Hoppersa, Georgii O'Keeffe i wielu współczesnych malarzy, których nie potrafiła rozpoznać. W końcu Brad zaprowadził ją do jadalni i pokazał rodzinne portrety.

- To Archer - powiedział zatrzymując się przed portretem wybitnie przystojnego, wysokiego mężczyzny o jasnych włosach i twardych niebieskich oczach. Siedział w skórzanym fotelu o wysokim oparciu, wyprostowany, z zaciśniętymi dłońmi i tak spięty, że obraz zdawał się niemal od tego pękać.

- A to Chantal, moja babka.

- Nigdy mi o niej nie mówiłeś. - Phyl przyjrzała się portretowi.

- Chantal O'Higgins - ciągnął z goryczą - Pół Francuzka, pół Irlandka. Jeszcze o niej usłyszysz.

Chantal wydała się Phyl bardzo piękna. Była srebrzystą blondynką o nadąsanych ustach i niezadowolonym spojrzeniu.

- Jack, mój ojciec. - Brad wskazał kolejny obraz.

Portret Jacka nie był tak formalny jak pozostałe. Przystojny mężczyzna siedział na potężnym czarnym ogierze. Beztrosko uśmiechnięty, wydawał się idealnym typem bogatego wyniosłego ranczera.

- Ojciec nie pozował do tego portretu - wyjaśnił Brad. - Artysta musiał uchwycić go w ruchu. To Wulkan, jego ulubiony koń. Ogier wart był swojego imienia. O ile wiem zabił co najmniej jednego człowieka.

- Zabił?

- Tak, zrzucił go. Na przyjęciu pewien facet przechwalał się, że potrafi dosiąść każdego konia, więc Jack wsadził go na Wulkana. - Brad wybuchnął beztroskim śmiechem. - Zdaje się, że dostał twardą szkołę.

Phyl zadrżała, zastanawiając się, jakim człowiekiem musiał być Jack, aby zrobić coś takiego, wiedząc, że koń jest niebezpieczny.

- To moja matka - powiedział miękko Brad. - Rebeka.

Był to portret naturalnej wielkości i Rebeka wyglądała na nim tak jak opisywał ją syn. Miała gładką, owalną twarz, błękitne oczy o kształcie migdałów i falujące czarne włosy. Uśmiechała się ujmująco, ubrana w empirową suknię z zielonego szyfonu przewiązaną atłasową wstążką poniżej szczodrze odsłoniętych piersi. W jednej ręce trzymała gałązkę kremowych lilii, a drugą wspierała wdzięcznie na oparciu krytego brokatem krzesła. Portret uderzał przepychem i miał w sobie coś zniewalająco zmysłowego: bogactwo szyfonu, atłasu, brokatu, blask szmaragdów i brylantów, połysk skóry. Tak jak gdyby artysta znał Reбекę zbyt dobrze, jak gdyby miał z nią romans.

- Jest bardzo piękna - powiedziała Phyl. Brad wzruszył ramionami i odwrócił się.

- To by było na tyle. Cała rodzina.

- Żadnych braci i sióstr? - zapytała prowokująco. Zmarszczył brwi.

- Żadnych, którzy by się liczyli - rzucił krótko i wyszedł na słońce.

Tymczasem temperatura na dworze wzrosła jeszcze bardziej, a wilgotność powietrza była tak duża, że Phyl zażartowała, iż się roztopi. Poszli więc popływać.

Basen miał dwadzieścia metrów długości, wodę o głębokim, morskim błękitcie i zdawał się przelewać przez krawędź klifu, gdzieś w nieskończoność. Phyl zanurkowała, podплыnęła do końca basenu, a potem leżała w wodzie na plecach patrząc na kłębiące się po błękitnym niebie obłoki.

- Chmury burzowe - skrzywił się Brad. - Mam nadzieję, że jutro nie będzie padać. Chciałem pokazać ci ranczo.

Miał rację. Około szóstej nad morzem zaczęło się błyskać, a wyspę zalały potoki deszczu. Phyl i Brad leżeli spleceni w wielkim, wspartym na czterech kolumnach łożu, wyrzeźbionym ponad czterdzieści lat temu z lśniącego drewna koa dla matki Brada. Płócienne prześcieradła gładziły podniecająco chłodną skórę Phyl, prawie tak jak usta całującego ją Brada. Zapach migdałów i zielonych tropikalnych roślin wpadał przez otwarte okno, a o dach nieprzerwanie bębnił deszcz. Wokół panował zupełny spokój. Jednak gdy się kochali, Phyl wyczuwała to samo napięcie, jakie zdawało się rozsądzać portret Jacka. Zastanawiała się, co jest tego powodem.

Gdy następnego dnia wstali o świcie, niebo było błękitne i bez chmur. Brad sam pilotował małą awionetkę podczas krótkiego przelotu nad Wielką Wyspą, a Phyl siedziała obok niego oczarowana rozciągającym się poniżej widokiem. Pacyfik wyglądał jak pomięta materia o barwach szmaragdu i akwamaryny, a tam gdzie były mielizny - bledszego turkusy.

Potem przelecieli nad wznoszącym się w centrum wyspy wierzchołkiem wulkanu, by nagle obniżyć lot nad lasami, kanionami i ciągnącymi się bez końca

płaszczyznami stepu. Phyl dostrzegła na nich paniolosów, kowbojów pędzących na koniach wzdłuż długich, posuwających się wolno kolumn bydła najlepszej rasy Hereford, liczących - jak powiedział z dumą Brad - ponad sześćdziesiąt tysięcy sztuk. Musnęli w locie zielone łąki i płaskie wybrzeże, zwieńczone czarnymi wulkanicznymi skałami, wysadzone jaskrawozielonymi bananowcami, wysokimi kokosowymi palmami i rozłożystymi drzewami kiawe. Potem wzniesli się nad zielone pola golfowe i różowe, hotelowe budynki.

To nie jest spokojny krajobraz, myślała Phyl. Spienione morze brutalnie biło o ostre czarne skały, rzucało się naprzód, a potem wielkim wirem odpływało znowu w nieznaną otchłań. Urwiste szczyty i głębokie, ciemne, porośnięte lasem rozpadliny wydawały się odpychające i ponure, a ciągnące się milami nagie, płaskie, czarne wulkaniczne skały wyglądały wrogo. Ale był to przecież dom Brada, jego dziedzictwo i miłość.

Brad sprowadził awionetkę do lądowania, a kiedy jechali po pasie, spojrzął na Phyl i powiedział uśmiechając się dumnie:

- Witaj na Ranczu Kanoi.

Kiedy wysiedli, w pobliżu samolotu zajechał dżip, a Hawajczyk w dużym, białym stetsonie na głowie zawołał:

- Witamy w domu, panie Kane!

- Dziękuję, Charlie - uścisnęli sobie ręce. - Doktor Forster, oto Charlie Kalapaani, który kieruje ranczem. Jedziemy z doktor Forster na objazd rancza, Charlie - dorzucił wsiadając do dżipa.

Opuścili lądowisko i jechali przez dziesięć minut prostą drogą, a potem skręcili w długą aleję wysadzaną figowcami.

- Mój dziadek zasadził je sześćdziesiąt lat temu - powiedział Brad, kiedy zbliżali się szybko do skromnego, drewnianego wiejskiego domu. Był pomalowany na białą i obudowany krytymi dachem werandami. We wnętrzu, ciemnym od polerowanego drewna koa, znajdowały się pamiątki z historii Rancza Kanoi, oryginalne ręcznie ciosane meble, wyroby rękodzielnicze, fotografie rancza i robotników, którzy na nim pracowali w początkowych latach.

- Archer, gdy zaczynał, miał dwadzieścia hektarów najgorszej ziemi, pociętej wąwozami, w których gubiło się bydło. Po trzech latach był już właścicielem tysiąca dwustu hektarów najlepszych terenów - powiedział z dumą Brad. - Każdego roku i on, i mój ojciec powiększali obszar rancza, które dziś rozciąga się na ponad stu dwudziestu tysiącach hektarów, nie licząc terenów w Teksasie i Wyoming.

- Nie pozostało tu już więcej ziemi do kupienia - stwierdziła Phyl przyglądając się mapie.

- Och, myślę, że mam swój udział w pomnażaniu dziedzictwa Kane'ów, choć czynię to w inny sposób. Hotele i pola golfowe wzdłuż wybrzeża znajdują się na ziemiach Kanoi i spodziewam się, że turystyka napelni kufry naszej rodziny.

- A więc nie zajmujesz się tylko robieniem dobrego wrażenia - drażniła się z nim uśmiechnięta,

- Ten, kto tak myśli, jest głupi. - Głos Brada niespodziewanie stał się chłodny. - Praca to moje życie.

Wyszedł na zewnątrz i osłaniając ręką oczy patrzył na ogrodzone korrale.

- Czy umiesz jeździć konno? - zapytał.

Na samą myśl o tym Phyl wybuchnęła śmiechem.

- Brad, jestem mieszcuchem. Na ulicach Chicago miałam okazję widywać tylko konie policyjne.

- A więc weźmiemy dżipa.

Kiedy telepalali się piaszczystymi ścieżkami, dobry humor Brada powrócił. Powiedział, że ma ponad tysiąc koni, pełnokrwistych, pół - i ćwierćkrwi arabów w dwustu padokach i korralach.

Doprowadzające wodę do zbiorników i koryt rury ciągnęły się setkami kilometrów. Na niższych terenach zasadzono specjalne gatunki traw i roślin strączkowych, a wyższe, bardziej nawadniane przez deszcz stoki porastała naturalnie bujna koniczyna i mieszanka odżywczych ziół. Patrzyli na zdające się nie mieć końca stado bydła pędzone w górę zboczy na nowe pastwiska.

- Zazwyczaj pozostawiam odłogiem część ziemi, aby odpoczęła i sama nabrała nowych sił - wyjaśnił Brad. - Dzięki temu rzeźne bydło z Kanoi należy do najlepszych w kraju.

Następnie przedstawił Phyl niektórych spośród setek swych pracowników, kowbojów i robotników na ranczu.

- Ale to ja jestem tu szefem - zaznaczył stanowczo. - I staram się, aby wszyscy o tym pamiętali.

Phyl zażartowała, że zapewne powtarza słowa swego dziadka.

- Oczywiście, że tak. Mój ojciec też tak uważał. „Ty jesteś tu szefem - powiedział mi - trzeba to im przypominać. Każdy człowiek, od najprostszego robotnika do stojącego najwyżej zarządcy, musi wiedzieć, że ta ziemia jest twoja. Jeśli któryś z nich zapomni, gdzie jest jego miejsce, straci pracę.”

Było późne popołudnie, gdy odlatywali. Nastrój Brada zdawał się unosić wraz z awionetką, kiedy lecieli muskając plaże i wody oceanu. Zachodzące słońce rozciągało ogniste światło pomarańczowy blask, gdy zobaczyli na horyzoncie dwa wulkaniczne szczyty wyspy Kalani i wybrzeże otoczone strzelistymi palmami kokosowymi. Chiński służący czekał na nich w otwartym dziedzińcu, a gdy jechali do domu, Brad z dumą pokazywał Phyl swą ukochaną wyspę.

Zabrał ją na nienagane, otoczone białymi płotami padoki, pokazywał hodowane przez siebie araby, rasowe bydło pasące się na łąkach i otaczające dom znakomicie utrzymane, bujne, tropikalne ogrody. A Phyl nie mogła nadziwić się piękności i doskonałości tego, co widziała.

Zrozumiała w końcu namiętność, jaką Brad żywił dla Kalani. To był prawdziwy raj.

Prosty i rozległy dom najwyraźniej rozbudowywano z biegiem lat. Miał podłogi z ciemnego, gładkiego drewna i białe ściany. Umeblowanie stanowiły hawajskie antyki i wygodne sofy kryte płótnem koloru piasku. Pokój Brada był surowy niczym cela mnicha, na podłodze nie leżał nawet dywan. Nad dużym łóżkiem z drewna koa, o słupkach w kształcie kłosów jęczmienia wisiała moskitiera. Resztę umeblowania stanowiły chińskie drewniane krzesło i niska hebanowa skrzynia, na której stała oprawiona, białe - czarna fotografia Rebeci patrzącej niepokojącym wzrokiem w aparat. Była ubrana w czarną, aksamitną wieczorową suknię, a w długie, gładkie, upięte z tyłu włosy wsunęła kwiat.

- Myślę, że miała wtedy około trzydziestki. To było tuż przed rozwodem - powiedział Brad.

Phyl rzuciła mu zdziwione spojrzenie; nie wspominał dotychczas o rozwodzie. Ale w tym samym momencie służący wniósł bagaże i Brad nie dokończył zdania. Nagle wbiegł do pokoju ogromny doberman o płonących czerwono-brązowych oczach i czarnej, lśniącej jak lawa sierści. Phyl z okrzykiem przerażenia odskoczyła w tył, ale pies, nie zwracając na nią uwagi, rzucił się z radosnym skomleniem do Brada. Ten śmiejąc się pieścił zwierzę i głaskał po uszach mówiąc coś cicho po hawajsku. Wyjaśnił, że pies nazywa się Kanoi, tak samo jak ranczo.

- Dobermany niesłusznie cieszą się złą opinią - uspokoił przerażoną Phyl. - To proste: jest jeden pan i jeden pies. Są wierne i uległe tylko swemu panu. - Głaskał masywną głowę psa, a on patrzył na niego z oddaniem. - Widzisz jaki jest spokojny? Łagodny jak jagniętka.

Phyl przebiegł dreszcz. Nieufnie przyglądała się potężnemu zwierzęciu. Kiedy Brad objął ją ramieniem, pies natychmiast zerwał się na nogi. Patrzył na nią z nienawiścią, napięty jak stalowa sprężyna. Phyl przypomniała sobie nagle straszne blizny na ramieniu Bei i znowu zadrżała. Wiedziała, że tak potężny pies mógłby rozerwać człowieka na strzępy w ciągu paru minut. Na szczęście, jeśli Brad jej nie dotykał, doberman ją ignorował.

Kiedy Brad wyszedł porozmawiać z zarządcą, stajni, Phyl wzięła prysznic i przebrała się w prostą, długą, czarną suknię z jedwabnego dżerseju. Dla ochłody upięła włosy i wsunęła w nie czerwony kwiat hibiskusa. Po uzupełnieniu stroju długimi kryształowymi kolczykami i paroma kroplami Bellodgii wyszła na werandę spodziewając się, że Brad zaraz nadejdzie.

Czuła na skórze wilgoć wieczornego powietrza, a powiew chłodu napływający od wiatraka na suficie sprawiał jej przyjemność. Przechyliła się przez poręcz lanai wdychając tropikalny zapach roślin dżungli i kwitnących nocą kwiatów. Słuchała skrzeczenia drzewnych żab, cykania świerszczy i furkotu niewidocznych skrzydeł gdzieś u wierzchołków drzew. Nie słyszała nadejścia Brada. Nie wiedziała, że stoi obok i obserwuje ją.

- Jesteś bardzo podobna do mojej matki. Tak samo uczesana, i z kwiatem we włosach - przerwał ciszę.

Mówił ostrym głosem i Phyl spojrzała na niego zdziwiona.

- Traktuję to jako komplement, twoja matka była śliczna.

- Dostrzegłem to już wtedy, gdy spotkaliśmy się w samolocie. Zauważyłem cię na lotnisku. Nawet chodzisz tak jak Rebecka, długimi, lekkimi krokami.

- Czy dlatego chciałeś się potem ze mną spotkać? Dlatego że wyglądam tak jak ona? - uśmiechnęła się.

- Nie, na miłość boską. - Brad wybuchnął śmiechem i objął ją ramieniem. - Nie chcę tej kobiety więcej widzieć. Chciałem spotkać się z tobą. Z inteligentną i wybitną doktor Phyl, która ma taką władzę nad mężczyznami, że z pewnością nawet króla namówiłaby do powierzenia jej swych najskrytszych tajemnic. - Przytulił ją do siebie wdychając jej zapach. - Jakie sekrety mam ci dzisiaj powierzyć - wymruczał pomiędzy pocałunkami.

- O Rebecce? - zaproponowała zaciekawiona. Pokręcił głową.

- Najpierw opowiem ci o mojej jedynej w swoim rodzaju babce, o Chantal. - Roześmiał się gorzko. - Mój Boże, mężczyźni w rodzinie Kane'ów doprawdy umieli wybierać sobie kobiety. Każda z nich była zdzirą pierwszej klasy.

Odsunął się od niej i zaczął spacerować po drewnianej podłodze, a doberman towarzyszył mu jak cień. Phyl przyglądała się temu oparta o poręcz.

- Działo się to w latach dwudziestych - mówił. - Archer był wciąż jeszcze bardzo młody, kiedy poznał Chantal. A ona była jeszcze młodsza i nosiła nazwisko O'Higgins. To nazwisko robiło wrażenie. Oznaczało pieniądze, duże pieniądze i to na dwóch kontynentach. Chantal była pół Irlandką, pół Francuzką, a także rozpieszczoną i kapryśną dziedziczką koniakowej fortuny O'Higginsów. - Popatrzył ze złością na Phyl. - Widziałas jej portret. Była piękną, jasną blondynką o niezadowolonym spojrzeniu błękitnych oczu. Miała mleczną skórę, kuszące usta i tym razem Archer wpadł po uszy. Myślę, że ona też. Mimo wszystko był bardzo przystojnym mężczyzną i pragnął jej tak bardzo jak ona jego.

Chantal uciekła z nim do Honolulu, a stamtąd Archer przywiózł ją tu, na Kalani. Boże, jak bardzo nienawidziła tego miejsca. Doznała szoku na widok prymitywnego drewnianego domu, nie znosiła robaków, jaszczurek i wiatru, który w burzliwe dni rozbijał o skały fale Pacyfiku. Skarżyła się, że gorąco i wilgoć zmienia jej skórę w suchy papier, że służący są niedbali i leniwi i przysięgała, iż jej męża łączy z niektórymi spośród dziewcząt coś więcej niż relacja pana i sługi. Prawdopodobnie miała rację, ale myślę, że mimo tych wszystkich podejrzeń kochała go lub pragnęła go na tyle, aby z nim zostać.

Archer nigdy nie miał dobrych zbiorów. Ananasy i trzcinę cukrową wypalała susza, a większość nie uprawianych terenów porastała trawa. Kupił więc stado bydła rasy Hereford i przywiózł trochę lepszych koni. Pasły się w wąwozach po zachodniej stronie wyspy, strzeżone przez paniolosów. Nie było łatwo, ale było dobrze się chowało i Archer zdał sobie nagle sprawę z nowych możliwości, jakie daje jego ziemia.

Chciał powiększyć obszar majątku, dokupując ziemi na większych wyspach archipelagu. Potrzebował na to pieniędzy żony. Ale Chantal robiła trudności. Spodziewała się dziecka, była śmiertelnie znudzona i rozczarowana. Gdy w końcu, po dzikich awanturach, zgodziła się, wydzielała pieniądze tak skąpo, że doprowadzało go to do szału. Zdołał jednak kupić czterysta hektarów na Wielkiej Wyspie.

Potem Chantal urodziła syna Jacka, a gdy tylko było to możliwe, zostawiła ich obu i wyjechała do San Francisco. Powiedziała, że nie chce mieć więcej do czynienia z żadnym z nich. Niedługo potem związała się z kimś i Archer rozwiódł się z nią.

Brad przystanął i uśmiechnął się do Phyl, ale w jego lodowatych oczach nie było uśmiechu, kiedy powiedział:

- Taka właśnie była Chantal, moja kochana babcia.

- A co z jej synem, z Jackiem? Czy już się więcej nie widzieli?

- Owszem - powiedział twardo Brad. - Wiele lat później, w okolicznościach, o których nie będę teraz opowiadał.

- Więc Archer wychował Jacka na wyspie samotnie?

- Prawie. Nieco później ożenił się ponownie - roześmiał się. - Mówił zawsze, że był do tego zmuszony. Potrzebował pieniędzy, aby kupić więcej ziemi na Wielkiej Wyspie. Potrzebował nowej, bardziej wytrzymałej rasy bydła, lepszych koni, dobrych pracowników. Mówił, że miał trzy namiętności: wyspę, ranczo i syna. Kobiety były na końcu.

Widzisz, zdobycie kobiety nie było trudne dla mężczyzny takiego jak Archer. Nigdy nie musiał szukać, zawsze zjawiały się na zawołanie. Mówił, że woli kupować je w burdelach Honolulu czy San Francisco, bo jest z nimi mniej kłopotów i więcej zabawy.

Pojechał do Europy rozejrzeć się za nowym bydłem, ale jak to Archer, rozglądał się także za żoną. Był przystojny, potrafił być czarujący, ale był także twardym mężczyzną i jeśli czegoś chciał, nic nie mogło go powstrzymać. A wtedy chciał majątku.

Więc go poślubił. - Brad roześmiał się, a w jego śmiechu wyczuła podziw. Wzruszył ramionami. - Cóż innego mógł zrobić przystojny młody facet ze świetlaną przyszłością, ale bez pieniędzy?

- A co się stało z jego żoną? - zapytała Phyl.

- Nie wytrzymała. Wróciła do domu i tak się to skończyło. Dopiero parę lat później Archer niespodziewanie przywiózł Jackowi przyrodniego brata, o którym ten nigdy nie słyszał.

- No i?

Brad wzruszył ramionami.

- Wkrótce opuścił wyspę. Myślę, że on także nie mógł znieść życia na Kalani.

- A może nie mógł znieść Jacka? Mimo wszystko to Jack był tam pierwszy, a wy Kane'owie niechętnie wpuszczacie obcych na swoje terytorium.

- Jack nienawdził go i miał rację - rzucił szorstko - ale to długa historia i nie mam ochoty jej teraz opowiadać.

Nastrój Brada uległ zmianie. Przy obiedzie milczał, jak gdyby czuł, że powiedział za dużo. Potem, przed drzwiami pokoju Phyl, pocałował ją tylko.

- Pewnie jesteś zmęczona - powiedział krótko. - Wyśpij się.

Zszedł do hallu. Słyszała, jak przywołał psa i wyszli w noc.

Phyl czekała kilka chwil, a potem poszła bosą na lanai, aby za nim popatrzeć, ale on już zniknął w ciemności. Wyspa oblana srebrzystym światłem księżyca wyglądała jeszcze piękniej niż przedtem, lecz Phyl prawie tego nie dostrzegła. Myślała, że za wytworną, czarującą powierzchownością Brada ukrywa się najbardziej złożony charakter, jaki знаła.

Wracając do siebie przez milczący dom zatrzymała się przed drzwiami pokoju Brada. Były otwarte i świeciła się lampa, choć nikogo w środku nie było. Nagle zaintrygowana, weszła i zbliżyła się na palcach do hebanowego kufra. Podniosła fotografię Rebeki i przyjrzała jej się zafascynowana. Brad miał rację: były do siebie podobne - duże przestraszone oczy, szerokie usta, jasna cera i długie czarne włosy. Nawet chód miały taki sam.

„Czy dlatego go pociągała? - pytała sama siebie z niepokojem. - I czy dlatego czuła, że może wyjawiać jej swe sekrety z przeszłości?”

Rozejrzała się nerwowo. W pokoju nie było żadnych innych osobistych rzeczy, nawet książki na nocnym stoliku. Duża garderoba była równie schludna i bezosobowa. Wszystko miało swoje miejsce: marynarki wisiły w szeregach, w oszklonych szufladach ułożone były koszule, buty stały w rzędki. Przesunęła ręką wzdłuż wieszaków i wtuliła twarz w miękką tweed marynarki, czując nagłą tęsknotę za Bradem, jego dotykiem i zapachem. Przyciągając marynarkę zauważyła wepchniętą w róg szafy zmiętą zieloną torbę z płótna.

Wyglądała na starą i dziwnie nie pasowała do tego miejsca. Nie był to z pewnością rodzaj torby, jakiej mógłby używać Brad. Phyl przyjrzała się jej z wahaniem. Ciekawość wzięła górę i zajrzała do środka. Wewnątrz kłębiły się kobiece drobiazgi podróżne, kosmetyczka, szczotka do włosów, podkoszulki, swetry...

Pełna poczucia winy zasunęła zamek torby i wepchnęła ją z powrotem w kąt. Oczywiście, Brad zapraszał tu inne kobiety, wytłumaczyła sobie szybko. Dlaczego miałby tego nie robić? Był atrakcyjnym mężczyzną. Wiele kobiet z radością przyjęłoby zaproszenie od niego. A jednak, przemknęło jej przez myśl, że zawartość zielonej płóciennej torby nie wydawała się pasować do kobiety Brada Kane'a. Te zwyczajne, niedrogi rzeczy mogły należeć do jakiejś młodej dziewczyny.

„To nie twoja sprawa”, powiedziała do siebie Phyl i pośpieszyła z powrotem do swego pokoju. Czuła się winna i zawstydzona, że naruszyła prywatność Brada. Zastanawiała się jednak, kim była dziewczyna, która zostawiła tu swoją torbę.

Rozebrała się i wsunęła naga pod prześcieradło, a potem długo leżała z otwartymi oczami, czekając na powrót Brada, z nadzieją, że przyjdzie do niej. Ale nie przyszedł i w końcu zapadła w sen, myśląc o Rebecce i niepokojącej Brada przeszłości, o Jacku i jego przyrodnim bracie, który pojawił się nagle nie wiadomo skąd, aby niemal zniszczyć mu życie.

Rozdział 22.

Nick Lascelles powrócił z Londynu, gdzie dowiedział się tylko tyle, że Funduszem Flory Beagle zarządza bank londyński, który zlecił utrzymywanie domku w nienaruszonym stanie. Środki na ten cel były więcej niż wystarczające i w banku uważano, że fundator miał zamiar zachować posiadłość jako rodzaj muzeum. Niestety wszelkie nazwiska i szczegóły były zastrzeżone. Bank nie miał zamiaru ujawnić ich, jeśli oczywiście z jakichś oficjalnych powodów nie zażąda tego policja.

- Tak więc jesteśmy w punkcie wyjścia - oświadczył ponuro Nick, jedząc z Beą i Millie lunch w hotelu. - Jediną nitką prowadzącą do kłębka jest teraz klucz znaleziony w domku.

Wyjął go z kieszeni i położył na stole. Przyjrzeni mu się. Był to najzwyczajniejszy srebrny kluczyk.

- Może pasuje do walizki lub kufra? - zasugerowała Bea.

- Jedyne kufer, jaki znaleźliśmy w domku, stał na strychu i nie był nawet zamknięty.

- A co z szafkami? Pokręcił powoli głową.

- Nie ma żadnych zamkniętych szafek. Niania trzymała swoje sekrety pod materacem. Chyba że... - zastanowił się przez chwilę - Pamiętacie, że ten dokument nagle, niemal w środku, się urywa. Nie napisała, co się działo na wyspie, skończyła na tym, że tam przybyli, i że nie miała siły, by przeciwstawić się wrogowi, to znaczy ojcu Johnny'ego. Nie zakończyła historii, nie napisała „Koniec”.

- Myślisz, że klucz otwiera drzwi do skrytki, w której niania schowała resztę sekretów? - zapytała Millie.

- Założę się, o co chcecie, że tak. Zobaczcie, ma nawet wygrawerowany numer. - Nick jeszcze raz przyjrzał się kluczykowi i z uśmiechem zwrócił się do Millie: - Niech mi pani powie, gdzie miła szanująca prawo starsza dama mogłaby trzymać swoje sekrety?

- W banku - odparła szybko Millie. Skinął głową.

- Założę się, że to klucz do sejfu. Problem polega na tym, że nie wiemy, w którym banku.

- Tutaj na wybrzeżu muszą być ich setki - westchnęła zawiedziona Bea.

Nick uśmiechnął się, nie tracąc pewności siebie.

- To moje zadanie, prawda? Zabawię się w detektywa i dotrę do właściwego.

Zaraz po lunchu wyruszył na poszukiwania, a Bea postanowiła sprawdzić, jak postępują roboty w willi Mimoza. Instalowano kuchnię i nowe łazienki. Na terenie posiadłości uwijali się stolarze, glazurnicy, sztukatorzy i malarze. Willa wciąż kryła się pod rusztowaniami, ale basen był niemal ukończony, a ogrodnik z pomocnikami przywracał posiadłości dawną świetność.

Wysoka premia zobowiązywała wynajętego przez Millie projektanta wewnątrz do wywiązania się z nowego terminu. Choć dom nie był jeszcze całkowicie wykończony, Millie cieszyła się, że już za parę dni będzie można przewieźć do niego część mebli i zamieszkać.

Początkowo chciała pojechać do willi wraz z Beą, lecz poczuła się zmęczona.

- Jedź sama, kochanie - powiedziała całując dziewczynę na pożegnanie. - Po powrocie opowiesz mi, jak postępują prace.

Pomachała jej ręką i zadowolona poszła wzdłuż tarasu na swoje ulubione miejsce z widokiem na morze. Przywołała kelnera i zamówiła kieliszek brandy dla dodania sobie animuszu. Z przyjemnością spoglądała na otaczające ją sosny, drzewa oliwne, różowofioletową bugenwillę i srebrzyście błękitne morze. Wyjątkowo lubiła to miejsce.

„Jesteś niemądra - powiedziała do siebie z uśmiechem. - Mówisz tak o każdym miejscu, w którym jesteś. Sama wiesz, że tym razem to zasługa wyłącznie towarzystwa, które tutaj masz. W dawnych czasach, kiedy byłaś młoda i lekkomyślna, zawsze był to mężczyzna, a teraz kiedy się zestarzałaś, masz tę kochaną dziewczynę - Beę. Przypomina cię w tym wieku, choć ty byłaś zbyt dumna, by okazywać swą samotność i bezbronność. Zawsze udawałaś, że ci na tym nie zależy.”

Roześmiała się stwierdziwszy w duchu, że jest już za późno, aby przestać udawać. Willa jest prawie wykończona, niedługo przyjadą dzieci. Wykonała swój plan i ma nadzieję, że wszystko ułoży się po jej myśli.

Millie z przyjemnością popijała brandy patrząc na Morze Śródziemne. Nad głową krążyły hałaśliwe ptaki, słońce grzało jej nagie ramiona, lekki wiatr szeleścił w liściach palm. Westchnęła z zadowoleniem

Odstawiwszy kieliszek, oparła się wygodnie o poduszki, zamykając oczy.

Była pogrążona w głębokim śnie, kiedy ból ścisnął jej serce, tak jak wiele razy w ciągu ostatnich lat. Tylko że tym razem nastąpiło to po raz ostatni. z uśmiechem na twarzy.

- Nie wierzę! - krzyknęła Bea. - To nieprawda. Proszę, powiedz, że to nieprawda. - Czując, że serce pęknie jej z bólu. - Millie była moją przyjaciółką - wyszeptwała zwracając pobladałą twarz do Nicka. - Dobrą, życzliwą i wspaniałomyślną. Kiedy byłam przerażona i zagubiona, podzieliła się ze mną swoim życiem, uczyniła mnie jego częścią. - Zaczęła szlochać straszonym rozpaczliwym szlochem, który niemal ją dławiał. - Och, Nick, dlaczego tak się stało? To niesprawiedliwe.

Trzymał ją drżącą w ramionach. Lubił Millie. Dostrzegął jej szlachetność ukrytą pod zewnętrzną szorstkością. Jej odejście nim wstrząsnęło, ale to Bea napępiała go prawdziwym żalem. Krucha osobowość dziewczyny zdawała się rozpadać pod nowym ciosem. Objął ją mocno ramionami, pragnąc wesprzeć i przekazać własną siłę.

Bea bezładnie mówiła o Millie, o tym, że musi zadzwonić do Phyl. Starał się ją łagodnie uspokajać. To on zadzwoni do Phyl i do adwokata Millie w Nowym Jorku. Zatroszczy się o wszystko. Najpierw jednak odprowadził Beę do pokoju i wezwał lekarza, aby dał jej środek uspokajający.

Adwokat, John Hartley, wydał dyspozycje dotyczące pogrzebu, który miał odbyć się dwa dni później. Powiedział Nickowi, że nie będzie mógł wziąć w nim udziału, ale przybędzie w końcu tygodnia, aby uporządkować sprawę pani Fenwick.

Phyl była nieosiągalna. Nick codziennie zostawiał na jej automatycznej sekretarce wiadomość, że dzwoni w sprawie Millie Fenwick, że to pilne i prosi o odpowiedź. Bez rezultatu.

- Na pewno wyjechała - stwierdziła Bea, zasmucona, że Phyl nie będzie uczestniczyła w ostatnim wielkim wydarzeniu swej przyjaciółki. W dzień pogrzebu niebo było czyste i słoneczne.

- Cudowna pogoda - stwierdziła ze smutkiem Bea. - Właśnie taka, jakiej Millie by sobie życzyła.

Byli jedynymi uczestnikami pogrzebu, z wyjątkiem trzymającej się dyskretnie z tyłu grupy ubranych na czarno kelnerów i pracowników hotelowych. Po raz ostatni wyrażali swój szacunek dla Millie Fenwick, nie dlatego że była hojna, ale że naprawdę ją lubili.

Bea położyła na grobie wiązanek białych lilii i ulubionych różowych róż Millie. Przez chwilę stała smutna, z pochyloną głową, potem przesłała dłonią ostatni pocałunek i odeszła wraz z Nickiem, który obejmował ją troskliwie ramieniem. Nie mogła znieść myśli o hotelu, w którym nie było już Millie, i zdecydowała wprowadzić się do nie wykończonej willi.

Jadąc czarnym, pogrzebowym samochodem, oparła głowę na ramieniu Nicka i myślała, że miał to być dla Millie taki szczęśliwy dzień. Dla niej także. Miała zamieszkać w swym wymarzonej domu. A teraz, bez witalnej obecności Millie, wszystko jakoś wydawało się bez znaczenia. Samochód wjechał w dużą żelazną bramę, a Bea otworzyła oczy, gdy w milczeniu zbliżali się do willi wysypanym żwirem podjazdem. A tam, na schodach, siedziało dwoje małych, bladych, przerażonych dzieci. Miały na szyjach tabliczki identyfikacyjne linii lotniczych i wyglądały na zagubione i osamotnione.

- To Scott i Julia Fenwick - wykrztusiła przerażona Bea, która zupełnie zapomniała, że dzisiaj przyjeżdżają. Prawdę mówiąc zapomniała o ich istnieniu.

Zaniepokojona przedstawicielka Air France ruszyła w ich kierunku. Powiedziała, że się martwiła. Przywiozła dzieci tutaj, pod znany liniom lotniczym adres, gdyż nikt nie czekał na rodzeństwo na lotnisku. I odjechała czym prędzej spełniwszy swój obowiązek. Bea ze smutkiem popatrzyła na dzieci, a potem na Nicka.

- Co my teraz zrobimy? - wyszeptowała.

Wystraszone dzieci przyglądały się im wielkimi oczami. Były podobne jak dwie krople wody, miały takie same okrągłe twarze, piegi, niebieskie oczy i nierówno przycięte lśniące brązowe włosy, u dziewczynki związane zsuwającą się wstążką w koński ogon. Chłopiec ujął siostrę za rękę i nic nie mówiąc czekali z niepokojem, co będzie dalej.

Scotty Fenwick znowu poczuł grudę dławiącą go w gardle, co znaczyło, że będzie musiał powstrzymać się od płaczu. Przełknął z trudem ślinę i spojrzał na przybyłych, którzy przyglądali im się, jak gdyby nigdy nie widzieli dzieci. Poczł, że mała, gorąca ręka Julii zaciska się mocniej, i wiedział, że musi być dzielny ze względu na siostrę. Czyż nie powiedziano mu po pogrzebie rodziców, że teraz jest mężczyzną i musi się nią opiekować? Zrozumiał, że tak musi być. Było ich teraz tylko dwoje przeciw całemu światu. A świat stał się nagle dużo większy niż małe miasto, w którym zawsze mieszkali i gdzie wszyscy znali ich, a oni wszystkich. Ci obej patrzyli, jakby nigdy nawet o nich nie słyszeli. A ta pani nie mogła być Millie Fenwick, ciotka przecież miała być stara.

Objął opiekuńczo Julię czekając, co zrobią tamci. To weszło już w zwyczaj. Ludzie robili coś dla nich albo za nich, zapewniali im mieszkanie i jedzenie. Uśmiechali się patrząc z litością.

- Ale macie szczęście - mówili. - Macie bogatą ciotkę na słonecznym południu Francji. Będziecie mieszkać w pięknej willi.

- O tak - wymamrotał gorzko. - Mamy szczęście. Rudowłosa kobieta uśmiechnęła się do niego.

- Witajcie w willi Mimoza - powiedziała ciepłym głosem. - Cieszymy się, że tu jesteście. Wyglądacie na zmęczonych podróżą, biedaki. Chodźcie do środka, pokażę wam wasze pokoje. Millie przygotowała je specjalnie dla was.

Scott popatrzył na Julię. Jak zwykle w ostatnich dniach jej spojrzenie nic nie wyrażało. Zupełnie tak, jakby obojętna na wszystko, zamknęła się w sobie. Nie płakała ani razu od czasu pogrzebu, chociaż przedtem wylała morze łez. On także był tylko czasem jak wilk, aby wyrzucić z siebie ból i gniew. Był zły. Zły na tego, przez kogo rodzice umarli, na nich za to że umarli, na siebie, że nie jest wystarczająco duży i silny, aby zaopiekować się siostrą. Złościł się, iż nie może cofnąć wskazówek zegara i sprawić, aby wszystko było tak jak kiedyś, by mieszkali całą czwórką w małym, żółtym wiejskim domu, otoczonym drzewami pieprzowymi, bez końca gubiącymi liście na trawnik. Obiecał nawet Bogu, że jeśli odda mamę i tatę, będzie zawsze grabił te liście bez narzekania. Wyglądało jednak na to, że Bóg nie lubi się targować.

A teraz był wraz z Julią we Francji. W obcym kraju, gdzie wszyscy mówili niezrozumiałym językiem, w ogromnym jak na filmie domu zwanym willą Mimoza, z dwiema nie znanymi mu osobami. Chociaż uśmiechali się do niego, byli obcy, a on bał się i tęsknił za domem.

- Czy jesteś ciocią Millie? - zapytała nagle Julia, patrząc podejrzliwie na kobietę.

Scott szybko trącił ją łokciem. Ostrzegał przecież, aby nic nie mówiła i nie zadawała pytań. Powiedział, że wszystkim się zajmie i że nie zostaną tu długo.

- Zostaw to mnie. Wkrótce będziemy w domu.

- Ale gdzie jest dom, Scotty? - zapytała płacząco Julia, a on znów poczuł tę okropną grudę w gardle. Nie znał odpowiedzi. Nic już teraz nie wiedział. Miał dopiero dziewięć lat i nie chciał jeszcze być mężczyzną. Chciał tylko, aby życie toczyło się tak jak przedtem.

- Jestem Bea French - powiedziała kobieta, kucając przed nimi i całując Julię w policzek. Chłopiec cofnął się gdy nachyliła się ku niemu. Miał dosyć pocałunków obcych ludzi.

- A ja jestem Nick Lascelles - mężczyzna wyciągnął rękę i Scott uściśnął ją niechętnie. - Jesteśmy przyjaciółmi waszej cioci Millie. Chodźcie do środka, pokażemy wam, jak tu jest.

Kiedy wchodzili za nimi do domu, Scott znowu ujął Julię za rękę. Ze zdziwieniem rozejrzał się po dużym, pustym hallu. Nie było mebli, ani tak jak w domu, zabłoconych butów kopniętych w kąt, czy płaszczy wiszących na kołku.

- Ten dom wygląda, jakby nikt w nim nie mieszkał - powiedział z zabawną powagą, która rozśmieszała jego ojca.

- Ciocia Millie przebudowała tę willę specjalnie dla was - zapewniła Bea. - Chciała ukończyć prace, zanim przyjedziecie, lecz ciągle nie mamy jeszcze wszystkich mebli. Są tylko w kuchni i w sypialniach.

- Nie zapomnij dodać, że jest tu basen - dorzucił Nick.

- Basen? - w zmęczonych oczach Scotta błysnęło zainteresowanie.

- Jasne - potwierdziła szybko Bea. - W pobliżu jest też plaża i wiele łodzi rybackich.

- Aha - Scott wzruszył chudymi ramionami, spoglądając na Julię, która podbiegła do Nicka i ufnie wzięła go za rękę.

- Gdzie jest nasza ciocia? - zasepleniła płacząco patrząc na niego.

Bea rzuciła Nickowi niespokojne spojrzenie. Prawda byłaby w tej chwili zbyt trudna do przyjęcia dla tych biednych wyczerpanych psychicznie dzieci.

- Mówiłam ci, kochanie - powiedziała. - Ciocia Millie nie może być dzisiaj z nami.

Julia popatrzyła na nią.

- Umarła, prawda? - zwróciła smutne spojrzenie na Nicka - Tak nam powiedzieli, kiedy mama i tato umarli. Ze nie mogą być już więcej z nami.

„O Boże - pomyślał Scott, znów walcząc z grudą w krtani - Julia ma rację. Tak właśnie nam powiedzieli. O Boże, co się teraz z nami stanie. Mówili, że to nasza jedyna krewna, nie mamy już nikogo.... nikogo... jesteśmy sierotami.... w obcym kraju... wśród obcych ludzi...”

- Przykro mi, Julio - powiedział łagodnie Nick. - To niczego nie zmienia. Bea i ja zaopiekujemy się wami.

- Ja się nią zaopiekuję - wymruczał Scotty. - To moja siostra.

- Bea, jestem rozcochrana - powiedziała Julia. Jej seplenienie nasiliło się, jak zwykle gdy była zmęczona lub zmartwiona. - I muszę iść do łazienki.

Ziewnęła zmęczona, idąc za Beą na górę, ciągle trzymając kurczowo Scotta za rękę.

- Pamiętaj, nic nie mów - ostrzegł ją, kiedy Bea otworzyła drzwi i pokazała im różowy budarek godny księżniczki.

- Millie wiedziała, że lubisz różowy kolor - powiedziała Bea, gdy dziewczynka z radosnym okrzykiem pobiegła w stronę czekającej przy oknie menażerii pluszowych zwierząt. - I wiedziała, że zielony jest ulubionym kolorem Scotta - dodała uśmiechając się także do niego.

- Wszystko mi jedno - mruknął obojętnie, wruszając ramionami.

Odwrócił się nie zwracając uwagi na zachwycone okrzyki siostry uszczęśliwionej dużym, pięknym domkiem dla lalek czekającym na nią na środku mosiężnego łóżka z baldachimem. Tego wszystkiego było za wiele. Nie mógł pokonać grudy w gardle, poczuł, że zaraz się rozpłacze, i wybiegł z pokoju. Stał w hallu zgarbiony, wciskając zaciśnięte pięści do kieszeni. Nick patrząc na jego plecy zrozumiał, że chłopiec płacze i nie chce, aby ktoś to zauważył.

- To nic złego, że płaczesz - powiedział - spotkało cię tyle smutnych rzeczy. Najpierw twoi rodzice, a teraz ciocia Millie.

- Co ją obchodziliśmy? - Głos chłopca był cienki i zdławiony. - Nawet nas nie znała.

- To prawda, nigdy was nie spotkała, ale wiedziała o was wszystko. I dlatego ją obchodziliście. Starsza pani powiedziała nam, że nigdy nie była matką, a teraz może nią zostać. Była z tego powodu naprawdę szczęśliwa, Scott. Chciała zaopiekować się tobą i Julią. - Poklepał Scotta po ramieniu. - Masz za sobą długą podróż, synku. Założę się, że jesteś zmęczony i głodny. Co powiesz na to, abyśmy zorganizowali coś do jedzenia, a potem może poszli zobaczyć basen?

Scott głośno pociągnął nosem. Ciągle nie patrzył na Nicka, ale zszedł za nim na dół. Usiadł przy kuchennym stole ze spuszczoną głową, a Nick zajrzał do lodówki i zamrażalnika. Gwizdnął ze zdumieniem wyjmując kilka paczuszek.

- Dobra, stara ciocia Millie - powiedział z uśmiechem. - Wiedziała, co jej amerykańscy podopieczni lubiliby najbardziej. Hot - dogi i frytki.

Scott podniósł oczy z zaciekawieniem, ale nic nie powiedział. Po chwili do kuchni wbiegła Julia i wdrapała się na krzesło obok niego. Tulila w ramionach zieloną pluszową żabę i w milczeniu przyglądała się, jak Nick i Bea przygotowują jedzenie.

Potem wszyscy zabrali swe talerze na taras i usiedli przy stoliku próbując zmusić się do jedzenia. Wydawało im się, że nie będą w stanie przełknąć. Nawet Nickowi zabrakło historyjek do opowiadania, a Scott i Julia wbili wzrok w talerze.

Nick spojrział z rozpaczą na Beę. W jej oczach były łzy. Wiedział, że jest na krawędzi załamania. To zbyt wiele: Millie, pogrzeb i dzieci.

- Patrzcie! - krzyknęła nagle Julia wskazując palcem. - O tam!

Z krzaków wylał duży pies, stanął na brzegu trawnika i patrzył na ludzi wężąc z nadzieją. Miał długie nogi, kudłatą, zaniedbaną sierść i był głodny. Po chwili głód wziął w nim górę nad ostrożnością. Zebrawszy się na odwagę zaczął podkradać się do siedzących tak przyczajony, że brzuchem niemal szorował po ziemi. Położył się u stóp Scotta i ułożywszy pysk pomiędzy łapami, podniósł na chłopca brązowe, pełne wyrazu oczy.

Scotty patrzył na psa. Pomyślał, że taki sam wyraz oczu widział przeglądając się w lustrze. Nagle zapragnął tego psa bardziej niż czegokolwiek w życiu. Oczywiście poza cofnięciem wskazówek zegara. Ale pies był przybłądą. Wiedział, że ci ludzie nie będą chcieli go trzymać w eleganckiej willi. Pies nigdy nie będzie należał do niego i dlatego nie śmiał go pogłaskać.

Patrząc na przybłądę, Bea pomyślała, że ma on wiele wspólnego z nią samą i dziećmi. Nie powiedziały ani słowa, ale w ich niebieskich oczach dostrzegła tęsknotę. Wiedziała, że znalazła sposób na rozgrzanie ich zmarzniętych serduszek.

- No dobrze - powiedziała - jesteś z nami, kundelku.

Scott z okrzykiem radości odepchnął krzesło i objął psa. Gruda w krtani jakimś cudownym sposobem zniknęła, a kiedy pies polizał chłopca po rękę, ten złapał sam siebie na czymś w rodzaju śmiechu. »Śmieję się - pomyślał zdumiony - znowu się śmieję."

Trącił Julię w ramię i powiedział:

- Będzie spał ze mną w łóżku.

- Nie, ze mną!

- Ze mną!

- To będzie wasz wspólny pies - rzuciła szybko Bea.

- Jak go nazwiemy? - zapytała z podnieceniem Julia, przyglądając się, jak Scott karmi psa ich hot - dogami. Pożarł je i usiadł zebrząc o więcej, Jedno z uszu było naderwane i zwisało zabawnie.

- To taki kundel - roześmiała się Bea. - Może nazwiemy go Znajda?

Scott i Julia nareszcie zachowywali się jak dzieci, a nie wykończeni psychicznie mali dorośli. Dziękowała Bogu za tego psa, ale kiedy spojrzała na Nicka, wiedziała, że oboje myślą o tym samym. „Co będzie dalej? Co stanie się z Julią i Scottem, teraz gdy Millie nie żyje?"

Dwa dni później przybył z Nowego Jorku John Hartley, adwokat Millie. Ten starszy, siwowłosy, nadęty mężczyzna był od lat jej prawnym doradcą.

- Pani Fenwick od długiego czasu cierpiała na dolegliwości sercowe - wyjaśnił Bei. - Zrobiono wszystko, co było możliwe. Wiedziała, że może umrzeć w każdej chwili. To dlatego nie chciała zrezygnować z przyjemności palenia papierosów, choć wiedziała, że jej szkodzą.

Bea nagle przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Millie tamtego deszczowego dnia w mieszkaniu przy Piątej Alei. „...To nie alkohol mnie zabije - mówiła - tylko te przeklęte fajki."

- Tuż przed śmiercią napisała do pani list - powiedział Hartley. Podał Bei kopertę i usiadł czekając cierpliwie, aż skończy czytać.

„Wiem, że chyba nie zostało mi zbyt wiele czasu, moja droga. Zawsze czerpałam z życia, ile się dało. Myślałam, że mam szczęście, bo dostawałam wszystko, co chciałam, ale Ty pojawiłaś się w moim życiu niczym błogosławieństwo od Boga. Stałaś się dla mnie wnuczką, której nigdy nie miałam, doskonałą towarzyszką, i młodą przyjaciółką. Kimś, kogo mogłam trochę porzypieszczać, kto słuchał mego nie kończącego się paplania i śmiał razem ze mną z tego, że jestem taka niemądra. Rozjaśniłaś moje życie, uczyniłaś je pełniejszym i mniej samotnym.

Chciałam Ci pomóc odnaleźć siebie, choć wiedziałam, że wtedy mnie opuścisz. Pragnęłam, abyś została ze mną na zawsze, ale nawet ja nie mogłam być tak wielką egoistką. Odkąd znalazłaś willę Mimoza, to ogniwo łączące Cię z przeszłością, myślę, że wiem, jak Ci pomóc. A kiedy pojawiły się moje biedne sierotki, dopełniły wszystkiego, bo rozumiałam, że nawet jeśli nie mogę zwrócić Ci przeszłości, mogę dać Ci przyszłość.

Życie sprawiło mi wiele radości, moja droga, więc nie oplakuj mnie zbyt długo. Chcę abyś cieszyła się swoim. Mój adwokat zatroszczy się o wszystko.

Twoja przyjaciółka i zastępcza babcia, Millie Fenwick"

Bea ze smutkiem popatrzyła na adwokata.

- Była bardzo dobrą osobą - powiedziała cicho - prawdziwą przyjaciółką.

- To prawda - zgodził się Hartley. - Większość ludzi dostrzegała tylko frywolną fasadę. Nie wiedzieli, jak wiele dobroczynnych instytucji skorzystało z jej hojności. Robiła to zawsze anonimowo. Ale teraz, panno French, pora na poznanie treści nowego testamentu pani Fenwick. - Odchrząknął patrząc na nią sponad okularów. -

Millie Fenwick chciała, aby to pani miała willę Mimoza. Nie zapisała jej w testamencie, ale od razu kupiła na pani nazwisko. Od samego początku ustaliła, że to pani i tylko pani ma być właścicielką tego domu. Píše tu, iż ma nadzieję, że przyniesie on wszystko na co pani liczyła, łącznie ze szczęściem.

Oczy Bei rozszerzyły się ze zdumienia.

- Pani Fenwick zostawiła także sumę pięciu milionów dolarów, ponieważ, jak napisała, chce, aby pani miała przyszłość skoro nie ma przeszłości.

- Pięć milionów dolarów?!

- Tak jest. Ale pod jednym warunkiem: chce, aby przejęła pani odpowiedzialność za dzieci, aby wychowała je tak jak swoje własne. Czowała, że w ten sposób zapewnia pani przyszłość. Będzie pani miała dom, rodzinę i wystarczająco dużo pieniędzy na swoje potrzeby. Reszta majątku Millie Fenwick, w wysokości około dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów, nie licząc znaczących darowizn dla uniwersytetów i szpitali i różnych instytucji dobroczynnych, oraz biżuterii pozostawionej pani i doktor Forster, zostaje złożona w depozycie dla dwojga dzieci: Scotta i Julii Fenwicków.

Nieco później, po odjeździe adwokata, Bea przekazała nowiny Nickowi.

- Millie współczuła mi, że nie mam przeszłości - powiedziała ze łzami w oczach - więc pragnęła dać mi przyszłość. Popatrz tylko, jestem teraz panią willi Mimoza i matką dwojga prawie nieznanym dzieci.

- I milionerką - Nick był zaszokowany. - I matką dwojga niezwykle bogatych dzieci.

- Mój Boże, Nick, co ja mam zrobić?

Nick ujął ją pod brodę i podniósł jej twarz do góry, dodając uśmiechem otuchy.

- Zrób to, co zwykle - powiedział. - Zadzwoń do Phyl. Pewnie już wróciła do domu. A potem - ciągnął - proponuję otworzyć butelkę szampana i wznieść toast na cześć twej drogiej przyjaciółki i zastępczej babci, Millie Fenwick.

Bea bez końca wykręcała numer Phyl, ale zgłaszała się tylko automatyczna sekretarka. Zaniepokojona, zadzwoniła na policję i poprosiła detektywa Mahoneya.

Natychmiast podniósł słuchawkę.

- Słucham? - rzucił. Popijał właśnie trzecią kawę w ciągu ostatniej pół godziny. Opierając nogi na zabałaganionym biurku, huśtał się leniwie na krześle. - Boże, Bea French. Jak się masz? I skąd, u diabła, dzwonisz? Tak dobrze cię słyszeć, że mógłbym przysiąc, że jesteś na dole w hallu.

- Ciągle jestem we Francji - odparła. - W willi Mimoza. Och panie Mahoney - rozpląkała się. - Millie nie żyje. Zostawiła mi mnóstwo pieniędzy, dwoje dzieci i nie wiem, co mam robić... Dzwoniłam do Phyl, ale nie ma jej w domu i jestem taka niespokojna...

Mahoney aż się wyprostował.

- W porządku, kochanie, nie martw się. Opowiedz mi tylko wszystko i zobaczymy co da się zrobić. Wyrzuciła z siebie całą historię.

- Nie mogłam złapać Phyl i powiedzieć jej o tym - dodała na końcu. - Nie przyjechała na pogrzeb, a teraz ciągle nie mogę się do niej dodzwonić i...

- Wszystko w porządku. Już dobrze, Bea. Przede wszystkim nie martw się o Phyl. Wiem, że jest z jakimś facetem, za którym szaleje. Wygląda na to, że zapomniała ci powiedzieć o panu Hawajskim? Zdecydowała się nagle na małe wakacje i pewnie została tam trochę dłużej niż planowała. Będzie zrozpaczona, kiedy dowie się o Millie i o tym, że nie zdążyła na pogrzeb. Przeżywasz trudne chwile, a nieobecność Phyl przy tobie pogorszyła sprawę.

- Nick był ze mną. - Głos Bei brzmiał już znacznie spokojniej. - Pomógł mi.

- To świetnie. Wygląda na to, że go lubisz.

- To miły facet - powiedziała trochę obronnym tonem.

- No proszę, gdzie ja to już wcześniej słyszałem? Posłuchaj, młoda damo. Millie musiała cię bardzo kochać, skoro powierzyła ci te dwie sierotki. Widocznie doszła do wniosku, że we trójkę łatwiej zмагаć się ze światem. A może w czwórkę, sądząc z wibracji, które wyczuwam w związku z Nickiem. Bardzo mi się podoba ta liczba. Więc głowa do góry, mała. Ciesz się, że zyskałaś przyjaźń i miłość Millie - zaśmiał się. - A teraz, po tych mądrościach, dam ci lepiej numer do Phyl na Hawaje.

- Dziękuję panu. - W głosie Bei brzmiała ulga.

- Mów mi Franco - rzekł z uśmiechem. - Po tym co razem przeszliśmy, chyba jesteśmy przyjaciółmi?

- Najlepszymi przyjaciółmi - zapewniła gorąco.

- Zadzwoń znowu, gdybyś mnie potrzebowała - powiedział. - Może któregoś dnia wybiorę się tam, żeby was wszystkich zobaczyć.

Franco Po skończeniu rozmowy spojrzął na zegarek. Była dokładnie godzina 7.00. Znowu podniósł słuchawkę i wykręcił numer na Hawajach.

- Dobry wieczór, tu Kalani - odezwał się natychmiast głos o azjatyckim akcencie.

- Dobry wieczór. Chciałbym mówić z doktor Phyl Forster.

- Tak, proszę pana, a kogo mam jej zapowiedzieć?

- Mówi Franco Mahoney.

Znowu oparł nogi na biurku i odchylił się do tyłu czekając na jej zaskoczony głos.

- Kto mówi? - zapytał szorstko jakiś mężczyzna.

Domyślił się, że to pan Hawajski we własnej osobie i usiadł prosto.

- Mówi Franco Mahoney. Chciałbym mówić z doktor Forster.

- Pani doktor nie może podejść do telefonu. Czy chce pan zostawić wiadomość?

- Tak - Franco uniósł kpiąco brew. Pan Hawajski mówił jak źle wychowany łobuz. - Proszę powiedzieć, że dzwonił Mahoney. M - A - H - O - N - E - Y, przeliterował powoli.

- To pospolite nazwisko, panie Mahoney. Wiem jak się je pisze.

W uprzejmym głosie krył się jad i Franco zmarszczył brwi. „To coś więcej niż źle wychowany łobuz, to zdaje się świr pierwszej klasy”, pomyślał.

- Wspaniale - rzucił krótko. - W takim razie proszę powiedzieć pani Forster, aby do mnie zadzwoniła, o każdej porze dnia i nocy. To pilne. Ona zna mój numer.

- Przekażę jej wiadomość - usłyszał chłodną odpowiedź i zaległa cisza.

Mahoney rzucił słuchawkę na widełki.

- Boże - powiedział zdumiony. - Wygląda na to, że Phyl świetnie umie dobierać sobie towarzystwo.

Z rękami w kieszeniach, ze wzrokiem wbitym w podłogę ruszył na dół do hallu, do automatu z kawą. Zastanawiał się nad tą lodowatą wymianą zdań.

- To jakiś zazdrosny facet - doszedł do wniosku, biorąc swój czwarty kubek z kawą od godziny szóstej piętnaście. A była dopiero siódma dziesiąta. Przeczuwał, że będzie to długa noc.

Miał rację. Pierwsza wiadomość przysłała niemal natychmiast. Podpalenie w ubogiej dzielnicy Tenderloin. Pożaru jeszcze nie opanowano i do tej pory odkryto ciała dwóch ofiar.

Razem z Benedettim pojechali tam na sygnale, z migającym światłem na dachu policyjnego chevroleta.

- Sam nie wiem - Benedetti uśmiechnął się z satysfakcją, patrząc na rozstępujące się przed nimi samochody. - Chyba czasem nie jest źle być policjantem.

Mahoney zamknął oczy, kiedy po raz kolejny przejechali na czerwonym świetle i skręcili na rogu z piskiem hamulców. - Jasne. Chociaż może powinieneś pomyśleć o powrocie do szkoły nauki jazdy. Człowieku, na miłość boską, uważaj, dobrze!

- Co się stało? Detektyw ma stracha? - Benedetti uśmiechnął się jeszcze szerzej.
- A co myślałeś? Z takim wariatem jak ty za kierownicą! Przypomnij mi, abym poprosił o innego partnera gdy wrócimy do pokoju brygady. Może wtedy uda mi się pożyć trochę dłużej.

Cztery przecznice dalej dojrzeli płomienie, a kiedy stanęli, dach domu właśnie zapadł się wśród chmury iskier.

- Niech Bóg ma ich w swojej opiece. Mam nadzieję, że jest tu cała straż pożarna - mruknął Mahoney.

- Właściwie już po wszystkim - powiedział komendant straży. - Do tej pory mamy dwóch zmarłych i wszyscy moi ludzie są na stanowiskach. Nie ma wątpliwości że to podpalenie, wszędzie walają się szmaty namoczone w benzynie - pokazał kawałek materiału Mahoneyowi.

- Benedetti, włóż to do plastikowego worka - rzucił Franco. - Będziemy musieli to sprawdzić. Zmrużonymi oczami zlustrował tłum gapiów. Podpalacze prawie zawsze przychodzili popatrzeć na swoje pożary. To ich podniecało. Nie wiedział, co myśleli o ludziach, których właśnie zabili i nie obchodziło go to. Chciał ich po prostu zamknąć na tak długo jak to możliwe. Ale tej nocy nie miał szczęścia. Chyba opuścił go ów słynny szósty zmysł. Od nikogo z tłumu przechodniów nie było czuć oskarżycielskiej woni benzyny.

- Pierwsze uderzenie mamy za sobą - powiedział do Benedetti. Ruszyli już, kiedy radio wychrypiało kolejną informację: przed barem pchnięto kogoś nożem.

- Hej, nie ma dla mnie żadnych wiadomości? - zapytał Mahoney gdy odjeżdżali, ale dyżurny oficer zaprzeczył.

- Proszę dać mi znać jeśli zadzwoni doktor Phyl Forster, dobrze - powiedział Franco. - To ważne.

- W porządku - oficer wyłączył się.

- Masz nową dziewczynę? - zapytał z zaciekawieniem Benedetti. - Myślałem, że z tą włoską babką - jak jej na imię? - to było na poważnie. Mahoney westchnął.

- Przyjmij do wiadomości, że nikt nie nazywa kobiet babkami od co najmniej dziesięciu lat. A młoda dama, o którą ci chodzi, wciąż się łaskawie czasem ze mną widuje. Kiedy mam wolny czas.

- Tak, na tym właśnie polega problem. Czas. Mają dosyć czekania na ciebie i znajdują sobie faceta pracującego w bardziej ludzkich godzinach. A jednak niektórzy zdołali jakoś dotrzeć do ołtarza. Idziesz na ślub Connorsów w sobotę?

- Nie omieszkać przyjść - odrzekł Mahoney, kiedy z piskiem opon zatrzymali się na zewnątrz baru Hot Trash.

Leżące w zaułku twarzą do ziemi ciało otaczał tłum okropnie wyglądających gapiów, powstrzymywanych przez dwóch umundurowanych policjantów. Ofiara została napadnięta przy wyjściu z baru i zaciągnięta w boczną uliczkę, gdzie pchnięto ją nożem i ukradziono portfel. Wielu świadków widziało oddalającego się winowajcę i mogli podać rysopis, ale nikt nie chciał powiedzieć, że widział zabójstwo. Nikt nie chciał być w to wplątany.

- Wszystko idzie według planu - westchnął Mahoney. I tak było. Do północy liczba ofiar pożaru, ataku nożem i innych zbrodni wynosiła cztery, plus jeden przypadek „krytyczny”, człowiek zawieszony między życiem a śmiercią na oddziale intensywnej terapii w miejskim szpitalu w San Francisco. A liczba podejrzanych za kratkami wynosiła zero.

Markotnie przepisywał raport na IBM - ie, popijając kawą drożdżówkę z cynamonem, kiedy zadzwonił telefon.

- Tak? - burknął zmęczonym głosem.

- Mahoney? To ty?

- Phyl?! - Odłożył drożdżówkę i umieścił słuchawkę pod brodą. Odchylił się do tyłu z uśmiechem. - Pewnie że to ja. A kogo się spodziewałaś?

- Masz zmęczony głos...

- Twój też nie jest tak radosny, jak można by się spodziewać po osobie na wakacjach. - Jej głos był przytłumiony i Franco zastanawiał się, czy źle wychowany pan Hawajski znajduje się w pokoju i słucha rozmowy.

- Wszystko w porządku - powiedziała trochę zbyt skwapliwie. - Przekazano mi, że dzwoniłaś.

- To dziwne. Facetowi chyba nie podobało się, że jakiś inny mężczyzna do ciebie telefonuje. Trochę zaborczy, prawda?

- Mówiłaś, że to pilne - odparła nie zwracając uwagi na jego słowa.

- Bo jest. Lepiej sobie usiądź. Chodzi o twoją przyjaciółkę Millie - opowiedział jej o telefonie Bei, o Millie i o tym, co się stało.

Zdawało mu się, że w głosie Phyl słyhać było łzy, kiedy powiedziała, że nigdy nie daruje sobie, że jej tam nie było. Oświadczyła, że wraca do San Francisco następnego dnia i zadzwoni, kiedy będzie na miejscu.

Mahoney odłożył słuchawkę i zamyślił się. Jak na chłodną i poukładaną damę z pewnością miała zbyt napięty głos. Zupełnie jak pan Hawajski.

Rozdział 23.

Phyl odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Brada siedzącego w drugim końcu pokoju. Palił papierosa i popijał brandy.

- Kłopoty? - zapytał beztrosko Brad w odpowiedzi na oskarżycielskie spojrzenie jej niebieskich oczu.

- Dlaczego nie przekazałeś mi, że Mahoney dzwonił? Gdybym nie zauważyła jego imienia zanotowanego na kartce, nigdy bym się nie dowiedziała.

Wzruszył ramionami.

- Wyleciało mi z głowy.

- Za dobrze cię znam. Nigdy ci się to nie zdarza. Pamiętasz każdy szczegół z historii swojej rodziny.

- To co innego - odparł sucho. - Tamte rzeczy są ważne.

- A przekazanie mi wiadomości, że ktoś chce pilnie ze mną rozmawiać, nie jest ważne?

- A było?

- Nie powiedziałeś mi o tym, bo telefonował mężczyzna.

- Nie podoba mi się, gdy ktokolwiek tu do ciebie dzwoni. Powinnaś uszanować moją prywatność i nie dawać nikomu numeru telefonu. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie mogę po prostu zniknąć. Mam pacjentów, różne rzeczy mogą się wydarzyć...

Nagle zgniótł papierosa i porwał się na równe nogi. Pies ze zjeżoną sierścią podążył za nim. Brad chwycił Phyl za ramiona i przysunął twarz do jej twarzy.

- Mówiłem ci już, że nic nie jest ważniejsze od ciebie i mnie. Po prostu nie słuchasz. - Dobiegło ją ciche warczenie psa. - Kiedy jesteś ze mną, Phyl, wymagam całkowitej uległości. Nic więcej się nie liczy. Dlaczego nie możesz tego zrozumieć?

- Oszalałeś - odepchnęła go gniewnie.

Chwycił ją za ramię i okręcił tak, że stanęła przodem do niego.

- A więc myślisz, że jestem szalony? - Jego śmiech był pełen gorzkości. - Jestem prawdopodobnie najbardziej racjonalnie myślącą osobą, jaką znasz. Przynajmniej wiem, czego chcę od życia, i robię wszystko, aby to osiągnąć. - Jego wyraz twarzy zmienił się nagle i z uśmiechem delikatnie pogładził Phyl po policzku. - A chcę ciebie, moja piękna Phyl, moja muzo i spowiedniczko - zamruczał. - Tylko ciebie.

Phyl popatrzyła na niego nieufnie. To było coś więcej niż sprzeczek kochanków; Brad szalał z zazdrości.

- Muszę wyjechać jutro rano jak najwcześniej - powiedziała chłodno odsuwając się od niego.

- Ale dlaczego? - wyglądał, jak nie rozumiejący niczego chłopiec. - Byliśmy tu tacy szczęśliwi. Proszę, nie psuj tego. Nie opuszczaj mnie. Widzisz - dodał prawie z patosem. - Potrzebuję cię.

Phyl zawahała się. Nagle dokonała się w nim zmiana i był znów czarujący jak dawniej. Przypomniała sobie o biednej Millie.

- Moja przyjaciółka zmarła niespodziewanie - powiedziała drżącym głosem. - Muszę wracać.

- Phyl, tak mi przykro. Nie zdawałem sobie sprawy.

- Cóż, teraz już wiesz.

Poszła do swego pokoju. Słyszała, jak Brad idzie za nią z nie odstępującym go dobermanem. Zatrzymał się w drzwiach, z psem u nogi i patrzył, jak Phyl się pakuje. Po jej twarzy spływały łzy.

- Odwozę cię - powiedział skruszonym głosem. - Pójdę z tobą na pogrzeb. Potem możemy przylecieć tu z powrotem.

- Za późno Brad. Pogrzeb już się odbył.
- Więc po co tam jedziesz? Westchnęła ze zniecierpliwieniem.
- To skomplikowana sprawa. Jest w to wmieszana moja pacjentka, z którą muszę porozmawiać. Potrzebuje mnie.
- Ja także cię potrzebuję.

Phyl przestała wkładać ubrania do walizki i popatrzyła na stojącego w drzwiach Brada. Miał w oczach autentyczną rozpacz. Uważała, że odrobina zazdrości jest do przyjęcia, ale jego graniczyła z niedorzecznością. Podeszła i położyła mu dłonie na ramionach.

- To niemądre być takim zazdrosnym - powiedziała miękko. - Wiesz, że zostałam, gdybym mogła.

- Myślę, że tak - powiedział niechętnie. Przyciągnął ją do siebie. - Kto to jest ten Mahoney, którego numer telefonu tak dobrze znasz?

- Po prostu znajomy - odparła.

Jego ramiona zacisnęły się wokół niej.

- Nie chcę, abyś miała przyjaciół - wyszeptał jej do ucha. - Nie chcę, aby w twym życiu był ktokolwiek prócz mnie.

Te zimne słowa sprawiły, że Phyl przebiegł dreszcz po plecach. Nie wróżyło to niczego dobrego.

Później, w łóżku, patrzyła na śpiącego Brada. Leżał na plecach z rozrzuconymi rękami i nogami. Pomyślała, że ze swym muskularnym brązowym ciałem i jedwabistymi jasnymi włosami wygląda jak posąg młodego greckiego boga. Piękny, lecz jednocześnie bezbronny. Przypomniała sobie ich kłótnię i jego groźną twarz tuż przy swojej. Tak różnił się wtedy od mężczyzny śpiącego niewinnie obok niej. Ta myśl ją przeraziła. Po raz pierwszy jako lekarz uświadomiła sobie jego poważne niezrównoważenie.

Phyl otworzyła drzwi mieszkania i kopniakiem zamknęła je za sobą. Postawiła torby na podłodze i rzuciła się na sofę. Wyciągnęła się na niej zmęczona.

Zaledwie kilka miesięcy temu mieszkanie wydawało się Phyl fortecą i ucieczką od świata. Było pełne harmonii, ciche i uporządkowane. A życie sprawiało jej przyjemność swą spokojną rutyną. Jeśli nawet niezupełnie tak było, to przynajmniej potrafiła kontrolować swoje uczucia, choć specjalnie ich nie ujawniała.

Przestała mieć się na baczności i oto teraz związana była z szaleńczo zazdrosnym mężczyzną, który, jak podejrzewała, miał w dodatku dużo poważniejsze kłopoty. Jej przyjaciółka umarła, a ona nie zdołała nawet przybyć na pogrzeb. Pacjentka i protegowana musiała zmierzyć się samotnie z tym nieszczęściem, mimo iż Phyl dała jej słowo, że będzie przy niej.

Westchnęła gniewnie. Jej starannie kontrolowany świat rozsypywał się i nadszedł czas, aby wreszcie wzięła się w garść. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Bei. Ku jej zdziwieniu dziewczyna wydawała się spokojna i wesoła.

- Dzwoniłam do ciebie na Hawaje, ale nie dostałam połączenia - powiedziała. - Rozmawiałam za to z detektywem Mahoneyem, bardzo mnie uspokoił. To miły facet, Phyl, taki rzeczowy. Dzięki niemu uświadomiłam sobie, co jest najważniejsze.

- Przykro mi, że się na mnie zawiodłaś - wyznała Phyl. - Jestem zrozpaczona, że nie zdążyłam pożegnać się z Millie. Nie wiem, jak to się stało, że nie powiedziałam ci, gdzie jestem...

- W porządku, ja to rozumiem i jestem pewna, że Millie też by zrozumiała. Poza tym Nick mi pomógł. Był jak skała, mogłam się na nim oprzeć. Nie wiem, jak wytrzymałabym to wszystko bez niego. Jest tu teraz i zajmuje się ze mną Scottem i Julią.

Rozmawiały o spadku i dzieciach, a Phyl stwierdziła, że taka decyzja typowa dla Millie. zaproponowała, że do nich przyleci, ale Bea uznała, że w tej chwili Nick jej wystarcza.

- Nie zapominaj o mojej obietnicy - powiedziała Phyl na pożegnanie. - Kiedy tylko będziesz mnie potrzebowała, przylecę. Możesz na mnie liczyć.

Z nieco lepszym samopoczuciem poszła do sypialni, zdejmując jednocześnie ubranie. Weszła pod prysznic, a gorąca woda zmywała z niej zmęczenie - i grzechy. Zastanawiała się, co postanowić w sprawie Brada.

Milczący i ponury przewiózł ją samolotem z Kalani do Honolulu, skąd uparła się lecieć samolotem pasażerskim do San Francisco.

- Dlaczego? - zapytał gniewnie.

Nie powiedziała mu, ale wiedziała, jaki jest tego powód: chciała odzyskać niezależność, zanim rzeczy zajdą za daleko i całkowicie straci panowanie nad sobą. Nie mogła pozwolić, aby Brad Kane zawładnął jej życiem.

Na lotnisku chciała go pocałować, ale cofnęła się z gniewem. Odwróciła się i szybko przebiegła przez bramkę do rękawa. Czowała na sobie jego palący wzrok, lecz się nie odwróciła. Jeśli Brad zdecydował się postępować w ten sposób, ona rezygnowała z udziału w grze.

Wyszła spod prysznica, owinęła się w obszerny, biały szlafrok frotte, a potem poszła do kuchni, zastanawiając się dlaczego mieszkanie wydaje się takie puste. Uśmiechnęła się. Jak mogła zapomnieć? Oczywiście - kotka.

Wykręciła domowy numer Mahoneya, a kiedy nikt się nie zgłosił, zadzwoniła do pracy.

- Wróciłam - powiedziała pragnąc nagle usłyszeć jego uspokajający głos.

- Na to wygląda - zgodził się.

- Rozmawiałam z Beą - ciągnęła. - Myślę, że zrozumiała, dlaczego nie byłam przy niej, tak jak jej obiecałam.

- Jasne - odparł chłodno.

Phyl odsunęła słuchawkę i popatrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami. Co, u diabła, stało się Mahoneyowi?

- Czy dobrze się czujesz? - zapytała.

- Oczywiście. Mam po prostu trudny tydzień. Czy chcesz, żebym podrzucił ci Coco, a może wybierasz się na następne wakacje?

- Hej, Mahoney, co się dzieje? - Była zaniepokojona. - Sądziłam, że jesteśmy przyjaciółmi.

Odpowiedział dopiero po długiej chwili.

- Myślałem po prostu, że może jest tam z tobą pan Hawajski

- Nie ma go tutaj. - Roześmiała się z ulgą. - Został sam na swojej wyspie.

- Wspaniale. A co dzisiaj robisz? Masz randkę z kimś innym?

- Nie mam randki ani żadnych planów. Jeśli oczywiście nie masz zamiaru gdzieś mnie zaprosić. - Nagle zapragnęła go zobaczyć. - Mahoney - rozbiła pełną napięcia ciszę - teraz moja kolej, wyznacz tylko czas i miejsce.

- U mnie - powiedział - o ósmej. I ubierz się wystrzałowo. Idziemy na wesele.

- Ale to nie ty się żenisz?

- Chyba że mi się oświadczysz. To kolega z pracy. Nie udało mi się być na ślubie, ale to irlandzko - włoskie wesele. Tańce, hulanki, swawola i pijatyka przez całą noc. Do zobaczenia o ósmej.

Włożyła nową, czerwoną, koronkową sukienkę, krótką, obcisłą i odsłaniającą ramiona. Uczesała się do góry i z braku świeżych kwiatów wpięła we włosy jedwabną czerwoną różę. Wsunęła na opalone nogi czerwone sandały na wysokich obcasach i narzuciła na ramiona czarny jedwabny szal. Przejrzała się z zadowoleniem w lustrze.

Nagle spłynął na nią wspianiały nastrój. Brad, razem ze swoją szaleńczą zazdrością, gdzieś przepadł i wiedziała tylko, że cieszy się, iż to dla Mahoneya ubiera się dziś wieczorem.

- Proszę, proszę - powiedział, gdy niedługo potem otwierał jej drzwi. - Wyglądasz jak dziewczyna, z którą byłem na studniówce.

- Mogłam się była tego domyślić - westchnęła z rezygnacją, wchodząc po schodach.

- Widzę, że wzięłaś sobie do serca moje rady na temat kolorów - dodał kpiąco. - Dobrze ci w czerwonym. Prawdę mówiąc - dorzucił przyglądając się z aprobatą jej długim, opalonym nogom i wyłaniającym się spod zsuniętego szala ramionom - we wszystkim ci dobrze.

Okręciła się przed nim uśmiechnięta.

- Jak wyglądam? Nie byłam pewna, czy wystarczająco wystrzałowco. Pokręcił głową z zachwytem.

- Pani doktor, proszę pamiętać że Connors właśnie dzisiaj się ożenił. Kiedy ten gorący Irlandczyk ujrzy moją szkarłatną kobietę, może się wkrótce okazać, że stałaś się przyczyną najszybszego rozwodu w historii.

Roześmiała się:

- Sam też wyglądasz dzisiaj bardzo elegancko - dotknęła atłasowych klap jego smokinga. - Jak gospodarz nocnego talk showu. Albo jak kandydujący polityk czy może następny burmistrz.

- Nie w tym tygodniu, złotko, był bardzo męczący. To jakieś letnie szaleństwo. Zdarza się co roku mniej więcej w tym czasie. Trochę upałów, ludzie szaleją i zaczynają się zabijać. W miejskiej kostnicy jest więcej trupów niż ty czy ja moglibyśmy sobie wyobrazić. I żaden z nich nie jest ofiarą „wyjaśnionego” zabójstwa.

Phyl patrzyła, jak wyjmuje z lodówki butelkę szampana, a z szafki dwa kieliszki.

- A propos pośladków - powiedziała z impertynenckim uśmiechem - twoje prezentują się całkiem nieźle.

- Tak mi mówiono - odparł chłodno, nalewając wino. Dostrzegła nalepkę na butelce i powiedziała mile zaskoczona:

- Czy to dla mnie tak się wykosztowałaś?

- Wszystko, co najlepsze - odparł, unosząc kieliszek w kpiącym toaście. - Nawiasem mówiąc, Coco śpi na moim łóżku. Tak długo cię nie było, że prawie o tobie zapomniała.

- Ale ja nie zapominałam o niej - powiedziała zaniepokojona.

- A co się dzieje z panem Hawajskim? Zakłopotana, spuściła oczy.

- Nie przyszłam tu zwierzać się z mojego prywatnego życia.

- Dlaczego nie? Masz coś do ukrycia?

- Mahoney! - spojrzała na niego z irytacją.

- A więc chcesz, żebym to ja o nim mówił? Myślę, że jest zimny, a właściwie lodowaty. Uważam też, że jest nieuprzejmy, arogancki i lubi dominować, a jego pieprzona zazdrość nie przynosi mu korzyści. Ani tobie - dodał patrząc na nią.

- Mahoney! - krzyknęła jeszcze raz. Jej niebieskie oczy załśniły. Wzruszył ramionami.

- Cóż, sama mnie o to pytałaś...

- Nie pytałam! - Ich spojrzenia spotkały się i Phyl zaczęła się śmiać. - Do licha, masz rację - przyznała w końcu. - Lubi dominować i jest zazdrosny. - Zamiast uśmiechu na jej twarzy malował się teraz niepokój. - Prawdę mówiąc, jest taki zazdrosny, że czasem się go boję.

- Czy ma ku temu jakieś powody? Pokręciła głową:

- Wiesz, co naprawdę mnie niepokoi? Uważa, że jestem podobna do jego matki. I rzeczywiście tak jest.

Mahoney wzruszył ramionami, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

- No i co z tego?

- To po prostu trochę przerażające. Nienawidził jej. Opowiadał mi okropne historie o tym, jak się źle prowadziła, jak pyszniła się swymi romansami. Mówił, że wszyscy z nią sypiali. Jeden facet popełnił przez nią samobójstwo...

Mahoney zagwizdał. Był pod wrażeniem.

- Nie trzeba być wybitnym psychiatrą, żeby domyślić się, o co w tym wszystkim chodzi.

- To niezupełnie tak - powiedziała obronnym tonem. - Na ogół jest uroczy, ciepły i wrażliwy. Jest przystojnym, wytwornym i szanowanym biznesmenem, który żyje swoim ranczem.

- Po prostu nienawidzi swojej matki, i to wszystko - Mahoney przestał się uśmiechać. - Słuchaj, Phyl, jeśli czujesz, że coś tu jest nie w porządku, to uwierz mi, że ja też to tak odbieram. Zaufaj memu instynktowi.

- Masz na myśli to, że kiedy jest w łóżku ze mną, myśli o swojej matce? - spytała cichym, przerażonym głosem.

- Dlaczego go o to nie zapytałaś?

- Raz prawie to zrobiłam. Spytałam, czy zainteresował się mną dlatego, że wyglądam jak Rebeka, ale roześmiał się tylko. Powiedział, że to nieprawda, a ja chciałam mu wierzyć.

Pokiwał głową. Phyl to osoba niełatwo obdarzająca swymi względami. Choć była psychiatrą, była także kobietą i nie mogła pogodzić się z możliwością, że Brad pragnął mieć ją w swym łóżku z jakichś wynaturzonych powodów.

- W każdym razie zostawiłam go na lotnisku - wzruszyła ramionami. - Był wściekły, ponieważ nie pozwoliłam, aby odwiózł mnie swym samolotem. Przypuszczam, że to ostateczne pożegnanie.

- A więc nie ma powodu do żartów - uśmiechnął się Mahoney. Phyl jednak wciąż siedziała ze zmarszczonymi brwiami.

- Jeszcze jakieś problemy? - zapytał.

- Och, Mahoney. Nie byłam przy Bei.

- To prawda. Ale ona to rozumie. Takie były okoliczności.

- To niewybaczalne. Jest nie tylko moją przyjaciółką, ale i pacjentką. Zachowałam się nieodpowiedzialnie.

- Wszyscy jesteśmy ludźmi.

- Jestem lekarzem! - krzyknęła, wciąż wściekła na siebie. - Powinnam tam być.

- Słuchaj, wszystko się dobrze ułożyło - powiedział uspokajająco. - Wszystko jest w porządku. Skończmy z tym biciem się w piersi, dobrze? Niebieskie oczy Phyl były pełne łez.

- Nie byłam na pogrzebie Millie.

Usiadł obok i objął ją, a ona oparła głowę na jego ramieniu. Słyszał, jak powstrzymuje się od płaczu.

- Popłacz sobie, kochanie - powiedział, wzdychając przesadnie głośno. - Wyrzuć to z siebie. Poczujesz się lepiej. Usłyszał, że śmieje się przez łzy.

- Przestań, Mahoney - powiedziała odpychając go.

- Oczy ci się rozmazały - stwierdził przyglądając jej się krytycznie.

- Niech to szlag trafi.

- Kilka porządnych przekleństw na pewno ci ulży - powiedział kpiąco.

- Kurwa mać - odpaliła odpychając go.

- Moja dziewczynka - roześmiał się - No, pani doktor. Proszę poprawić makijaż. Idziemy na wesele.

Uroczystość rozpoczęła się o wpół do piątej po południu w sali bankietowej hotelu Hibernian i gdy Mahoney z Phyl zjawili się około dziewiątej, zabawa toczyła się w najlepsze. Zespół, wspomagany przez kilku funkcjonariuszy Policji San Francisco, eksplodował przebojami Beacfa Boysów, a połowa sali śpiewała razem z nimi. Na parkiecie był tłok, bar był pełen ludzi, a ciągnący się wzdłuż ściany bufet zastawiano coraz to nowymi porcjami włoskich smakołyków. Z sufitu jak sztandary zwieszały się, świętujące swe połączenie, włoska i irlandzka flaga oraz girlandy czerwonych róż przeplatane koniczyną. Panna młoda, olśniewająca w białej jedwabnej sukni z koronkami i dziesięciometrowym wyszywanym cekinami welonem, siedziała wraz ze swym nowo poślubionym mężem i obydwoma rodzinami u szczytu stołu. Mahoney przeciągnął Phyl przez tłum, by się z nowożeńcami przywitać.

- Connors, ty draniu, w końcu zrobiła z ciebie porządnego człowieka - powiedział ściskając kolegę i dodał patrząc z zachwytem na pannę młodą: - Zawsze mówiłem Connorsowi, że zasługujesz na kogoś lepszego niż taki stary łobuz jak on. Wyglądasz cudownie, kochanie. Co za piękna panna młoda.

Roześmieli się, a on ujął za rękę Phyl i im przedstawił:

- To jest Phyllida Forster, znana jako Phyl.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem, zastanawiając się, skąd zna jej prawdziwe imię, gdy nagle znalazła się w niedźwiedzim uścisku pana młodego.

- Jezu, Mahoney - rzekł z podziwem - gdzieś ty ją znalazł? Zbyt szykowna jak na takiego starego łobuza.

- Ależ to doktor Phyl! - wykrzyknęła Sandra, panna młoda.

- Nie dzisiaj - sprostowała Phyl. - Dziś wieczorem jestem po prostu dziewczyną starego łobuza.

Wybuchnęli śmiechem, Connors zaś oświadczył:

- Zamawiam sobie taniec. Poddam się terapii kiedy tylko sobie tego zażyczysz.

Większość mężczyzn ze zmiany Mahoneya podpierała bar. Benedetti na widok nadchodzących Mahoneya i Phyl trącił faceta siedzącego obok i powiedział:

- Zobacz ostatnią zdobycz Mahoneya.

Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się, aby popatrzeć, i na ich twarzach pojawiły się pełne aprobaty uśmiechy.

- Co zrobiłeś, żeby ją tu przyprowadzić - zawołał któryś z nich - założyłeś jej kajdanki?

- Dobrze, dobrze mądrało - odparował Mahoney. - Wszyscy wiemy, że nie umiesz zachowywać się w obecności damy, ale będziemy zobowiązani, jeśli się przynajmniej postarasz. Pozwólcie, że wam przedstawię: Phyl Forster.

- Pani doktor - powiedział z szacunkiem Benedetti - czy mogę zadać jedno pytanie? Co, u diabła, robi pani z takim palantem jak Mahoney? Połowa policji na jedno pani skinienie z radością zajęłaby jego miejsce.

- Dziękuję, chłopcy - odpowiedziała skromnie Phyl na komplementy i żarty kolegów Mahoneya, siadając z nimi na stołku barowym.

- Ona jest dzisiaj jedną z nas - oświadczył któryś i przypiął Phyl jedną z ozdabiających stoły zabawnych odznak detektywów. - Clinton - - wrzasnął do barmana - drinka dla detektyw Forster.

- A więc - ciągnął Benedetti, przysuwając bliżej wylewający się zza szerokiego turkusowego pasa wydęty piwem brzuch. - Proszę nam opowiedzieć, gdzie poznała pani Mahoneya?

- To długa historia - odparł Mahoney. - Zbyt pikantna dla twoich delikatnych uszu.

- Zatańczy pani? - zapytał jeden z policjantów. Zaprowadził Phyl na parkiet i tańczyli przy La Bomba, dopóki ktoś inny nie klepnął go w ramię odbijając mu partnerkę.

Pół godziny później Phyl udało się powrócić do baru. Popijała wodę ze szklanki, wachlując dłonią rozgrzaną twarz.

- W porządku, chłopaki, wszystko dobre, ale w miarę - ostrzegł Mahoney. - Dama musi teraz coś zjeść.

Ujął ją za rękę i poprowadził przez tłum, przystając co parę minut, aby przedstawić towarzyszkę przyjaciółom.

Stoliki bufetu były zastawione wszystkimi możliwymi potrawami z owoców morza, a także ogromnymi półmiskami lasagna, serowych gnocchi, ravioli z farszem, bakłazanami parmigiana, nadziewanymi pomidorami, sałatkami, półtuzinem odmian chleba i butelkami czerwonego wina. Tak wyglądała włoska strona stołu. Stronę irlandzką reprezentowały gotowany łosoś i ostrygi Galway, Colcannon, słodkie pieczywo, a do picia piwo Guinness i irlandzka whisky. Stoliki przystrojone były chorągiewkami, koniczyną i różami, a gościnność zdawała się nie mieć granic.

Mahoney chwycił butelkę wina, nałożył Phyl na talerz smakołyków i odprowadził ją do spokojnego kąta.

- Założę się, że nie dzisiaj nie jadłaś - powiedział wkładając sobie w usta ostrygę.

- Zgadza się - potwierdziła, idąc ochoczo za jego przykładem. Jedli łąpczywie przez kilka minut, a potem Phyl powiedziała:

- Podobają mi się twoi przyjaciele.

- Chłopaki są w porządku - uśmiechnął się do niej - ale chyba mają rację. Co taka dziewczyna jak ty robi w towarzystwie zużytego starego gliniarza.

Ich oczy spotkały się.

- Po pierwsze, nie jesteś stary. A jeżeli jesteś, to znaczy, że ja także jestem stara, a z tym nie mam zamiaru się pogodzić. Po drugie, z pewnością nie jesteś zużyty, Mahoney - wyciągnęła rękę i lekko pogładziła go po twarzy. - Musisz być tam u was „chłopcem z obrazka”.

- Cóż, wszystko wydaje się piękne po Benedettim i jego brzuchu piwosza.

- A po trzecie, jesteś dobrym policjantem. Wiem o tym.

- Dzięki za komplementy. - Popatrzyli sobie w oczy. - Poczekaj chwilę - powiedział w końcu. Wstał i przedarł się przez tłum do orkiestry. Kiedy po paru minutach wrócił, zespół zaczął grać Lady in red.

- Grają naszą piosenkę - rzekł i wyciągnął do niej dłoń.

Światła przygasły, a pary zaczęły tańczyć pod iskrzącą się, staroświecką lustrzaną kulą zawieszoną pośrodku sufitu. Mahoney przytulił Phyl mocniej, a ona westchnęła lekko. Czuła się szczęśliwa.

- Miałaś rację - szepnęła mu do ucha. - To zupełnie jak studniówka. Nie tańczyłam wolnych tańców od lat.

- A więc nie wiesz, co straciłaś - odszepnął.

- Twoi przyjaciele na nas patrzą - powiedziała.

- Dajmy tym lubieżnym sępom jakiś temat do rozmowy - przytulił ją jeszcze mocniej. Odchyliła głowę, aby popatrzeć na niego.

- Mahoney...

- Bardzo proszę, mów mi Franco w tak bądź co bądź intymnym momencie...

- Właśnie to miałam na myśli... To znaczy, zastanawiam się, w jakim stopniu prawdziwe było powiedzonko starej Mae West: „Czy masz w kieszeni pęk kluczy, czy po prostu tak się cieszysz, że mnie widzisz?”

Mahoney opuścił jedną rękę i z uśmiechem wyjął kajdanki z kieszeni spodni. - Przykro mi, że muszę cię rozczarować. Ale jeżeli tego właśnie chcesz, mogę ci zrobić tę przyjemność.

- Och, Mahoney - powiedziała owijając ze śmiechem ramiona wokół jego szyi. - Nie czułam się tak bez troski od... cóż, to było tak dawno, że nawet nie pamiętam.

- Ja też nie - rzekł czule, patrząc na jej gładką ciemną głowę. - Czy ktoś powiedział ci kiedyś, że jesteś piekielnie ładną kobietą, Phyllido Forster?

- Jakim cudem udało ci się odgadnąć moje imię? - zapytała. - Nigdy nikomu go nie zdradziłam.

- Zapominasz, że jestem gliniarzem. Mam dostęp do nazwisk, dat, adresów i numerów telefonów - uśmiechnął się. - Jest na twoim prawie jazdy.

Tańczyli tak długo, aż Connors, pan młody, klepnął Mahoneya w ramię. Franco zaczął tańczyć z panną młodą i Phyl nie widziała go przez następną godzinę. Tańczyła do upadłego z młodymi irlandzkimi policjantami i próbowała swoich sił w taranteli ze starymi włoskimi pappas. Po powrocie do baru śmiała się z żartów i historyjek, królując na barowym stołku otoczona wielbicielami. Bawiła się tak dobrze, że nawet nie pomyślała o Bradzie Kane.

Tuż przed północą detektywi zdecydowali się zmienić lokal i przenieść zabawę do Hanrana, swego miejsca spotkań. Phyl wkroczyła tam otoczona przez najlepszych policjantów w San Francisco. Ci, którzy właśnie zeszli ze zmiany i podpierali tam bar, na ich widok odwrócili się.

- Hej, skarbie, siadaj tutaj... No, kochanie, sama nie wiesz co tracisz... Rzuć Mahoneya, jestem dużo lepszy od niego - wrzeszczeli i gwizdali robiąc jej miejsce.

- Normalnie, chłopaki - oświadczyła Phyl kpiąco wysuwając w ich stronę podbródek - normalnie powiedziałabym, że jesteście największą bandą pieprzonych antyfeministów, jakich kiedykolwiek spotkałam. - - Zaczęli krzyczeć i tupać, a ona podniosła rękę prosząc o ciszę. - Ale - dodała ze śmiechem w głosie - dzisiaj myślę, że mówicie mi największy komplement, jaki mężczyzna może powiedzieć kobiecie. I chcę, abyście wiedzieli, że to doceniam.

- Jasne, pani doktor - wrzasnęli, klaszcząc i dając znaki barmanowi, aby dołał jej do kieliszka to, co właśnie piła.

Była trzecia nad ranem, gdy Mahoney w końcu odwiózł ją do domu. Położyła mu głowę na ramieniu i bez złości narzekała, że nie jest jej wygodnie. - Na miłość boską, Mahoney, czy nie możesz postarać się o porządny samochód? - zapytała sennie.

- Mówisz o przedmiocie mojej dumy i radości? - powiedział zbolalym tonem.

- Wiem wszystko o twej dumie i radości, Mahoney - mruknęła. - Nie próbuj udawać, że to były tylko kajdanki.

Roześmiał się, parkując samochód przed domem.

- Nie powinienem był wprowadzać cię do towarzystwa tych facetów - powiedział. - Robisz się zbyt bezpośrednia.

- Może właśnie tego potrzebuję - westchnęła prostując się - odrobiny bezpośredniości.

- Tak dla dodania smaku - zgodził się.

- Jak oregano albo rozmaryn... - zaśmiała się, kiedy otwierał jej drzwi. Wysunęła nogi i unosząc ręce zaczęła wydostawać się z samochodu. - Pomożesz? - uśmiechnęła się do Mahoneya.

Ujął jej dłonie, a potem objął ją ramieniem, kiedy wchodzili po schodach. Zwróciła ku niemu twarz o zamkniętych oczach i spytała sennie:

- Pocałunek na dobranoc? - Roześmiał się i delikatnie dotknął ustami jej ust. - Mmm - powiedziała. - Cudownie.

- Lepiej odprowadzę cię do mieszkania - stwierdził, kiedy ziewnęła i oparła się o niego. - To była długa noc.

- Właśnie - zgodziła się i dodała z promiennym uśmiechem: - I taka wesola. Od lat nie bawiłam się tak dobrze.

- Cieszę się - zabrał od niej klucze i otworzył drzwi.

Porsche Brada Kane'a stał zaparkowany nie opodal, a on sam patrzył nachylony, wwiercając się oczami w parę wchodzącą do budynku.

Wyjął z prawie pustej paczki gitane'ów papierosa i zapalił zaciągając się głęboko. Wiedział, które mieszkanie należy do Phyl, patrzył w okna i aż jęknął z rozpaczy, kiedy światło w końcu się zapaliło. Odrzucił ze złością papierosa. Tak wiele razy widział Reбекę zachowującą się w ten sposób: wstawioną, rozflirtowaną, prowokującą. Phyl okazała się taka, jak jego matka.

Nie spuszczać wzroku z okna pochylił się i czekał w napięciu.

Phyl kopniakiem zrzuciła z nóg pantofle i poszła do kuchni.

- Kawy? - zaproponowała. Mahoney pokręcił głową.

- Dlaczego nie wypijesz szklanki wody i nie położysz się spać? Rano będziesz się czuła jak nowo narodzona. Westchnęła z zadowoleniem:

- Dostyc lubię tę kobietę, którą jestem teraz, Mahoney.

- To dobrze - podszedł i pocałował ją w policzek. - Wiesz co? - zapytał z powagą.

- Co? - jej oczy były niebieskie i niewinne.

- Jesteś naprawdę bardzo ładna - odparł z uśmiechem idąc do wyjścia.

- Dzięki za dzisiejszą noc - zawołała za nim. Pomachał zamykając za sobą drzwi.

Uśmiechnięta poszła powoli do sypialni, gubiąc po drodze ubranie. Z makijażem na twarzy, zadowolona, zasnęła natychmiast. Nie zdarzyło jej się to od wielu lat.

Mahoney nadjeżdżając pod dom Phyl zauważył zaparkowany nieco dalej czarny porsche 938. Z reflekssem policjanta odnotował w pamięci, że jest to jedyny samochód zaparkowany po niedozwolonej stronie ulicy, w którego środku siedzi jakiś mężczyzna. Podświadomie zastanawiał się, co on tu właściwie robi. Gdy wyszedł, samochód stał tam nadal, lecz kiedy Mahoney wskoczył do mustanga i przekręcił kluczyk, u porsche'a zapaliły się światła. Czekał, aż ruszy i minie go, aby sprawdzić numer rejestracyjny, na wypadek gdyby facet planował coś niezgodnego z prawem, ale porsche wycofał się do przecznicy i szybko skręcił w boczną ulicę na prawo.

Mahoney wzruszył ramionami. Nie był na służbie, a poza tym tej nocy nie miał nastroju do zatrzymywania przestępców w drogich porsche'ach. Facet był pewnie jakimś kosztownym prywatnym detektywem, śledzącym zbłąkaną żonę czy męża i zarabiającym na tym kupę forsy. W każdym razie nie była to jego sprawa.

Rozdział 24.

Julia rzuciła się do basenu zaraz po Scottym, aż fontanna wody oblała skaczącego wzdłuż krawędzi Znajdę.

- Głupie psisko! - krzyknęła chlapiąc na szczekającego ostrzegawczo psa i piszczała z radości, kiedy ten otrząsał się, rozsiewając ulewę kropel. Pisnęła jeszcze raz, gdy Scotty, wygramoliwszy się z basenu, skoczył znowu, prawie na jej głowę. Wypłynęła po przymusowym zanurzeniu i śmiejąc się i krztusząc, zaczęła szukać Scotta, by mu odpłacić pięknym za nadobne. Z zapalem pomachała ręką pilnującej ich nie opodal Bei. Uważała, że Bea jest najpiękniejszą kobietą na świecie, i powzięła już decyzję, że kiedy dorośnie, musi wyglądać dokładnie tak jak ona.

- Nie jestem pewna, czy to możliwe, kochanie - roześmiała się Bea. Zawsze mówiła do dziewczynki „kochanie” i Julia bardzo to lubiła. Nick nazywał ją Jules, i to także jej się podobało. - Sądząc z fotografii, które widziałam, będziesz podobna do swojej mamy. A to wielki komplement, panno Julko, bo twoja mama była niezwykle piękną damą.

„O tak - pomyślała żarliwie dziewczynka, opierając podbródek na wygiętej krawędzi basenu, podczas gdy jej nogi unosiły się na wodzie. - Mama była najładniejsza ze wszystkich. Tak bardzo by się jej tutaj podobało, pod niebieskim niebem, w blasku słońca. Mama nie znosiła chłodnych szarych zim w Ohio.” Julia uwielbiała Mimozę i wiedziała, że Scotty także chętnie tu przebywa. Stale jednak przypominał jej, że są tu tylko tymczasowo, Jak na wakacjach”. Mówił, że pewnego dnia zostaną odesłani z powrotem do Ohio i wylądują oboje w rodzinach zastępczych.

- Oni nie zrobią tego - zaprzeczała z uporem Julia, ale ta myśl nie dawała jej spokoju.

- Oczywiście, że tak - tłumaczył Scotty. - Nie są naszymi krewnymi i nic dla nich nie znaczymy. Jesteśmy jedynie parą dzieci, których dogładają. Są tylko opiekunami.

Nie chciała mu jednak wierzyć. I nie chciała wracać do domu, ponieważ wiedziała, że nie ma już domu. A poza tym nie chciała zostawić Bei.

Coś jej mówiło, że Bea różni się od innych. Julia wyczuwała, że ona też cierpi. Dzięki Bei ciepło znowu ukradkiem wślizgiwało się w jej serce i życie, i czasem przez całe godziny nie myślała o tym, przez co przeszli. Za żadne skarby nie chciałyby się rozstać z Beą.

Bea łatwo weszła w nową rolę. Czasami myślała, iż Millie musiała znać ją lepiej niż ona samą siebie. Patrzyła na dzieci, które już od paru godzin bez oznak zmęczenia skakały do basenu. Co jakiś czas chlapały wodą na Znajdę, a on szczekał i tańczył z podniecenia na tylnych łapach.

Sprzed domu dochodziło wycie maszynki do strzyżenia trawników, a piskliwy głos świeżo zatrudnionej portugalskiej gospodyni kłócił się ze skrzekiem zielonej afrykańskiej papugi. Scotty wyblagał ją w zeszłym tygodniu od Nicka, kiedy wybrali się do sklepu zoologicznego aby poszukać parki nierozłączek. Choć sprzedawca zapewniał, że to gadająca papuga i że zna kilka piosenek, to jednak przez pierwsze pięć dni milczała uparcie. Dopiero gdy pies zaszczekał na nią, obrzuciła go płynnie francuskimi przekleństwami.

Do willi Mimoza powróciło życie i Bea żałowała, że Millie nie może tego zobaczyć. Zniknęła posępna zaduma. Dom wypełnił się światłem, dziecięcym śmiechem i kłótniami, muzyką, skrzekiem papugi i szczekaniem psa. Na tarasach leżały porzucone wrotki, w hallu stały rowery, dookoła walały się porozrzucane zabawki, ubrania i ręczniki plażowe, a z kuchni dolatywały smakowite zapachy.

Scotty i Julia Fenwick coraz bardziej przypominali swym zachowaniem zwyczajne dzieci, choć wciąż zdarzały się noce, kiedy Bea przychodząca otulić ich kołdrami, odnajdywała rodzeństwo przytulone do siebie w łóżku Scotta ze śladami łez

na niewinnie uśpionych twarzach. Przenosiła Julię do jej łóżka, a zmęczona dziewczynka podnosiła ciężkie powieki, szukając kogoś spojrzeniem, które przejmowało Beę do głębi serca. Wiedziała, że Julia sprawdza, czy to nie jej mama całuje ją na dobranoc.

- To tylko ja - szeptała, a dziewczynka wzdychała ciężko, na pół dławiąc się płaczem, i wkładała do ust kciuk, którego ssanie przynosiło ulgę. Ścisnęła mocno rękę Bei, a ona gładziła wilgotne włosy dziecka i siedziała przy nim tak długo, aż w końcu, wyczerpane, usnęło głęboko.

Scott nigdy nie płakał w obecności Bei, ale parę razy zauważyła jak zniknął w okolicach grotty na wzgórzu. Widziała jego małą, skuloną postać przycupniętą na skale i zapatrzoną w morze i domyślała się, że szukał samotności, aby wypłakać swój ból.

I ona, i Nick robili, co mogli, aby uczynić życie dzieci w miarę normalnym. Ustalili, że codziennie rano będą przez godzinę odbywać lekcję z francuskim nauczycielem. Potem jeździli na targ do Cannes, Nicei lub Antibes. Czasem jedli lunch w jednej z kawiarni, a po odpoczynku szli na plażę, pływali w basenie lub odbywali z Nickiem przejażdżkę wokół portu, w kupionej przez niego łodzi.

Na jesieni Scott i Julia mieli zacząć chodzić do szkoły i Bea żywiła nadzieję, że do tego czasu zostawią przeszłość za sobą i znów staną się dziećmi jak wszyscy ich rówieśnicy. Na razie jednak wciąż czuły się niepewnie w nowym życiu, a odzyskana równowaga była bardzo krucha.

Bea była już nieskończenie daleko od wypadku w rozpadlinie i morderstwa, wydawało się, że pogodziła się z faktem, iż z osoby pozbawionej tożsamości przemieniła się w kogoś istniejącego naprawdę. Każdego dnia dziękowała Millie za swe nowe życie. Wciąż jednak nawiedzał ją lęk nieświadomości tego, kim jest i dlaczego ktoś pragnął jej śmierci. Budziła się z niespokojnego snu, w którym spadała w nie kończący się ciemny tunel czując, że jest bliska odpowiedzi. Ale kiedy spocona ze strachu otwierała oczy, to uczucie zniknęło.

Znajda skoczył ku niej machając radośnie ogonem. Pomyślała, że jest darem od Boga. Dzieci przepadały za nim. Pies patrzył na nią mądrymi brązowymi oczami, w których błyszczała radość i wdzięczność, że wciąż jeszcze żyje.

- Ocaleliśmy oboje, staruszk - powiedziała głaszcząc czule jego kędzierzawy łeb.

Myślała o Nicku, który wyjechał na poszukiwanie tajemniczego sejfów zawierającego sekrety niani Beale, i niemal zapragnęła, aby go nie odnalazł. Życie, w tej pełnej spokoju chwili, wydawało jej się doskonałe, takie jakie jest. Miała dom, dzieci i Nicka. Przeszłość budziła w niej lęk. Nie chciała nic wiedzieć o dziewczynie, którą była przedtem. Czuła się bezpieczna jako Bea French. Napastnik nigdy nie odnajdzie jej tutaj i nie dokończy swego nieudanego dzieła. Tylko w długie niespokojne i samotne noce nie była tego taka pewna.

Tymczasem wołanie dzieci wyrwało ją z zamyślenia. Bea wskoczyła do wody, a za nią podążył Znajda, który pływał bijąc łapami wodę ze zdumionym wyrazem zabawnego pyska.

Rozgrywali dziki mecz wodnej siatkówki wśród radosnych pisków i krzyków, kiedy zadzwonił telefon.

- Nick? - zapytała Bea z uśmiechem, wygramoliwszy się z basenu.

- Skąd wiedziałaś, że to ja?

- To proste. Nikt inny do mnie nie dzwoni, a przynajmniej nie o tej porze. Przyjedziesz na kolację?

- Będę koło siódmej. Czy możemy zjeść sami, to znaczy bez dzieci? Muszę z tobą porozmawiać.

- Jasne. One i tak jedzą o szóstej, bo o tej porze umierają już z głodu. Co się stało?

- Znalazłem, Bea. Znalazłem sejf niani Beale. Mieliśmy rację. Są inne dokumenty i przywiozę je ze sobą. Chcę, abyś je przeczytała.

Bea odłożyła słuchawkę. Głos Nicka był złowroźnie spokojny, jak gdyby jej przyjaciel nie był wcale dumny ze swego odkrycia. Zastanawiała się, co może się za tym kryć.

Kiedy Nick nadjechał, dzieci rzuciły się w jego kierunku. Błagały, aby wybrał się z nimi na przejażdżkę rowerową, jeździł na wrotkach po tarasach albo pobiegł z nimi aż nad brzeg morza.

- Chodźmy na ryby! - krzyczał podniecony Scotty.

- Nie, wjedźmy rowerami na sam szczyt wzgórza, a potem zjedźmy aż na dół! . - Julia krzyczała jeszcze głośniejszym głosem. Nick potargał czuprynę Scotta i uściskał Julię.

- Nie dzisiaj, dzieciaki. Muszę pogadać z Beą - powiedział i wygonił rodzeństwo z pokoju.

Dzieci pobiegły do kuchni porozmawiać z Jacintą, a Nick popatrzył na Beę.

- Zdobycie tego nie było łatwe - powiedział, wyjmując z teczki kilka dużych złotych kopert. - Musiałem odgrywać komedię w pięćdziesięciu bankach, udając, że się pomyliłem, a oni, kiedy okazywało się, że klucz nie pochodzi z ich banku, patrzyli na mnie podejrzliwie. Śmiałem się sztucznie i mówiłem: „O ja głupi, mam tak wiele sejfów, że zawsze zapominam właściwego klucza”.

- Aż do ostatniego razu - uśmiechnęła się Bea.

- W końcu znalazłem to, czego szukamy - położył przed nią papiery. - List Marii Antoniny do jej syna Johna. Muszę przyznać, że to męcząca lektura.

Bea popatrzyła na niego z powątpiewaniem. Czuła, jak gdyby wkradali się w sekrety zmarłej, w jej prywatne życie, które być może chciała ukryć przed obcymi.

- Czy naprawdę uważasz, że postępujemy właściwie?

- Z całą pewnością. Dla twojego i mojego dobra. Ty masz nadzieję, że w papierach kryje się ogniwo łączące cię z przeszłością, a ja chcę rozwiązać zagadkę i opisać ją w mojej książce. To wszystko zdarzyło się dawno temu, Bea. Nie robimy nikomu krzywdy czytając te dokumenty.

- Pewnie masz rację - zgodziła się mimo ogarniającego ją lęku. - Tylko że ja nie chcę już odnaleźć mojej przeszłości. Zostawmy ją w spokoju. Jestem teraz szczęśliwa.

Nick uspokajająco uściskał jej dłoń. - Musi być gdzieś twoja rodzina, Bea. Krewni, którzy cię szukają, zastanawiają się, co się z tobą stało. Miałaś swoje życie przed wypadkiem i musisz je odnaleźć, nawet jeśli zdecydujesz się do niego nie wracać. Jesteś odpowiedzialna wobec siebie i swych bliskich.

Bea westchnęła. Wiedziała, że Nick ma rację. Niechętnie zabrała się do czytania listu Marii Antoniny Leconte.

„Jean, mój ukochany Synu,

Moim najgorętszym życzeniem jest, abyś nigdy nie przeczytał tego listu. Jeśli go przeczytasz, będzie to oznaczało, że nigdy cię nie poznam. Nie będę trzymała w ramionach mojego maleństwa i patrzyła, jak rośnie. Nie będę liczyła twoich kolejnych urodzin i pomagała Ci wspinać się po skalistej ścieżce życia. Ale jeżeli nie będę mogła być z Tobą, chcę abyś - gdy będziesz już wystarczająco dorosły - poznał prawdę o mnie i o twoim ojcu, Archerze Kane.

Najpierw opowiem Ci o sobie, byś wiedział, jaka była twoja matka. Dowiesz się z plotek, że nie byłam ładną kobietą. Znam drwiące przezwisko, jakie nadali mi ludzie - la celibataire - i chociaż zawsze udawałam, że nic mnie nie obchodzi, cierpiałam, gdy mnie tak nazywano. Pragnęłam być ładna i olśniewająca, jak te eleganckie piękności, które widywałam w restauracjach, w kasynie czy w kawiarniach. Nigdy się do mnie

nie odzywały. Jak miałam wyjaśnić, że w środku czułam się piękna? Dla nich byłam po prostu brzydką bogatą kobietą, która nigdy nie należała do towarzystwa. W dodatku byłam samotna.

Archer Kane dostrzegł moją samotność. Był przystojnym mężczyzną, tak jasnym i złocistym, jak ja byłam ciemna i szara. Samotnej la celibataire wydawał się młodym greckim bogiem.

Był człowiekiem, który jak ryba w wodzie czuł się w atmosferze laissezfaire, jaka zapanowała na Riwierze. Odpowiadało mu rozluźnienie obyczajów, łatwe kobiety, alkohol i pieniądze. Ale nawet ja wiedziałam, że łowców posagów było tu równie wielu, jak kobiet poszukujących kochanków, i zdobycie względów kobiety bogatej i niebrzydkiej nie było łatwe. Przebywały tu starsze kobiety, które znały życie, i na pierwszy rzut oka wiedziały, jakie zamiary ma mężczyzna okazujący im względy. Romans oznaczał dla nich zabawę, kilka prezentów, poryw namiętności, po czym zaczynały następną znajomość.

Oczywiście zauważyłam go, jak mogłoby być inaczej? Był młodym Amerykaninem, zawsze w liczonym towarzystwie jadał lunch na tarasie Hotel de Paris, przesiadywał w kawiarniach czy w kasynie. Zauważyłam, że mi się przygląda, napotykałam jego wzrok, a on uśmiechał się uprzejmie i skłaniał głowę w ukłonie.

Teraz wiem, że już wtedy upatrzył mnie sobie. Miał dwadzieścia siedem lat, a ja czterdzieści jeden. Nie czułam się swobodnie wśród ludzi, byłam nieśmiała i brzydka. On był przystojny, obracał się w modnym towarzystwie i mówiono, że ma dużą hodowlę bydła na Hawajach.

Wiedziałam o nim wszystko, ale nie poznałam ani jego, ani jego znajomych, dopóki nie odezwał się do mnie tamtego dnia. Siedziałam, jak zwykle sama, przy kawiarnianym stoliku w Cannes. Miałam na głowie kapelusz z szerokim rondem, który nie tylko chronił przed słońcem, ale także miał ukrywać moją brzydotę. Nie wiem, czy potrafię ci wytłumaczyć, jak bardzo wstydziłam się swego wyglądu. Na Riwierze przebywał tłum pięknych ludzi. Wszyscy byli młodzi, smukli i szykowni, nosili nowe modne stroje, w których ja bym wyglądała niezgrabnie i głupio.

Pamiętam, że zastanawiałam się, w jaki sposób Archer zdołał mnie rozpoznać, ukrytą pod osłoną wielkiego kapelusza, choć muszę wyznać, że sprawiło mi to przyjemność. Mało tego, byłam uszczęśliwiona, kiedy przedstawił się i zapytał, czy może się przysiąść. Piliśmy lemoniadę, a on opowiadał mi o swoim ranczu. Zauważyłam, że ludzie na nas patrzą, i zarumieniłam się, dumna, że to właśnie mnie wybrał, że zwrócił na mnie uwagę.

Myślę, że od tego pierwszego rumieńca wiedział, że należę do niego, a jednak wytrwale zabiegał o moje względy. Zapraszał mnie na obiad do najlepszych hoteli, zabierał na lunch na plaży i na dancing do Hotel de Paris. Choć miałam już srebrnego rolls royce'a, zachęcił mnie do kupienia najnowszego modelu samochodu, szkarłatnego kabrioletu bugatti, z gołębioszarą skórzaną tapicerką. Gdy nim jechałam, każdy mi go zazdrościł.

Archer chodził ze mną do modnych sklepów i salonów, gdzie nigdy nie miałam odwagi sama wejść. Obawiałam się, że wyśmieją tam mą krępa, pełną figurę, gdyż wszystkie inne kobiety były szczupłe jak trzcina i modnie płaskie. Zaprowadził mnie do fryzjera, abym zgodnie z nową modą obciąła włosy, zachęcał do wypróbowania nowego makijażu, masażu i perfum. Archer Kane sprawił, że po raz pierwszy w życiu byłam z siebie zadowolona. Wiedział, jak uwieść kobietę.

Był doskonałym konkurentem: czarujący, towarzyski i przystojny. Kiedy kilka tygodni później wzięliśmy ślub, przez dziewięć dni utrzymywała się atmosfera skandalu. Znałam plotki - mówiono, że to po prostu kolejny łowca posagów, który

miał szczęście, ale za jaką cenę, przecież la celibataire jest do wzięcia od bardzo dawna», lecz nie dbałam o to. Byłam zakochana i, jak sądziłam, kochana.

Postanowiłam, że będę z nim szczęśliwa wszędzie, nawet na prymitywnej wyspie, na którą mnie zabrał. Nawet wtedy kiedy sławne ranczo okazało się kilkoma akrami nieużytków. Ale miał to być mój nowy dom, nowe życie z przystojnym, uwielbiającym mnie mężem, więc bez oporów dałam mu pieniądze na zakup ziemi, bydła i rozbudowę domu na Kalani. A także - z czego wówczas nie zdawałam sobie sprawy - na zaspokajanie męskich żądz Archera w Honolulu. Gdy dowiedziałam się o tym i poprosiłam o wyjaśnienia, oświadczył z całym okrucieństwem, że uważa mnie za starą, brzydką i niepociągającą.

Niebieskie oczy, niegdyś patrzące na mnie z takim uwielbieniem, spojrzwały z pogardą, pieśczoły zmieniły się w okrutne razy i szybko uświadomiłam sobie, że mąż jest dla mnie «miły» tylko wtedy, gdy potrzebuje pieniędzy. Wkrótce okazało się, że spodziewam się dziecka.

Dla kobiety w moim wieku posiadanie pierwszego dziecka wydawało się cudem i po raz pierwszy, odkąd przybyłam na Kalani, poczułam się szczęśliwa. Nie powiedziałam nic Archerowi. Chciałam przekonać się, co się dalej wydarzy.

Przyszedł do mnie w końcu z jakimiś dokumentami i chciał, abym je podpisała. Powiedział, że czynią mnie współwłaścicielką rancza, ale zorientowałam się, że w rzeczywistości umożliwiają mu kontrolę nad moim majątkiem. Odmówiłam. Musiałam w końcu spojrzeć prawdzie w oczy.

Pozbawiona złudzeń, w zaawansowanej ciąży, opuściłam mojego męża. Wróciłam tutaj, do willi Mimoza, starego domu, który zbudował dla mnie, swojej «małej księżniczki») ukochany ojciec, kiedyś gdy wierzyłam jeszcze - bo tak często mi to powtarzał - że jestem ładną dziewczynką i że świat należy do mnie. Zbudował srebrną ptaszarnię, abym zawsze mogła słuchać ulubionego śpiewu ptaków, grotę nad strumieniem na wzgórzu i fontanny, których szum był dla mnie muzyką. We wspaniałych ogrodach kazał zasadzić moją ulubioną mimozę, jej woń towarzyszyła co roku mym urodzinom. Ten dom stał się teraz moim schronieniem. Chciałam urodzić tu dziecko i wychować je w spokoju i poczuciu bezpieczeństwa. I nigdy więcej nie oglądać Archera Kane.

Ale on niespodziewanie się zjawiał. Powiedział, że przeze mnie wpadł w długi i będzie musiał zastawić swoją ziemię. Straci wszystko - bydło, ranczo, nawet wyspę - jeżeli nie dam mu pieniędzy. Dałam, bo obiecał zostawić mnie w spokoju, ale on dowiedział się - było to oczywiste - że jestem w ciąży. Wtedy zdecydował się zostać ze mną. W końcu było to także jego dziecko.

Choć początkowo chciałam mu wierzyć, wiedziałam, że nie powinnam darzyć go zaufaniem ani mieć z nim nic wspólnego. Lecz był moim mężem, i nic na to nie mogłam poradzić. Nie dopuszczałam go do siebie, nie bywałam z nim nigdzie, choć zaczął zabiegać o moje względy, gdyż zależało mu na tym, wiem to teraz, abyśmy uchodzili za szczęśliwą parę. W willi Mimoza był zawsze dżentelmenem w każdym calu, młodym mężem uwielbiającym starszą, spodziewającą się dziecka żonę. Dobrze grał swoją rolę. Przez ten cały czas nawet nie spojrzął na inną kobietę. A potem, mój drogi Synu, Ty się urodziłeś.

Wydawałaś się taki kruchy i maleńki, kiedy leżałaś w kolebce, którą sama pięknie dla Ciebie przystroiłam miękkim woalem, koronkami i wstążkami. Tak bardzo na Ciebie czekałam i gdy wreszcie się pojawiłaś, kochałam Cię z całym oddaniem matki.

Poród nie był łatwy, pamiętaj, że nie byłam już młoda i kiedy następnego dnia twój ojciec przyszedł Cię zobaczyć, czułam się jeszcze bardzo słaba. Popatrzył na Ciebie leżącego w kołysce i przez jedną krótką chwilę dopuściłam do siebie myśl, że

może pokocha swego syna i jest jeszcze nadzieja na szczęście. Ale z jego twarzy wyczytałam, że nic do ciebie nie czuje. Powiedział, że nie jesteś nawet do niego podobny. Byłeś Leconte, a nie Kane.

A teraz Synku, gdy piszę ten list, masz już tydzień. Wydawało mi się, że dziś uśmiechnąłeś się do mnie, choć niania Beale mówi, że to nie jest jeszcze prawdziwy uśmiech. Jesteś dla mnie wszystkim i Archer o tym wie. Coś wisi w powietrzu, jakieś napięcie przenika dom, choć twój ojciec wciąż gra rolę kochającego męża. Nie ufam mu i w przyszłym tygodniu, kiedy będę już na tyle silna, aby zejść na dół, mam zamiar wyjaśnić sobie z nim wszystko. Powiem, że zdecydowałam się z nim rozwieść, podając jako powód jego liczne zdrady. Powiem, że nie dostanie ode mnie ani centa, a wszystko odziedziczysz Ty, mój drogi, malutki Synku.

To właśnie powód, dla którego piszę ten list, choć mam nadzieję, że niania Beale nigdy nie będzie musiała Ci go przekazać.

Archer to niebezpieczny człowiek. Jest bezlitosny i nie dba o nikogo. Chcę, abyś zrozumiał, że cokolwiek złego mi się przydarzy, nie stanie się to na skutek wypadku, bez względu na to, co on potem będzie utrzymywał. Nie odbiorę sobie życia, bo jesteś dla mnie zbyt ważny. Mam nadzieję i zawsze będę ją miała, mój drogi Synku, że będę tu, by patrzeć, jak rośniesz, i wezmę udział w Twoim życiu. Chcę, abyś wiedział, że cię kocham.

Twoja oddana matka"

- A więc Cudzoziemiec naprawdę ją zabił - Bea spojrzała na Nicka zszokowana.

- I uszło mu to na sucho - dodał Nick. - Ale teraz przynajmniej znamy jego imię: Archer Kane. Zdarzyło się to jednak zbyt dawno, by mógł ponieść karę - przerzucił papiery patrząc na Beę. - Chcę, abyś później je przeczytała. To historia, którą napisał Johnny Leconte, poznasz dalszy ciąg tej opowieści - zawahał się. - Pomyślałem, że może będziesz wolała przeczytać to w samotności, kiedy dzieci, psy, papugi i zamieszanie wokół kolacji nie będzie ci przeszkadzać.

Włożył papiery z powrotem do koperty i wziął Beę za rękę.

- Chodźmy na spacer z dziećmi - powiedział z uśmiechem, starając się ją rozweselić. - Kupimy im lodów.

- Lody! - dzieci wpadły do pokoju i Bea roześmiała się na ich widok.

- Musicie mieć niewidzialne anteny odbierające takie słowa jak lody, frytki czy gry Nintendo.

- Czy możemy zabrać Znajdę? - zapytała Julia.

- Jasne. - Bea popatrzyła na rodzeństwo ubrane w brudne podkoszulki i szorty. Na twarzach dzieci znów malowało się szczęście.

Poczuła współczucie dla Marii Antoniny Leconte, której nie było dane mieć synka na lody czy ofiarować mu psa. - Umyjcie buzie i ręce i przebierzcie się - rzuciła uśmiechając się na myśl o tym, że czyste koszulki będą wkrótce lepkie od lodów.

- Wiesz co? - uśmiechnął się Nick. - Jesteś świetną mamusią.

Bea popatrzyła na jego niemal przystojną twarz, na miłe szare oczy, w których zawsze krył się cień uśmiechu, na jego szczupłą sylwetkę. Nick dzielił z nią problemy tajemniczej przeszłości, smutek po śmierci Millie. Pomagał opiekować się dziećmi. Ich przyjaźń pogłębiała się i Bea uświadomiła sobie, że jest jeszcze inny powód, dla którego Nick pragnie odkryć prawdę o niej: chciał się dowiedzieć, czy był ktoś inny w jej życiu, ukochany lub mąż, ktoś, kto miał znaczenie dla tej osoby, którą była.

Pocałowała go z uśmiechem.

- To dlatego, by ci podziękować - powiedziała, kiedy otoczył ją ramionami - za wszystko.

- Hej, bez czulenia się - wrzasnął od drzwi Scotty, a oni odwrócili się i ze śmiechem pognali za nim po marmurowych schodach, na których wiele lat temu odbyło się nieszczęsne spotkanie małego Johnny'ego Leconte z ojcem.

Rozdział 25.

Phyl otworzyła przesyłkę dostarczoną przez specjalną furgonetkę firmy Brinks i ze zdumieniem przyjrzała się jej zawartości. Był to naszyjnik z pereł wielkości przepiórczych jaj, z diamentowym zatrzaskiem, para wiszących kolczyków z perłą i diamentem oraz pasujący do nich pierścione. Na bileciku napisane było ręką Millie: „Abyś o mnie pamiętała”.

Phyl przycisnęła bilecik do policzka. Przypomniała sobie, jak zeszłego roku w operze oszałamiająco wyglądała Millie w jaskraworóżowej sukni i w tych właśnie perłach. Jakim cudem mogłaby kiedykolwiek o niej zapomnieć?

Zadzwoił telefon i z roztargnieniem podniosła słuchawkę.

- Muszę się z tobą zobaczyć - usłyszała głos Brada. Wyczuła w nim napięcie i zawahała się, przygryzając wargę.

- Brad, myślę, że będzie lepiej, jeśli się już więcej nie zobaczymy - powiedziała w końcu.

- Proszę cię, Phyl. Nie możemy się tak rozstać z powodu głupiej kłótni. Porozmawiajmy o tym przynajmniej. Daj mi szansę przeproszenia cię.

- Gdzie jesteś?

- Tu, w San Francisco, w hotelu Fairmont.

Phyl biła się z myślami. Wiedziała, że było to coś więcej niż głupia kłótnia, ale urok Brada wciąż na nią działał. Potrafił być taki czarujący. Może jednak była dla niego trochę za surowa? Westchnęła rzucając okiem na swe odbicie w lustrze. Po nocnej imprezie z Mahoneyem i jego kolegami wyglądała okropnie. Ale cóż robić. Brad ma rację, powinna dać mu szansę wyjaśnienia swego postępowania.

- Mogę dopiero za godzinę - powiedziała. - I lepiej spotkajmy się u mnie.

- Wiem, gdzie mieszkasz. Przyjadę - w jego głosie słychać było podniecenie.

Phyl uśmiechała się biorąc prysznic. Przypominała sobie Mahoneya i weselne przyjęcie. Od lat nie bawiła się tak beztrosko, bez poczucia zależności i odpowiedzialności, wśród miłych ludzi, którzy dobrze się ze sobą czują. W jakiś sposób pomogło jej to dostrzec problemy związane z Bradem we właściwych proporcjach. Teraz była pewna, że sobie z nimi poradzi. Szybko ubrała się w czarne dzinsy i białą, płócienną koszulę, przepasała pasem z Santa Fe o srebrnej, wysadzonej turkusami klamrze. Zaczesała włosy do tyłu, ściągnęła je w ciasny węzeł, pomalowała usta czerwoną szminką i dla uczczenia Millie włożyła kosztowne perły.

Nerwowo spacerowała po pokoju, czekając na Brada. Odgłos jej kroków zdawał się rozbrzmiewać echem w ciszy i żałowała, że kot, który mógłby jej dotrzymać towarzystwa, jest ciągle u Mahoneya. Musi potem zadzwonić do niego i zorganizować przywiezienie Coco.

Wspominała właśnie wolny taniec z Mahoneyem poprzedniej nocy, kiedy zadzwonił dzwonek. Otworzyła drzwi, a Brad podał jej naręczę lilii.

- To dla ciebie - powiedział skruszonym głosem. Uśmiechnęła się do niego z żalem.

- Nie należysz do ludzi, którzy robią cokolwiek połowicznie, prawda, Brad? - powiedziała zabierając ogromny snop kwiatów do kuchni.

- A więc to jest twoje schronienie - rzucił, rozglądając się z zaciekawieniem. - Zastanawiałem się, jak wygląda.

- I? - stanęła przed nim z ramionami skrzyżowanymi na piersi, jakby w obronnym geście.

- Jest dokładnie takie jak ty. Chłodne, funkcjonalne, przemyślane. I piękne.

- Dzięki.

Przyglądała się, jak długimi krokami chodzi po jej domu. Był ubrany w znoszone dzinsy i niebieską roboczą koszulę. Ze swą opalenizną wydawał się w jej lśnącym

miejskim mieszkaniu tak nie na miejscu jak rasowy rumak na prowincjonalnym pokazie koni.

- Wyglądasz dziś jak kowboj - stwierdziła.

- Właśnie nim jestem - odparł przyglądając się obrazom. - Ranczerem.

- Może zbyt z tego dumnym, Brad.

- Co masz na myśli? - wydawał się autentycznie zaskoczony. - Czy nie mam prawa być dumnym z własnej rodziny i jej osiągnięć?

Phyl zastanowiła się. Prawdę mówiąc, czyż większość amerykańskich fortun nie została zbudowana niezbyt uczciwą drogą, a ich właściciele nie przeszli do krajowej legendy?

- Może na swój sposób masz rację - przyznała.

- Podoba mi się - stwierdził stając przed małym olejnym obrazem Davida Oxtoby, przedstawiającym zielony, angielski trawnik i strzyżony cisowy żywopłot. - I ten. - Popatrzył na malowane temperą płótno Tindle'a, na którym przed otwartym oknem stało drewniane krzesło, a wiatr rozwiewał muślinową firankę. Wyblakły, jakby nie z tego świata, był jednym z ulubionych obrazów Phyl.

Odwrócił się ku niej.

- Nie mam zwyczaju przepraszać - powiedział sztywno. - Jest to dla mnie bardzo trudne. - Patrzyła na niego w milczeniu. - Czy chcesz abym padł przed tobą na kolana? - zapytał. - Czy kwiaty ci nie wystarczyły?

- Kwiaty są piękne, Brad. To miłe, że o nich pomyślałeś. Ale czy naprawdę spodziewasz się, że przebaczę ci bez przeprosin?

Masz rację. Zachowałem się okropnie - ścisnął ją za ramiona i przyciągnął do siebie. - Prawda jest taka: uniosłem się, bo jestem w tobie zakochany, Phyl. Szaleję za tobą i nie mogę znieść myśli, iż ktoś może mi cię odebrać.

- Ale nikt nie próbował mnie odbierać. To był pilny telefon od przyjaciela...

- Czy od tego samego, z którym byłaś zeszłej nocy? Odepchnęła go, patrząc ze zdumieniem.

- Skąd wiesz, z kim byłam ostatniej nocy?! - wykrzyknęła z gniewem.

- Bez przerwy dzwoniłem i nie było cię w domu. Domyślałam się, że byłaś z kimś innym...

- To nie twój przeklęty interes, z kim byłam, Bradzie Kane. Już nie.

- Proszę, nie mów tak.

- Och, Brad - powiedziała ze znużeniem - to wszystko było takie piękne, takie wyjątkowe...

- Znowu może takie być - chwycił ją w ramiona i przytulił tak mocno, że czuła mięśnie jego torsu napierające na jej piersi i silne jak stal ciało tuż przy swoim. - Przepraszam, Phyl. Naprawdę cię przepraszam. - Był zdesperowany. - A więc usłyszałaś słowa przeprosin. A teraz proszę, powiedz, że mi przebaczasz.

Czuła, że się poddaje, że ulega jego seksualnemu czarowi.

- Jestem zajęta - rzuciła szybko. - Większość czasu pochłania mi praca. Byłam nieodpowiedzialna zabawiając się, w czasie kiedy powinnam pracować. Muszę wrócić do swego życia, Brad.

- Nie porzucaj mnie!

Wiedziała, że to krzyk z samej głębi serca. Nagle przyszła jej na myśl przystojna, uśmiechnięta twarz Mahoneya. Poczowała na ciele obejmujące ją ramiona, przypomniawszy sobie ich kroki tak zgodne, kiedy tańczyli w powolnym rytmie. Mahoney żartowniś, kpiarz, dobry przyjaciel. Mahoney, oddany policjant, poeta, maniak opery. Bogaty, przystojny, przesadnie dumny Brad Kane wydał jej się nagle ze wszystkimi swymi problemami mniej ponętny.

Odetchnęła z ulgą. Niebezpieczny urok Brada w końcu przestał działać. Jednak patrząc na jego zrozpaczoną twarz wiedziała, że musi się z nim rozstać w sposób delikatny.

- Obiecuję ci, że będziemy się widywać, kiedy będę miała czas. Ale na moich warunkach.

- Zgadzam się na wszystko - wymruczał - na okruchy z talerza, pocałunek rąbka sukni, jedno spojrzenie oczu jak klejnoty... - Pocałował Phyl delikatnie w czoło, a ona roześmiała się przypominając sobie, jak bardzo ją bawił. Może jednak wszystko się ułoży, może zostaną przyjaciółmi.

- W takim razie zabierz mnie na lunch - rzuciła z ożywieniem.

- Dokądkolwiek sobie życzysz - oświadczył pełen zapału, a niepokój zniknął mu z oczu. - Na Księżyc, na Wenus, na Marsa.

- Do II Fornaio, tuż za rogiem - powiedziała, mimo woli śmiejąc się razem z nim. - Na pizzę. Umieram z głodu.

Usiedli w rogu, pod oknem. Kiedy złożyli zamówienie, Brad zmierzył wzrokiem jej naszyjnik i zapytał chłodno:

- Kto dał ci te perły?

Znowu usłyszała w jego głosie ostrzegawczą nutkę zazdrości.

- Dostałam je od mojej przyjaciółki, Brad. Tej, o której pogrzebie dowiedziałam się zbyt późno.

Nie patrząc na nią bawił się sztucami.

- Musiałaś znaczyć dla niej bardzo wiele, skoro zostawiła ci taki kosztowny naszyjnik.

- Millie dołączyła do niego także kolczyki i pierścione. Tak naprawdę są zbyt eleganckie, aby je nosić w ciągu dnia, ale miałam ochotę włożyć perły, gdyż w jakiś sposób przybliżają mnie do niej. Pamiętam, kiedy ostatni raz miała je na sobie. To było zeszłego roku w operze. Byłyśmy na Carmen i Millie ubrała się z tej okazji w jaskraworóżowe falbanki.

- To musi być warte majątek - Brad z uporem trwał przy swoim.

- Millie była bardzo bogata, choć prawdopodobnie nie tak jak ty - powiedziała, starając się go ugłaskać uśmiechem. - Ale nie przywiązywała wagi do pieniędzy. Rozrzucała je garściami. Zawsze chciała pomagać innym i dawała się nabierać na każdą łzawą historyjkę. Dlatego zatrudniła jako sekretarkę moją pacjentkę, tę, która straciła pamięć, mówiłam ci o niej. W każdym razie Millie zostawiła jej w testamencie miliony, a także dwoje osieroconych dzieci, którymi ma się opiekować. Powiedziała, że daje przyszłość dziewczynie bez przeszłości. I sędzę, że miała rację, gdyż Bea, jak mi się wydaje, jest teraz szczęśliwa.

- Twoja przyjaciółka była, zdaje się, typową zwariowaną filantropką. Powiedziałbym, że dziewczyna miała dużo szczęścia - rzekł brutalnie Brad.

- Millie Fenwick nie była zwariowana. - W głosie Phyl pojawiła się złość. - Dokładnie wiedziała, czego chce, i potrafiła to osiągnąć.

Brad spojrział na nią znad pizzy z nagłą uwagą.

- Powiedziałaś: Fenwick?

- Tak, Millicent Fenwick.

- Gdzieś ostatnio słyszałem to nazwisko.

- Prawdopodobnie czytałeś o niej w kolumnie plotek towarzyskich, a może widziałeś nekrolog. W każdym razie kupiła willę na południu Francji i podarowała ją Bei. Willa nazywa się „Mimoza”.

- Willa Mimoza?

- Tak, to piękne miejsce, choć Bea jest przekonana, że obdarzone tajemniczą przeszłością. W każdym razie teraz należy do niej i mieszka tam z dwojgiem dzieci,

dziewięcioletnim Scottem i siedmioletnią Julią Fenwick. Przypuszczam więc, że ma masę roboty.

- Wspominałaś, że Bea była twoją pacjentką? Na co właściwie ona cierpi? - Brad pociągnął łyk czerwonego wina i spojrzał na Phyl spod przymrużonych powiek.

- Mówiłam ci, że miała wypadek i straciła pamięć. Nie może przypomnieć sobie, co się stało, tak czasem się zdarza.

- A czy jej pamięć powróci? Phyl westchnęła z żalem:

- Kto wie? Ze względu na nią mam nadzieję, że tak.

- Zbyt angażujesz się w życie swoich pacjentów - powiedział z pewną czułością Brad. - Bierzesz na siebie ich problemy.

- To dotyczy również ciebie - uśmiechnęła się.

- Czy przeszkadza ci, że opowiadam o swojej rodzinie?

- Myślę, że prawdopodobnie bardzo potrzebujesz tego. Przechylił się przez stół i uściskał jej dłoń.

- Phyl, jedź ze mną na Hawaje. Proszę. Tylko na weekend. Potrzebuję cię tam. Muszę z tobą porozmawiać.

W jego głosie słychać było rozpacz. Phyl w panice zastanawiała się, jak może postąpić Brad, jeśli ona mu odmówi. A jednak nie miał prawa stawiać jej w takiej sytuacji.

- Nie wiem, czy mogę... mam tyle pracy... - zawahała się.

- To nic trudnego - błagał. - Polecimy moim samolotem do Honolulu. Proszę, Phyl. Potrzebuję cię. - Ścisnął mocno jej rękę. - Nigdy w życiu nikogo tak nie prosiłem, jak teraz ciebie. Jedź ze mną, Phyl. Obiecuję uroczyście odstawić cię do San Francisco w poniedziałek rano.

Jak mogła oprzeć się takiemu błaganiu o pomoc? Wiedziała nazbyt dobrze, co to znaczy być samotnym.

- No dobrze, ale bez żadnych zobowiązań - oświadczyła mając nadzieję, że postępuje słusznie.

Wyczuła, że Mahoney nie był zachwycony, kiedy zadzwoniła i powiedziała mu, iż nadchodzący weekend spędzi na Hawajach.

- Czy jesteś pewna, że dobrze robisz? - spytał zmartwionym głosem. - Po tym wszystkim, co mi o nim opowiadałaś?

- Powiedział, że się poprawił. Co mogę zrobić? Naprawdę czuję, że chce ze mną porozmawiać, i tylko dlatego tam jadę. Brad mnie potrzebuje.

- To wszystko wygląda mi na podstęp - westchnął Mahoney.

- Świetnie bawiłam się ostatniej nocy, Franco - powiedziała miękko. - Jesteś wspinałym tancerzem.

- To tylko jeden z moich licznych talentów - odparł posepnie. - Nie miałem okazji zaprezentować ci reszty.

- Nie mów, że będziesz za mną tęsknił - roześmiała się.

- A kto, u diabła, twierdzi, że będę - zapytał ze śmiechem, a potem nagle spoważniał: - Phyl, uważaj na siebie, dobrze? Ten facet wydaje mi się trochę nieźrównoważony.

- Nie martw się. Jest równie normalny jak ja czy ty, cokolwiek by to miało znaczyć. Zajmiesz się Coco? Zadzwonię w poniedziałek po powrocie.

- Jasne. - Już miał zamiar odwieść słuchawkę, kiedy nagle coś sobie przypomniał. - Phyl, jaki samochód ma pan Hawajski?

- Czarnego porsche 938, a dlaczego pytasz?

- Tak tylko byłem ciekawy.

Proszę, proszę, powiedział do siebie, schodząc do hallu, do automatu z kawą. Przeczucie mnie nie myliło. Pan Hawajski śledził ją ostatniej nocy. Przypomniał sobie,

jak Phyl wsparła się na nim, gdy wchodzili po schodach budynku, jak objął ją ramieniem i pocałował. Zagwizdał na myśl o nieuzasadnionej zazdrości pana Hawajskiego. Miał nadzieję, że Phyl wie, co robi. Postanowił tymczasem przeprowadzić na temat pana Brada Kane'a małe, dyskretne śledztwo.

Rozdział 26.

Dzieci były wykąpane i leżały w łózkach. Z ich pokoju od pół godziny nie dobiegał żaden szmer i Bea, niczym rodzona matka, doszła z ulgą do wniosku, że w końcu zasnęły.

Była godzina dziesiąta i nareszcie została sama. Przykryła kocem klatkę z papugą, słuchając sennego mamrotania moszczącego się na grzędzie ptaka. Potem zabrała do kuchni złowróbną żółtą kopertę zawierającą sekrety rodziny Leconte. Zrobiła sobie filiżankę herbaty i usiadła przy dużym sosnowym stole. Popatrzyła na kopertę. Z jakiegoś powodu nie miała ochoty poznać jej zawartości.

Znajda chleptał głośno z miski, a potem ułożył się u stóp Bei. Kuchenny zegar powoli odmierzał minuty. Przez otwarte okno przenikał miękki nocny powiew, a gdzieś z oddali dobiegał słaby i słodki śpiew ptaka. Czy to szpak? - zastanowiła się. A może słowik? Słuchała zwykłych odgłosów letniej nocy, żab i świerszczy, a dom coraz głębiej pogrążał się we własnej ciszy.

Kiedy nie mogła już zwlekać dłużej, wyjęła z koperty plik rękopisów. Były napisane przez samego Jeana Leconte czyli Johnny'ego, jak nazywała go niania Beale.

Niechętnie zaczęła czytać.

„Opisuję wydarzenia, o których wolałbym zapomnieć, tylko dlatego, że nakłoniła mnie do tego Flora Beale”. „Dla potomności” - tak to określiła, mając na myśli przyszłych Leconte'ów, którzy przyjdą po mnie i zechcą upomnieć się o swoje dziedzictwo.

Ja sam nie dbam o nie, lecz niania Beale obstaje, że jest to ich prawo.

Ponieważ mam dwadzieścia siedem lat i jestem kawalerem, ta perspektywa wydaje mi się odległa, ale muszę przyznać, że niania ma swoje racje. I tak, aby moi przyszli potomkowie mogli poznać prawdę, robię to, o co prosiła. Zaczynam od najwcześniejszych wspomnień, czyli od willi Mimozy i niani Beale."

Bea zadrżała w przeczuciu czegoś złego. Wiedziała, podobnie jak przedtem, że zna tę historię. Ktoś opowiedział ją tak sugestywnie, że zdawała się być wryta w jej głowie. Wystarczyły słowa Johnny'ego, by uwolnić wspomnienia.

„Gdy jest się małym dzieckiem, pamięta się nie tyle twarze ludzi, ile dźwięk ich głosu, sposób chodzenia lub zapach. Niania Beale była pierwszą osobą, jaką naprawdę znałem, i pierwszą kobietą, którą kochałem. Była jednocześnie moją matką i przyjaciółką, pomocnikiem i troskliwą opiekunką. A świeży zapach jej nakrochmalonego fartucha jest moim pierwszym wspomnieniem.

Była niska, pulchna i wyprostowana jak struna. Pamiętam, jak przyglądałem się jej przygotowaniom do wyjścia na codzienną przechadzkę. Wkładała zawsze granatowy, filcowy kapelusz w zimie, a jasny, słomkowy w lecie, i mówiła uroczyście: «Pamiętaj, Johnny, dama zawsze nosi kapelusz». Potem przebijała go gwałtownie przerażająco ostrą, stalową szpilką zakończoną niebieską, szklaną kulką. Czekałem na jej krzyk, z powodu wbicia sobie szpilki w głowę, ale niania była fachowcem i nigdy się to nie zdarzyło.

W lecie nosiła mocne, sznurowane obuwie na «praktycznych» obcasach. Pielęgnowała biel butów używając pasty kredowej i czasem pozwalała mi pomóc je czyścić. Pamiętam, że kiedy buty wyschły, przy każdym kroku niani unosiły się z nich obłoczki białego kurzu.

Przypuszczam, że musiała wtedy być po pięćdziesiątce, ale mnie wydawała się pozbawiona wieku. Oczywiście nie miałem specjalnie z kim jej porównać, nie licząc pokojówek, których wiek wydawał się zbliżony raczej do mojego niż do niani. Była przemiłą kobietą, ale podczas naszych przejazdów dużym srebrnym rollsem potrafiła zachowywać się bardzo wyniośle, witając księżęcym skinieniem głowy tłumy spacerowiczów na Croisette lub Promenadę des Anglais. Podejrzewam, że naprawdę

nikogo nie rozpoznawała, gdyż była tak krótkowzroczna, że nie widziała na pół metra przed sobą, a nie chciała nosić okularów na ulicy. Kobiety to istoty pełne tajemnic, nawet niania Beale miała swe słabości.

Była Angielką do szpiku kości i nigdy nie obniżała swych wymagań. Ubierała mnie jak książętko, w jedwab i koronki. Nie dopuszczano do mnie żadnych zwierząt, ze strachu, że mogą mieć pchły lub roznosić zarazki. Tak więc stary, wełniany czarno-biały Fido był moim psem i wciąż pamiętam, jak bardzo go kochałem i jak później opłakiwałem jego stratę.

Pamiętam pokój dziecinny, a w nim stary bujany fotel niani. W zimie zawsze ustawiony był przed kominkiem, ponieważ kiedy wiał mistral, niania skarżyła się, że chłód przenika ją na wskroś. Okulary w okrągłych, szylkretowych oprawkach zawsze leżały na otwartej stronie czytanej przez nią książki. Pamiętam zapach grzanek, które piekliśmy na pobłyskujących czerwono węglach kominka, herbatę z miodem i pierniczkami. Jak na francuskie dziecko otrzymałem bardzo angielskie wychowanie, ale nie znałem innych dzieci, więc nigdy nie dowiedziałem się, czy coś straciłem. Byłem szczęśliwy w willi Mimoza z nianią Beale, psem Fido i ogrodnikami, którzy opowiadali mi o życiu roślin, o papużkach i kanarkach w srebrnej ptaszarni. Nie chciałem niczego więcej. Mój świat był doskonały.

Aż nadszedł dzień, gdy przybył mój ojciec i zesłał mnie na wygnanie na Kalani.

Był przerażającym człowiekiem, choć teraz zdaję sobie sprawę, że na swój szorstki sposób był przystojny. Ja zaś rozczarowałem go. Okazałem się małym, chudym, słabowitym dzieckiem, o twarzy ziemistożółtej jak woskowa świeca. Nie wiedziałem, kim jest «ojciec», ponieważ nigdy go nie miałem. Lecz z twardego tonu jego głosu i z przerażonych odpowiedzi Niani wywnioskowałem, że jego powrót nie był mile widziany.

To, że nie widywaliśmy go zbyt często podczas długiej podróży na Kalani, przyjąłem raczej z ulgą i uważałem podróż za fascynujące przeżycie, znacznie bardziej interesujące niż monotonia życia w willi Mimoza. Nie domyślałem się wówczas, jak bardzo będę potem tęsknił za panującymi tam zwyczajami.

Kiedy na środku oceanu niania zachorowała, biegałem sam po wielkim transatlantyku. Nasza kabina była małą, ciasną norą na samym dole, przesiąkniętą dymem z kotłów i zapachami z kuchni. Nie wiedziałem nawet, czy mój ojciec jest na pokładzie. Z pewnością nigdy go nie widziałem, a on sam nie opuścił luksusowej kabiny pierwszej klasy, by sprawdzić, co dzieje się z jego synkiem wygnanym do wnętrza statku. Cieszyłem się jednak wolnością i nawiązałem przyjaźnię z marynarzami, co było zupełnie nowym doświadczeniem. Muszę wyznać, że dobrze się bawiłem i myślałem, że życie z ojcem będzie nie takie straszne.

Stojąc na dolnym pokładzie, uczepiony ręki niani, patrzyłem z rozdziawioną buzią na rysujący się na niebie słynny widok Nowego Jorku, a potem, nim zdążyłem się zorientować, znaleźliśmy się w ogromnym, ciągniętym przez parowóz pociągu zmierzającym na zachód. Niania powiedziała, że jedziemy do San Francisco, ale dla mnie, nie znającego świata ani geografii, równie dobrze mogłoby to być Timbuktu.

Początkowo podróż pociągiem mi się podobała. W Chicago przesiedliśmy się do kolejnego, napędzanego parą potwora. Ojciec zniknął w swej wygodnej salonce, podczas gdy ja godzinami biegałem wzdłuż długich, kołyszących się korytarzy i jak mówiła niania, stanowiłem prawdziwe utrapienie. Była to dla nas, pozbawionych przedziałów sypialnych, długa i męcząca podróż i moja opiekunka chciała, abym wybiegał się przed snem na twardym pluszowym siedzeniu.

Kiedy dotarliśmy do San Francisco, mieliśmy już serdecznie dosyć pociągu. Pojechaliśmy do dużego hotelu. Pamiętam, że przyglądałem się temu jasnowłosemu,

milczącemu, obcemu mężczyźnie, który był moim ojcem i tak drastycznie zmienił moje życie, a on stał na chodniku i patrzył na nas z pogardą.

«Zostańcie w samochodzie, zaordynował tonem, którym zwracałem się do Fido, gdy był niegrzeczny. - Odpłyniecie zaraz statkiem do Honolulu.»

I tak odesłano nas do portu na motorowy statek o nazwie «Hyperion II». Nawet takie dziecko jak ja mogło zauważyć, że pamiętał on lepsze czasy. Z zardzewiałego kadłuba oblażyła strupieszka farba, a po pokładzie uwijali się niscy żyłaści ludzie o obcym wyglądzie, przygotowujący statek do rejsu.

«Pogańscy Chińczycy», szepnęła mi do ucha niania kiedy, niczym ku swej zagładzie, wchodziliśmy po trapie na statek. Nie wiedziałem, co ma na myśli, ale ton jej głosu był tak złowróżbny, że serce we mnie zamarło. Uczepiłem się ręki niani i przyglądałem ostrożnie otaczającym nas ludziom. Choć jej obawy były oczywiście bezpodstawne, odmówiła «pogańskiego pożywienia» i jedliśmy tylko gotowany ryż.

Po dniu lub dwóch dniach podróży omal nie zatopił nas sztorm. Takich fal nie widziałem nigdy na Morzu Śródziemnym. Leciały na nas ogromne, szklistozielone i ciskały galony lodowatej wody na naszą mizerną kabinę, tak że wszystko było zalane. Z wielką ulgą przybiliśmy w końcu do portu w Honolulu i prawie natychmiast wyruszyliśmy kolejną zardzewiałą balią w dalszą podróż, tym razem na Maui. Pamiętam, jak oglądałem się na ruchliwe nabrzeże Honolulu i długą białą plażę Waikiki, na której chętnie bym pozostał. Dwa dni później, kiedy dotarliśmy na Maui, czekała już mała motorowa łódź, aby nas zabrać do ostatecznego celu podróży, na Kalani.

Przestrzeń wodna pomiędzy Maui i Kalani była wzburzoną szklistą zielenią, po której łódka wspinała się i opadała, sprawiając, że żołądki podchodziły nam do gardła. Niania była wyprostowana i osłaniała się od słońca czarną parasolką. Twarz miała żółtą jak jej słomkowy kapelusz, ale w oczach kryła się determinacja. «Nie rozchorujemy się», powiedziała do mnie stanowczo, zaciskając zęby, a ja przytaknąłem, gdyż, prawdę mówiąc, nie czułem się najgorzej. Podróż łodzią sprawiała mi przyjemność.

Na horyzoncie pojawił się skalisty zarys Kalani, a kiedy przybliżyliśmy się, dostrzegłem wysokie palmy kokosowe i splątana dżungla roślin otaczająca skrawek białego piasku. Przypomniałem sobie codzienny porządek i monotonne dni w willi Mimoza i doszedłem do wniosku, że Kalani wygląda odmiennie i podniecająco. Miałem nadzieję, że może mężczyzna, który był moim ojcem, czeka na mnie, aby pokazać mi mój nowy dom. Żarliwie wpatrywałem się w wyspę przyciskając Fido do piersi.

Kiedy łódź z milczącym Chińczykiem u steru przybliżyła się, wiatr przyniósł zapach wyspy: korzenny, ciężki i cierpki. Tak inny od świeżej jak rozmaryn woni Riwiery. Niania ścisnęła mnie mocno za rękę. «Pamiętaj, że twoim domem jest willa Mimoza - powiedziała ponuro. - Nigdy o tym nie zapominaj; Johnny. Pewnego dnia wrócisz do domu.»

Byłem posłusznym dzieckiem i popatrzyłem na nią z powagą, zapisując sobie w pamięci jej słowa na przyszłość. Nagle jej niepokój i mnie się udzielił. Płynęliśmy na spotkanie z nieznanym. «Módl się za nas, Johnny», wyszeptała, gdy podpływalimy bliżej.

Zmrużyłem oczy od blasku zachodzącego słońca i zobaczyłem krótki, zbielały od słońca drewniany pomost przystani. A na nim, ociekając wodą, stał jasnowłosy chłopiec i czekał na nas. Jego wąskie biodra owijał skąpy kawałek materiału, przylegając do nich jak druga skóra.

Gdy łódź mijała przystań, twarz niani spurpurowiała z oburzenia. «Nagi jak nowo narodzony. Albo prawie nagi! - zawołała głośno, patrząc na niego. - Czy nie masz wstydu, młody człowieku?»

Chłopiec popatrzył na nią z pogardą, a potem spojrzał na mnie. Wzdrygnąłem się, kiedy jego wąskie, niebieskie oczy prześlizgnęły się po mnie. Zacisnął gniewnie szczęki i wydał drwiąco ładnie wykrojone usta na widok mojej jedwabnej elegancji.

«Małpka! - zawołał pogardliwie. - Jesteś pomarszczoną, wystrojoną małpką.»

I tak od tej pory nazywałem się na Kalani. Małpka. To imię nadał mi mój przyrodni brat Jack, który dbał o to, abym nie zapomniał, że jestem najnędniejszym stworzeniem pod słońcem."

Rozdział 27.

Phyl siedziała w cieniu drzewa, w pobliżu basenu rezydencji Diamentowa Głowa. Brad zachowywał się nienagannie i Phyl wciąż zastanawiała się, dlaczego wyczuwa napięcie między nimi.

Rozejrzała się wokół, leniwie podziwiając alejki wysadzone jaskrawo - czerwonymi królewskimi poincjanami, pachnącą, różową plumerią i intensywnie żółtymi kwiatami bezlistnego złotego drzewa, którego wygląd przewyższał nawet jego nazwę. Na Hawajach natura nie popełniała błędów. Mieszała i dobierała kolory z tropikalną zapalczywością, tworząc wielobarwną harmonię, jakiej człowiek nigdy nie byłby w stanie osiągnąć.

Phyl patrzyła na Brada, okrążającego po raz kolejny bez wysiłku basen, którego niebieska woda sięgała krawędzi klifu. Słońce obniżało się na błękitnym horyzoncie, a milcząca chińska służba nakrywała już na tarasie stół do obiadu.

Zapytywała samą siebie, dlaczego w tej pięknej scenerii, w takim zdawałoby się błogostanie, odczuwa niepokój.

Zeszłego wieczora przybyli do Diamentowej Głowy i Brad dotrzymywał słowa. Troszczył się o nią, nie nalegał, aby się kochali. W pokoju Phyl stały bukiety białych orchidei, wytworne lniane prześcieradła przesycone były delikatną wonią lawendy z Prowansji, a w łazience nie brakowało kosztownych mydeł i balsamów.

Zabrał ją na obiad do Michela, eleganckiej restauracji z widokiem na ocean, zabawiał rozmową o ranczu i Paryżu, o lataniu i hodowli koni, i ani razu nie zapytał o jej życie prywatne. Phyl widząc, że się stara, zaczynała się odprężyć i cieszyć jego towarzystwem. Ale była zadowolona, kiedy przed drzwiami jej pokoju pożegnał się krótko i odszedł nie całując jej na dobranoc.

Obudziła się w środku nocy z nieprzyjemnym uczuciem, że dzieje się coś złego. Po chwili dostrzegła majaczącą w pobliżu okna sylwetkę Brada płonącego ognik jego papierosa. Patrzyła w milczeniu, lękając się poruszyć. Po paru minutach zgasił papierosa i podszedł do łóżka. Nie zastanawiając się, zamknęła oczy i leżała nieruchomo udając że śpi, lecz mimo to czuła na sobie jego palące spojrzenie. Usłyszała jęk. Spod rzęs zobaczyła, że Brad wychodzi szybko na taras. Pies pobiegł za nim i razem zniknęli w mroku.

Drżąc i przerażona usiadła na łóżku. Pomyślała o zamknięciu drzwi na klucz, ale wydało jej się to dziwaczne. Brad nie chciał zrobić jej nic złego. Kochał ją i jej pożądał, a ona odmawiała mu siebie. Nie był to mężczyzna przyzwyczajony do odmowy. Rankiem, promienny i uśmiechnięty, nie wspomniał o ukradkowej wizycie w jej pokoju. Zaproponował wycieczkę do krateru wulkanu lub przejażdżkę wokół wyspy.

- Chcę tylko, abyś była szczęśliwa - powiedział ciepło. Mogła przysiąc, że był szczery.

Czuła jednak, że w ich związku pojawiło się coś nowego. Brad nadal ją pociągał, ale odbierała pewne ukryte sygnały, które wywoływały jej niepokój. Była pewna, że związane są z przeszłością i dzieciństwem Kane'a.

Wyszedł z basenu i zbliżył się do niej. Otrząsnął wodę z jasnych włosów i odgarnął je do tyłu. Jego uśmiechnięte, niebieskie oczy były bezwzględne jak oczy jego ojca. Po raz pierwszy Phyl zastanowiła się, czy to tylko zewnętrzne podobieństwo.

- Opowiedz mi o Jacku - zaproponowała po obiedzie.

Siedzieli w bawialni. Noc była parna, niebo nad oceanem przecinały srebrzystobłękitne błyskawice, a od czasu do czasu dochodził słaby odgłos grzmotu. Zawieszane pod sufitem wiatraki młóciły leniwie nocne powietrze, rozwiewając długie włosy Phyl i otulając chłodną szyfonową bluzką jej piersi. Z głośników cicho sączyła się kantata Bacha, a z oddali dobiegał huk przybrzeżnych fal bijących o skały klifu.

Phyl zrzuciła sandały i patrząc na Brada wyciągnęła się na krytej bladozielonym płótnem sofie, a on siedział pochylony, ze splecionymi dłońmi. Pomyślała, że nigdy nie widziała przystojniejszego mężczyzny, lecz było to stwierdzenie oderwane od rzeczywistości i pozbawione namiętności. Słowo „przystojny” nie określało Brada w sposób właściwy. Był piękny tak jak może być piękne zwierzę. Gibki, smukły, muskularny, opalony, był mężczyzną w szczytowym punkcie swego fizycznego rozwoju, lecz jednocześnie osobnikiem o skomplikowanej przeszłości. Dlatego tu przyjechała. Chciała mu pomóc.

- Jack był taki jak Archer - powiedział Brad. - W ich przypadku sprawdzało się stare przysłowie: „Niedaleko pada jabłko od jabłoni”. Archer nauczył Jacka, czym jest życie, i tego, że wygrywa zawsze najlepszy. Bez względu na to, jakim kosztem. Obydwaj nie mieli żadnych zasad moralnych.

- I tego właśnie nauczył cię Jack? - zapytała ostrożnie Phyl Roześmiał się.

- Ja jestem sobą, pani doktor. I to nie ma nic wspólnego z Archerem i Jackiem.

- Nie wierz w to - odparła chłodno. - Dziś uważa się, że korzenie większości problemów psychicznych tkwią w sytuacji rodzinnej.

- Czy masz zamiar poddać mnie terapii? - Ton jego głosu nieoczekiwanie stał się chłodny.

- Nic podobnego - odparła bez zająknięcia. - Nie przyjechałam tu w sprawach zawodowych, Brad. Ale jestem po to, aby ci pomóc, a oprócz tego ciekawi mnie twoja rodzina. Nieczęsto można z pierwszej ręki dowiedzieć się o powstawaniu takiej dynastii.

- To prawda, nie byli aniołami. Robili po prostu to, co uważali za konieczne. Wydawało im się to logiczne i nie mylili się. W przeciwnym razie nie byłoby dziś rancza Kane'ów. A jedyna osoba, która mogłaby je nam odebrać, stała się śmiertelnym wrogiem Jacka.

Miał dziewięć lat, kiedy ojciec powiedział mu, że ma przyrodniego brata. Nigdy wcześniej nie wspominał o drugim synu i Jack po prostu nic o tym nie wiedział. Oszalał z zazdrości i gniewu. Powiedział, że zabije przyrodniego brata, ale Archer tylko się roześmiał. Potargał mu włosy i rzekł niedbale:

- Spokojnie, Jack. Poczekamy, aż Johnny skończy osiemnaście lat i otrzyma spadek. Nie popełnij błędu. Ta fortuna będzie nam potrzebna.

Jack całą noc rozmyślał nad słowami swego ojca i zrozumiał, że musi na razie zaakceptować przyrodniego brata. Francuska żona Archera zmarła i zostawiła mu wiele pieniędzy, które już wydał. Był zrujnowany. Co prawda większą część wydał na rzeczy istotne: kupił tysiące hektarów ziemi na Wielkiej Wyspie, rasowe bydło i najlepsze konie. Nabył rezydencję Diamentowa Głowa, rozbudował dom na Kalani i rozpoczął hodowlę pełnokrwistych arabów. Lecz zatrudniał także czterdzieści osób służby, nie licząc tych na własnej wyspie. Kupił motorówki, jacht o długości ponad trzydzieści metrów i wiele samochodów. Wydawał wspaniałe przyjęcia, podczas których napełniał basen francuskim szampanem. Obdarzał brylantowymi bransoletami piękne, nie skąpiące swych wdzięków kobiety i żył do utraty tchu. Sława Archera jako króla wystawnego życia i szalonych kobiet sięgała poza San Francisco.

Jack widział to wszystko: pijatyki, kobiety, życie ponad stan. Archer nigdy nie troszczył się o to by cokolwiek przed nim ukrywać. Jack był dzikim, żyjącym na łonie natury chłopcem lubiącym nade wszystko pędzić bydło wraz z paniolosami, ale kiedy skończył siedem lat, ojciec postanowił posłać go do szkoły w San Francisco.

- Musimy ucywilizować cię, chłopcze - powiedział mu. Ale Jack O'Higgins Kane w żadnej szkole nie mógł utrzymać się zbyt długo. W końcu Archer przywiózł go z powrotem do domu.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - stwierdził z dumą. - Nie ma instytucji tak silnej, by mogła cię utemperować. - A potem zapytał Jacka, co chce osiągnąć w życiu.

- Jestem taki jak ty, tato - odparł Jack. - Chcę mieć Kalani i Ranczo Kanoi. I pewnego dnia będą należały tylko do mnie. Brad podniósł głowę i uśmiechnął się do Phyl.

- Nawet w tak młodym wieku Jack wiedział, czego chce przede wszystkim. Później zdołał jednak zdobyć nieco wykształcenia. Różni nie najlepsi korepetytorzy przybywali do Diamentowej Głowy, ale nie dawało to rezultatu i przez parę lat Jackowi pozwolono żyć swobodnie na Jego" wyspie. Czasami spędzał tygodnie na ranczu, żyjąc wśród paniolosów, wraz z nimi pętając bydło i pędząc stada.

Jack był zawsze królem na Kalani. Był jedynym synem i spadkobiercą swego ojca. Nie było matki, która by nim rządziła, ani nikogo, kto powiedziałby mu, jak się zachowywać. Był dzikim, buntowniczym i upartym dziewięciolatkiem, kiedy na „jego" wyspę przybył przyrodni brat.

- I zaczęły się kłopoty? - zapytała z uśmiechem Phyl. Brad wzruszył niedbale ramionami.

- Po prostu chłopięca wojna. Rzecz jasna, Jack nienawidził swego przyrodniego brata. Był intruzem, a Jack przywykł do całkowitej władzy na swojej wyspie.

Archer powiedział mu, aby się nie martwił, gdyż chłopiec jest trochę niespełna rozumu i pozostanie na wyspie. Nigdy nie postawi stopy w Diamentowej Głowie ani na ranczu, ani w Honolulu. I tak też się stało. Oczywiście ludzie wiedzieli o chłopcu, ale po latach zapomnieli. Ci, którzy pamiętali, mówili o nim tylko: „O tak, był tam chyba jeszcze jeden syn. Nie całkiem normalny. Archer Kane trzymał go na Kalani dla jego własnego dobra".

Śluchającą tej bezlitosnej opowieści Phyl przebiegł dreszcz. Archer Kane był potworem.

- Co stało się z chłopcem? - zapytała.

- Och, Jack mówił mi, że był to dziwaczny dzieciak, zaledwie pięcioletni, mały i chudy jak na swój wiek i jakiś pomarszczony. Wyglądał po prostu jak małpka. I tak właśnie go nazwał. - Brad roześmiał się z tego żartu. - Małpka. Jack powiedział, że na parę lat zmienił jego życie w piekło, a potem na wyspie coś się wydarzyło i dzieciak po prostu zniknął. Nikt nie wie, co się z nim stało. Przypuszczano, że wypłynął łódką i utonął wśród sztormu.

- Tak jak Lahilahi - powiedziała zaszokowana Phyl.

- Co za dziwaczne porównanie. - Brad był zły. - Chłopak zachował się głupio i nierozważnie. Pacyfik to duży i zdradliwy ocean.

- A jeżeli on się nie utopił? Jeżeli nadal żyje? Co byś zrobił, Brad, gdyby nagle pojawił się tutaj i zażądał jako swego udziału połowy rancza Kane'ów?

- Mówisz bzdury - powiedział sztywno Brad. - Zapewniam cię, że się tu nie pojawi.

- Dlaczego jesteś tego taki pewny? - nalegała.

- Wokół Kalani są silne prądy. Wiele łodzi znalazło swą zgubę w tych wodach. Ciała zazwyczaj znosiło do morza.

Oczy Brada miały dziwny wyraz, były ostrożne, jak gdyby coś ukrywał. Nalał sobie wieczorną porcję brandy i podszedł do okna z Kanoi, wiernym dobermanem u nogi.

- To było tak dawno - powiedział w zadumie, patrząc na błyskające się, burzliwe niebo. Przeszłość jest tylko przeszłością. Jakie znaczenie ma teraz? Archer i Jack byli, jacy byli. Wiedzieli, czego chcą, i osiągnęli to.

- A ty, Brad? Czy ty wiesz, czego chcesz? - zapytała z nagłym zaciekawieniem Phyl.

Popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.
- Tak - odparł. - Ja chcę ciebie.

Rozdział 28.

Drewniany dom na Kalani zbudowany był na pa - lach. Jak dowiedziałem się później, stanowiło to osłonę przeciw żarłocznym tennitom. Otaczała go drewniana weranda zwana lanai, a dach zrobiony był z liści palmowych. Uważałem, że wygląda jak domek z bajki, lecz już wkrótce stał się widownią moich najgorszych koszmarów.

Mój przyrodni brat, dziewięcioletni Jack O'Higgins Kane był dużo większy i silniejszy niż ja. Wysoki, przystojny, urodzony atleta, miał kudłatą grzywę jasnych włosów i tak jak ojciec niebieskie oczy o bezwzględnym spojrzeniu. Potrafił robić rzeczy, których ja nie umiałem. Pływał jak ryba i jeździł konno na oklep. Wspinał się na najwyższe palmy niczym małpa, której imieniem zostałem nazwany, umyślnie zrzucając twarde jak żelazo owoce, tam gdzie stałem, tak że musiałem odskakiwać, by mnie nie zabiły. Potrafił strzelać ze strzelby i strącać blaszane puszki z muru oddalonego o 45 metrów. Chodził po wyspie boso, nie zważając na kamienie. Krzyczał na służbę, a ona musiała wykonywać jego rozkazy. Dostawał wszystko, czego chciał.

Już po upływie jednego dnia i nocy uświadomiłem sobie, że przyrodni brat jest moim rywalem i śmiertelnym wrogiem. Przerazał mnie jego wrzask, pogarda i popisywanie się. Miałem jednak nianię Beale i wiedziałem, że z nią jestem bezpieczny. Ale po kilku dniach powróciła motorówka przywożąc mego ojca, Archera Kane'a.

Niania i ja staliśmy wtedy w pewnej odległości od przystani i przyglądaliśmy się. Jack przebiegł obok nas, podskakując i wymachując z podnieceniem rękami. Potem zanurkował i widziałem, jak gładki niczym foka płynie do łodzi na spotkanie ojca. Gdy motorówka zwolniła, wdrapał się zręcznie na pokład. Widzieliśmy, jak gniewnie wskazuje w naszym kierunku, i żołądek ścisnął mi się z przerażenia, gdyż wiedziałem, że skarży się na nas ojcu.

Łódź przybiła do przystani i Jack wyskoczył pierwszy. Zaczekał na Archera i obaj poszli w kierunku domu nie zaszczycając nas nawet spojrzeniem.

- Panie Kane! - zawołała za nimi gniewnie niania. - Muszę z panem porozmawiać. Tutejsze warunki nie są odpowiednie dla małego dziecka.

Ojciec odwrócił się, spojrzał na nas i po raz pierwszy zrozumiałem, co to znaczy mieć «zimne» oczy. Jego wzrok zmroził mnie.

- Warunki są wystarczająco dobre dla mojego drugiego syna, panno Beale - powiedział głosem równie lodowatym jak jego wzrok. - Nie widzę powodu, dla jakiego miałbym wprowadzać jakiegokolwiek zmiany. - Za pół godziny rozmawiam z panią w moim biurze - dodał po chwili zastanowienia.

Kiedy o wyznaczonym czasie przyszedliśmy do biura, niania jeszcze mocniej ścisnęła mnie za rękę. Słyszałem, że oddycha szybko, jak zwykle gdy była czymś poruszona, i przytuliłem Fido do piersi, żałując, iż nie przychodzi mi do głowy nic pocieszającego do powiedzenia.

- Nianiu, dlaczego nie wrócimy z powrotem do domu, do willi Mimoza? - zapytałem. - Nie podoba mi się tutaj.

- Właśnie to mam zamiar zaproponować panu Archerowi Kane - oświadczyła stanowczo.

Lecz Archer zbił ją z tropu.

- Panno Beale - rzekł podnosząc obojętnie oczy znad gazety - natychmiast spakuje pani swoje rzeczy. Motorówka zabierze panią na Wielką Wyspę, gdzie wsiądzie pani na statek przewożący bydło do Honolulu. Ma pani zarezerwowany przejazd do San Francisco i powrotny bilet do Francji.

Archer wrócił do swej gazety, a niania odetchnęła z ulgą.

- A więc wracamy do domu - powiedziała, a moje serce także zabiło żywiej i wstąpiła w nie nadzieja.

- To pani wraca do domu, panno Beale - powiedział ojciec znad gazety. - Chłopiec zostaje tutaj.

- Nie wyjadę bez Johnny'ego - krzyknęła gniewnie niania. - On nie może tu mieszkać, nie przywykł do takiej dziczy. Życzeniem jego matki było, by wychował się w willi Mimoza i mnie powierzyła opiekę nad nim. Domagam się, aby pojechał ze mną. - Ku memu zdziwieniu uderzyła pięścią w biurko.

- Zapomina pani, panno Beale, że jego matka nie żyje - powiedział gniewnie Archer - i że to jest mój syn. Proszę spakować swoje rzeczy i za godzinę być na przystani. - Spojrzał na mnie i dodał zdecydowanie: - Nie będzie żadnych długich pożegnań. Chłopiec zostanie tutaj, dopóki pani nie odjedzie.

- Nianiu... - wybuchnąłem płaczem, czepiając się jej. Ale ona wiedziała, że przegrała.

- Bądź dzielnym chłopcem, Johnny - szepnęła ze łzami w oczach. - Nie grymas przy jedzeniu. Rośnij duży i silny. Kiedy będzie ci źle, pamiętaj, że myślę o tobie i że Bóg jest po stronie dobrych ludzi. Nie zapominaj o mnie - dodała na koniec, całując mnie w policzek. - Będę czekać na ciebie tam, w willi Mimoza, aż powrócisz znowu do domu.

Patrzyłem z zamarłym sercem, jak odchodziła. Wiedziałem, że minie dużo czasu, zanim ją znowu zobaczę. O ile kiedykolwiek to nastąpi.

Jack Kane postanowił zamienić moje życie w piekło. Dopiero później dowiedziałem się, dlaczego tak bardzo mnie nienawidził. Mój zazdrosny przyrodni brat wiedział wtedy o mnie więcej niż ja sam o sobie.

Zaczął skromnie, wkładając mi do łóżka wielkie włochate pająki. Zmuszał do jedzenia białych, wijących się larw i malował czerwoną farbą jak Indianina. Śmiał się złośliwie, ponieważ na wyspie nie było nic czym mógłbym zmyć farbę i wiedział, że będę musiał pokazywać się z czerwoną twarzą tak długo, aż farba zejdzie wreszcie od uporczywego szorowania.

Dawał mój obiad świniom, tak że chodziłem zawsze głodny, poprze - ciągał liny w poprzek ścieżek, posyłał mnie tam i śmiał się, kiedy się przewracałem. Raz zabrał mnie ze sobą do lasu, w miejsce gdzie wykopał pułapkę i piszczał z radości kiedy w nią wpadłem. Trzymał mnie tam, przerażonego, do zmierzchu, aż nadszedł służący, który mnie szukał. Wślizgnął się w nocy do mego pokoju, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem go uśmiechniętego z nożem, który przystawił mi do gardła.

- Pewnego dnia zabiję cię, Małpko - wyszeptał groźnie, wbijając mi czubek noża w ciało. Czulem sączącą się z ranki gorącą krew i wierzyłem jego słowom.

Zobojętniałem na drwiny z mego wyglądu i chudości, ale żyłem w strachu przed nowymi torturami, jakie mogły mu przyjść do głowy. Pożerała go zazdrość i złość. Był tu królem i miał zamiar nim pozostać.

Kiedy niania Beale wyjechała, myślałem, że już nikt nie przejmie się moim losem. Ale mieszkała na wyspie służąca Maluhia, dziewczyna, którą wyróżniał mój ojciec. Płynęła w niej mieszanka krwi chińskiej i polinezyjskiej, była piękna, egzotyczna, delikatna i obdarzona łagodnym głosem. Jej imię, Maluhia, znaczyło «spokojna». Tak nazwała ją matka, biedna kobieta obarczona zbyt wieloma córkami, która miała nadzieję, że życie jej dziecka będzie odpowiadało temu imieniu. Niestety tak się nie stało. Na skutek różnych rodzinnych katastrof w wieku trzynastu lat Maluhia była pozostawiona swemu losowi.

Chodziła z płynną gracją hawajskiej kobiety, a jej skóra miała ciepły, złocisty połysk. W długich czarnych włosach nosiła kremowe kwiaty plumerii, pachniała liliami i słodkim, świeżym wiatrem. W wieku czternastu lat została odkryta i kupiona przez Archera w portowym burdelu w Honolulu. Teraz miała lat dwadzieścia i była jego «osobistą służącą».

Czuła wdzięczność za uratowanie jej od nędznego życia, jakie tam prowadziła. Miała pełną uroku, podłużną twarz, lśniąco jasnobrązowe oczy o kształcie migdałów i miękkie usta jak pączek róży. Była prosta, piękna i dobra. O wiele za dobra dla mężczyzny takiego jak Archer Kane.

Wiedziałem, że boi się go tak jak ja, choć nie traktował jej źle - tylko obojętnie. Była do jego użytku, kiedy tego zapragnął. W Honolulu Archer prowadził życie bogatego dzentelmena z towarzystwa, właściciela samochodów, jachtów i motorówek. Posiadał rezydencję Diamentowa Głowa i urządzał wystawne przyjęcia. Ale na Kalani zachowywał się jak staroświecki «pan», który ma swoje prawa.

Maluhia była świadkiem codziennych okrucieństw Jacka. Podслуchała, jak opowiadał, że Archer nienawidzi mnie i nikogo tu nie obchodzi. Mówił, że jestem intruzem na jego terytorium i żeruję na ojcu zabierając rzeczy, które do mnie nie należą. «Nawet to, co jesz, należy do mnie, Małpko», warknął, a patrząca na mnie ze współczuciem Maluhia nie odważyła się odezwać. Ale późną nocą, kiedy usłyszała mój zduszony szloch, przysłała, usiadła na łóżku i przytuliła mnie.

- Biedny Johnny - wyszeptala swym śpiewnym głosem tak charakterystycznym dla Hawajów. - Biedny, mały Johnny. To nieprawda. Wiesz, że ja opiekuję się tobą i niania Beale wciąż myśli o tobie. Spójrz, Fido także troszczy się o ciebie. - Włożyła pieska w moje ramiona i otuliła mnie białym prześcieradłem, szepcząc: - Nie bój się, Johnny, nie pozwolę, aby coś złego ci się stało.

Maluhia wzięła mnie pod swoje skrzydła jak wróblicą przetrąconego pisklaka. Ale niestety jej los był też w niebezpieczeństwie. Usłyszałem, jak mówiła ojcu, że Jack znęca się nade mną i zmusza do niebezpiecznych zabaw, podczas których mogę zrobić sobie krzywdę. «Johnny to jeszcze dziecko», tłumaczyła błagalnie.

Zajrzałem przez uchylone drzwi i zobaczyłem, że Archer odepchnął ją szorstko. Nie chciał słyszeć słowa przeciw Jackowi i Maluhia zrozumiała, że ja nic go nie obchodziłem i że Jack mógł znęcać się nade mną do woli. Najczęściej starał się sprowokować mnie do różnych wyczynów, wiedząc, że nie jestem równym mu przeciwnikiem, a ja, biedny głuptas, za każdym razem dawałem się wciągnąć w pułapkę. Niania Beale, wyjeżdżając, przykazała mi, abym był dzielny, i taki właśnie starałem się być.

Wyzwał mnie, abym wspiał się na czternastometrową palmę kokosową, nie wyjaśniając, w jaki sposób można to zrobić i śmiał się, kiedy starałem sobie skórę z rąk i goleni obsuwając się z tej niewielkiej wysokości, na jaką zdołałem się wdrapać. Kazał mi skakać z wysokich skał, co było łatwe dla dziewięciolatka, lecz niewykonalne dla chłopca tak małego jak ja. Kiedy zamknąłem oczy i rzuciłem się w dół, w uszach dzwonił mi jego drwiący śmiech. Śmiał się jeszcze bardziej, gdy później leżałem ze zwichniętą nogą na łóżku, jęcząc z bólu.

Pewnego ranka jak zwykle obudziłem się z niejasnym poczuciem nieszczęścia, apatycznie przewidując czekające mnie tego dnia tortury. Sięgnąłem po mego przyjaciela Fido. Usiadłem i poszukałem go pod prześcieradłem, a potem przechyliłem się i zajrzałem pod łóżko.

Na lanai usłyszałem śmiech Jacka i domyśliłem się, że to on zabrał mi psa. Wybiegłem w koszuli nocnej czując na przemian strach i gniew. Jack siedział na poręczy werandy i śmiejąc się drwiąc podrzucał Fido do góry łapiąc go niedbale za łapę lub ucho. «Jeśli chcesz go z powrotem, musisz po niego przyjść!», zawołał.

Jak szalony rzuciłem się w jego kierunku, ale on przeskoczył przez poręcz i wciąż obrócony do mnie przodem zaczął się oddalać. Kiedy przelazłem przez poręcz - ruszył biegiem. «Jeśli mnie złapiesz, Małpko, dostaniesz go z powrotem!», krzyknął machając trzymaną w górze zabawką.

Pobiegłem za nim, potykając się o kamienie, zbyt oszołomiony, by zważać na to, gdzie idę, a gałęzie krzaków drapały mi policzki. Piesek był jedyną rzeczą łączącą mnie z przeszłością. Był dla mnie symbolem willi Mimoza, niani Beale i słodkiego, uporządkowanego życia, kiedy nie poznałem jeszcze, co to strach i zło. Zanim musiałem nauczyć się być «dzielny» i żyć na własny rachunek. Kochałem Fido rozpaczliwą miłością.

Kiedy w końcu dogoniłem Jacka, stał na skałach nad brzegiem oceanu, wciąż trzymając w górze Fido.

- Jesteś niczym, Małpko! - krzyknął triumfalnie. - Nie dali ci nawet prawdziwego psa, bo jesteś zbyt głupi, by umieć się nim opiekować. Więc niania dała swojemu wychuchanemu, siusiającemu w majtki maminsynkowi wypchaną zabawkę. A ty jesteś na tyle głupi, by myśleć, że to prawdziwy pies.

Skoczyłem do niego, ale on kopnął mnie w pierś tak, że rozciągnąłem się jak długi rozbijając sobie głowę o skały. Oszalały z bólu i gniewu zerwałem się na nogi i okładając Jacka pięściami, usiłowałem rozpaczliwie dosięgnąć psa.

Odskoczył zwinnie na dalszą skałę. Trzymając Fido nad wodą, zmierzył mnie drwiąco niebieskimi oczami.

- No, Małpko, teraz zobaczymy, czy jesteś dzielny - zawołał ze śmiechem. - Jeśli naprawdę tak kochasz tego głupiego, wełnianego psa, to idź po niego. I wrzucił Fido do oceanu.

A ja, biedna ofiara, skoczyłem za nim.

Jack wiedział, że nie umiem pływać i że Fido jest już stracony. Parę minut później wyłowił mnie z fal krztuszącego się i wymiotującego morską wodą. Widzicie, mój zwinny, silny i morderczy przyrodni brat przypomniał sobie w samą porę, że nie może pozwolić mi zginąć. Jeszcze nie.

Wiedział, że muszę pozostać przy życiu przez następne trzynaście lat, aż on i ojciec dostaną w ręce mój spadek. Te trzynaście lat otwierało się przede mną jak przerażająca przepaść.

Niespodziewanie nastąpiło jednak odroczenie tortur. Archer zdecydował, że Jack musi powrócić do szkoły.

- Ty masz prowadzić Ranczo Kanoi, a nie pędzić bydło - słyszałem, jak warknął gniewnie do ponurego Jacka. - Od tego mamy paniolosów. Jak, u diabła, poradzisz sobie tutaj po mojej śmierci, jeśli nie chcesz się uczyć? Pójdiesz do szkoły, Jack, a potem na uniwersytet, i chcę być z ciebie dumny.

A kiedy Jack oświadczył z uporem, że prędzej zdechnie, niż pójdzie do szkoły, Archer krzyknął:

- Zrobisz co ci każe, synu, albo oddam to przeklęte ranczo Małpce.

Po tych słowach nie było już więcej protestów. Jack wiedział, że ojciec jest zdolny do wszystkiego, szczególnie kiedy sobie wypije, a poza tym, jak sędzę, zgadzał się z jego zdaniem na temat prowadzenia rancza. A jeżeli coś w świecie miało jakiegokolwiek znaczenie dla Króla Jacka to właśnie Ranczo Kanoi. Wiedziałem, że każdym włóknem swego ciała pragnie je posiadać. Powiedziałbym «całym sercem», gdyby nie to, że wtedy wiedziałem już, iż Jack nie ma serca. Pojechał do szkoły w Honolulu, a ja zostałem w spokoju z Maluhią i służącymi.

Miałem prawie sześć lat i ciągle jeszcze byłem mały i słaby, kiedy Maluhia zabrała mnie na spotkanie z Kahanu, młodym Hawajczykiem odpowiedzialnym za rasowe konie, który doglądał także cennego stada bydła rasy Hereford, trzymanego na wyspie specjalnie dla celów hodowlanych.

Kahanu był muskularnym trzydziestolatkiem, miał okrągłą hawajską twarz, lśniąca miedzianobrazową skórę, czuprynę gęstych czarnych włosów i wąskie bursztynowe oczy. Maluhia powiedziała mi, że uważa go za najprzystojniejszego

mężczyznę, jakiego kiedykolwiek spotkała. Ponieważ nie miała na wyspie nikogo bliskiego, powierzyła mi swój sekret: była zakochana w Kahanu, ale nie miała odwagi przyznać się do tego, z powodu Archera. Nie zdziwiło mnie to, gdyż ja sam się go obawiałem, ale dziś wiem, że bała się, bo była jego konkubina i własnością.

Błagała Kahanu, aby mi pomógł. «Uczyń Johnny'ego tak silnym jak ty - prosiła. - Naucz go wszystkiego, co potrafisz, bo w przeciwnym razie Johnny umrze.» Spoglądała na mnie ze smutkiem. Wiedziała o moim nieszczęściu.

Kahanu wsadził mnie oklep na srokatego kucyka. Nie wiedząc co mam robić, rozpaczliwie uczepliłem się grzywy. «Wyprostuj się! - krzyknął do mnie. - Ściśnij go kolanami.» Wykonałem polecenie, a kuc kłusował wolno wokół korralu. Po chwili przestałem się tak bardzo bać i popatrzyłem wokół zadowolony. Siedząc prosto pomachałem Kahanu i Maluhii, a oni roześmieli się i także mi pomachali. A ja po raz pierwszy, na grzbiecie tego małego nakrapianego kucyka, poczułem emocje odniesionego sukcesu.

Kahanu pozwolił mi pomagać w stajniach. Biegłem tam każdego ranka, po przebudzeniu. Półnagi, pracowałem razem z nim: czyściłem konie zgrzebłem, wyrzucałem nawóz ze stajni i polewałem wodą podwórze. Uwielbiałem nowego przyjaciela i oniemiały z podziwu wisiałem na ogrodzeniu korralu patrząc, jak kielzna nowego żrebaka.

Chodziłem za nim wszędzie. Pozwolił mi jeść z pracownikami siedząc po turecku na ziemi i nabierać palcami tak jak oni słodkie pieczone mięso z bananowego liścia. Później, wyczerpany, zasypiałem w swojej kryjówce na strychu.

Mijały miesiące i Jack nie powracał na wyspę. Maluhia powiedziała mi, że Archer wysłał go do szkoły z internatem w Ameryce. Był opóźniony w nauce i nie mógł przyjechać na Kalani, dopóki nie dogoni rówieśników. Kiedy dowiedziałem się o tym, szalałem z radości. Skakałem, krzychałem jak każdy normalny dzieciak i tanecznym krokiem pobiegłem do pokoiku Kahanu w stajni, aby przekazać mu dobrą nowinę.

- Nie powinienes więc marnować czasu, Johnny - powiedział Kahanu. - Nie możesz spędzać całych dni na czyszczeniu koni zgrzebłami i jeźdzeniu na kucu dookoła wyspy. Nie, mój panie. Mam zamiar nauczyć cię, jak być mężczyzną, tak że kiedy ten mały łajdak wróci, będziesz mógł z nim walczyć. I wygrać.

I tak zacząłem intensywny kurs kulturystyki i sprawności fizycznej. Kahanu pokazał mi, jak wspinać się na drzewa, rąbać drewno, boksować się, wiosłować, łowić ryby. Chiński kucharz nauczył mnie wschodniej sztuki walki, a Maluhia nauczyła mnie pływać. Pływając nago wraz z nią w kryształowej zielonej wodzie, wśród przemykających obok nas kolorowych jak klejnoty rybek, poczułem się znów szczęśliwy.

Tak upłynęło kilka miesięcy i zaczynałem wierzyć, że życie zawsze będzie takie piękne i spokojne. Kahanu nadał mi nawet hawajskie imię - Ikaikakukane, co znaczy «Posiadający męską siłę» - aby upamiętnić moje nowe osiągnięcia.

Ale gdy skończyłem osiem lat, powrócił Jack i tortury rozpoczęły się na nowo.

Hawajczycy nie tylko mnie nadali nowe imię. Jacka określali mianem Lauohomelemele, czyli Jasnowłosey. Przyjmował to jako hołd dla swej wyższej pozycji «białego mężczyzny», ale wyspiarze mieli na ten temat inne zdanie i wymawiali imię z odcieniem lekkiej pogardy w głosie.

Wszyscy na wyspie, stajenni, paniolosi i chińscy służący nienawidzili Jasnowłosego. Traktował ich jak bydło, wydając rozkazy i kopiąc służących, którzy nie zeszli mu z drogi wystarczająco szybko. Rzucił talerzami w chińskiego kucharza, kiedy nie smakowało mu jedzenie, i przyczynił się do zwolnienia i wygnania z wyspy nawet starych pracowników, skarżąc się ojcu na ich powolną pracę lub «złe

usposobienie. Archer zostawiał mu zupełną władzę. «To będzie dobra praktyka dla ciebie, zanim zaczniesz kierować ranczem», rzekł pewnego dnia.

Jack był nieuprzejmy dla Kahanu, ale skrycie się go obawiał. Archer uważał Kahanu za najlepszego ze swych ludzi na wyspie: był inteligentnym, dobrym pracownikiem i fachowo zajmował się rasowymi końmi. Był cenny i dlatego Jack nie miał nad nim władzy, o czym tamten wiedział. Szedł do pracy, pogwizdując beztrzesko i ignorując obecność Jacka, który kręcił się w pobliżu, mając nadzieję, że poproszą go o pomoc. Gdy to nie następowało, odjeżdżał rozgniewany w poszukiwaniu jakiejś ofiary. Najczęściej byłem nią ja.

Kiedy Jack przyjechał na wakacje, miał dwanaście lat, a ja osiem. Ostrożnie zmierzyliśmy się wzrokiem i na mój widok rozszerzyły mu się oczy. Nie byłem już małą, pomarszczoną małpką. Urosłem dziesięć centymetrów, a moje chude ręce i nogi nabrały mięsności. Ale on urósł także, a jego atletyczne ciało zmężniało. Stawał się mężczyzną, nieodrodnym synem swego ojca.

Jack zawsze traktował Maluhię z pogardą, na jaką jego zdaniem zasługiwała, ale teraz zaczął spoglądać na nią innym wzrokiem. Kiedy Archer był w domu, Maluhia podawała do stołu. Ubrana w kolorowy sarong, z włosami zaplecionymi w gruby, lśniący warkocz, boso, by nie robić hałasu, przynosiła swemu panu półmiski z ryżem, wieprzowiną i krewetkami.

Pierwszego wieczora po powrocie do domu Jack siedział wraz z Archerem przy stole, a Maluhia jak zwykle im usługiwała. Ja, oczywiście, miałem jeść w kuchni, ale na ogół jadłem w stajni, z Kahanu i paniolosami. Tamtego dnia jednak leżałem na brzuchu w tropikalnym ogrodzie. Dobrze ukryty, patrzyłem na śmigające po ścianie domu zielone jaszczurki i nie spuszczałem nieufnego wzroku z Jacka i ojca, jedzących obiad na lanai. Prowadziliśmy wojnę podjazdową i zawsze musiałem wiedzieć, gdzie jest Jack, by móc przygotować się do obrony. Tylko tym razem Jack nie mną był zainteresowany.

Przyglądałem się, jak Maluhia służy Archerowi, a potem, skłaniając się grzecznie, podaje półmisek Jackowi. Mój przyrodni brat popatrzył na nią, powiedział do ojca coś czego nie dosłyszałem, i obydwaj wybuchnęli rubasznym śmiechem. A Jack nagle położył rękę na piersiach Maluhii.

Odskoczyła do tyłu, upuszczając półmisek i odsuwając się poprawiła sarong. Tamci zamienili parę słów i ryknęli śmiechem. Widziałem, jak Maluhia opuściła ze wstydem głowę, i chciałem biec jej na ratunek. Ale wobec nich nie miałem żadnych szans.

W następnych dniach Jack ośmielił się jeszcze bardziej: klepał Maluhię gdy przechodziła obok i kładł ukradkiem rękę na jej piersiach. Dziewczyna nic nie mówiła, a ja kipiałem ze wstydu i gniewu na myśl o tym, co ona czuje.

- Chodź tu, Małpko, niech na ciebie popatrzę - zawołał Archer kilka dni później.

Starłem się schodzić im z oczu na tyle, na ile to było możliwe.

Spędzałem całe dni z Kahanu i miałem nadzieję, że ojciec i Jack o mnie zapomną, ale się myliłem. Niechętnie wyszedłem do nich ze stajni. Archer odsunął z czoła stetson i z rękami na biodrach oceniał mnie jak rodowodowego cielaka.

- Cóż, niech mnie diabli, porwą jeśli Małpka nie zaczął rosnać - powiedział w końcu ze zdziwieniem. - Jest większy i silniejszy. Może są w nim jednak jakieś geny Kane'ów. Ile masz lat, chłopcze?

- Osiem, ojciec.

- Ach osiem? - spojrzał na Jacka i rzekł z uśmiechem: - A więc ile lat zostało nam jeszcze, Jack? - A potem odwrócił się rechocząc hałaśliwie. - Kahanu - krzyknął przez ramię - daj chłopcu coś do roboty. Jeśli musimy wytrzymać z nim przez następne dziesięć lat, może równie dobrze zarobić na swoje utrzymanie.

- Tak, proszę pana - skłonił się z szacunkiem Hawajczyk.

Trzymałem się od nich z daleka i przebywałem z Kahanu. Objeżdżaliśmy kaniony w poszukiwaniu zagubionych krów. Czasem wyprawialiśmy się jego małą łodzią na ryby, na grupera, a potem piekliśmy go na ognisku rozpalanym z drzewa wyrzuconego przez morze, z dala od złego domu. Dopiero gdy Archer pojechał do Honolulu, Jack, mając dużo wolnego czasu, przypomniał sobie o mnie.

- Hej, Małpko! - zawołał, podchodząc i klepiąc mnie po ramieniu. - Może wybralibyśmy się na ryby?

- Mam coś do zrobienia - odparłem, czując, że robię się sztywny ze strachu.

- Nie bądź taki - powiedział przymilnie. - Zapomnijmy o tym co nas dzieli. Jesteś teraz starszy i silniejszy. Można powiedzieć, że jesteśmy sobie równi.

Popatrzyłem na jego uśmiechniętą twarz i poczułem ostrzegawcze mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Nie ufałem memu przyrodniemu bratu.

- Jestem zajęty - odpowiedziałem krótko, odwracając się.

- No, Małpko - poszedł za mną, przyjaźnie obejmując mnie ramieniem. Zamarłem i odwróciłem głowę, by na niego spojrzeć. Jack zawsze podchodził do mnie, aby uderzyć lub kopnąć. - No chłopie - powiedział drwiąco. - Nie mów mi, że się boisz.

Byłem niepoprawny. Tak jak przypuszczałem, dałem się sprowokować drwinami. Ale na wyprawach z Kahanu nauczyłem się, jak radzić sobie na łodzi.

- W porządku - rzuciłem pewnym głosem.

Poszedłem za Jackiem wzdłuż wybielonego słońcem drewnianego pomostu i wsiedliśmy do małej łodzi. Jack odwiązał cumę, puścił w ruch motor i wyruszyliśmy, tam gdzie zdaniem mego brata miały znajdować się ławice grupera. To miejsce wydawało się podejrzanie daleko, a po pewnym czasie Jack zamilkł i zaprzestał wesołych odzywek.

Mniej więcej po półgodzinie zacząłem być niespokojny.

Dlaczego musimy płynąć tak daleko po grupera? - zapytałem. - Jest ich mnóstwo w pobliżu Keeper's Point.

- Tamte są lepsze - rzucił krótko.

Oślaniając oczy dłonią, patrzył na małą wysepkę, do której się zbliżaliśmy. Spojrzałem z zaciekawieniem. Po raz pierwszy od czasu przybycia na Kalani, czyli od ponad trzech lat, zobaczyłem jakiś inny ład. Archer zadbał o to, abym nigdy nie opuścił wyspy. Nie wiedziałem nawet, czym jest miasto lub szkoła. Byłem tak nieświadomy świata, kierujących nim prawideł, a także kultury czy wykształcenia, jak wtedy gdy miałem pięć lat. Podnieciła mnie możliwość zobaczenia nowego miejsca, więc kiedy o dno łódki zazgrzytał piasek wyskoczyłem i pociągnąłem ją na płyciznę, podczas gdy Jack trzymał kotwicę w pogotowiu.

Śmiało przebrnąłem przez wodę na brzeg i odwróciłem się, by spojrzeć na Jacka. Popychał łódkę w kierunku morza. Pobiegłem za nim, ale wskoczył szybko na pokład i błyskawicznie uruchomił motor. Silnik ryknął, a ja, stojąc po pierś w wodzie, patrzyłem, jak łódź szybko się oddala. Wiedziałem, że choć jestem dobrym pływakiem, nigdy nie zdołałbym jej dogonić.

Jack stał pośrodku łodzi. Widziałem, jak triumfalnie potrząsnął pięścią w powietrzu i słyszałem jego śmiech. «Zobaczymy teraz jak dużo się nauczyłeś, Małpko!», krzyknął odpływając i zostawiając mnie samego na bezludnej wyspie.

On wróci, powiedziałem do siebie z przekonaniem. Nie może tak po prostu zostawić mnie tutaj samego. Spojrzałem na rosnący za mną gąszcz mangrowców i nozdrza przewiercił mi ich cuchnący bagienny zapach. Wydawały się mroczne i pełne niebezpieczeństw, szybko więc wróciłem na plażę, by tam poszukać cienia. Znalazłem tylko karłowaty krzak i przykucnąwszy pod tą mizerną osłoną czekałem.

Mijały godziny. Patrzyłem, jak słońce obniża się na niebie, aż w końcu błyszcząca czerwona kula dotknęła linii horyzontu, a potem nagle, w sposób typowy dla tropików, zniknęła, pozostawiając po sobie nieziemską, zielonkawą poświatę. Wtedy właśnie zrozumiałem, że Jack nie przyplynie po mnie, że jestem sam na bezludnej wyspie i że się boję.

Myślałem, że umrę z gorąca, a teraz było mi zimno. I chciało mi się pić. Nigdzie w pobliżu plaży nie było wody, a nie odważyłem się pójść dalej w obawie, że Jack wróci i mnie nie znajdzie. Włóczyłem się naokoło w półmroku, ale nic nie znalazłem. Kucnąłem znowu na skale, obejmując ramionami ugięte kolana, i wpatrywałem się na próżno w morze. Zielonkawa poświata zmieniła się w granat, a potem, niemal w sposób niezauważalny, w ciemność. Nie było księżyca. Było po prostu czarno.

Mówiłem sobie, że wszystko będzie w porządku i że rankiem Jack powróci. Maluhia i Kahanu zauważą moją nieobecność. Ale do rana było jeszcze dużo czasu, a z ciemności poza mną dobiegały przerażające szelesty, jakby odgłosy zwierząt szukających łupu. Wyobrażałem sobie aligatory pełznące w moim kierunku, gotowe rozerwać mnie na sztuki i pożreć. Zdawało mi się, że czuję oddech tygrysów i lwów, słyszę syk węży gotowych do ataku. W ciemnościach, oczyma duszy, widziałem skorpiony, ogromne ropuchy i jadowite pająki. Cała moja odwaga zniknęła pod naciskiem tysiąca imaginacyjnych strachów, kiedy kulilem się na zimnej plaży, czekając, aż Jack przyplynie i zabierze mnie.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy okropna noc wreszcie się skończyła, postanowiłem, że kiedy Jack przyplynie, podejść do niego dumnie, zapewniając, że samotne spędzenie nocy na bezludnej wyspie nie jest dla mnie czymś nadzwyczajnym. Powiem mu o jadalnych owocach, jakie znalazłem, kryształowej źródlanej wodzie za mangrowcami i o tym jak widziałem siedmiometrowego aligatora i w ogóle się go nie przestraszyłem. Będę udawał prawdziwego małego Robinsona Crusoe, którego historię znałem, gdyż była to jedna z ulubionych książek niani.

Słońce było coraz wyżej na niebie, a Jack ciągle nie nadpływał. Umierałem z głodu i pragnienia. W końcu zmuszony byłem rozpocząć poszukiwania strumienia lub owoców, czyli tych wszystkich rzeczy, o których odkryciu z taką pewnością siebie miałem opowiedzieć Jackowi. Ale nie byłem Robinsonem Cruzoe, a na wyspie nie było słodkiej wody tylko słonawe cuchnące bagna, z gałęzi drzew nie zwisały na wyciągnięcie ręki żadne owoce.

W końcu znalazłem orzech kokosowy pozostawiony przez odpływ w skalnym basenie i wdzięczny losowi rzuciłem się na niego. Ale nie miałem maczety, aby go rozłupać. Zacząłem tłuc nim o skały. Już niemal czułem smak chłodnego mleka sączącego się w moje spieczone gardło. Kiedy jednak w końcu rozbiłem skorupę, większość cennego płynu rozlała się, zanim zdołałem go wypić. Łkając ze strachu i rozczarowania wylizałem pozostałe resztki.

Znów znalazłem cień pod małym krzakiem i siedziałem tam smętnie patrząc, jak słońce przesuwają się po niebie swym rozpalonym szlakiem. Od czasu do czasu zanurzałem się dla ochłody w oceanie, ale sól zasychająca na mojej skórze sprawiała, że słońce paliło mnie jeszcze mocniej.

Gdy po raz kolejny zaczęło zachodzić, kuśtykałem po plaży. Z gorąca kręciło mi się w głowie i byłem słaby z głodu i odwodnienia. Jack z pewnością przyplynie teraz, zanim się ściemni. Ale kiedy niebo znów zalała zielonkawa poświata, która potem stopniowo przeszła w granat, zrozumiałem, że on nie przyjedzie. Jack nie wróci już nigdy. Zostawił mnie tu, abym umarł.

Wiedziałem, że do tej pory musiał wymyślić jakąś historyjkę o tym, jak wypadłem za burtę, a on spostrzegł to, gdy już było za późno. «Biedak utopił się»,

wyobrażałem sobie, jak mówi to z triumfalnym błyskiem w oku i wyrazem udawanego smutku na twarzy.

Leżałem rozkrzyżowany na plaży, tak słaby, że nie obchodziły mnie już aligatory, węże czy lwy. Zamknąłem oczy i poczułem, że ogarnia mnie spokój. Tak łatwo byłoby po prostu zasnąć i, jak mawiała Maluhia, «pozwoić Bogu zabrać mnie do siebie».

Byłem nieprzytomny, kiedy o świcie przyplłynął Kahanu i przeniósł mnie ostrożnie do łodzi. Po powrocie na Kalani Maluhia obmyła chłodną ściereczką moje poparzone przez słońce ciało i parzyła napoje z aromatycznych liści, by obniżyć gorączkę.

«Jasnowłosy jest godnym synem swego ojca - powiedział złowróźnie Kahanu. - Zło przechodzi z pokolenia na pokolenie...»

Maluhia opowiedziała mi później, że kiedy poinformowała Kahanu, iż zginąłem, poszedł prosto do Jacka i zapytał go, gdzie jestem. Jack zaprzeczył temu, że w ogóle mnie widział, więc zaczęli przeszukiwać wyspę.

«Musiał spaść z klifu i utonąć», rzucił niedbale mój brat, ale Kahanu nie uwierzył mu i wybuchnął gniewem. Nie było mnie już bardzo długo i wiedział, że jest to sprawa życia i śmierci.

Chwycił Jacka za rękę i wykręcił mu ją za plecy. «Gdzie on jest, ty mały, jasnowłosy łajdaku?», zapytał. Jack aż krzyknął z bólu i zagroził, że poskarży się ojcu, a Kahanu straci pracę, zostanie wychłostany i odesłany z wyspy.

Kahanu wykręcił mu rękę jeszcze mocniej i Jack krzyknął głośnie. Wtedy Maluhia szepnęła Kahanu na ucho dlaczego Archer chce zachować mnie przy życiu. «Jeżeli Małpka umrze - Hawajczyk zwrócił się miękko do Jacka - to ty zostaniesz wychłostany. Umrzesz od razów i doskonale o tym wiesz.»

Jack szlochał, lecz wiedział, że Kahanu ma rację. Archer zabiłby go, gdyby zniszczył ich szansę na zdobycie mego majątku. Powiedział im więc, gdzie jestem, utrzymując, że wyskoczyłem z łódki, popłynąłem do wyspy i odmówiłem powrotu. Rzekomo twierdziłem, że nie chcę widzieć Kalani nigdy więcej i że poradzę sobie sam...

- Podły, kłamliwy łajdak - warknął Kahanu i szarpnął ramieniem Jacka do góry, aż staw strzelił jak wystrzał z pistoletu. Chłopak wrzasnął ze strasznego bólu. - Morderca - wyszeptał mu do ucha Kahanu. - Spadłeś z drzewa i złamałeś rękę, zapamiętaj to. A Małpka nigdy nie opuścił wyspy.

Pomimo bólu Jack zrozumiał, że umowa została zawarta i że Kahanu o niczym nie powie ojcu. Kiwnął głową na zgodę. Następnego dnia został przewieziony łódką do doktora na Maui, by nastawić złamaną rękę. Potem wrócił na resztę wakacji do Honolulu.

Zwyciężyłem i Kalani znów należała do mnie. Przynajmniej na jakiś czas.

Lata powoli mijały i na swój sposób byłem szczęśliwy, choć w niespokojnych snach wciąż widywałem obraz willi. Pragnąłem znów zobaczyć nianię Beale, poczuć zapach kwitnącej na wiosnę mimozy, usłyszeć śpiew ptaków w srebrnej ptaszarni. Ale moją rzeczywistością była Kalani.

Co jakiś czas Archer przysyłał na wyspę jakiegoś leniwego, niedoświadczonego «nauczyciela domowego», aby przed znajomymi zachować pozory przyzwoitości. Biedny Johnny zdobywa wykształcenie, choć ma «nie po kolei w głowie». Zdołali jakoś nauczyć mnie czytać i pochłaniałem wszystkie książki w domu, nawet te, których strony były na wpół zjedzone przez termyty. Jeden z nauczycieli, młody, wychudzony angielski alkoholik, przywiózł ze sobą akwarele, farby olejne i sztalugi. Nałogowo popijał whisky, a gdy nie miał jej w zasięgu ręki, zastępował ją rumem, piwem, winem lub w ostateczności terpentyną czy spirytusem do nacierania.

Zazwyczaj kącik przeszkadzał mi w wypełnianiu obowiązków, ale kiedy ręka nie trzęsła mi się zbyt mocno, malował dobrze. Stawałem na skale obok i przyglądałem się, jak cudownie odtwarza morski pejzaż i stromy spadek klifu. Świerzyła mi rękę, by go naśladować.

Pokazał mi farby, wyjaśnił, że akwarele wymagają papieru o innej strukturze i że najpierw trzeba zmyć go wodą, a potem dopiero kłaść kolory. Nauczył, jak mieszać barwniki, by uzyskać własne farby olejne, dał węgiel i zacząłem pod jego okiem szkicować.

Przeniosłem się w inny świat. Przestałem jeździć z Kahanu po wąwozach. Zająłem się rysowaniem i malowaniem. Pochłonęło mnie to całkowicie i stało się moją pasją. Znowu byłem szczęśliwy.

W latach przed wstąpieniem na uniwersytet Jack nie powrócił już na Kalani. Nie wiem, czy Archer obawiał się, że urzeczywistni przed czasem swe mordercze zamiary względem mnie. Faktem jest, że trzymał Jacka z dala i wiodłem w miarę spokojne życie. Kiedy mego nauczyciela malarstwa, z ostrym atakiem delirium tremens, musiano odtransportować do Honolulu, Archer zadbał o to, by nie zabrakło mi farb. Chciał, abym był czymś zajęty i na tyle szczęśliwy, by nie przysparzać mu kłopotów.

Podczas tego spokojnego okresu, przed ukończeniem piętnastu lat, odtwarzałem na płótnie swe wspomnienia z Willi Mimosy. Namalowałem nianię Beale, tak jak ją pamiętałem, pokój dziecięcy z Fido siedzącym na moim łóżku i bujany fotel niani przy kominku. Namalowałem bujną zielenią spiętych tęczą wąwozów Kalani i jaskrawoczerwonego kardynała, który każdego wieczora siadał na poręczy lanai czekając na smaczne kąski. Namalowałem Maluhię czeszącą swe długie, jedwabiste, czarne włosy, piękno złamanego kwiatu hibiskusa i Kahanu galopującego na kłaczach. Wszystko, na co patrzyłem, podsuwało mi nową perspektywę, nowe szczegóły, nowy sposób użycia koloru.

«Dostrzegasz rzeczy w specjalny sposób», powiedziała Maluhia. Na portrecie nie poznała młodej kobiety, którą oglądała w lustrze. Wiedziała jednak, że udało mi się uchwycić coś z dziewczyny którą była w swym sercu.

W tamtych latach musiałem polegać głównie na sobie. Kahanu był* dobrym nauczycielem i chociaż ciągle chudy, byłem jednak zaskakująco silny. Jeździłem na każdym koniu i wiązałem bydło równie dobrze jak paniolosi, ale po dziesięciu latach więzienia na wyspie byłem nieokrzesanym, wiejskim chłopcem, nie przystosowanym do życia w normalnym społeczeństwie. Jadłem chłopskie jedzenie z liści banana, nosiłem postrzępione szorty i przeważnie spałem na strychu. Maluhia pilnowała, abym dbał o czystość i aby moje ubrania były zawsze prane. Należała też, bym nie używał wyspiarskiego dialektu, ale mówił «poprawnie», bez słodkiego hawajskiego zaśpiewu. Mimo to byłem młodym dzikusiem.

Potem na wyspę wrócił Archer, tym razem przywożąc ze sobą Jacka. Brat miał dziewiętnaście lat, a ja piętnaście. Kiedy spoglądaliśmy na siebie, czuliśmy, że leży między nami dziesięć długich lat nienawiści. Lauohomelemele i Ikaikakukane – „Jasnowłosa” i „Posiadający męską siłę”.

Archer dużo wtedy pił. Pewnego dnia nalegał, abym usiadł razem z nimi do obiadu. Był zawsze elegancki w swych krojonych na miarę, białych garniturach, w kapeluszu panama, ręcznie szytych koszulach. Choć noc była gorąca, miał na sobie elegancką granatową koszulę z chińskiego kwiecistego jedwabiu. Jack zaś jako doskonale ułożony młody student był w nienagannej, białej, płóciennej koszuli i płóciennych spodniach.

Archera wciąż jeszcze uważano za przystojnego mężczyznę, choć podpuchnięte oczy zdradzały ilość wypitego alkoholu, a po kilku kolejkach ulubionej szkockiej

whisky prawa ręka zaczynała mu drżeć. Jack był niezwykle przystojny - wysoki, jasnowłosy, o silnie zarysowanej szczęce.

Jego bezwzględne niebieskie oczy zakipiały gniewem, kiedy popatrzył na mnie, ubranego w starą koszulę, która z niebieskiej pod wpływem słońca i częstego prania zrobiła się jasnoszara. Szorstkie, jasnoniebieskie, drelichowe szorty, niegdyś własność Jacka, były teraz znoszone i mile gładkie, a dzięki Maluhii nienagannie czyste. Świeżo wzięłem prysznic i nie widziałem niczego niewłaściwego w swoim wyglądzie - dopóki nie popatrzyłem na mych wymuskanych towarzyszy.

Archer był po czwartej czy piątej whisky. Wskazał na mnie ręką drżącą lekko, lecz bez przerwy, i parsknął rubasznym śmiechem:

- Posadź tego chłopca w pokoju z cywilizowanymi ludźmi w Hono lulu czy San Francisco - zawołał - a oni powiedzą: «Wiecie co, Archer King Kane miał rację. Ten chłopak to dzikus. Musi mieć nie po kolei w głowie».

- Na miłość boską, wynoś się stąd - warknął Jack, patrząc na mnie, jak gdybym był trędowaty. - Nie zasługujesz na to, by przebywać w naszym towarzystwie.

- Nie, nie. Siadaj, chłopcze - powiedział dobrotliwie Archer. - Powiedz, co ostatnio robiłeś?

- Pomagałem Kahanu przy koniach. Jeździłem z paniolosami. Łowiłem ryby - odparłem. Archer wybuchnął śmiechem.

- I co, nie mówiłem? Czy nie miałem racji? Cóż, chłopcze, myślę, że lepiej zrobisz wracając do stajni i paniolosów, tam twoje miejsce. Powiadają, że każdy człowiek dąży w życiu do osiągnięcia własnego poziomu i widzę, że ty swój znalazłeś.

Z tymi słowami odwrócił się ode mnie i kiwnął palcem na Maluhię, aby podała do stołu.

Oglądając się gniewnie przez ramię, ruszyłem z powrotem do stajni. Traktowania Maluhii w uwłaczający sposób nienawidziłem niemal bardziej, niż okrutnego zachowania wobec mnie. Ale cóż mogłem poradzić?

- Wynoś się stąd, wieśniaku! - nienawistnie krzyknął za mną Jack. - Jesteś głupią świnią. Patrzyć nie można na te wyrosnięte szorty. Nie zasługujesz na to, by siedzieć przy stole z cywilizowanymi ludźmi.

Archer i Jack siedzieli do późnej nocy, pili i rozmawiali o interesach. Mimo to następnego dnia, wcześniej rano, pojawili się w stajni, gdzie Kahanu przygotował już i osiodłał dla nich konie. Przyczałem się pomiędzy przegrodami, aby mnie nie zauważyli. Wkrótce potem odjechali wraz z Kahanu na przegląd bydła.

Przez następnych kilka dni udało mi się schodzić im z drogi, a oni nie pytali o mnie. O świcie wyjeżdżałem z paniolosami i często nocowałem wraz z nimi pod gwiazdami, na trawiastych wzgórzach. Z dala od spisków i wyrafinowanego zepsucia Kane'ów życie było proste i pełne uroku, a ja myślałem, że więcej nie trzeba mi do szczęścia.

Ale potem Archer wyjechał do Honolulu i Jack znów został sam. Oczywiście nie dał mi spokoju.

Późnym wieczorem, po długim, gorącym dniu spędzonym na znaczeniu nowego bydła, przyjechałem z ludźmi, ociekający potem i przesiąknięty zapachem cieląt. Na Kalani było tylko dwunastu paniolosów, starszych mężczyzn przysłanych tu z Rancza Kanoi na Wielkiej Wyspie do lżejszej pracy przy rodowodowym bydłem. Archer uważał, że nie ma sensu marnować umiejętności, których kowboje uczyli się przez całe życie, odsuwając ich na bok i wyrzucając pieniądze na renty. Doszedł do wniosku, że wciąż jeszcze są w stanie pracować na swoje wynagrodzenie.

Muszę przyznać, że Archer Kane był dobrym gospodarzem. Wiedział, jak prowadzić ranczo i rozumiał swoich ludzi. Ci starzy mężczyźni pozbawieni pracy zmarnieliby i umarli. Archer rozumiał, że będą woleli raczej wykonywać jedyną rzecz,

jaką umięją, i zarabiać uczciwą tygodniówkę, niż z niewielką rentą mieszkać w jakiejś nędznej, podupadłej wiosce wspominając dawne czasy. Owszem, wszyscy go nienawidzili, ale dawał im to, czego pragnęli, więc w zamian pracowali ciężko i nie narzekali.

Teraz, na widok czekającego na mnie Jacka, odwrócili oczy i zajęli się końmi. Dawali im wiadra z wodą do picia i okrywali derkami, by ochłodziły się, zanim dostaną jeść.

Jack stał odchylony do tyłu, z łokciami zaczepionymi o górną belkę ogrodzenia korralu i jedną stopą wspartą na dolnej. Jego uśmiech nie wróżył nic dobrego.

- Hej, Małpko - zawołał. - Chodź no tutaj, chcę z tobą pomówić.

Zbliżyłem się powoli. Kątem oka widziałem wymykających się do stajni paniolosów. Zostaliśmy sami. Wtedy z pewnym zdziwieniem uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy się go nie boję.

- Dowiaduję się o jakimś malowaniu. Co to ma znaczyć? - zapytał chłodno.

Podszedłem bliżej. Stałem w lekkim rozkroku z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- O co chodzi? - spytałem patrząc Jackowi prosto w oczy.

- Jesteś tu po to, aby pracować, a nie malować - warknął.

Uniósł arogancki podbródek i odsunawszy w tył kowbojski kapelusz spojrział na mnie z góry. Ocenilem nasze siły: miał 185 cm wzrostu, a ja 170 cm, a na jego blisko 80 kg masywnych mięśni przypadało 52 kg mego chudego zylastego ciała. Wysunął agresywnie szczękę i pragnienie aby go uderzyć owładnęło mną niemal całkowicie, ale schowałem zaciśnięte pięści i powiedziałem:

- Archer wie o malowaniu. Jak myślisz, kto dostarczał mi farby?

- Cóż, to się już skończyło - oświadczył. Wskazał z triumfem stos rupieci w kącie podwórza. - Koniec z «malowaniem» na wyspie, maminsynku. Będiesz zarabiał na swoje utrzymanie tak jak reszta paniolosów. - Pociągnął nosem. - Nawet śmierdzisz jak mieszaniec, równie dobrze mógłbyś być jednym z nich. - Podszedł do stosu, a ja patrzyłem jak wyjął z kieszeni pudełko zapalek. - Przyjrzyj się temu, Małpko - zawołał, podpalając stos. - Wszystkie twoje pieprzone obrazki pójda z dymem.

Odskoczył w tył, kiedy olejna farba i terpentyna buchnęły nagłym płomieniem. Patrzyłem martwym wzrokiem, jak moje wspomnienia ulatują do góry niebieską chmurą trującego dymu. Były odzwierciedleniem czasów, gdy czułem się szczęśliwy na Kalani. Jack palił Maluhię, Kahanu i Fido; palił ryby świeżo wyłowione z kryształowej wody oceanu, paniolosów siedzących wokół ognisk, bydło o zastygłym spojrzeniu znaczone rozpalonym żelazem, czerwonego kardynała, zieloną jaszczurkę i srokatego kucyka, na którym po raz pierwszy przejechałem dumnie wokół padoku.

Jack Kane palił moje życie i rzuciłem się na niego jak wyskakujący z zagrody, piętnowany żelazem cielak.

- Zabiję cię, łajdaku! - usłyszałem własny krzyk. - Zabiję cię.

Moja szybkość zaskoczyła go. Upadł na plecy. Zacisnąłem mu ręce na gardle, a on wierzgając toczył się po ziemi. Nauczyłem się od chińskiego kucharza wschodnich sztuk walki i wiedziałem, jak zabić człowieka. Kantem dłoni uderzyłem go w krtań. Pozbawiony głosu, nie mógł krzyczeć i rozpaczliwie próbował złapać oddech.

- Zabiję cię - powtórzyłem i jednocześnie zdałem sobie sprawę, że sprawia mi to przyjemność. Myśl o zabiciu go była tak ponętna, że wstrząśnięty, opamiętałem się. Przeraziła mnie własna nienawiść i siła gniewu.

Usiadłem okrakiem na piersi Jacka i popatrzyłem na jego posiniałą twarz. Potem podniosłem wzrok, dostrzegając Maluhię stojącą u wejścia na podwórze i patrzącą na nas, W przerażeniu uniosła ręce do twarzy, a gdy nasze oczy się spotkały,

wiedziałem, że nie mogę zabić Jacka Kane'a. Jeśli to zrobię, będę mordercą. A on nie był tego wart.

Zszedłem z niego i czekałem, aż odzyska oddech. Po chwili usiadł masując gardło i patrzył na mnie nienawistnie podbitymi, zapuchniętymi oczami.

- Masz nie po kolei w głowie - zawołał za mną ochryple, kiedy odwróciłem się i odszedłem. - Ocieężały umysłowo jak twoja pieprzona matka. Nikt nie chce mieć z tobą nic wspólnego. Nikt nie dba o to, czy żyjesz, czy nie. - Niezdarnie wstał na nogi i butnie oparł ręce na biodrach. - Tchórz! - krzyknął drwiąco. - Boisz się dokończyć robotę?

Stałem w miejscu i pięści zacisnęły mi się gotowe do uderzenia. Przez chwilę, zupełnie jak za dawnych czasów, niemal dałem mu się sprowokować. Ale tym razem zignorowałem drwiny, poszedłem do korralu i wskoczywszy na konia pogalopowałem na oklep przed siebie. Dotarłem na północno - wschodni kraniec wyspy, na samą krawędź klifu opadającego 65 metrów w dół aż do skalistego brzegu Pacyfiku.

Koń zarył kopytami w miejscu, rżąc z przerażenia. Zeskoczyłem i spojrzałem w dół na potężny ocean. Miotał masywne ściany fal na postrzępione skały, a potem rozpuszczał je w zasłone piany i kropel wody, falował i kotłował się, wysał kawałki drewna i statków w swe bezdenne głębie. Nie dbałem już o nic. Powiedziałem sobie, że nie mam po co żyć i że wszystko, nawet nicość śmierci, jest lepsze od takiej egzystencji.

Stałem tak przez długi czas. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, gdy odwróciłem w końcu wzrok od skał i kipiącego morza. Spojrzałem na otaczające mnie, oświetlone złocistoczerwoną poświatą piękno. Upadłem na kolana i wylem jak zwierzę. Płakałem po raz pierwszy, odkąd skończyłem siedem lat.

Tej nocy spałem pod gwiazdami, na wietrznym szczycie klifu. Biłem się z myślami, pytając sam siebie, co mam robić dalej. Odpowiedź była tylko jedna: muszę opuścić Kalani. Ale jak? Jedyłą łodzią motorową, na tyle dużą, aby bezpiecznie przepłynąć na Maui, zajmował się Kahanu. Nie mogłem prosić go o pomoc, gdyż Archer z pewnością by się dowiedział i Kahanu straciłby pracę. Wiedziałem też, że mściwość Archera sprawiłaby, iż nie dostałby już nigdy pracy na wyspach. Raz w miesiącu na Kalani przyływały łodzie zaopatrzeniowe, a od czasu do czasu pojawiały się barki bydłce, aby zabrać zwierzęta na rancho na Wielkiej Wyspie. Załogi opłacał Archer i ludzie prędzej poderznąliby sobie gardło, niż mi pomogli.

Jedyłą możliwością stanowiła więc motorowa łódeczka Jacka. Mała, zaledwie 2,5 - metrowa, z mieczem, była przeznaczona do łowienia ryb na płycznach. Nie sposób było przebyć na niej zdradziecką trzydziestokilometrową drogę między Kalani i Maui. Występowały tam cieszące się złą sławą prądy, a wiatr potrafił zmienić pogodę w ciągu niecałej godziny, przynosząc gwałtowne wichry i burze. Wiedziałem jednak, że będę musiał podjąć to ryzyko.

Leżałem na plecach, obserwując szlaki gwiazd na tropikalnym nocnym niebie. Wenus świeciła jasno jak diament i zdawała się być blisko na wyciągnięcie ręki. Kiedy spadające gwiazdy leciały przez niebiosy jak fajerwerki, planowałem ucieczkę i zastanawiałem się, co zrobię gdy będę wolny.

Przed świtem powoli pojechałem do domu, patrząc po raz ostatni na tak dobrze znany mi krajobraz. Długie źdźbła trawy perliły się od rosy, ptaki zaczynały swój poranny chór, a moje uszy wiejskiego chłopca odbierały szelesty łapek tysiąca małych stworzeń. Kochałem Kalani, a jej piękno, tak samo jak wiedza o jej złym sercu, na zawsze pozostanie częścią mnie.

Postanowiłem ukraść ze składziku puszkę z paliwem i ukryć je w krzakach w pobliżu przystani. Łódź Jacka była wyciągnięta nie opodal na brzeg i sądziłem, że najprościej będzie pod osłoną nocy załadować paliwo i prowiant, cicho ześlizgnąć się

w ciemność i odpłynąć z prądem na tyle daleko, by móc uruchomić motorek. A potem gdy poześlę kierując się gwiazdami, będę mógł ufać tylko własnym umiejętnościom i Bogu.

Wytarłem klacz z potu i klepnawszy czule w zad, pozwoliłem jej galopować po padoku. Przez chwilę spoglądałem na wierzgające, rżące i cieszące się wolnością zwierzę. Podobał mi się ten widok i miałem nadzieję, że wkrótce będę czuł to samo.

Skradałem się z powrotem do domu, rozglądając za Jackiem, ale dopiero świtało i w pobliżu nie było nikogo. Oprócz Maluhii. Siedziała na kuchennej werandzie. Zwinięta w kłębek, z kolanami pod brodą, patrzyła na mnie tępo pustymi, złotymi oczami. Ze zgrozą spostrzegłem, że ma opuchnięte usta i posiniaczoną twarz.

- Maluhia - jęknąłem, opadając przy niej na kolana. - Co się stało?

Ale sam już odgadłem. Wystarczająco wiele razy obserwowałem Jacka popijającego przy stole whisky z ojcem. Patrzył pożądliwie na gibkie ciało dziewczyny i zarys jędrnych piersi pod sarongiem. Przyszedł do jej pokoju, a Maluhia odrzuciła jego zaloty. Kiedy zaczęła krzyżeć, biciem zmusił ją do milczenia i uległości. Tym razem wiedziałem, że go zabiję. Kipiąc z wściekłości ruszyłem do jego pokoju, ale Maluhia krzyknęła za mną.

- On nie jest tego wart, Johnny - wyszlochała. - A ja jestem tylko kupioną kobietą. Czego mogę się spodziewać?

Jej słowa sprawiły jedynie, że mój gniew rozgorzał jeszcze bardziej. Wiedziałem, że ma w sobie więcej prawości i godności niż człowiek, który ją kupił. Chwyciłem nóż i poszedłem szukać Jacka, a Maluhia pobiegła po Kahanu. Znalazłem swego wroga drzemiącego w hamaku rozwieszonym między dwoma palmami, w miejscu gdzie trawniki zbiegały ku morzu, wyjąłem zza pasa nóż i przeciąłem linę, zrzucając Jacka na trawę. Szybko poderwał się na nogi i ugiął kolana w boksterskiej postawie. Uśmiechając się uniósł pięści.

- Myślę, że odkryłeś, iż wziąłem sobie to, na co zawsze miałeś ochotę? - drwił okrażając mnie. - Śmieszne, myślałem, że Maluhia jest dla ciebie kimś w rodzaju matki. Ale nie masz nic przeciwko małemu posunięciu mamusi, prawda, braciszku? Dla twojej wiadomości: nie była tego warta. To wszystko, co mówią o chińskich kobietach to mit. Maluhia nie wystarczy mężczyźnie o moich potrzebach i rozmiarze, choć jestem pewien, że będzie odpowiednia dla takiej małpki jak ty. Co do mnie, wezmę sobie niezłą, ciepłokrwistą białą babę...

Rzuciłem się na niego z nożem, trafiając w ramię. Kiedy odskoczył w tył, potknąłem się i omal nie upadłem. Zobaczyłem, jak przykłada rękę do ramienia, a potem patrzy na swoje zakrwawione palce. W tym momencie zapomniał zupełnie o spadku i o potrzebie utrzymania mnie przy życiu jeszcze przez trzy lata.

Rozpaczliwie próbowałem odzyskać równowagę, kiedy skoczył na mnie. Chwycił za rękę i wykręcił mi ją za plecami, tak że wypuściłem nóż. Kopnąłem Jacka, gdy schylił się, aby go podnieść, ale wściekłość dała memu przeciwnikowi szybkość światła. Dostał nóż i zrobił z niego użytek. Usłyszałem cichy syk, kiedy ciało na mym policzku otworzyło się do kości i poczułem ciepły, metaliczny smak własnej krwi.

Kopałem i walczyłem na sposób wschodni, ale nie byłem przeciwnikiem dla przeważającego wzrostem, wagą i siłą gniewu Jacka. Wymierzał ciosy w moją szyję, pierś i krocze. Podniosłem ręce, aby się osłonić, krzyżąc nie ze strachu, lecz z gniewu równego wściekłości mego brata. Nie dbałem o to, czy przeżyję. Kochałem łagodną Maluhię i chciałem widzieć Jacka martwego za to, co jej zrobił.

W końcu silne ramiona oderwały Jacka ode mnie. Kahanu jednym ciosem obalił go na ziemię, chwycił nóż i podniósł nad nim.

- Nie, nie, Kahanu! - usłyszałem krzyk Maluhii. - Nie jestem warta takiej kary. Jestem tylko kowhaini, konkubina.

Kiedy przeniósł na nią wzrok, przez jego masywny tors przeszło drgnienie. Potem poszedł na skraj wody i wrzucił zakrwawiony nóż do oceanu.

Jack usiadł, masując szczękę i śmiał się ocierając krew z twarzy.

- Mam nadzieję, że zdechniesz, ty pieprzona Małpko! - wrzasnął podnosząc się na nogi. - Jeszcze cię dostanę, kiedy nie będziesz chował się za spódnicą Maluhii i nie będzie w pobliżu Kahanu, by cię obronić. - Odchodząc ciągle się śmiał.

Kahanu dźwignął mnie i zaniósł do stajni. Położył na świeżej słomie, a Maluhia obmyła moje rany. Nie mogła zatamować krwotoku. Kahanu popatrzył na nią zmartwiony. Wiedział, że potrzebuję pomocy lekarza i postanowił o zmierzchu przewieźć mnie łodzią na Maui, gdzie mieszkała jego rodzina. Doktor założy mi szwy, a krewni przechowają i zaopiekują się mną, aż wydobrzeję.

Maluhia - oczy i uszy domu - wiedziała wszystko i od niej dowiedziałem się, że Archer ma zamiar zabić mnie, gdy skończę osiemnaście lat, aby przejąć mój spadek.

- Jaki spadek? - zapytałem, gdyż zawsze sądziłem, że jestem bez grosza.

Pokręciła głową, nie wiedziała. Wiedziała jednak, że dłużej nie można ufać Jackowi. Chciał już teraz widzieć mnie martwego.

- Nie odjadę bez ciebie - upierałem się, zdając sobie sprawę, że zostawiam ją na łasce Jacka.

- Jesteś tylko chłopcem - tłumaczyła mi. - Musisz natychmiast płynąć na Maui. Kiedy odzyskasz siły, wyjedziesz daleko stąd, tam gdzie nigdy cię nie znajdą. - Potem wsunęła mi do ręki czterdzieści dolarów - oszczędności całego swego życia. - Nigdy nie wracaj, Johnny - wyszeptęła, schylając się i całując mnie na pożegnanie.

Powiedziałem sobie, że na zawsze zapamiętam ten słodki, czysty pocałunek, zapach kwiatów plumerii w jej włosach, chłodną gładkość warg i miękkie, ciemne oczy lśniące miłością i niewyplakаныmi łzami. Wiedziałem, że nigdy już nie zobaczę Maluhii, i bolało mnie to bardziej niż rany. Kiedy łódź w ciemności odbiła od przystani, usiadłem na dziobie i smutno patrzyłem w kierunku niewidocznej już wyspy, starając się zatrzymać jej obraz w pamięci.

- Wracaj tam, skąd przyjechałeś - namawiał Kahanu, gdy łódź unosiła się na falach. - Nie mów nikomu, kim jesteś, inaczej oni z pewnością cię znajdą. Zaczynaj nowe życie. Nagle stałeś się dorosły, przyjacielu. Bogowie chcą, byś skorzystał ze sposobności rozpoczęcia nowego życia.

Patrzyłem, jak przystojny, brązowy olbrzym steruje łodzią i przeszło mi przez myśl, że właściwie dzięki Jackowi Kane płynę teraz ku wolności.

Zastanawiałem się, co zrobię z tym skarbem. Nie opuszczałem Kalani przez dziesięć lat. Nie widziałem nigdy osady czy miasta. Nie byłem nawet w Honolulu czy na Maui. Pomyślałem z drżeniem serca, że Archer miał rację. Byłem dzikusiem i nie wiedziałem, jak się zachowywać w cywilizowanym towarzystwie.

Patrzyłem poprzez fale na zbliżającą się wyspę. Miałem w kieszeni czterdzieści dolarów i zawiniątko z czystą odzieżą od Maluhii. Byłem wolny."

Rozdział 29.

Kahanu miał powiedzieć Archerowi, że tak jak początkowo planowałem, uciekłem małą łódką Jacka. Zamierzał ją zatopić i oświadczyć, że musiałem utonąć w morzu. Nie wiem, czy mu uwierzyli, ale nikt mnie nie szukał. Tymczasem rodzina Kahanu zaopiekowała się mną, jak gdybym był ich własnym synem, a ja zazdrościłem im powolnego, łagodnego, wyspiarskiego rytmu życia, w którym jeden dzień mieszał się słodko z następnym.

Byli szczęśliwi i wciąż pamiętam jak w długie ciepłe wieczory zbierali się na lanai drewnianego domku. Pozdrawiali przechodzących przyjaciół i sąsiadów, a ci zawsze zatrzymywali się na pogawędkę lub posiłek. Ktoś brzdąkał na ukulele, inni śpiewali śliczne stare pieśni, kobiety tańczyły. Nawet starzy ludzie byli włączeni w radosny rytm wyspiarskiego życia. Choć zazdrościłem im, byłem jednak niespokojny i pragnąłem ruszyć dalej.

Pięć tygodni później, obdarzony wieloma pożegnalnymi wieńcami kwiatów i słowami aloha, znalazłem się na statku płynącym do Honolulu.

Nie było mi trudno oswoić się z życiem wyspy Maui i rodziną Kahanu. Rozumiałem ich. Mimo wszystko byłem bardziej podobny do nich niż do tak zwanej mojej rodziny. Lecz Honolulu wydało mi się jako przybyszowi z Kalani rozległe, zatłoczone i bezwzględne. Wszystko działało się tu w zawrotnym tempie. A kiedy zobaczyłem znane nazwisko Kane na nabrzeżach, statkach, a nawet na ulicznym znaku, zrozumiałem, że nadal jestem na terytorium wroga. Nie tracąc czasu przyjąłem nowe imię, John Jones. Znalazłem pracę na pierwszym napotkanym statku do przewozu bydła, kursującym pomiędzy Honolulu i San Francisco. Jak na ironię okazało się, że jest to statek należący do Rancza Kanoi, ale nikt mnie na nim nie rozpoznał, bo nikt przecież nigdy nie widział Johna Leconte. Ważne było tylko to, że umiałem zająć się bydłem.

Honolulu przstraszyło mnie, ale naprawdę przerażony poczułem się w San Francisco. Nigdy nie widziałem tak wysokich budynków, tylu samochodów, śpieszących się tłumów ludzi, nie słyszałem takiego krzyku i hałasu. Wahałem się przy przechodzeniu przez ulicę, nie wiedząc, w którą stronę patrzeć. Nie wiedziałem, co zamówić w tanim barze, do którego wszedłem, ani jak zapłacić. Na ulicach ludzie patrzyli na mnie dziwnie, oglądając się za moim obszarpanym ubraniem. Zawstydzony wszedłem do sklepu, kupiłem dwie koszule i pierwszą w moim życiu parę prawdziwych spodni. Fryzjer ostrzygł mi włosy, a kiedy przejrzałem się w lustrze, zobaczyłem nową osobę. Wiedziałem jednak, że wciąż jestem nieokrzesanym wiejskim chłopcem, który trafił do wielkiego miasta.

Przeliczyłem pieniądze i okazało się, że zostało mi tylko pięć dolarów. Musiałem poszukać pracy, ale jedyną rzeczą, na której się znałem, było bydło. Zastanawiałem się właśnie, co robić, kiedy odezwał się do mnie młodzieniec stojący w kolejce po hot - doga na Market Street. Był ubrany w elegancki mundur, składający się z krótkiej czerwonej kurtki i czarnych spodni. Powiedział, że pracuje jako chłopiec na posyłki w jednym z wielkich hoteli. Przyjacielsko zmierzył mnie wzrokiem i pewnie wyglądałem na kogoś w potrzebie, bo oświadczył, że jeśli chcę, może mi pomóc znaleźć pracę. Do tej pory nie szukałem towarzystwa i na statku nie zamieniłem z innymi mężczyznami więcej niż kilka słów. Ten chłopak był więc pierwszą osobą, którą naprawdę poznałem po opuszczeniu wysp.

Nazywał się Augustus Stevens. «Mów mi Gus», rzucił wesoło, kiedy wracaliśmy razem do hotelu. Był niższy niż ja i równie chudy. Powiedział, że pochodzi ze Wschodniego Wybrzeża i przyjechał na zachód szukać szczęścia. Miał wtedy szesnaście lat, a wiele lat później zobaczyłem znowu jego nazwisko jako dyrektora

sławnej kompanii naftowej. Przypuszczam więc, że w końcu znalazł swoje szczęście. Ale wtedy tak jak ja walczył o przetrwanie, więc szybko zawarliśmy przymierze.

Tego popołudnia zostałem chłopcem na posyłki, a moje imię: Johnny, zostało wypisane na odznace przypiętej do eleganckiej czerwonej kurtki. Biegałem na posyłki, otwierałem drzwi i nosiłem bagaże w jednym z najlepszych hoteli w mieście. Podstawowa płaca była niska, ale GUS powiedział, że napiwki ją wyrównują. Miał rację. Znalazłem tani nieumeblowany pokój w Chińskiej Dzielnicy i stwierdziłem, że jeśli będę jadł głównie ryż i fasolę w miejscowych barach, to zdołam się utrzymać.

Ciągnęło mnie do Chińskiej Dzielnicy, ponieważ czułem się tam bezpiecznie. Rozumiałem zwyczaje Chińczyków lepiej niż pracowników hotelowych, bezczelnych mężczyzn o bezwzględnych oczach. Jednakże odległość między mną a Hawajami wciąż wydawała mi się zbyt mała. Wiedziałem, że Archer i Jack często przyjeżdżają do San Francisco, więc żyłem w ciągłej obawie. Oglądałem się za siebie na ulicy, a w hotelu miałem oczy szeroko otwarte. Dopiero później, kiedy dzieliły mnie od Kane'ów tysiące kilometrów, uwierzyłem, że naprawdę im uciekłem.

Gromadziłem po kilka dolarów, jakie byłem w stanie zaoszczędzić, wyobrażając sobie niejasno, że może zdołam jakimś cudem wrócić do Francji, do willi Mimoza. Zastanawiałem się, czy niania Beale ciągle tam mieszka i czy będzie pamiętać chłopca, którego wiele lat temu zostawiła na Kalani. Ale gdy dowiedziałem się z gazet, że w Europie szaleje wojna, a Francja okupowana jest przez Niemców, zrozumiałem, że niania i willa są nieosiągalne.

Był rok 1941. Oswoiłem się z pracą w hotelu, byłem dumny z szybkości moich usług i dziękowałem uśmiechem za napiwki. Podczas dni wolnych zwiedzałem miasto patrząc na nie wzrokiem człowieka, który po raz pierwszy ogląda piramidy. Jeździłem dzwoniącymi tramwajami linowymi i przeprowałem się promami na drugi brzeg zatoki, na zalesione wzgórza. Czasem chodziłem z Gusem do kina. Najczęściej wybieraliśmy westerny. Lubiałem konie i szybką akcję.

A potem, 7 grudnia, Japończycy zaatakowali Pearl Harbor i Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Z przerażeniem myślałem o Oahu - spokojnej wyspie, porcie, pięknych statkach, teraz pochłoniętych przez płomienie, i o wielu ludziach, którzy stracili życie. Natychmiast, pełni gniewu, poszliśmy z Gusem zaciągnąć się do marynarki.

- Ile masz lat, chłopcze? - zapytał mnie z błyskiem w oku prowadzący rekrutację sierżant.

- Osiemnaście, proszę pana - odpowiedziałem pewnym głosem, tak jak przykazał mi GUS.

- Masz właściwy odruch - rzekł łagodnie - ale musisz jeszcze rosnąć przez parę lat, zanim będziesz mógł walczyć za swój kraj.

Było to gorzkie rozczarowanie. Gdzieś w głębi duszy żywiłem nadzieję, że wyślą mnie do Europy. GUS miał więcej szczęścia. Jakoś pomógł mu jego uliczny spryt i wyszedł z biura rekrutacyjnego jako żołnierz Marynarki Stanów Zjednoczonych.

Nie tylko GUS szykował się do opuszczenia hotelu. Mężczyźni zaciągali się i natychmiast wysyłano ich na ćwiczenia. Na skutek braków w służbie hotelowej zostałem przeniesiony i awansowałem na kelnera. Byłem uważny i szybko uczyłem się, obserwując zachowanie innych. Ale w głębi duszy wciąż nie znałem reguł gry obowiązujących w społeczeństwie. Ciągle byłem dzikim chłopcem z wysp.

Minęły dwa lata. W San Francisco pełno było ludzi zatrudnionych w marynarce. Zajmowali wszystkie hotele, a ich dziewczyny i żony ciągnęły za nimi. Miałem siedemnaście lat. Jeszcze jeden rok - powiedziałem sobie i będę mógł zgodnie z prawem zaciągnąć się do wojska. Śledziłem wiadomości o wojnie, ciągle mając

niejasną nadzieję, że wyślą mnie w okolice Morza Śródziemnego. Tymczasem znalazłem nową pracę.

St. Francis był wspaniałym hotelem z elegancką klientelą. Mieszkali tam oficerowie i sztywne, eleganckie, bogate kobiety. Jedna z obsługiwanych przeze mnie pań miała wynajęty na stałe apartament. Mówiła, że jej mąż, oficer jest na południu stanu, w Obozie Pendleton, w bazie Piechoty Morskiej w pobliżu San Diego, ale nie chciała tam jechać.

- To dziura zabita deskami - podsłuchałem, jak skarżyła się przyjaciółkom, kiedy jak zwykle pili koktajle o szóstej po południu i omawiali czekające ich wieczorne rozrywki.

Była po czterdziestce, atrakcyjna i zalotna, miała niebieskie oczy i jasną, niemal przezroczystą cerę. Srebrzystoblond włosy nosiła modnie przycięte na pazia, a jej szerokie, drapieżne usta przypominały kolorem pióra ptaka kardynała, który wieczorami siadał na poręczy lanai na Kalani.

Zwróciłem na nią uwagę, bo była ładna i wesoła. Zawsze śmiała się i żartowała z przyjaciółkami i oficerami, którzy im towarzyszyli, ale był też w niej jakiś niepokój. Zauważyłem, że kiedy rozmawiała, jej oczy wędrowały po sali, jak gdyby czegoś szukając. Czasami zatrzymywały się na mnie i dostrzegałem w nich wyraz zastanowienia.

Czerwieniłem się, czując jej taksujący wzrok z drugiego końca sali. Byłem młody i niewinny, prawie nie rozmawiałem jeszcze z dziewczynami. Myślałem, że śmieszy ją moja wyrośnięta, chuda i muskularna sylwetka w obcisłych, czarnych spodniach i krótkiej, czerwonej kurtce z mosiężnymi guzikami.

Kiedy ostrożnie stawiałem przed nią na stoliku martini, przyglądała się mojej twarzy, a ja odwracałem wzrok od jej uśmiechniętego spojrzenia, bo wiedziałem, że nie jestem przystojny. Miałem za chudą twarz, zbyt grube rysy, a dzięki Jackowi od lewego oka prawie do policzka biegła głęboką bruzdą blizna. Ale pani DeSoto zdawała się mieć inne zdanie na mój temat.

- Widzę, że dobry z ciebie kelner, Johnny - powiedziała. - Będę zawsze prosić o ciebie, kiedy dzwonię po służbę pokojową. Są tacy powolni, popełniają błędy i zawsze o czymś zapominają. - Westchnęła. - Skoro już sama wojna zmienia nasze życie w piekło, nie muszą tego robić kelnerzy.

Jej czerwone usta rozciągnęły się w uśmiechu odsłaniając piękne, białe, równe zęby. «Jak perły», pomyślałem oszołomiony.

- Dziękuję, Johnny - ofiarowała mi hojny napiwek wraz z wymownym spojrzeniem, które sprawiło, że znowu się zarumieniłem.

Potem często obsługiwałem ją w barze, a ona zawsze dawała duże napiwki i uśmiechała się w ten sam sposób. Kiedy wsuwała mi dolara, jej ręka dotykała mojej tak, że oblewała mnie fala gorąca i czułem się niepewnie.

Kilka tygodni później obsługiwałem pokoje. Minęła północ. Nikt nie lubił nocnej zmiany, ponieważ trzeba być na zawołanie wszystkich pijaków, ale przeważnie ja ją dostawałem jako najmłodszy. Zadzwoniła pani DeSoto: chciała, aby posłać jej na górę butelkę džinu, wermutu i lód.

- Cieszę się, że to ty, Johnny - powiedziała otwierając drzwi i uśmiechając się do mnie.

Wszedłem do pokoju i umieściłem tacę na bocznym stoliku. Pani DeSoto była ubrana w długą, czerwoną wieczorową suknię zmarszczoną na biodrach, a w wycięciu głębokiego dekoltu tuż nad wzniesieniem białych piersi spoczywał brylantowo - rubinowy naszyjnik.

- Otwórz butelki, Johnny - powiedziała opadając na sofę - a potem nalej mi drinka. Zaczekaj, pokażę ci dokładnie, jak lubię - spojrzała na mnie spod rzes, przesyłając ten swój uśmiech. - Następnym razem sam będziesz wiedział.

W oświetlonym lampami pokoju unosił się ciężki piżmowy zapach perfum. Drżącą ręką podałem jej kieliszek, a ona nachyliła się ku mnie i przystawiła mi go do ust.

- Spróbuj, Johnny - powiedziała półgłosem. - Wtedy będziesz dokładnie wiedział, jak przyrządzać.

Ostrożnie wypilem łyk i zachłysnąłem się alkoholem. Zacząłem kasłać, a ona stała z rękami na biodrach i śmiała się ze mnie.

- Założę się, że nigdy wcześniej nie piłeś nawet drinka. - Znowu usiadła na sofie i poklepała leżącą obok poduszkę. - Chodź, Johnny. Usiądź obok mnie i powiedz, czego jeszcze nigdy nie robiłeś, abym wiedziała, czego mam cię nauczyć.

Usiadłem obok, zahipnotyzowany zmysłowymi czerwonymi ustami i spojrzaniem jej niebieskich oczu, pełnych nie znanej mi wiedzy.

- Patrzcie tylko - powiedziała przesuwając palec wzdłuż blizny na mojej twarzy. - Jesteś jak młody żrebak, który właśnie staje się ogierem. - Znowu uśmiechnęła się do mnie tym swoim uśmiechem, a ja zapragnąłem chwycić ją w ramiona i pocałować. - Taki przystojny, młody i niewinny - powiedziała z namysłem, znowu unosząc kieliszek do mych ust.

Wstała i nastawiła płytę z muzyką taneczną. Była to Księżycowa serenada Glenna Millera. Przełknąłem martini i przyglądałem się, jak pani DeSoto wiruje wokół pokoju w rytm muzyki.

- To moja ulubiona - powiedziała, gdy płyta się skończyła. Zdjęła z głowy siatkę i potrząsnęła uwolnionymi włosami, przeciągając się zmysłowo. - Nie podoba ci się, Johnny? - zapytała, przygotowując kolejne dwa martini.

- Oczywiście - wymamrotałem, patrząc na jej kołyszące się biodra, gdy sunęła przez pokój, by jeszcze raz nastawić płytę. Odwróciła się i spojrzała na mnie. Potem wypila martini i rzuciła kieliszek do kominka. Znowu zaczęła tańczyć. Tylko że tym razem zaczęła także odpinać guziki sukni. Kołysząc się w tańcu zbliżała się coraz bardziej, aż stanęła tuż przede mną. A potem pozwoliła sukni opaść na podłogę. Była jasnowłosym zjawiskiem w czerwonej atlasowej halce i pantoflach na wysokich obcasach, a ja straciłem głowę. Usiadła obok i zaczęła powoli zdejmować ze mnie ubranie, wszystko oprócz krawata.

- A co z tym zrobimy? Bardzo jestem ciekawa - zapytała żartobliwie przyciągając mnie do siebie. Pachniała ciężkimi perfumami, dżinem i własnym ciałem, a ja zatonałem w jej miękkości, zapachu, bogactwie kobiecości. Nie mogłem doczekać się, co będzie dalej.

Za Pierwszym razem byłem zbyt szybki, ale potem nauczyła mnie jak kochać się z kobietą.

- Jesteś pilnym uczniem, Johnny - powiedziała. - Będę o tobie pamiętała, choć wciąż nie wiem, jak się nazywasz.

Miałem zmysły przymglone perfumami, alkoholem i seksem, więc wyrwało mi się moje prawdziwe nazwisko.

- Johnny Leconte.

Przez długą chwilę patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, a potem odrzuciła głowę i wybuchnęła śmiechem. Jej długa biała szyja falowała. Patrzyłem na nią ze zdumieniem.

- Czy to nie zabawne? - Wreszcie złapała oddech. - To po prostu zbyt wspaniałe, żeby mogło być tylko zwykłym przypadkiem. Mam na myśli, że nieczęsto spotyka się

to nazwisko. Wiem, że Archer Kane zmienił swoje, gdy ożenił się z Francuzką, i że miał syna. To ty, prawda?

Johnny Leconte?

Serce mi zamarło i patrzyłem na nią ciągle nic nie rozumiejąc. - Oczywiście! - wykrzyknęła, wciąż jeszcze się śmiejąc. - Nie wiesz, kim jestem. Mój drogi żrebaczku, jestem Chantal O'Higgins, druga żona Archera i matka jego przekłętego syna Jacka.

Ubrałem się, tak szybko jak zdołałem, i pobiegłem do drzwi, nie mając odwagi na nią spojrzeć. Ciągle się śmiała, jak gdyby to był najlepszy żart na świecie.

Tego samego wieczoru opuściłem hotel, a następnego rana skłamałem o swoim wieku i zaciągnąłem się do marynarki. Ale byłem przekonany, że wspomnienie fatalnego spotkania z Chantal O'Higgins będzie mnie długo prześladowało."

Rozdział 30.

Wiele nauczyłem się podczas służby wojennej w Marynarce Stanów Zjednoczonych, a była to wiedza o ludziach i wojnie, życiu i śmierci, a nie edukacja książkowa. Przez dwa i pół roku służyłem na niszczycielu, głównie na Południowym Pacyfiku. Z żalem musiałem zrezygnować z marzeń o powrocie nad Morze Śródziemne.

Przystosowanie się do wojennych warunków nie było dla mnie trudne. Przecież przez większą część życia czułem się stale zagrożony. Miałem już ten dodatkowy szósty zmysł ostrzegający mnie przed niebezpieczeństwem, a lata dorastania na Hawajach zrobiły ze mnie żeglarza. Byłem przyzwyczajony do oceanu i jego zwyczajów.

Nie znaczy to, że nigdy się nie bałem. Tylko głupcy się nie boją. Obsługując karabin w wieżycze statku, stawiając czoło wrogowi odległemu o kilkaset metrów szarej wody, czułem w ustach dawny, metaliczny smak strachu. Wojna była gorzkim i niewdzięcznym przedsięwzięciem, ale wynagradzało mi to koleżeństwo marynarzy, moich towarzyszy broni. Nauczyłem się żyć z ludźmi, przyjmować i ofiarowywać przyjaźń. Ucywilizowałem się w końcu, jeśli nawet nie zostałem człowiekiem światowym. Wątpię, czy kiedykolwiek nim się stanę. Psychologowie twierdzą, że nasza osobowość kształtuje się w latach poprzedzających dojrzewanie, a moja nosiła na sobie ślady przebytych walk.

A jednak mimo niebezpieczeństw wojennego życia, torped i kamikaze podczas nalotów bombowych, czułem się niemal szczęśliwy. W końcu pomiędzy mną a Kane'ami leżała właściwa liczba kilometrów. Moje osiemnaste urodziny nadeszły i minęły, i wiem, że na Kalani przydarzyłby mi się już zaplanowany «nieszczęśliwy wypadek». Woląłem śmierć w służbie kraju - przynajmniej była zaszczytna.

Kiedy w 1945 roku skończyła się wojna, kusilo mnie, by pozostać w marynarce i spróbować zrobić tam karierę. Lecz miałem ograniczone możliwości, gdyż brak mi było wykształcenia, by zostać oficerem. Poza tym znów poczułem pragnienie, by malować. Zabrałem się do szkicowania marynarzy, którzy grali w karty ubrani w podkoszulki i stalowe hełmy, odpoczywali na kojach po nocnej wachcie lub czytali listy z domu. Udawało mi się uchwycić tęsknotę pojawiającą się w ich oczach, gdy myśleli o żonach i dzieciach. Szkicowałem z pamięci sceny bitew, strzelające do siebie statki wojenne, ogień i zakrwawione, poranione ciała. I konwoje przesuwane się cicho na horyzoncie, kiedy my, strażnicy Południowego Pacyfiku, czuwaliśmy.

Moje szkice tak się spodobały kapitanowi, że powiesił je w kwaterach starszych oficerów. Kiedy długa wojna wreszcie dobiegła końca, ofiarował kilka z nich dowódcy operacji morskich. Parę z nich zostało oprawionych i zawieszonych w wysokich waszyngtońskich korytarzach.

W dniu, w którym po raz drugi w życiu stałem się wolny, czułem smutek. Marynarka Stanów Zjednoczonych przyjęła mnie jako nie ukształtowanego chłopca i zrobiła ze mnie mężczyznę. Tęskniłem za koleżeństwem i dyscypliną. Musiałem jednak znowu sam zatroszczyć się o siebie.

Tylko jednej rzeczy byłem pewien: chciałem malować. Posiadałem trochę zaoszczędzonych pieniędzy, a także pieniężną odprawę, która miała osłodzić nam powrót do cywila. Jednak wiedziałem, że nie wystarczy mi to na długo, i wiedziałem też, że nie mogę wrócić ani na Zachodnie Wybrzeże, ani na Hawaje.

Moje życie stało się serią dorywczyczych prac. W sezonie letnim pracowałem jako kelner w górskim uzdrowisku na Wschodnim Wybrzeżu, aby dzięki zarobionym tam pieniądzom, móc malować w zimie. Nie miałem pojęcia, czy moje dzieła są «dobre», ale już wtedy wiedziałem, że malowanie stało się moją życiową pasją.

Miałem wtedy różne dziewczęta, słodkie, młode istoty, głównie modelki, które czuły słabość do romantycznego artysty z lodowatego poddasza. Tak naprawdę był to strych nad sklepem z towarami żelaznymi w nadmorskim miasteczku w stanie Maine. Zakochiwałem się i odkochiwałem zgodnie z porami roku, ale moją prawdziwą miłością było morze i sztuka.

Lata płynęły wolno, jak każdemu młodemu człowiekowi. Od czasu do czasu sprzedawałem obraz, ale rozstanie z nim było dla mnie zawsze bardzo bolesne. Chciałem zatrzymać wszystkie, bo stanowiły pamiątkę po ludziach, których spotkałem, miejscach, w których byłem i dziewczętach, które kochałem. Malowałem po prostu moje życie. Jednak nigdy nie malowałem Kalani, ani nic mającego cokolwiek wspólnego z moim dzieciństwem. Przeszłość zapadła gdzieś w głębi mego umysłu.

Na początku lat pięćdziesiątych zwrócono uwagę na moje obrazy. Zaproponowano mi wystawę w małej ekskluzywnej galerii nowojorskiej. Starannie przejrzałem płótna i niechętnie rozstałem się z tymi, które uważałem za najlepsze. Kupiłem sobie z tej okazji nowy garnitur i ogoliłem zapuszczoną w zimie brodę. Czułem się głupio i nie na miejscu, ściskając w rękę na wernisażu kieliszek szampana i podsłuchując komentarze zwiedzających. Ku memu zdziwieniu na ogół były pochlebne i wkrótce moje prace ozdobił rząd czerwononaklejek. Nie był to olbrzymi sukces, ale przynajmniej byłem teraz artystą, którego obrazy sprzedawały się na wystawie. Dzięki temu pewien człowiek posiadający władzę i pieniądze zamówił u mnie portret swojej żony.

Moja modelka nie była ładna, lecz dramatyczne ostre rysy twarzy nadawały jej wiele dostojności. Poślubiła swego męża gdy miała osiemnaście lat i była z nim przez wszystkie trudne lata. Mieszkali początkowo w tanich mieszkaniach na Long Island, potem w kamienicy czynszowej w New Jersey, aż w końcu mąż dorobił się na ubezpieczeniach na życie. Kombinacje przyniosły zyski i z biegiem lat stał się sławnym, choć nieco podejrzanym finansistą. Był teraz multimilionerem i żył jak lord. Widywano go na eleganckich bankietach i na każdej imprezie na cele dobroczynne. Był bliskim znajomym ludzi zajmujących wysokie stanowiska w Waszyngtonie.

Nigdy jednak nie widywano przy nim żony. Czasem towarzyszyła mu córka, ale częściej oszałamiająca blondynka, dwa razy od niego młodsza, jarząca się od brylantów i wspaniałych toalet.

Wiedziałem, że portret był z jego strony posunięciem taktycznym, mającym przekonać żonę, że ciągle się o nią troszczy. «Aby siedziała cicho», pomyślałem, gdy ją spotkałem pierwszy raz. Wiedziałem także, iż wybrał mnie, dlatego że byłem tańszy niż sławni artyści, i myślał, że żona nie zauważy różnicy.

Była słodką kobietą o łagodnym uroku i prawdziwie dobrym sercu, które na przekór wszystkiemu nie chciało w nikim dostrzec zła.

Lubiłem ją i malując portret dałem z siebie wszystko.

Ubrałem moją modelkę w brązowozielony aksamit jak średniowieczną księżniczkę. Zczesane do góry włosy odsłoniły wystające kości policzkowe i nos Nefretete. Obwiesiłem ją złotem i szmaragdami, a ona stała wyprostowana, z uniesionym dumnie podbródkiem jak kobieta, która zna swoją wartość. Z arogancką pozą kontrastowały cudowne ciemne oczy, pełne rzadko spotykanej dobroci i niewinności.

Ten portret zdecydował o mojej karierze, choć tak naprawdę nigdy nie byłem portrecistą. Wypożyczały go różne muzea, a nazwisko John L.

O Jones zaczęło być głośne. Czytałem o sobie w gazetach i w pianie «Time». Dostałem nawet więcej zamówień, ale odłożyłem wszystkie, gdyż w końcu miałem wystarczająco dużo pieniędzy na wyjazd do Europy.

Znowu odbyłem podróż statkiem przez Atlantyk, tylko tym razem w przyzwoitej kabynie drugiej klasy. Nie mogłem sobie jeszcze pozwolić na pierwszą, ale to było nieistotne. Jechałem do domu. Zatrzymałem się na jakiś czas w Paryżu, odwlekając radosną chwilę powrotu. Syciłem wzrok widokiem zabytków, których nie zniszczyła wojna. Oglądałem muzea i obrazy, popijałem czerwone wino w kawiarniach na bulwarach i patrzyłem na toczące się obok życie.

Kiedy w końcu wsiałem do wagonu sypialnego pociągu jadącego na Południe, czułem się jak kochanek zbyt długo trzymany na dystans przez swoją wybrankę.

Lazurowe Wybrzeże, choć nie mogłem go pamiętać, w jakiś magiczny sposób wyglądało tak jak je sobie wyobrażałem: światło padające na zielone wzgórza, białe, piaszczyste plaże, parasole sosen, wysokie cedry sterczące jak igły na jaskrawoniebieskim niebie. Ale dopiero gdy zobaczyłem Morze Śródziemne, zrozumiałem prawdziwe znaczenie słowa «lazurowy». Drżałem ze szczęścia. To był sen artysty, światło natchnienia.

Wprowadziłem się do małej oberży na wybrzeżu prowadzonej przez parę krzepkich chłopek - matkę i córkę. Ojciec był rybakiem, który w nocy wypływał z sieciami na połów i wracał o świcie przynosząc trochę ryb, które potem znajdowałem na półmisku podczas obiadu. Była to urocza rodzina: prosta i uprzejma dla obcego, który się wśród nich pojawił. Zaintrygowały ich moje sztalugi, a ja uświadomiłem sobie, że jestem artystą i chcę ich malować. Byłem oszołomiony tutejszym sposobem życia, jego świeżością i wciąż nie skażonym pięknem, jakością jedzenia i wina, powolnym rytmem typowym dla śródziemnomorskiego klimatu.

Odłożyłem nerwowo na później moje poszukiwania przeszłości. Wmawiałem sobie, że to dlatego iż chcę malować. Lecz prawda była inna. Obawiałem się tego, co mógłbym znaleźć. Lękałem się, że niania Beale nie żyje, może zginęła podczas wojny albo powróciła do Anglii. Bałem się, że willa Mimoza należy do kogoś innego, że zabronią mi tam wejść i moje marzenia pozostaną tylko snem. Ale przede wszystkim bałem się, że zastanę w moim dawnym domu panujących tam Jacka i Archera.

Jednak nie mogłem dłużej zwlekać. Musiałem poznać przeszłość i prawdę o mojej matce. Dowiedzieć się, co się stało z nianią Beale.

Znalazłem willę Mimoza od razu, w sposób, w jaki odnajduje swój dom kot wywieziony i porzucony setki kilometrów od niego. Pojechałem na rowerze piaszczystą drogą prowadzącą na wzgórze wzdłuż kruszącego się różowego muru, na pół ukrytego pod ciężarem bugenwilli i róż. Serce waliło mi jak uczestnikowi Tour de France, kiedy oparłem rower o mur i zadzwoniłem, zaglądając przez rdzewiejącą, żelazną bramę na zwirowy podjazd.

Na dźwięk dzwonka pojawił się ogrodnik, sympatyczny człowiek w niebieskim roboczym kombinezonie, i oświadczył, że w domu nikogo niema.

- Znałem kogoś, kto tu mieszkał - powiedziałem czekając na reakcję. - Rodzinę Leconte.

Twarz rozjaśniła mu się i widziałem, że miło mu było usłyszeć znowu to nazwisko.

- Od dawna ich tu nie ma, monsieur - wyjaśnił. - Madame nie żyje, a jej mąż, Cudzoziemiec, i syn mieszkają daleko stąd na jakiejś tropikalnej wyspie. Słyszałem, że byli tu raz po wojnie, aby odebrać majątek chłopca, ale nigdy nie przyjechali zobaczyć willi. To dawny dom chłopca, monsieur. Tu właśnie się urodził. Madame Leconte pękłoby serce, gdyby wiedziała, że syn tak mało troszczy się o jej ukochane miejsce.

Zrozumiałem, że Maluhia miała rację. Istniał spadek i Kane'owie ostatecznie dostali go w swoje ręce. Domyśliłem się, że Jack odegrał mnie i udając, że jest Jeanem Leconte, zażądał mego majątku. Wzruszyłem ramionami. Nie dbałem o te pieniądze. Żyłem, byłem wolny i na swój sposób szczęśliwy. Nie chciałem niczego więcej.

Ogrodnik zauważył, że interesuję się domem, i zaproponował, że mnie oprowadzi. Kiedy szliśmy zwirową ścieżką i naszym oczom ukazała się piękna bladoróżowa willa, przypomniałem sobie z całkowitą dokładnością dzień, w którym przyjechał po mnie ojciec. Kiedy jako mały chłopiec siedziałem na marmurowym stopniu chłodzącym mi gołe nogi, czułem na twarzy poranne słońce i tuliłem w ramionach ukochanego Fido. Znowu poczułem przerażenie, jak w chwili gdy moje oczy napotkały obojętne spojrzenie ojca, który rozkazał: «Zapakujcie jego rzeczy. Zabieram go ze sobą». I przypomniałem sobie czarną chmurę, która wtedy zawisła nade mną na zawsze odcinając moje życie od blasku słońca.

Znałem willę. Pamiętałem każdy szczegół: marmurowe posadzki, wspaniałe półkolisty schody z balustradą z drewna koa, którą kazał zamontować Archer w prezencie dla mojej matki gdy się pobrali. Zawahałem się w drzwiach starego dzieciennego pokoju, będącego kiedyś królestwem niani.

Przed kratą kominka wciąż stała duża miedziana osłona ze skórzanym siedzeniem, ale należący do niani bujany fotel z wysokim oparciem zniknął, a duże szafy na zabawki były puste. Otworzyłem drzwi do sypialni i zobaczyłem moje łóżeczko z wiśniowego drzewa. Były na nim ciągle moje inicjały J.L., które wyskrobałem szpilką. Dotknąłem ich palcami i z uśmiechem przypomniałem sobie, jak zła była niania, kiedy zobaczyła, co zrobiłem.

Szedłem powoli przez pokoje matki, wyobrażając sobie, jak spoglądała na położone na stoku wzgórze trawniki, iskrzącą się w słońcu fontannę, cyprysy i morze. Myślałem o tym, jak budził ją melodyjny świergot wesołych kanarków i innych ptaków w srebrnej ptaszarni, którą jak powiedział mi ogrodnik, dawno temu zniszczyła burza.

Stałem w oknie pokoju matki, żałując, że jej nie znałem. Myślałem o willi Mimoza - moim prawowitym dziedzictwie. Mógłbym zgodnie z prawem zażądać mego majątku, zamieszkać w tym cudownym domu, spokojnie malować, wiedząc, że już nigdy nie będę musiał spędzać lata, pracując jako kelner w Catskill Mountains... Ale wiedziałem, że tego nie zrobię.

Podziękowałem ogrodnikowi za uprzejmość i z wahaniem zapytałem o nianię Beale. Obawiałem się najgorszego. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli żyje, jest już bardzo stara i spodziewałem się, iż ogrodnik nic nie wie, albo powie, że pojechała do Anglii umrzeć. Ku swej radości dowiedziałem się, że niania zajmuje mały domek u stóp wzgórze.

- Mieszkała tam przez całą wojnę - oświadczył z dumą - choć wiele razy Niemcy grozili, że ją internują. Podejrzewali, że jest angielskim szpiegiem - dodał wzruszając ramionami z galijską beztroską. - Wszyscy w jakiś sposób należeliśmy tu do Ruchu Oporu. Przerzucaliśmy zbiegłych więźniów i angielskich lotników wzdłuż wybrzeża do Hiszpanii, a potem Portugalii. W tych okropnych latach nasze łódki przyjmowały na pokład nie tylko ryby, monsieur - dorzucił z chytrym uśmiechem.

Najszybciej, jak tylko mogłem, zjechałem na dół, a potem piaszczystą białą ścieżką, biegnącą wokół niewielkiego półwyspu dotarłem do rozrzuconej grupy domów. Ten mały, pobielony, z pióropuszem dymu unoszącym się z komina, choć dzień był ciepły, musiał należeć do niani. Ogród porastały bujnie angielskie róże, ostróżki, duże białe stokrotki i lawenda. A pośród nich, pochylając się nad porośniętą trawą brzegiem rabaty, w dużym słomkowym kapeluszu na głowie i «praktycznych», białych, sznurowanych trzewikach stała starsza pani.

Serce zabiło mi mocniej, kiedy patrzyłem na nią oparty o bramę. Niania była całkowicie pochłonięta ucinaniem najładniejszych kwiatów i układaniem ich w drewnianym ogrodowym koszyku. Miała pochylone plecy, a artretyzm powykręcał jej

ręce w dziwaczne kształty. Zaszokowało mnie, że jest taka maleńka, podczas gdy w mych dzieciennych wspomnieniach pozostała wysoka i postawna.

Podniosła głowę, nagle zdając sobie sprawę, że ktoś się jej przygląda.

Nasze oczy spotkały się i było tak, jakby czas się zatrzymał. Dostrzegaliśmy w sobie te osoby, którymi byliśmy kiedyś. Ujrzałem wyrytą w mej pamięci twarz o wydatnych kościach policzkowych, teraz pomarszczoną, pokreśloną siatką delikatnych zmarszczek, naznaczoną bólem artretyzmu. Ale wyblakłe cierpliwe oczy mówiły mi, że znosi to wszystko z dawnym hartem ducha.

A niania w wysokim mężczyźnie rozpoznała chłopca, którego kruchość zniknęła, patykowate kończyny nabrały mięśni, a rysy twarzy w końcu się ukształtowały. Powiedziała mi potem z dumą, że w pierwszej chwili zwróciła uwagę na interesującą męską twarz. Nie przystojną, lecz taką, której się nie zapomina. Szczególnie dzięki biegnącej wzdłuż kości policzkowej diabolicznej szramie.

- Prawie się nie zmieniłeś, Johnny - powiedziała cicho, z uśmiechem w oczach. - Ciągle mogę cię poznać.

- A ja ciebie, nianiu Beale.

Przskoczyłem przez bramę i przytuliłem nianię do siebie. Po twarzach płynęły nam łzy, ale czułem jej kruchość i wiedziałem, że to ja muszę teraz być silny.

- Myślałam, że nie żyjesz - szepnęła drżącym ze wzruszenia głosem. - Mówili mi, że wróciłeś po spadek. Powiedziałam, że to nie mogłeś być ty, bo przyjechałbyś tutaj, do willi Mimoza, i odnalazłbyś mnie. Myślałam o tobie przez te wszystkie lata i każdego wieczora modliłam się, aby nic ci się nie stało. W każde twoje urodziny zastanawiałam się; czy ciągle jeszcze się nimi cieszysz, bo wiedziałam, że zabrał cię zły człowiek, zdolny do wszystkiego.

Wziąłem ją pod rękę i weszliśmy do środka, a ona uśmiechała się do mnie przez łzy.

- Założę się, że nigdy nie przypuszczałeś, że zobaczysz swą starą nianię płaczącą - powiedziała - ale to łzy radości.

Zakrzętała się wokół herbaty i z talerzami na kolanach usiedliśmy przy kominku, ona w bujanym fotelu, a ja na drewnianym krześle z prostym oparciem. Mieliśmy wykrochmalone adamaszkowe serwetki i staroświeckie pierniki wyjęte ze specjalnej czerwonej puszkki trzymanej w spiżarni, ale byliśmy zbyt zajęci rozmową i podsycaniem na nowo naszej miłości, aby jeść. Niania nalała herbaty ze starego brązowego dzbanka, choć zauważyłem, iż musiała użyć obydwu rąk, by go podnieść, a filiżanka drżała postukując o spodek, kiedy mi ją podawała.

Byłem znów w domu i ogarnęło mnie poczucie zupełnego szczęścia. Rozejrzałem się po pokoju, gdzie nic się nie zmieniło.

- Już nigdy nie opuszczę cię, nianiu. Jestem tu i zaopiekuję się tobą - powiedziałem.

Pokrótkie opowiedziałem o latach spędzonych na Kalani i moim późniejszym życiu. Nie chciałem jej martwić i oświadczyłem, że jestem szczęśliwy.

- Ale musisz walczyć o swoje, Johnny - patrzyła na mnie z przejęciem znad okrągłych okularów w szylkretowych oprawkach. - Kiedy dowiedziałam się, że Archer Kane był tu jakoby ze swym «synem», poszłam do notaires i oświadczyłam, że to nie mogłeś być ty. Opisali mi mężczyznę, utrzymującego, że jest Jeanem Leconte, jako młodego jasnowłosego olbrzyma z niebieskimi oczami. Powiedziałam im, że miałeś ciemne włosy i ciemne oczy, jak twoja matka, ale oni odrzekli, że ludzie zmieniają się z czasem. Oczywiście to oni się mylili. Przypuszczam, że to był Jack Kane. Zupełnie straciłam nadzieję. Byłam pewna, że ciebie także zabili.

- Także? - zapytałem zaskoczony. Wtedy opowiedziała mi o mojej matce.

Tym razem w mojej dłoni filiżanka zatrzęsała się stukając o spodek. Niania podała mi list napisany do mnie przez matkę przed jej śmiercią, a ja przeczytałem go w odrętwieniu. Myślałem o bólu, jakiego doświadczyła moja nieznana matka: nieładna, bogata dziewczynka, która dorastając dowiedziała się o swej brzydocie. Narzucona jej przez ojca samotność pogłębiła się po jego śmierci i przeszła w całkowitą izolację. W końcu biedna la celibataire, żyjąca w samotnym wykwincie willi Mimoza, zakochała się po uszy w mężczyźnie, myśląc, że dostrzegł jej wewnętrzne piękno, którego istnienia była świadoma.

Ale Archera Kane nie interesował charakter mojej matki, nigdy nie dbał o jej duszę. Chciał tylko jej pieniędzy i wreszcie je dostał.

- Musisz walczyć o to, co prawnie ci się należy - powtórzyła stanowczo niania. - Pójdź i powiedz, kim jesteś. Zażądaj swego spadku.

Pokręciłem ze smutkiem głową. Majątek matki rzucił zły urok na moje życie. Wołałem raczej być biedny, wolny i szczęśliwy.

- Ale kiedy się ożenisz - nalegała niania - co wtedy? Nie możesz odmówić swym dzieciom prawa do majątku ich babki. To niezgodne z jej wolą. Kane'owie ukradli go w ten sam sposób, w jaki pozbawili cię dzieciństwa.

Pozostałem nieugięty. Powiedziałem jej, że pragnę jedynie malować, a teraz czuję, że odnalazłem swą duchową ojczyznę. Kiedy niania przekonała się w końcu, że moja decyzja jest ostateczna, namówiła mnie, abym spisał swoje dzieje «dla następnego pokolenia». Postanowiła umieścić je w bankowym sejfie wraz z moim świadectwem urodzenia, «dokumentem» przedstawiającym jej wersję wydarzeń i tragicznym listem mojej matki. Klucz do sejfu schowa w szufladzie biurka, a kopię dokumentu pod materacem, na wypadek gdyby chciała jeszcze coś do niego dopisać. Wtedy, jak stwierdziła, będzie w końcu usatysfakcjonowana.

Flora Beale dotrzymała obietnicy danej Marii Antoninie Leconte. Zrobiła, co mogła, by ochronić jej syna i przyszłe wnuki.

- Kiedy dorosną - powiedziała uspokojona - same dokonają wyboru.

A ja? Ja także dokonałem wyboru i jestem szczęśliwy. Zrezygnowałem z willi Mimoza wraz z otaczającymi ją smutnymi wspomnieniami, choć jest to prawdopodobnie miejsce, które kocham najbardziej na świecie. Nie potrzebowałem majątku mojej drogiej matki, gdyż widziałem, jak pieniądze i chciwość mogą zniszczyć człowieka. I nauczyłem się jak żyć na własną rękę. Mam swoje malowanie, powróciłem do ojczyzny, odnalazłem dawną nauczycielkę i przyjaciółkę Florę Beale. Czy mógłbym pragnąć czegoś więcej? W końcu jestem szczęśliwy."

Rozdział 31.

Następnego ranka wschodzące słońce zastało Beę zwiniętą w kłębek na zielonej wiklinowej sofie tarasu. Przyciskając do piersi kartki, na których Johnny Leconte opisał swoje dzieje, patrzyła na rozlewający się po niebie blask zamieniający Morze Śródziemne w migoczące złociste jezioro.

Przeciągnęła się, zmęczona i nie wyspana, i przez taras weszła do hallu. Przystanąła u stóp schodów, gdzie znaleziono ciało Marii Antoniny Leconte, i pogładziła gładką balustradę z drewna koay tak jak musiała to robić wiele razy przedtem la celibataire.

- Tak mi przykro - wyszeptała - że los cię tak skrzywdził i że nigdy cię nie poznałam.

Poszła do swego pokoju i zadzwoniła do Nicka by powiedzieć mu, że przeczytała historię Johnny'ego Leconte. Poprosiła, aby zaraz przyjechał.

Czekała na schodach, kiedy przybył pół godziny później.

Trzymając się za rękę, usiedli razem na marmurowych stopniach.

- Tak jak kiedyś siadywał Johnny - uśmiechnęła się smutnie. - To oczywiście on opowiedział mi historię, którą tak dobrze pamiętam. Nie rozumiem, jak mogłam zapomnieć. Był takim sugestywnym gawędziarzem i przedstawił wydarzenia dokładnie w ten sam sposób, w jaki je opisał. Teraz przypomniałam sobie wszystko i podejmę opowiadanie, w miejscu gdzie Johnny je przerwał.

Powiedział mi, że w 1954 roku wynajął kamienny domek w St. - Paul - de - Vence, maleńkiej wiosce na wzgórzach na wybrzeżu. Była to ostoja malarzy, pisarzy i muzyków, pokrewnych dusz, zbierających się wieczorami w barze na rynku, aby zjeść wspólnie obiad, wypić kieliszek wina i niekiedy zagrać w petanque. Wioski na wzgórzach wyglądały jeszcze wówczas tak jak przed setkami lat. Te same rodziny wiodły w nich to samo proste życie, Johnny mówił mi, że było to jakby cofnięcie się do epoki, w której człowiek nie utracił jeszcze swej niewinności.

Powiedział, że oderwał się w końcu od przeszłości i odzyskał swobodę tworzenia. Namalował około setki obrazów przedstawiających nianię Beale, schylającą się nad różami w ogrodzie, nalewającą herbatę ze starego, brązowego dzbanka, drzemiącą na ocienionym dzikim winem tarasie. Pamiętam, jak pokazywał mi je i wyjaśniał, że nie są to prawdziwe portrety. Nigdy nie odzwierciedlały fotograficznie rysów osoby, ale w sposób niezwykle subtelny jej charakter. Jak powiedziała kiedyś Maluhia, ukazywały człowieka takim, jakim był w swym sercu.

Pokazywał mi obrazy przedstawiające wiejskie kobiety, ich poorane zmarszczkami, zniszczone słońcem i wiatrem twarze, przenikliwe oczy zmrużone od ostrego światła. Na czarnych sukienkach nosiły białe fartuchy, włosy okrywały czarnymi szalami, a ich duże chłopskie stopy tkwiły w niezgrabnych czarnych butach. W jakiś sposób jego czarodziejski pędzel utrzymywał łagodną niewinność dzieci i pochylone plecy mężczyzn, którzy od pół wieku harowali w polu. Namalował właściciela kawiarni opartego całym ciężarem o ocynkowany bar. Bystrymi oczami kontrolował bez końca spodeczki na każdym stoliku, oceniał kto zapłacił, a kto nie. Namalował księdza siedzącego na starym drewnianym krześle przed białym kościółkiem. Drzemał z rękami założonymi na obfitym brzuchu, wyciągniętymi nogami i kapeluszem nasuniętym na oczy. Czarną sutannę rozwiewał mistral.

I namalował kilkanaście portretów Maluhii. Zmienił kolory palety, odchodząc od czystych, jakby sprażonych przez słońce odcieni Riwiery, a jego obrazy stały się bardziej egzotyczne i zjawiskowe. Zarysy kształtów i form na pół skryły się pod delikatną zasłoną koloru: Maluhia, w wieńcu kwiatów plumerii na piersiach, czesząca długie czarne włosy, zasłaniające jej twarz jedwabistym płaszczem. Była w tym zaledwie aluzja postaci. Malował smukłą, nagą dziewczynę pływającą w kryształowej

wodzie zielonego oceanu tak swobodnie, jak kolorowe niczym klejnoty ryby, które Johnny dobrze pamiętał.

Bea popatrzyła na Nicka, a on skinął głową. Znał te obrazy, wszyscy je znali. Wisiały w najslawniejszych muzeach i galeriach na świecie.

- W obrazy przedstawiające Maluhię włożył całe swoje serce - mówiła miękko Bea. - Powiedział mi, że nigdy jej nie zapomni. To jej miłość uczyniła znośnym życie na Kalani i zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie w stanie tak kogoś pokochać.

A potem pewnego dnia spotkał Severine Jadot. Przyjechała z Paryża, gdzie mieszkała z matką. Johnny szkicował mężczyzn ze wsi rozgrywających swą wieczorną partię petanque'a a ona przystanęła, by podziwiać jego pracę. Była wysoka jak on, miała ogniste czerwone włosy, interesującą, obsypaną piegami twarz i wyraziste zielone oczy. Poszedł za nią do kawiarni i zaczęli rozmawiać.

Bea uśmiechnęła się na myśl o pierwszym spotkaniu tamtych dwojga, młodych i pełnych namiętności.

- Zakochali się w sobie - mówiła przyciszonym głosem do Nicka - a Severine już nie powróciła do Paryża, tylko zamieszkała z Johnnym. Oszałał na jej punkcie i naturalnie zawiózł ją do niani Beale.

Stara dama przybrała pozę wyniosłej księżnej, ponieważ według niej żadna kobieta nie była wystarczająco dobra dla jej Johnny'ego. Podała herbatę i pierniczki, a Johnny widział, jak obserwuje maniery Severine i ocenia jej wychowanie. Dziewczyna była jednak wzorem francuskiej grzeczności, de bon genre, i nawet niania Beale nie mogła jej nic zarzucić.

- Ożeń się z nią - szepnęła do Johnny'ego, kiedy młodzi wychodzili. - To najlepsze, co możesz zrobić.

Roześmiał się tylko, ale wiedział, że miała rację, zresztą poprosił już Severine o rękę. Miesiąc później niania była świadkiem na ich ślubie. Udzielił go w wiejskim kościele ten sam ksiądz, którego Johnny namalował. Wesele urządzono w kawiarni, przyszli na nie wszyscy miejscowi, a także wszyscy malarze, pisarze i muzycy. Grano i tańczono do późnej nocy i było to najlepsze przyjęcie, jakie państwo Jones kiedykolwiek wydali.

We wczesnych latach sześćdziesiątych Johnny, jak sędzę, przekroczył czterdziestkę, a Severine zbliżała się do trzydziestych urodzin. Wiedli proste życie w kamiennym domku w St. - Paul - de - Vence, a Riwiera zmieniała swój charakter. Okolica znowu stawała się modna i do ustronia zaczęli przenikać turyści.

Niania nie doczekała tych zmian. Pewnego wiosennego wieczora czytała jakiś ustęp z ulubionego Charlesa Dickensa. Jak to miała w zwyczaju, założyła otwartą książkę okularami i zasnęła, przechodząc spokojnie do innego świata.

To właśnie dlatego jej domek tak wygląda. Johnny powiedział, że w pamięci powinni pozostać nie tylko bogaci i sławni. Chciał zachować domek dokładnie w takim stanie, w jakim go zostawiła. Powiedział, że ma przypominać muzeum poświęcone pamięci Flory Beale, jej bezinteresownego życia w służbie innych, godności, prostoty i dobroci.

Po śmierci niani Johnny i Severine wyprowadzili się na wzgórze Prowansji. Kupili w pobliżu Bonnieux starą farmę z widokiem na pola lawendy i maków i byli tam szczęśliwi. Johnny pragnął tylko malować. Nie miał głowy do interesów ani czasu dla marszandów. Gdyby to od niego zależało, nigdy nie wywędrowałby z domu dalej niż do Awinionu czy Aix. To Severine zabrała obrazy do Paryża i zorganizowała wystawę w jednej z głównych galerii. Choć minęło już dużo czasu, odkąd pierwszy portret pędzla Johnny'ego spowodował poruszenie, nie zapomniano o nim. A lata odosobnienia dały mu czas, by rozwinąć talent. Obrazy przedstawiające Maluhę i nianię Beale wzbudziły sensację.

Po tym sukcesie Johnny poczuł niepokój. Nie mógł malować i potrzebował zmiany otoczenia. Wówczas w Nowym Jorku miała odbyć się wystawa. Pojechali więc tam i zostali przez jakiś czas. Polubili nowe miejsce. Johnny jednak nie mógłby mieszkać w mieście, kupili więc stary młyn w BerksMres.

Bea spojrzała na Nicka, a jej złociste aksamitne oczy pełne były ciepła wywołanego falą wspomnień.

- Tam właśnie się urodziłam - powiedziała miękko. - Dwudziestego ósmego lipca 1968 roku.

Nazwali mnie Maria na pamiątkę babki Leconte i Laura, bo to ładne imię. Jak mój ojciec byłam chuda jak patyk, miałam rude włosy mojej matki i rozmarzone brązowe oczy Johnny'ego. Spędzaliśmy każde lato na farmie Les Cerisiers w Prowansji i dorastałam mówiąc po francusku równie dobrze jak po angielsku.

A kiedy skończyłam czternaście lat i ojciec wiedział, że jestem już na tyle duża, aby zrozumieć, to co chciał mi powiedzieć, zabrał mnie bym zobaczyła domek niani Beale i willę Mimoza.

Bea puściła rękę Nicka.

- Mój ojciec i ja siedzieliśmy na tych stopniach, a on, patrząc wraz ze mną na ten sam czarodziejski widok, opowiedział mi straszną historię swego życia. Byliśmy sobie tak bliscy, tak zestrojeni w swych odczuciach, że byłam do granic wstrząśnięta, tym co usłyszałam. Miałam wrażenie, że to wszystko mnie się przydarzyło, że to ja byłam niewinnym, szczęśliwym dzieckiem siedzącym na chłodnych, marmurowych stopniach i słuchającym śpiewu ptaków z Fido przyciśniętym do serca. Że to mój mały szczęśliwy świat zakończył się tego dnia, kiedy wielka czarna chmura na zawsze zasłoniła słońce.

Po policzkach Bei toczyły się łzy i Nick objął ją ramieniem.

- Już dobrze, Bea - powiedział. - Już dobrze, moje kochanie. Skinęła głową, nie ocierając łez.

- Powiedział, że mówi mi o tym, gdyż niania miała rację. Pewnego dnia, kiedy będę starsza, będę miała prawo zażądać majątku mojej babki, jeśli tak sobie zażyczę.

Odparłam mu, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie dbałam o pieniądze. Sądziłam jednak, że powinien mieć willę.

- Powinna być twoja - powiedziałam do niego. - To dom, który kochałeś, w którym byłeś szczęśliwy. I grand'mere Marie - Antoinette chciałyby, abyśmy tu mieszkali.

- Nie trzeba budzić licha - uśmiechnął się mówiąc, że to niemożliwe. Bea otarła łzy i ciągnęła zmęczonym głosem:

- I tak się stało. Nigdy już nie zamieszkał w willi Mimoza. Życie toczyło się szczęśliwie, a ja, choć byłam córką malarza, niczym się nie różniłam od innych dzieci. Wiesz, przeszłam przez to, co wszyscy: nocne spotkania z przyjaciółkami, szkoła średnia, a potem uniwersytet. - Uśmiechnęła się na myśl o tym. - Nie posłali mnie nigdy do eleganckiej szkoły z internatem, bo tato oświadczył, że nie zniósłby rozstania ze mną. „Dzień, w którym opuścisz dom, będzie dniem twego ślubu”, mówił ze śmiechem. Mamon naprawdę musiała go namawiać, by pozwolił mi wstąpić na uniwersytet. Uczyłam się w Yassar. Nie było to daleko, więc mogłam przyjeżdżać do domu na weekendy. Tak bardzo uwielbiałam powroty do tego najcudowniejszego miejsca na świecie. Ojciec kochał samotność, potrzebował jej, by malować, a nasz dom był oazą spokoju, z dala od przykrych realiów życia.

Myślę, że tak naprawdę nie mieli bliskich przyjaciół, po prostu nigdy nie było dla nich czasu. Widzisz, byli doskonałą parą, tworzyli jedność. Nie potrzebowali nikogo więcej.

Miałam normalne, pełne miłości dzieciństwo. Nie zdawałam sobie nawet sprawy z tego, że mój ojciec jest sławny. Powiedział mi o tym dopiero nauczyciel w szkole średniej. Pamiętam, że byłam zaskoczona.

Umilkła. Wysunęła rękę z dłoni Nicka i objęła podciągnięte pod brodę kolana. Zamknęła oczy, a na jej twarzy pojawił się wyraz napięcia.

- Nie mogę mówić, co było dalej - powiedziała zduszonym głosem.

Nick objął ją ramieniem, przytulił i głaszcząc krótkie, kręcone włosy dziewczyny czekał, aż się uspokoi.

Znał tę historię, była we wszystkich gazetach. Johnny i Severine Jones jechali na otwarcie wystawy jego najnowszych prac w galerii w Waszyngtonie, kiedy samochód w deszczu wpadł w poślizg. Dopiero po czterech godzinach policyjne służby ratownicze zdołały wydostać ich z wraka. Oboje nie żyli.

- Chciałbym ci pomóc - powiedział cicho Nick.

- Nawet ty nie możesz przywrócić ich do życia.

- A potem? Co stało się z tobą? - zapytał.

- Na jakiś czas przyjechałam na farmę w Prowansji. A potem znów wróciłam do domu.

- I? - naciskał.

- Nie wiem - odparła. - Wciąż nie wiem, co stało się w Rozpadlinie Mitchella.

Wbiegły dzieci, klapiąc bosymi stopami o płytki podłogi, a pies wsunął się za nimi. Zatrzymały się gwałtownie, patrząc na zalaną łzami twarz Bei, wielkimi, przerażonymi oczami.

- Co się stało? - zapytał zmienionym głosem Scotty. Strach dławił go w gardle. To nie może się znowu wydarzyć, myślał w panice. Przecież Bea nie może ich opuścić.

Julia podbiegła i zarzuciła jej rękę na szyję.

- Bea, proszę cię, nie płacz! - Z jej własnych oczu trysnęły łzy. - Zrobię wszystko, będę grzeczna, sprzątnę mój pokój, zajmę się Znajdą. Tylko proszę cię, nie płacz. Kocham cię, Bea - szlochała przerażona. - Nie płacz, nie opuszczaj mnie. Chcę zostać z tobą na zawsze...

Scotty podbiegł także, ciasno oplatając Beę swymi chudymi opalonymi ramionami. Przyczepili się do niej jak pijawki i Bea uśmiechnęła się z trudem.

- Ja także was kocham - wyszeptwała. - Ale teraz chciałabym opowiedzieć wam o moich własnych rodzicach, o tym, dlaczego płaczę i dlaczego tak dobrze was rozumiem.

Tuląc ich, szeptała historię o tym, jak jej własna matka i ojciec zginęli w wypadku samochodowym, tak samo jak ich rodzice.

- Oczywiście, byłam wtedy dorosła - powiedziała cicho, patrząc na Nicka. - Byłam osobą, która powinna poradzić sobie ze smutkiem. Ale po prostu musiałam zostać sama. Chciałam znaleźć się w miejscu, gdzie byliśmy razem tacy szczęśliwi, w domu, który moi rodzice kochali najbardziej, w Les Cerisiers, ich farmie w Prowansji. Musiałam wypłakać się w samotności.

- My też płakaliśmy - powiedział Scotty, pociągając nosem. - Płakaliśmy i płakaliśmy, ale to ich nam nie wróciło. Pogłaskała szorstkie włosy chłopca.

- Nie, kochanie, płacz nie może nam nikogo przywrócić. My po prostu w ten sposób mówimy, że kochamy ich i zawsze będziemy za nimi tęsknić. Dobrze jest płakać, zapamiętaj to sobie Scotty.

- Czulałam się wtedy lepiej - odezwała się Julia, patrząc na Beę. - Ale ciągle chciałam do mamy i taty.

- Ja też, dziecinko. - Bea, pocałowała zwróconą ku niej twarz dziewczynki. - Ale pomyślcie, jakie to szczęście, że się odnaleźliśmy. Stanowimy nową rodzinę. Wiem

oczywiście, że nigdy nie zajmę miejsca waszych prawdziwych rodziców. To niemożliwe. Ale mamy siebie nawzajem i jestem z tego powodu bardzo szczęśliwa.

- I nie będziesz już więcej płakać? - zapytał niespokojnie Scotty.

- Och, nie wiem. Może od czasu do czasu, tak jak ty - dodała uśmiechając się do niego. - Ale pamiętaj, że to nic złego. Dzięki temu czujemy się trochę lepiej, trochę bliżej tych, którzy odeszli. A pewnego dnia będziemy mogli myśleć o nich bez płaczu, wspominać dobre chwile i wspólne przeżycia.

- Kiedy tak będzie? - zapytała tęsknie Julia, ocierając łzę brudnym palcem.

- Po pewnym czasie. Widzisz, pewnego dnia uśmiechniesz się, przypominając sobie coś, co mówiła ci twoja mama.

- Mogę cię zapewnić, że to prawda - odezwał się z tyłu Nick. Popatrzył na Beę, a ona pomyślała, że tak jak Scotty ma w oczach smutek i tęsknotę. Uśmiechnęła się i włączyła go do nowej rodziny.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła? - zapytała.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała się o tym przekonać. - Pokręcił głową, wciąż z tym samym wyrazem twarzy.

Scotty rzucił szybkie spojrzenie najpierw na niego, a potem na Beę. Zmrużył chytrze brązowe oczy.

- Czy macie zamiar się pobrać? - zapytał z szerokim uśmiechem.

- O tak, tak. - Julia podbiegła w podskokach do Nicka, a jej łzy zaczęły zmieniać się w słoneczny uśmiech. - Proszę cię, Nick. Będziemy mieli znów rodziców.

- To najbardziej zwariowane oświadczenia, jakie kiedykolwiek słyszałem. - Nick zajrzał Bei uważnie w oczy.

- Czy uważasz, że powinnam czekać aż padniesz przede mną na kolana? - zapytała z uśmiechem.

Roześmiał się, ale Scotty pociągnął go za rękaw.

- Szybko, na kolana - przynaglił. Nick ukląkł, a obok niego uklękły dzieci.

- Najdroższa Beo French, Mario Lauro Leconte. Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną? - zapytał Nick najpokorniejszym głosem, na jaki go było stać.

- Prosimy, zostań jego żoną. Powiedz tak, powiedz tak... - wyśpiewywały dzieci.

Bea popatrzyła na nich z miłością.

- Jak mogłabym powiedzieć nie? - spytała.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz? - zapytała podejrzliwie Julia rzucając jej niespokojne spojrzenie.

- Tak, to znaczy, że się zgadzam - odparła Bea.

- Całym sercem? - upewniał się Scotty.

- Całym sercem.

- Czy teraz zostaniemy z wami na zawsze? - Julia była wciąż niespokojna.

- Na zawsze.

- Na zawsze, Julio - powiedział Scotty biorąc ją uroczyście za rękę.

- Na zawsze, Scotty.

- Hurra! - wrzasnęły, skacząc po pokoju, wywracając koziolki i przeskakując przez krzesła, a pies towarzyszył im w tym szczekając jak szalony.

- Ja wcale nie żartowałem - powiedział poważnie Nick, biorąc Beę za rękę.

- Ani ja.

- Kocham cię, Beo Mario Lauro - pochylił się, by pocałować ją w usta.

- I ja cię kocham - wyszeptowała.

- Całują się, całują! - wrzeszczała Julia wybuchając radosnym śmiechem.

- Mamy nową mamę i tatę - krzyknął Scotty i ślizgając się po wyfroterowanej podłodze, pobiegł do kuchni, aby podzielić się tą nowiną z Jacintą.

Rozdział 32.

Noc była czarna, bezksiężycowa, bez jednego powiewu wiatru. Phyl siedziała na sofie w letnim pokoju rezydencji Diamentowa Głowa i patrzyła na spacerującego tam i z powrotem Brada. Nie przestawał mówić. Dochodziła czwarta nad ranem i Phyl, choć zmęczona, słuchała zafascynowana jego opowiadaniem.

- Chcę ciebie - mówił patrząc na nią w zamyśleniu, a ona zamiast podniecenia, które ogarnęłoby ją zaledwie kilka tygodni temu, czuła jedynie strach.

Zapytywała samą siebie, dlaczego tak jest. Brad stanowił znakomitą partię, był tym samym przystojnym, seksownym mężczyzną, w którym zakochała się w Paryżu. Różnica polegała na tym, że teraz patrzyła na niego jako lekarz. Odsłoniły się przed nią ciemne, niepokojące rysy jego charakteru, co było jednocześnie interesujące i odpychające.

Słuchając go zrozumiała, że nigdy nie była zakochana w Bradzie. Nawet go nie знаła. Był to jeden z tych gorących, wszechogarniających romansów, skazanych na samowypalenie. Teraz gdy zorientowała się, jakiego rodzaju problemy ma Brad, żałowała, że w ogóle przyjechała na Hawaje. Ale on obnażał przed nią swą duszę, życie i uczucia. Powinna przynajmniej wysłuchać i spróbować mu pomóc.

- Okłamałem cię, mówiąc o Małpce - powiedział. - Uciekł z wyspy, ponieważ był odpowiedzialny za śmierć młodej służącej, Maluhii. Zgwałcił ją, a ona rzuciła się w morze. Jakimś cudem Małpce udało się uciec łódką Jacka. Ojciec nigdy nie uwierzył, że utonął. Zawsze powtarzał, iż pewnego dnia powróci i będziemy mieć kłopoty.

Archer pił już wtedy bardzo dużo i odpowiedzialność za Kanoi zaczęła spadać na Jacka, który zdawał sobie sprawę, że ranczo gwałtownie potrzebuje przyływu kapitału. Archer wydawał pieniądze bez opamiętania. Ale Jack był inny.

Oczy Phyl i Brada spotkały się i poruszyło ją jego pełne rozpaczyspojrzenie.

- Widzisz, Jack utożsamiał się z Ranczem Kanoi. Było sensem jego istnienia, cenił je ponad wszystko. Ponad zasady moralne i swe własne życie. Nawet ponad życie swego ojca.

Kiedy Japończycy zbombardowali Pearl Harbor, Jack był w Honolulu. Powiedział, że kiedy zobaczył, co zrobili, ogarnęła go mordercza furia. Jedyne, czego pragnął, to dopaść tych łajdaków i zabić ich gołymi rękami. Ameryka przystąpiła do wojny i najważniejsze były dostawy żywności. Rząd zezwolił na zwłokę w spłacie długów rancza, a Jack wstąpił do Piechoty Morskiej.

Brad roześmiał się, zmieniając nastrój.

- Boże, co to był za żołnierz - powiedział z dumą. - Wsłużył sobie kilka medali za odwagę, zdobytych, jak mi powiedział, dzięki uporczywej nienawiści do wroga. Nikt nie potrafi nienawidzić tak jak Jack - mawiali jego koledzy. - Zabijanie stało się jego obsesją.

Archer otrzymał stopień majora i biurową posadę polegającą na nadzorowaniu Japończyków internowanych na wyspie, co zostawiało mu wiele czasu, by prowadzić ranczo.

Potem wojna się skończyła i znów powrócił problem pieniędzy. Archer opracował plan. W Europie panował zamęt. Od śmierci jego francuskiej żony minęło wiele lat, a Małpka byłby już w wieku uprawniającym do dziedziczenia majątku. Nie miał jednak dowodu na to, że Małpka nie żyje, a swoją drogą wiedział, że przeprowadzenie sprawy we francuskich sądach byłoby zbyt skomplikowane. Zabrał więc Jacka do Francji i przedstawił go jako syna Marii.

Powiedział, że było to bardzo łatwe. Dawni prawnicy i bankierzy znający sprawę la celibataire nie żyli, a dokumenty prawne zaginęły. Dał im tylko świadectwo urodzenia, Jack podpisał się nazwiskiem przyrodniego brata i spadek przeszedł w ich ręce.

- Widzisz - rozłożył ręce, prosząc wzrokiem o zrozumienie. - Ranczo było dla nich na pierwszym miejscu. To, co zrobili, nie było może całkowicie zgodne z prawem, ale Jack uważał, że znaleźli najlepsze wyjście.

- Ty też tak sądzisz? - spytała cicho Phyl.

- Oczywiście, że tak, ja zrobiłbym to samo - rzucił niecierpliwie, jak gdyby jej pytanie było bez znaczenia. - Gdyby nie francuski system prawny, Archer i tak dostałby pieniądze.

Znów zaczął nerwowo spacerować z kąta w kąt. Pies przysiadł przy drzwiach i wpatrzony w swego pana, czekał na rozkaz, ale Brad zdawał się - tego nie dostrzegać. Ciągnął dalej szorstko:

- Pojechali do Paryża. Archer, jak opowiedział mi Jack, triumfował. „Majątek la celibataire w końcu należy do nas - mówił - nikt go już nam nie odbierze. Teraz wystarczy na wszystko, Jack. I na Diamentową Głowę, i na ranczo. Wszystko, co chcesz, jest twoje.”

Ojciec miał wtedy około dwudziestu czterech lat i jak sędzę, wiedział, że musi przejąć kontrolę nad ranczem, zanim Archer, zgodnie ze swym zwyczajem, roztrwoni pieniądze na alkohol, kobiety i wystawne życie.

Pili szampana w barze hotelu Ritza i składali sobie gratulacje, kiedy Jack zauważył przyglądającą im się z drugiego końca sali kosztownie ubraną blondynkę. Nie była już młoda, ale wciąż atrakcyjna i elegancka. Wydawała się dziwnie znajoma. Gdy napotkała jego wzrok, wstała od stolika i podeszła do nich.

„Co za niespodzianka - pocałowała w policzek Archera, który patrzył na nią osłupiały. - Kiedy ostatni raz cię widziałam - zwróciła się do Jacka - byłeś wrzeszczącym czerwonym noworodkiem. Przyznaję, że zmieniłeś się na korzyść od tamtego” czasu - przesłała mu pocałunek i odrzucając głowę do tyłu, wybuchnęła śmiechem.”

„Nie wiesz, kim jestem? - zapytała ciągle się śmiejąc. - Jestem twoją matką, Chantal O'Higgins.”

Jack mówił, że poczuł do niej ten sam nagły przypływ nienawiści co do Japończyków po zbombardowaniu Pearl Harbor. Mógłby udusić ją gołymi rękami, tam w barze Ritza. Nigdy jej nie widział, ale czytał o niej mnóstwo świństw w kolumnie plotek towarzyskich.

Brad spojrzał gniewnie na Phyl i powiedział z goryczą:

- Mówiłem ci, że mężczyźni z rodziny Kane'ów potrafili wybierać sobie kobiety. Chantal była prawdziwą zdzirą.

Oświadczyła, że przyjechała do Francji na inspekcję swego majątku w Charante. „Na szczęście - dodała - Niemcy lubią koniak i nie narobili tam wielu szkód. Dobrze się składa, że rodzinny majątek ulokowany jest w Szwajcarii. Muszę go utrzymać w całości.”

Stała patrząc na nich z drwiącym uśmiechem, a potem powiedziała: „Słyszałam, że twoja trzecia żona zostawiła ci miliony i większość z tego przypadła synowi. Nawiasem mówiąc - dorzuciła niedbale, wypuszczając zatrutą strzałę - czy mówiłam wam, że spotkałam Johnny'ego? Oczywiście nie jest tak przystojny jak ty, Jack. Ale muszę ci wyznać, że jest całkiem niezły w łóżku.” - Odwróciła się i odeszła, a kaskada drwiącego śmiechu dzwoniła im w uszach.

Jack skoczył za nią, ale Archer powstrzymał go. „Siadaj, głupcze - rzucił gniewnie. - Nie dawaj jej satysfakcji wierząc w to wszystko.”

Ale Jack uwierzył. Wiedział, że czegoś takiego Chantal nie mogła wymyślić na poczekaniu tylko po to, by ich rozzłościć. Przeklęty przyrodni brat żył i przespał się z jego matką. Płonąc z upokorzenia powiedział do Archera: „Pewnego dnia znajdę tego łajdaka i go zabiję”.

„Masz rację - odparł Archer zamawiając szkocką. - Inaczej powróci i upomni się o pieniądze. I co wtedy stanie się z Ranczem Kanoi?”

Brad nalał sobie brandy. Mieszając bursztynowy płyn, patrzył w szklanekę pustym wzrokiem. Phyl pomyślała, że zapomniał niemal, iż ona się tu znajduje, tak pochłonęła go historia z przeszłości. W końcu odstawił szklanekę i kontynuował.

- Jack wiedział, że Archer jest w stanie roztrwonić ten drugi majątek jeszcze szybciej niż pierwszy. Tym razem jednak pieniądze były na nazwisko Jacka, a dla niego ranczo było najważniejsze. Dał Archerowi wystarczająco duże uposażenie, by mógł wieść wystawne życie, a potem zaczął odbudowywać interesy.

Wszystko, co miał, włożył w ranczo, które pochłonęło go całkowicie i robił co mógł, by znów rozkwitło. Przestrzegał mnie jednak, że Małpka gdzieś żyje i pewnego dnia może powrócić i zażądać zwrotu swego majątku.

Przez te wszystkie lata Jack ciężko pracował i dużo się bawił. W jego życiu było wiele kobiet. Zawsze się podobał. A potem na przyjęciu w San Francisco poznał Rebekę Bradley. Nawet później, kiedy jej nienawidził, mówił, że była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

Rebeka należała do towarzystwa, była bogata, rozpieszczona i patrzyła z góry na młodego ranczera. „Dziki człowiek”, tak go drwiąco nazwała, kiedy ich sobie przedstawiono. Jack powiedział mi, że roześmiał się wtedy, przypominając sobie Małpkę. Ironia losu sprawiła, że teraz jego nazywali dzikim.

Rebeka była elegancka i dobrze ułożona, ale pod skórą wyczuwał w niej pokrewną duszę. Była tak samo szalona i zła jak on. Uwielbiał to. Powiedział, że po raz pierwszy pozwoliła, by się kochali, na tylnym siedzeniu prowadzonej przez szofera limuzyny swego ojca.

Wracali do domu z przyjęcia gdzieś na wzgórzach. Było ciemno. Szofer trzymał głowę dyskretnie odwróconą, ale Rebeka wiedziała, że zdaje sobie sprawę z tego, co robią, i podniecało ją to. Jack mówił mi, że zawsze lubiła tego rodzaju poczucie niebezpieczeństwa. Lubiała czuć, że ktoś ją może przyłapać. Chciała się kochać w hotelowych windach, w łazienkach podczas tłumnych przyjęć, w zaułku, oparta o ścianę, jak tania prostytutka.

Brad zwrócił swe wymęczone oczy na Phyl.

- Taka była Rebeka - powiedział gorzko. - Nigdy się nie zmieniła. - Drżała mu ręka, gdy nalewał sobie kolejną brandy. - Ale Jack potrafił dać jej to, czego chciała, i Rebeka zdała sobie sprawę, że nie może bez niego żyć. Pobrali się dwa miesiące później. Był to ślub roku w San Francisco. Ojciec Rebeki był hawajskim królem cukru. W jego rodzinie musiało dojść do zmieszania krwi, o czym świadczyły długie czarne włosy i kształt oczu jego córki, lecz matka wywodziła się ze starej ustosunkowanej rodziny, więc na wesele przybyła śmietanka towarzyska.

Brad zatrzymał się i spojrzał na Phyl.

- Zaczekaj - rzucił nagle rozkazująco, unosząc dłoń. Wszedł do hallu, a pies pobiegł za nim stukając pazurami po drewnianej podłodze. Phyl zadrżała, myśląc o tym, co właśnie jej opowiedział. Zdawała sobie sprawę, że zaczyna w końcu poznawać prawdę o Bradzie, i bała się tego, co jeszcze może usłyszeć. Żałowała, że nie są u niej w gabinecie, Brad jako pacjent, a ona jako jego lekarz. Rzuciła mu nerwowe spojrzenie, gdy wrócił do pokoju z fotografią w srebrnej ramce.

- Spójrz - wskazał drżącym palcem parę w ślubnych strojach stojącą przed kościołem i uśmiechającą się do obiektywu. - To mój ojciec, a to ta przeklęta Rebeka. - Jęknął jak człowiek dotknięty nagłym bólem, a potem nagle cisnął zdjęciem o ścianę.

Phyl wyrwał się cichy okrzyk, kiedy szkło rozsypało się po podłodze. Pies pobiegł tam obwąchując je i warcząc cicho.

- O Boże! - w głosie Brada słychać było cierpienie. Ukłękł wśród szczątków i podniósł pociętą fotografię. - Dlaczego to zrobiłem? - zapytał z pretensją, szerokim gestem podsuwając Phyl zdjęcie pod nos. Cofnęła się z lękiem. - Wiem dlaczego! - krzyknął gniewnie. - Moja matka była złą kobietą. To była pierwsza lepsza. Nienasycona. Szła z każdym: z przyjaciółmi męża, własnymi przyjaciółmi, przypadkowymi znajomymi. Nawet kiedy się urodziłem, nie zmieniła się, zawsze musiała dostać to, czego chciała. - Upadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. - Gdy szła na umówione spotkanie, używała mnie jako alibi - szeptał poprzez palce. - Zabierała mnie ze sobą. Bo kto podejrzewałby kobietę o to, że puszcza się na lewo i prawo, kiedy ma ze sobą dziecko? Ale ona robiła to. Zrobiła mnie świadkiem i pomocnikiem w swej brudnej grze.

Ojciec dużo czasu spędzał na ranczu, a ona zabierała mnie do San Francisco. Kiedy wyjeżdżaliśmy, myślałem: „Może tym razem będzie miło i będziemy tylko we dwoje. Może tym razem wszystko będzie w porządku”. Ale prawie jej nie widywałem, chyba że ciągnęła mnie ze sobą na tak zwane „spotkania towarzyskie”. Dawała mi książki, zabawki i mówiła, żebym był grzeczny. Ona i jej przyjaciel będą w drugim pokoju, bo mają wiele spraw do omówienia i nie wolno im przeszkadzać.

Brad podniósł głowę, patrząc ze smutkiem na Phyl.

- A ja nigdy nie przeszkadzałem - powiedział. - Byłem grzecznym chłopcem, wzorowym synem. Chciałem sprawić jej przyjemność i robiłem to, o co prosiła. Aż do dnia, kiedy czekałem na nią tak długo - dwie godziny, trzy, może cztery - że zacząłem się bać. Przyłożyłem ucho do drzwi pokoju, ale nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk. Przestraszyłem się, że o mnie zapomniła, że poszła sobie i zostawiła mnie tutaj. Pomyślałem, że może umarła... Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Zasłony były zaciągnięte, a po jednej stronie łóżka paliła się lampa. Zobaczyłem rozrzucone na podłodze ubrania i odetchnąłem z ulgą. Wiedziałem, że nie mogła odejść nie ubrana i zostawić mnie tutaj.

Wślizgnąłem się do środka wpatrując w ciemność. I wtedy ich zobaczyłem. Rebeka leżała naga, z czarnymi włosami rozrzuconymi na poduszce. Na jej piersi spoczywała głowa śpiącego mężczyzny. Odwróciła się i spojrzała na mnie. Nasze oczy się spotkały. Potem, nie odwracając wzroku, ze strasznym uśmiechem współniczki, wzięła do ręki genitalia mężczyzny i zaczęła je pieścić.

Poruszył się i jęknął, a ja przerażony uciekłem z pokoju. Zamykając drzwi słyszałem za sobą jej drwiący śmiech.

Brad patrzył na Phyl, ale ona miała wrażenie, że jej nie dostrzega.

- Od tej pory prześladował mnie jej śmiech. Słyszałem go w moich snach, budząc się i zasypiając. I ten uśmiech. Matka nie uśmiecha się w ten sposób do syna. - Z rozpaczą potrząsnął głową. - Była taka piękna.

Potem poszliśmy na zakupy i Rebeka kupiła sobie nowy, czerwony kapelusz ozdobiony piórkami. A później wstąpiliśmy na herbatę do eleganckiego hotelu, który lubiła. Spotkała tam przyjaciół. „Zobaczcie, jaka dobra ze mnie matka - powiedziała, śmiejąc się razem z nimi - zabieram mego syna na herbatę.” Znów przesłała mi ten sam znaczący uśmiech. „To chłopiec, który wie, jak dochować kobiecych tajemnic”, dodała i wszyscy się roześmieli.

Brad umilkł z twarzą ukrytą w dłoniach, a Phyl czekała, nie śmiejąc odetchnąć z lęku, by nie poruszyć jakiegoś następnego niebezpiecznego wspomnienia.

Westchnął głęboko.

- Po latach, kiedy już się rozwiedli, spytałem Jacka, dlaczego na to pozwalał. Wzruszył tylko ramionami i odparł, że sam nie żałował sobie przyjemności. Poza tym Rebeka była częścią wspaniałego wizerunku Kane'ów: piękna i bogata dama z towarzystwa, cudowna żona i matka. Myślę, że na swój dziwny sposób odpowiadali

sobie nawzajem. Oboje brali z życia to, czego chcieli. Zresztą kobiety nic dla Jacka nie znaczyły. Przypomniał mi, iż jedyną istotną rzeczą w naszym życiu jest Ranczo Kanoi. „Nigdy nie zapominaj o tym, synu”, powiedział. I ja nigdy nie zapomniałem.

Ojciec opowiedział mi historię rancza, o tym jak Archer je założył, o problemach finansowych jakie mieli, by je utrzymać. A także o majątku, który należałby do nich od wielu lat, gdyby nie było przyrodniego brata.

„Małpka, ten przekłety pomarszczony łajdak próbował ukraść nam pierworództwo, Brad - mówił mi ojciec. - Gdyby nie spryt twego dziadka Archera, udałoby mu się to i nie siedzielibyśmy teraz tutaj, na jednej z największych hodowli bydła w Ameryce. Wiem, że powinienem był go zabić, kiedy miałem okazję, bo czuję w kościach, że on ciągle gdzieś żyje i czeka jak zwinięty grzechotnik, by zaatakować. Pewnego dnia, synu, będzie próbował odebrać nam majątek. Będzie chciał zabrać to co rodzina Kane'ów wypracowała przez te wszystkie lata: nasz pot i trud, ziemię i dziedzictwo. Nasze nazwisko. Nie popełnij błędu. Kiedy przyjdzie, aby zażądać swego majątku, musisz działać. Szybko i bez litości.”

Brad popatrzył spokojnie na Phyl i powiedział cicho: - Czekałem na tę chwilę przez całe życie.

Phyl poruszyła się niespokojnie na brzegu krzesła. Wiedziała, że zmiany nastroju Brada, od gniewu i furii do lodowatego spokoju, zapowiadały kłopoty.

- I myślisz, że to kiedyś nastąpi? - zapytała cicho. Wstał, nalał sobie więcej brandy i wypił jednym haustem.

- Już nie - odparł zimno.

Phyl znów przeszedł lodowaty dreszcz. Czy Brad ma na myśli to, że Małpka powrócił i że on go zabił? Bała się zapytać i nagle poczuła, że nawet boi się być z nim sama.

- Wiesz, Jack omal nie zabił Rebeki, zanim odeszła - rzucił niedbale. - Mówił, że miała o jeden romans za dużo i coś się w nim po prostu załamało. Chwycił strzelbę i zagroził matce, że ją zastrzeli, ale ona roześmiała się tylko i odeszła. Wiedziała wszystko o nim i o rodzinie Kane'ów. „Niedaleko pada jabłko od jabłoni”, powiedziała pogardliwie, podjudzając go.

- O Boże - wyszeptła Phyl, lękając się zapytać, co się stało.

- Nie zrobił tego, chociaż powinien - mówił ponuro Brad. - Trochę ją tylko zbił. Zasługiwała na to. Stałem w drzwiach, patrzyłem jak ją upokarza i byłem zadowolony. Cieszyłem się kiedy sobie poszła i zostaliśmy z ojcem tylko we dwóch. Rozwiedli się, a my żyliśmy po swojemu, prowadząc ranczo. Jack posłał mnie do szkoły i na uniwersytet, ale powrót do domu był dla mnie zawsze największym świętem.

Brad opuścił głowę i z rękami w kieszeniach znów zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

- Nigdy już nie zobaczyłem mojej matki. Archer nie żył od wielu lat, kiedy dowiedzieliśmy się, że Rebeka miała wylew. Wegetowała jeszcze przez jakiś czas, ale nikt jej nie widywał. Mówili, że miała sparaliżowaną jedną stronę twarzy, a druga wyglądała normalnie, niemal pięknie. Lecz nie mogła mówić ani chodzić i kilka lat później zmarła.

Jack utonął podczas żeglugi, w rok po moim ukończeniu studiów. Mówili, że był pijany, ale ja w to nie wierzę. Był dobrym żeglarzem, prawdopodobnie złapał go nagły sztorm. Wiem, że nie dał mu rady. Inaczej nie zostawiłby mnie samego.

Odziedziczyłem cały majątek: ranczo, domy, wyspę - roześmiał się z goryczą. - I wieczne zagrożenie ze strony Małpki. Grzechotnik w sercu rodziny Kane'ów czekający by uderzyć.

Phyl popatrzyła na niego, zastanawiając się czy zadać niebezpieczne pytanie. Ale musiała znać odpowiedź.

- I co w związku z tym zrobiłeś? - wyszeptła.

Brad stanął przed nią i zajrzał głęboko w jej przerażone oczy.

- Cóż, oczywiście zająłem się tą sprawą - powiedział miękko. Phyl patrzyła ze zdumieniem na przystojną, łagodnie uśmiechniętą twarz, piękne, szalone oczy. Pomyślała o tym, co powiedział Mahoney.

Wyczuwasz przestępców, nawet jeśli pozornie wydają się normalni. Zwykli, na pozór porządni ludzie, tacy jak my wszyscy. Ale sławna doktor Forster z pewnością wie lepiej niż inni, co dzieje się w umysłach ludzi, w tych głębokich ciemnych zakamarkach. Co ukrywa się za urodą, urokiem osobistym i drogimi ubraniami. Ci, którzy biją żony, znęcają się nad dziećmi, mordercy, są po prostu ludźmi jak ty i ja.

Mahoney opisywał człowieka, na którego teraz patrzyła. Brad był podręcznikowym przykładem socjopaty, a ona, inteligentna doktor psychiatrii, nie zauważyła tego.

Wzdrygnęła się czując jego ręce na ramionach. Spuściła szybko głowę, bojąc się, że dostrzeże w jej oczach panikę. Musiała zachować spokój, ustępować mu. Musiała wydostać się stąd...

Brad odezwał się dobrze jej znanym, łagodnym, pełnym troski głosem:

- Moje biedactwo, gadałem przez całą noc. Zobacz, słońce już wzeszło. Kładź się spać, kochanie. Odpocznij trochę. - Spojrzał na zegarek i dodał tak lekko, jak gdyby nie było żadnych intymnych wyznań podczas tych długich godzin. - Omal nie zapomniałem. Jutro z samego rana mam spotkanie na ranczo. Polecę tam teraz.

Zamknęła oczy, starając nie skulić się ze strachu, kiedy składał na jej czole przelotny pocałunek.

- Wrócę za jakiś czas - obiecał, a jego głos brzmiał tak jak dawniej. - Chcę, żebyś tu na mnie czekała. Zostań w domu i nigdzie nie wychodź. Obiecujesz?

Skinęła tępo głową.

- To dobrze - uśmiechnął się z zadowoleniem. - Tym razem ci zaufam.

Phyl patrzyła, jak idzie do drzwi. Gwizdnął na psa. Nie przespana noc i wypity alkohol nie zostawiły na Bradzie śladów. Jego twarz była gładka i uśmiechnięta. W kosztownej koszuli i dobrze wyprasowanych dżinsach wyglądał na bogatego, wytwornego, światowego mężczyznę w każdym calu. Odwrócił się i przesłał jej pożegnalny uśmiech.

- Czekaj na mnie, Rebeko - powiedział zamykając drzwi.

Rozdział 33.

Phyl poczekała, aż usłyszy warkot odjeżdżającego samochodu, a potem pobiegła do swego pokoju i zaczęła gorączkowo wrzucać rzeczy do torby. Zatelefonowała na lotnisko i zarezerwowała miejsce na następny lot. Potem zadzwoniła po taksówkę i nerwowo spacerując po pokoju czekała na jej przyjazd. Nie wiadomo skąd pojawił się milczący chiński służący, który pomógł Phyl przenieść torbę. Była zaskoczona, że wie o jej odjeździe i doszła do wniosku, że musiał podsłuchiwać. Zastanawiała się, co jeszcze mogli usłyszeć służący w tym pełnym tajemnic domu.

U wyjścia zawahała się myśląc o tym co zrobi Brad, kiedy dowie się, że wyjechała bez wyjaśnienia. Napisała na kartce: „Brad, będzie lepiej, jeśli się już więcej nie zobaczymy. Nie mogę ci pomóc”, i podała liścik służącemu.

Wsiadła szybko do taksówki, wyglądając przez tylną szybę, jak gdyby spodziewała się zobaczyć Brada ścigającego ją ze złym dobermanem u nogi.

Pasażerowie wchodzili już na pokład samolotu, kiedy dotarła na lotnisko. Phyl zajęła swoje miejsce i odetchnęła z ulgą, gdy drzwi w końcu się zamknęły. Omal nie wybuchnęła płaczem, uświadamiając sobie, jak bardzo była przerażona. Nie chciała nawet zastanawiać się nad tym, co naprawdę oznaczał fakt, że Brad pomylił ją z Rebeką. Chciała tylko zasnąć i obudzić się za pięć godzin w San Francisco. A potem zobaczyć Mahoneya. Trzęsła się ze strachu. „O Boże - pomyślała - naprawdę potrzebuję Franka”.

Był nudny niedzielny wieczór. Mahoney, którego zmiana trwała od czwartej po południu do północy, doszedł do wniosku, że zegar musiał stanąć już kilka godzin temu. Właściwie powinien być zadowolony, iż handlarze narkotyków i uzbrojeni bandyci dają mu odetchnąć, ale czas włókł się niemiłosiernie.

Trochę bezmyślnie uderzał w klawisze komputera, aż na ekranie znów pojawiło się nazwisko Brada Kane'a. Bez końca wracał do znanych mu szczegółów, gdyż coś w panu Hawajskim nie dawało mu spokoju. Znalazł potwierdzenie, że ten człowiek potrafi być agresywny i może nie panować nad sobą.

Pierwszy wypadek miał miejsce na uniwersytecie. Brad napadł w barze na jakiegoś faceta. Niby nic niezwykłego, nieporozumienie między studentami, którzy wypili za dużo piwa. Tylko że tym razem atak był wyjątkowo brutalny: facet miał twarz poranioną tłuczonym szkłem. Pan Hawajski nie został skazany, gdyż ojciec wynajął mu sprytnego adwokata. Ofierze wypłacono rekompensatę nieznannej wysokości, a Brad Kane dostał dwa miesiące w zawieszeniu.

Kilka lat później został aresztowany za posiadanie broni zaczepnej, noża. Nie użył go, ale ofiara zeznała, że nim groził. Tym razem była to kobieta, zresztą prostytutka z Honolulu. Znów pieniądze przeszły z ręki do ręki i skończyło się na ostrzeżeniu.

Trzeci wypadek zdarzył się stosunkowo niedawno. Kilka miesięcy temu służący z rezydencji Kane'a stracił życie. Według sprawozdania, zaatakował go jeden z psów właściciela, doberman, który nagle się wściekł. Kane sam zastrzelił psa, a potem zatelefonował na policję. Powiedział im, że jest załamany. Ofiarą był staruszek pracujący dla rodziny od ponad pięćdziesięciu lat. Kane powiedział, że musi pilnie wyjechać w interesach, ale po powrocie odpowie na każde pytanie. I tak też się stało - miesiąc później - kiedy powrócił z Paryża. Staruszek został tymczasem pochowany na koszt Kane'ów i śledztwo było jedynie formalnością. Skończyło się na zeznaniu pod przysięgą i okazaniu żalu.

Mahoney westchnął i wyłączył komputer. Jeden wypadek młodzieńczej agresywności po wypiciu alkoholu można było pominąć, ale z pewnością nie dwa. A trzy, w tym jeden nie wyjaśniony, to już za dużo jak na życie jednego człowieka.

Zastanawiał się, czy nie zatelefonować na Hawaje do Phyl i nie powiedzieć jej, że odkrył coś, co mu się nie podoba i żeby, u diabła, wynosiła się stamtąd. Wtedy zadzwonił telefon.

Była to Phyl, a w tle dawał się słyszeć buczący pogłos.

- Dzwonię z samolotu - powiedziała. - Muszę się z tobą zobaczyć.

- Coś się stało? - zapytał szybko. - Nie zrobił ci nic złego?

- Nie, wszystko w porządku. Mój samolot przylatuje po północy.

- Może przyjechałabyś do mnie? Zostawię ci wiadomość na sekretarce, jeśli utknę w pracy.

- Dobrze, jesteś mi potrzebny, Mahoney.

- Miło mi to słyszeć. W końcu jesteśmy po to, by pomagać. - Wiedział, że Phyl nie żartuje.

Za chwilę telefon znowu zadzwonił. Kiedy podniósł słuchawkę, usłyszał głos z brytyjskim akcentem. - Mówi Nick Lascelles. Jestem przyjacielem Bei French i Phyl Forster.

- Jak się masz, Nick - odparł serdecznie Mahoney. - Wiele o tobie słyszałem od Bei i muszę ci powiedzieć, że były to same pochlebne rzeczy.

- Nie mogę dodzwonić się do Phyl - powiedział Nick - więc postanowiłem zatelefonować do pana. Prowadzimy poszukiwania dotyczące willi. Myślę, że Bea panu o tym mówiła. Znaleźliśmy w końcu powiązanie. Już wie, że chłopczyk ze snu to jej ojciec. Mieszkał w tym domu do piątego roku życia. Przywiózł tu córkę, kiedy miała czternaście lat, i opowiedział historię swego życia. Bea jest bardzo przygnębiona, proszę pana, bo przypominała sobie także, że zeszłego roku jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Jej ojcem był malarz John Jones.

Mahoney zagwizdał ze zdumienia. Znał i podziwiał prace Jonesa.

- Pamiętam, czytałem o tym w gazetach - powiedział. - To okropna historia. A co z resztą jej rodziny?

- Nie ma nikogo. Została sama.

Mahoney zastanawiał się, czy był to jeden z powodów utraty pamięci. Miała ze sobą z pewnością wystarczająco ciężki uraz.

- A co z wypadkiem w Rozpadlinie Mitchella?

- No właśnie. Nadal nie pamięta kto, i dlaczego próbował ją zabić. To ją doprowadza do szału. Była strasznie przygnębiona, ale dzięki dzieciom czuje się teraz lepiej. Pomyślałem, że powinienem zadzwonić i panu o tym powiedzieć. Bea uważa pana za przyjaciela.

- Tak, jesteśmy dobrymi kumplami. Kiedy zdarzył się wypadek, nie było nikogo z jej przyjaciół. Wydaje mi się, że nawet teraz nie ma ich wielu. Co się, u diabła, dzieje? Dziewczyna jest przecież córką słynnego artysty. Ktoś powinien zauważyć jej nieobecność.

- Mówiła, że po pogrzebie wyjechała na jakiś czas na farmę do Prowansji. Chciała być sama. Myślę, że ludzie uszanowali tę wolę i dlatego nikt jej nie przeszkadzał. Potem wróciła do Stanów, do domu w Berkshires, i nie pamięta zupełnie, co się później stało.

- No tak. Podaj mi jej pełne imię i nazwisko. Spróbuję nad tym popracować.

- Maria Laura Leconte Jones. Urodziła się w 1968 roku i mieszkała wraz z rodziną w Starym Młynie w Faversham, w Massachusetts. Wakacje spędzali na farmie Les Cerisiers, w pobliżu Bonnieux w Prowansji.

Mahoney skinął głową.

- Dobrze, że jesteś przy niej, Nick. Nie zostawiaj jej. Potrzebuje wszelkiej możliwej pomocy.

Odłożył słuchawkę, włączył komputer i przywołał długą listę nazwisk kobiet, przylatujących z ciepłych krajów na lotnisko międzynarodowe w San Francisco w tygodniu napadu na Beę. Szybko przebiegł je wzrokiem. Wszystkie zostały sprawdzone. Jeszcze raz przejrzał długą listę i wtedy znalazł. Nazwisko zaznaczono jako zweryfikowane. Przekłete komputery nie są niezawodne. Popołniają błędy tak jak ludzie.

„M. L. L. Jones - głosiła informacja - Lot Linii United 511 z Honolulu. Odlot 18.00. Przylot 23.00.”

A więc po raz kolejny Hawaje! Gwizdnął ze zdumienia. Może piorun uderza jednak dwa razy w to samo miejsce? Wykręcając numer Policji w Honolulu zastanawiał się, co młoda, niedawno osierocona Maria Laura mogła robić na Hawajach. Może po prostu spędzała tam wakacje. Warto było jednak podążyć tym tropem. Poprosił kolegów z Honolulu o sprawdzenie, kiedy przyjechała, w jakim hotelu się zatrzymała. Chciał wiedzieć wszystko, co mogło mieć związek ze sprawą. Potem narzucił kurtkę, odmeldował się i pojechał do domu na spotkanie Phyl.

Czekała na niego przed budynkiem. Nie miała makijażu, a pod jej niebieskimi oczami kładły się głębokie cienie.

- Wyglądasz okropnie - przywitał ją Mahoney.

- I tak właśnie się czuję.

Padła mu w ramiona, a on przytulił ją do siebie.

- Hej, co się dzieje? - zapytał łagodnie. - Wiem, że jestem superprzystojny, ale nie przypuszczam, aby moje notowania dorównywały panu Hawajskiemu.

Uścisk Phyl stał się jeszcze mocniejszy.

- Nie mów przy mnie o nim - powiedziała zduszonym głosem, kryjąc twarz na jego piersi.

- Aż tak źle?

- Jeszcze gorzej.

- Nie chcę być tym, który ci powie: a nie mówiłem. Wyraziłem już swoją opinię.

- Wiem. Mówiłeś mi, abym się już z nim nie spotykała. Powinnaś ci była wierzyć - powiedziała, idąc za nim po schodach do mieszkania.

- Powinnaś była wierzyć samej sobie. I instynkt, i mózg mówiły ci, że coś jest nie tak. Ale ty po prostu nie chciałaś przyjąć tego do wiadomości. Opadła na krzesło.

- Przyznaję, tak było - zgodziła się patrząc na niego ze skruchą. - Jak mogłam być taka głupia, Mahoney? Wzruszył ramionami.

- To nic trudnego. Po prostu wierzyłaś w to, czego sobie życzył Brad. Tak właśnie działa technika naciągacza.

- To coś więcej. On ma poważne zaburzenia umysłowe.

- Naprawdę? - Poszedł do kuchni i zabrał się do parzenia kawy. - Może zainteresuje cię fakt, że przeprowadziłem małe śledztwo dotyczące Brada Kane'a. Nie mogę powiedzieć, abym był zaskoczony, znajdując go w naszej kartotece. - Phyl popatrzyła na niego z lękiem. - Och, nic poważnego - rzucił. - Po prostu pociął chłopaka stłuczoną butelką po piwie i groził nożem prostytutce. Nic naprawdę złego. Na razie.

- Przeraził mnie - powiedziała.

- Co się stało? - Nalał mocnego, gęstego espresso do małych filiżanek i postawił je na tacy wraz z cukierniczką z brązowym cukrem.

- Nazwał mnie Rebeką.

Rzucił jej bystre spojrzenie, a potem się uśmiechnął.

- Tak miała na imię jego matka?

- To nie jest śmieszne - powiedziała obronnym tonem.

- Masz zupełną rację. To jest chore.

- Przeraził mnie. Mówił przez całą noc, spacerując po pokoju, jak... jak zwierzę w klatce. Opowiedział mi wszystko o swoim złym dziadku, o Jacku i Rebecce. O Boże, Mahoney - rozpląkała się. - On chyba kogoś zabił.

Podał jej filiżankę z kawą.

- Słodzisz? - zapytał uprzejmie. Wsypała trochę cukru patrząc na niego martwym wzrokiem. - W porządku - powiedział - najpierw wypij kawę, a potem opowiesz mi wszystko od początku.

Phyl posłusznie wykonała polecenie, a Mahoney słuchał jej, tym razem nie przerywając.

- Czy ty myślisz, że zabił Małpkę? - zapytał. Skinęła głową.

- A co mam myśleć?

- Myślałaś, że może i ciebie chce zamordować?

- Nie wiem - odparła bezradnie. - Wpadał we wściekłość, a potem się uspokajał. Bałam się. Wiesz, instynkt mi coś podpowiadał... ale nie mogłam w to uwierzyć. Patrzyłam na niego, takiego miłego, z tyloma sukcesami i och... sama nie wiem. Jest człowiekiem, który ma wszystko. A potem przypominałam sobie, co mi mówiłeś o mordercach i sadystach, że wyglądają jak zwykli ludzie, kryjąc swe grzechy pod eleganckimi ubraniami i pozorami normalności.

Jako psychiatra rozumiałam, co go zniszczyło, pogrążyły go sprawy związane z Rebeką. Wiem, że Jack go tyranizował i był człowiekiem pozbawionym jakichkolwiek zasad moralnych. Przez chwilę prawie było mi szkoda Brada. A potem zrozumiałam, że jest już za późno, że zamknął się w świecie swoich fantazji i wyobrażeń. Och, znakomicie umiał zachować pozory. Nikt by się niczego nie domyślił. I wtedy właśnie zaczęłam się bać, bo wiedziałam, że jest zdolny do wszystkiego.

- Myślisz, że mylił cię z Rebeką?

- Tak - zgodziła się cicho. - Miłość walczy w nim z nienawiścią do niej, ale wiem, że nienawiść zwycięży.

- No to mamy problem - stwierdził Mahoney. - Gdzie jest teraz pan Hawajski?

- Po tej szalonej nocy - w jej głosie było zdziwienie - kiedy już wszystko z siebie wyrzucił - a mogę przysiąc, że zrobił to po raz pierwszy w życiu - spokojnie oświadczył, że ma spotkanie na ranczo. Poleciał tam i miał wrócić później. Ranczo jest na pierwszym miejscu bez względu na wszystko! - Drgnęła. - Dzięki Bogu, że tak jest, bo inaczej nie wiem, co mógłby zrobić...

- A więc nadal jest na Hawajach?

- Tak.

- Szkoda. - Mahoney uśmiechnął się. - Myślałem, że zostaniesz u mnie na noc. Oczywiście ze względów bezpieczeństwa, na wypadek gdyby się pojawił.

- Nawet tobie nie uda się taki numer. - Roześmiała się wbrew sobie.

Mahoney ponownie skierował się do kuchni. Wyjął z lodówki kurczaka i zaczął go dąć nożycami. Phyl skrzywiła się, a on uśmiechnął się do niej.

- Nie martw się, ugotuję tylko trochę zupy. A tymczasem, abyś nie myślała, że wszystko układa się źle, mam trochę dobrych wiadomości: Bea odzyskała pamięć.

Phyl otworzyła usta.

- O Boże! - krzyknęła. - A ja znów nie byłam wtedy przy niej.

- Nie byłaś potrzebna - powiedział Mahoney, opiekając kurczaka na patelni o miedzianym dnie i dorzucając do niego garść pokrojonych warzyw. - Jest z nią Nick. - I powtórzył Phyl to czego się od niego dowiedział.

- Tak to wygląda - rzekł w końcu. - Bea to Maria Laura Leconte Jones. I na skutek dziwnych wyroków losu tej nocy, gdy ją zaatakowano, przyleciała do San Francisco z Honolulu.

Oczy Phyl rozszerzyły się.

- To oczywiście zbieg okoliczności - powiedziała.
- Jak wiesz, wierzę głęboko w zbiegi okoliczności. Szczególnie tam, gdzie w grę wchodzi zbrodnia. - Podał jej kieliszek czerwonego wina.
- Biedna Bea. To znaczy Maria Laura - powiedziała ze smutkiem Phyl. - Straciła rodziców, a potem napadł na nią jakiś szaleniec. Nic dziwnego, że wyrzuciła to wszystko z pamięci.
- Nic dziwnego - zgodził się dolewając rosółu do kurczaka na patelni.
- Lecę do Francji - postanowiła nagle Phyl i poszła zdecydowanie w kierunku telefonu. - Zadzwoń do linii lotniczych i zarezerwuję miejsce w pierwszym samolocie odlatującym jutro do Paryża.
- Oczywiście, pani doktor - rzekł spokojnie - ale przedtem proszę coś zjeść. Zupa będzie gotowa za dziesięć minut, a założę się, że nie jadłaś od dwudziestu czterech godzin.

Mahoney miał rację. Zarezerwował Phyl bilet do Nicei z lądowaniem w Waszyngtonie. Z ulgą uświadomiła sobie, że wyjazd na spotkanie z Beą oddali ją o tysiące kilometrów od Brada.

Spojrzała na Mahoneya. Opierał się o framugę okna. Za nim rozpościerała się panorama zatoki, po której przesuwały się jasno oświetlone statki, a mrugające światła mostów wyglądały jak girlandy zawieszane na niebie. Mahoney skrzyżował ramiona na piersiach i podśpiewywał dobiegającą z głośników w głębi pokoju arię Mozarta. Wyglądał na rozluźnionego, w zgodzie ze sobą i swoim otoczeniem. Phyl pomyślała, że stanowi przeciwieństwo Brada miotającego się po mieszkaniu jak roz-wścieczone zwierzę.

- Co postanowisz w związku z Kane'em? - zapytał Mahoney, jakby czytając w jej myślach.

- Jutro mnie już tu nie będzie - powiedziała stanowczo. - Napiszę mu w liście, że nie mogę się z nim więcej widzieć. Polecę mu terapeutę na Hawajach. Może do czasu mojego powrotu jakoś się z tym pogodzi.

- Naprawdę tak myślisz? - Mahoney spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Mam nadzieję - powiedziała sięgając zmęczonym ruchem po kurtkę.

W drodze do domu panowała między nimi męcząca cisza.

- Szkoda że nie jedziemy jutro razem - powiedział, kiedy wysiadała przed budynkiem.

- Szkoda - popatrzyła na niego w zadumie.

- Uważaj na siebie i na Beę Marię Laurę. Nie wiem, która z was bardziej teraz tego potrzebuje. - Pocałował ją lekko w oba policzki i patrzył, aż zniknie w drzwiach, a potem odjechał pustą ulicą.

Jadąc na górę windą, Phyl żałowała, że nie ma ze sobą kota. Z niechęcią myślała o pustym mieszkaniu, ale Coco miała zostać u Mahoneya aż do jej powrotu z Francji. Otwierając drzwi, przypomniała sobie, jak ceniła kiedyś swoją prywatność. Teraz zrozumiała, że była to samotność.

W mieszkaniu panowała ciemność i Phyl się zawahała. Mogła przysiąc, że jak zawsze, zostawiła zapaloną lampę. Poczuła, że cierpnie jej skóra na karku, kiedy wpatrywała się w ciemny hali przesuując ręką po ścianie w kierunku kontaktu. Nagle dotknęła czyjś ciepłego ciała.

Brad otoczył ją ramionami i zasłonił usta ręką, zamykając kopniakiem drzwi.

- Zostawiłaś mnie znowu, Rebeko - wyszeptał ochryple. - Dlaczego to zrobiłaś? Przecież wiesz, jak bardzo cię kocham.

Zapalił światło. Obróciła się, patrząc na niego ze strachem.

- Jak tu wszedłeś? - zapytała gwałtownie. Uśmiechnął się chłodno, unosząc klucz.

- Podrobiłem twój na Hawajach - powiedział spokojnie. - Chciałem mieć pewność, że będę mógł dostać się do ciebie o każdej porze dnia i nocy.

Nie mogła oderwać wzroku od jego oczu jak ptak hipnotyzowany przez węża. Brad w swym nienagannym stroju, niebieskim kaszmirowym swetrze, codziennych spodniach i mokasynach wyglądał niczym doskonale ubrany dżentelmen. Ale jego ukryte za złotymi oprawkami okularów jasne oczy nie uśmiechały się. Były lodowate, zapatrzone w głąb siebie i Phyl wiedziała, że Brad przebywa teraz w swym wymyślanym świecie.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem - powiedział. - Mój Boże, cała się trzęsiesz. - Zrobił krok w jej kierunku, wyciągając ramiona, a ona instynktownie się cofnęła. - Daj spokój, Rebeko. Wiesz, że nie umiem przeproszać. Przyjechałem po to, by zabrać cię do domu. Przecież najszcześniejsza jesteś w Diamentowej Głowie. Chcę, abyś była ze mną i już nigdy więcej mnie nie opuszczała.

Phyl przesuwiała się chyłkiem w kierunku sypialni. Nie mogła oderwać od Brada przerażonych oczu.

- Nie odchodź ode mnie - mówił z zagadkowym uśmiechem. - Przecież mnie kochasz, a ja chcę tylko usłyszeć, jak mi to mówisz.

Była już prawie w drzwiach sypialni. Serce waliło jej jak maratończykowi. Jeśli będzie wystarczająco szybka, zdoła zatrzasnąć drzwi i zamknąć się na klucz. Pomyślała tęsknie o stojącym przy łóżku telefonie i o Mahoneyu...

- Powiedz to, Rebeko. - Brad szedł w jej kierunku. - Powiedz, że mnie kochasz, najdroższa. Powiedz, że nigdy mnie nie opuścisz.

Jej nogi były jak z kamienia. Zamarła ze strachu, kiedy się zbliżył. Już się nie uśmiechał, jego oczy były zimne.

- Brad - powiedziała z rozpaczą - tak nie można. Oczywiście, że troszczę się o ciebie. Jesteś moim przyjacielem. - Zrobiła szybki krok do tyłu podnosząc ręce, by się przed nim osłonić. Nie chciała powiedzieć czegoś, co obudziłoby jego szaleństwo.

- To coś więcej niż przyjaźń - powiedział, gdy stawiała kolejny, ostrożny krok w kierunku sypialni. - Taka miłość jak nasza jest wieczna. Wiesz o tym, Rebeko.

Kątem oka widziała klamkę., Jeszcze jeden krok - pomyślała - tylko jeden i będę bezpieczna." Nagle skoczyła do drzwi i zatrzasnęła je za sobą, szlochając z przerażenia. Ale nie zamknęły się. Spojrzała w dół i zobaczyła stopę w kosztownym mokasynie. Usłyszała śmiech Brada, którego ręka, a potem ramię pojawiły się w szczelinie między drzwiami a ścianą.

Drzwi otworzyły się, a Phyl opadła skulona na podłogę. Szlochając ukryła twarz w dłoniach. Czowała, że patrzy na nią. Nic nie mówił, w końcu Phyl spojrzała na niego spomiędzy palców. Stał z założonymi rękami, przyglądając się jej, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Nagle przyklęknął obok i wziął ją za rękę.

- Nie możesz znowu mnie odrzucić, Rebeko - powiedział łagodnie.

Pomógł jej się podnieść, patrząc na nią ze smutkiem.

- Biedactwo - powiedział miękko. - Biedna, piękna dziewczyna. Delikatnie odsunął z twarzy Phyl potargane włosy, nie spuszczać z niej wzroku. Potem ujął ją za rękę.

- Brad - powiedziała z rozpaczą - nie wolno ci nazywać mnie Rebeką. Jestem Phyl. Pamiętasz? Jestem lekarzem. Lubisz ze mną rozmawiać.

- Guślarka - powiedział. - Pamiętam.

- Rebeka była twoją matką, Brad. Wszystko mi o niej opowiedziałeś.

- Nie wszystko - rzekł tym samym tonem, a Phyl przeszedł dreszcz..

Ciągle trzymał ją za ręce, ściskając je niczym w imadle. Phyl wyobraziła sobie dłonie Brada zaciskające się na jej szyi i odbierające życie. Zabijające Rebekę.

Pokonała ogarniającą ją falę przerażenia, starając się zachować przytomność umysłu. Zwycięży go, jeśli uda jej się wyperswadować mu to wszystko.

- Chcę z tobą porozmawiać, Brad. - Mówiła powoli starając się, by nie zadrżał jej głos. Musi mu pokazać, że panuje nad sobą, musi przejąć inicjatywę. To jej jedyna szansa.

- Mówiłeś, że jestem twoją spowiedniczką, a teraz chcę, żebyś opowiedział mi wszystko o Rebecce. Wiesz, że jestem tu po to, by ci pomóc.

- Zdradziłaś mnie. - Jego ręce zacisnęły się mocniej. - Obiecałaś, że zostaniesz. Wiesz, że nie powinnaś była tego robić, Rebeko. - Przyciągnął ją namiętnie do siebie i pochylając głowę, pocałował w usta.

Phyl zwiśla bezwładnie w jego ramionach, drżała, pragnęła krzyknąć, odepchnąć go od siebie. Brad uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Proszę, Brad. Muszę z tobą pomówić - powiedziała szybko. - Jestem taka zmęczona... Czuję się okropnie...

Dźwignął ją i zaniósł do łóżka. Położył delikatnie, a potem usiadł obok. Miał zmarszczkę między brwiami, jakby się czemuś dziwił. Podniósł poduszkę i odwrócił się do Phyl.

Patrzyła na trzymaną przez niego poduszkę i wiedziała, co zamierza zrobić. Oczy pociemniały jej z trwogi.

- Dlaczego jesteś taka przerażona, Phyl?

Złapała oddech uświadamiając sobie, że zwrócił się do niej po imieniu, że przypomniał sobie, kim ona jest. W popłochu szukała sposobu, by wyprowadzić go z mieszkania.

- Jestem strasznie głodna, Brad - powiedziała szybko. - Może poszlibyśmy coś przegryźć? Ty też musisz umierać z głodu. Moglibyśmy pójść do II Fornaio. Przecież lubisz ich tiramisu. Pomówilibyśmy rozsądnie o tym wszystkim. Chcę ci pomóc, Brad. Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

W jego oczach było niedowierzanie.

- Obiecujesz, że więcej mnie nie opuścisz? - zapytał głaszcząc jednostajnym ruchem jej ramię.

- Tak? tak, obiecuję. - Patrzyła na niego bez tchu, modląc się w duchu, by się zgodził.

Nagle ciszę przerwał dzwonek telefonu. Phyl wpatrywała się w aparat, jakby stamtąd miało nadejść ocalenie.

- Lepiej odbiorę. Spodziewałam się telefonu od kolegi z pracy - skłamała szybko. - Jeśli nie podniosę słuchawki, będzie się zastanawiał, co się stało.

Brad uniósł dłoń. Pokręcił przecząco głową, patrząc na stojący na stoliku przy łóżku telefon. Phyl ogarnął strach i uczucie zawodu. Już niemal go przekonała, niemal wyprowadziła z mieszkania... Kto, na Boga, mógł do niej dzwonić?

Telefon zamilkł, a oni siedzieli nieruchomo w narastającej ciszy. Brad wciąż patrzył na stolik przy łóżku i Phyl zastanawiała się, czy ma zamiar wyrwać ze ściany gniazdko telefoniczne. Ale on poniósł fotografię Marii Laury, tę, którą Phyl zrobiła jej przed odjazdem do Nowego Jorku. Dziewczyna wyglądała na niej ładnie i słodko, z przyciętymi włosami i wielkimi, przestraszonymi oczami.

Brad uniósł zdjęcie do światła i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- Skąd ją znasz? - zapytał „innym” głosem.

- Jest moją pacjentką, tą, która straciła pamięć. Mówiłam ci, że się zaprzyjaźniłyśmy.

- Jak ma na imię?

Nie widziała jego oczu, a ręka trzymająca fotografię drżała.

- Nazywa się Bea French - odparła nie wiedząc, co o tym myśleć.

- French? - Spojrzał na dziewczynę na zdjęciu, a potem znowu na Phyl. - Jesteś pewna?

- No tak... nie. Zapomniałam, że znane już jest jej prawdziwe nazwisko: Maria Laura Leconte Jones. - Phyl wybuchnęła histerycznym śmiechem. Wiedziała, że to, co mówi, nie ma żadnego sensu...

Brad podniósł się. Włożył fotografię do kieszeni i spojrzał na Phyl, która leżąc na łóżku, śmiała się i płakała na przemian. Jego oczy znów miały ten wyraz, jak gdyby był daleko stąd.

- Biedactwo. Jesteś zdenerwowana i przemęczona. Może prześpisz się teraz?

Leżała sparaliżowana strachem, kiedy szedł do drzwi. Odwrócił się, posyłając jej swój dawny pewny siebie uśmiech.

- Mam coś do załatwienia. A potem obiecuję ci, że wszystko będzie dobrze. Wrócę za parę dni. Pomyśl o wyjeździe ze mną na Kalani w ten weekend. Możemy tam dokończyć naszą rozmowę. Kalani to cały mój świat, dusza rodziny Kane'ów. A ja chcę podzielić się z tobą wszystkim, co mam najlepszego.

Ciągle się uśmiechając wyszedł. Słyszała jego pewne kroki, a potem stuknięcie zatrzasku w drzwiach. Zapadła cisza.

Phyl ciągle leżała nieruchomo, bojąc się drgnąć. Nadśluchiwała. Może on próbuje ją oszukać? Może czeka za drzwiami by złapać ją za gardło, kiedy wyjdzie z pokoju. Ostrożnie opuściła nogi na podłogę i znów nadśluchiwała.

Boso, na palcach przeszła przez pokój do drzwi i wyjrzała, przywierając do ściany. Wysunęła się z pokoju rozglądając nerwowo wokół siebie. Może ciągle gdzieś się ukrywa, czeka by ją złapać i w końcu zabić. Nagle nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Jak wariatka zaczęła krzyczeć i biegać z pokoju do pokoju otwierając drzwi.

- Wychodź, ty przeklęty łajdaku - wrzeszczała... W końcu zamknęła drzwi wejściowe na zasuwę i szlochając osunęła się na podłogę.

- O Boże - łkała - pomóż mi... Przyciskając słuchawkę do ucha, wykreśliła numer Mahoneya. Dzwonił i dzwonił. - Odbierz telefon, Mahoney - jęknęła - proszę, odbierz go...

Mustang Mahoneya z piskiem opon skręcił w ulicę Phyl. Franco zaklął na widok czarnego porsche'a gnającego w jego kierunku środkiem drogi. Szybko zjechał na prawo, najeżdżając na chodnik i omal nie zawadzając o hydrant.

- Na miłość boską, człowieku - warknął, oglądając się ze złością za znikającymi tylnymi światłami porsche'a. Nagle jęknął uświadamiając sobie, że widział samochód Brada Kane'a.

Wyskoczył z mustanga i przebiegł przez ulicę do budynku. Położył palec na dzwonku i przestał dzwonić dopiero gdy pojawił się czerwony z gniewu portier. Mahoney pokazał mu odznakę i zapytał, czy jest w domu doktor Forster.

- Jest. A jeden dzwonek zupełnie by wystarczył - odciął się portier.

- Nie dzisiaj - rzucił Mahoney idąc szybko po miękkim dywanie do windy.

- Proszę poczekać. Muszę jej powiedzieć, że pan przyszedł! - wrzasnął tamten. - Takie jest zarządzenie.

- Dzisiaj nie ma żadnych zarządzeń, chłopie - powiedział Mahoney. - Nie waż się podnosić słuchawki.

Nacisnął guzik windy i czekał niecierpliwie, aż drzwi się zamkną. Kiedy zadzwonił do Phyl, a ona nie podniosła słuchawki, zaczął się niepokoić. Wiedział, że jest w domu, więc czekał. Kiedy ciągle nie odbierała, zaczął zastanawiać się, co się dzieje. Coś musiało się wydarzyć. Może Brad Kane pojawił się niespodziewanie? Phyl mówiła, że jest w drodze na rancho, a potem ma wrócić do Diamentowej Głowy. Nagle

Mahoney uświadomił sobie, że Brad ma prywatny samolot. Może dotrzeć wszędzie, gdzie chce, zanim ktoś inny zdąży kupić bilet.

Wyszedł z windy i zadzwonił do drzwi Phyl, Potem przyłożył do nich ucho i zaczął nadśluchować. Kiedy nie dobiegł go żaden dźwięk, zaczął walić pięściami.

- Phyl! - wrzasnął. - Otwórz. To ja, Mahoney. Drzwi otworzyły się raptownie, a Phyl szlochając rzuciła mu się w ramiona.

- Mahoney, dzięki Bogu. Och, Franco - płakała.

- W porządku, już dobrze, maleńka. - Wprowadził ją delikatnie do środka. - Czy był tu Brad? Nic ci nie zrobił?

- Chciał zabić Rebekeę - powiedziała, a jej niebieskie oczy były pełne przerażenia.

- I co go powstrzymało?

- Zadzwonił telefon i jakby prysnęło zakłęcie. Myślę, że to go opamiętało.

Pod Phyl nagle ugięły się nogi i opadła bezradnie na sofę. Mahoney popatrzył na pobladłą twarz swej przyjaciółki. Potem skontrolował skromny zapas trunków i nalał jej mocnego bourbona.

- To ci dobrze robi - powiedział. - Chcę abyś odpowiedziała mi na parę pytań. - Skinęła głową, popijając bourbona i patrząc na niego z ufnością. - Czy cię napastował?

- Chwycił mnie za rękę i zatkał mi usta dłonią, ale nie uderzył.

- Czy wpuściłaś go do mieszkania?

- Już tu był, kiedy przyszłam. Zaskoczył mnie.

- A więc jak, u diabła, się dostał?

- Podrobił moje klucze, kiedy byliśmy na Hawajach.

- A co z portierem? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Wiesz, jaki jest Brad. Robi dobre wrażenie. Był tu przedtem i myślę, że odźwierny go sobie przypomniał. Pewnie powiedział, że prosiłam, aby na mnie zaczekał, że dałam mu klucze...

Popatrzyła błagalnie na Mahoneya.

- I co my teraz zrobimy?

- Niewiele. Dostał się bezprawnie do twego mieszkania, ale zawsze może twierdzić, że dałaś mu klucze. Mimo wszystko byliście przyjaciółmi. Może powiedzieć, że była to tylko sprzeczka zakochanych. Takie rzeczy są na porządku dziennym, choć raczej nie w takich eleganckich mieszkaniach.

- Ale on jest szalony, Mahoney. Myśli, że jestem jego matką i to ją kocha - a nie mnie!

Mahoney wiedział o tym i to właśnie go niepokoiło. Szaleńcy są nieobliczalni. Nie można przewidzieć, jakie będzie następne posunięcie Brada Kane'a.

- Powiedziałaś, że wyszedł, kiedy zadzwonił telefon. To znaczy po prostu wstał i poszedł sobie?

Pokręciła głową,

- Położył mnie na łóżku. Wziął do ręki poduszkę. Myślałam, że chce mnie udusić... Próbowałam mówić do niego, jakoś go uspokajać. Już wydawało mi się, że się opamiętał. Przypomniał sobie, kim jestem. Chciałam wyprowadzić go z mieszkania, zaproponowałam, żebyśmy poszli coś zjeść i omówili całą sprawę. Wtedy zadzwonił telefon i oboje aż podskoczyliśmy. Patrzyliśmy tylko na niego i słyszeliśmy jak dzwonił i dzwonił... aż wreszcie przestał. Brad wpatrywał się w stolik przy łóżku i myślałam że chce wyrwać gniazdko ze ściany. Ale on wziął do ręki fotografię Bei.

Phyl oszołomiona patrzyła na Mahoneya.

- Zapytał mnie, kto to jest. Wspominałam mu już o niej przedtem, mówiłam, że dziewczyna straciła pamięć. Powiedziała, że to Bea French a właściwie Maria Laura Leconte. Wtedy Brad zrobił coś dziwnego. Włożył zdjęcie do kieszeni. Powiedział, że

ma coś do załatwienia i że wróci za parę dni. Chciał, abym pojechała z nim w ten weekend na Kalani, gdzie będziemy mogli jeszcze porozmawiać. A potem wyszedł.

- Ale dlaczego zabrał fotografię Bei? Czy spotkał ją kiedyś tutaj?

- Nigdy. Daję słowo, że nigdy się tu nie spotkali.

Mahoney spacerował po pokoju z rękami założonymi do tyłu zastanawiając się, co Bea French lub Maria Laura może mieć wspólnego z szaleńcem zakochanym we własnej matce i przenoszącym tę manię na Phyl. Westchnął patrząc na nią: siedziała na brzegu sofy ze zsuniętymi kolanami i kostkami u nóg skrzyżowanymi jak u dziecka. W dłoni ścisnęła pusty kieliszek po bourbonie. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Miała twarz całkowicie pozbawioną kolorów, jeśli nie liczyć cieniów pod oczami.

- Chodź, skarbie - powiedział, wyjmując jej z dłoni kieliszek. - Jedziesz ze mną do domu. Posłała mu drżący uśmiech.

- Względy bezpieczeństwa? - zapytała, przypominając sobie, jak śmiali się przedtem na myśl o tym.

- Jak najbardziej, kochanie - powiedział narzucając jej kurtkę na ramiona. - Odstąpię ci moje łóżko, a Coco dla towarzystwa wtuli się w zgięcie twoich kolan. Ja będę spał w sąsiednim pokoju i dopilnuję, aby nikt ci nie przeszkadzał.

- Och, Mahoney - powiedziała wspierając się o niego, kiedy zjeżdżali windą na dół. - Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Cztery godziny później Mahoney był ciągle jeszcze na nogach. Siedział na swym ulubionym miejscu, oparty o framugę okna i patrzył na mgłę, która przetaczała się wielkimi, miękkimi falami na horyzoncie, spowijając mosty i cały krajobraz. Zaczął znów spacerować po pokoju, a bury kot wodził za nim żółtymi oczami. Żałował, że nie może włączyć jakiejś muzyki, czegoś smutnego, przejmującego i trochę kiczowatego, coś w rodzaju arii Pucciniego czy Verdiego. Ale Phyl spała jak zabita. Lub prawie zabita, poprawił się. Tylko dzięki temu, że zadzwonił w stosownej chwili.

Nie rozumiał jedynie, jaki to wszystko miało związek z Marią Laurą Leconte. Po co potrzebna była Bradowi jej fotografia? Może miał jeszcze jakąś inną obsesję? A może jego problemy były jeszcze bardziej skomplikowane? Nie mieli przecież do czynienia z normalnym mężczyzną. A jednak faktem było, że Maria Laura przyleciała tamtego wieczoru z Hawajów. Było to jak na razie jedyne ogniwo łączące dwie sprawy.

Mahoney zdecydował się odłożyć tę dotyczącą Marii Laury na później. Najważniejszą rzeczą było zapewnienie ochrony Phyl. Brad Kane powróci i nie pogodzi się z tym, że Phyl go nie chce.

Z westchnieniem rzucił się w końcu na sofę i zamknął oczy. To była długa noc. Pomyśli o tym wszystkim później, kiedy jego mózg znów zacznie funkcjonować. Za kilka godzin wsadzi Phyl do samolotu lecącego do Francji. Tam przynajmniej znajdzie bezpieczne schronienie, a on będzie miał czas, by dowiedzieć się czegoś więcej o panu Hawajskim.

Rozdział 34.

Poranek w Cannes był piękny. Łagodny powiew szeleścił liśćmi palm i rozwiewał krótkie włosy Marii Laury. Jechała wraz z Nickiem czerwonym alfa romeo wzdłuż Croisette, a potem przez labirynt jednokierunkowych uliczek.

- Dokąd jedziemy? - zapytała. Nick uśmiechnął się tylko i odparł:

- To niespodzianka.

- Myślę, że wiem jaka - powiedziała dziewczyna, gdy zaparkował przed Miejską Galerią Sztuki.

- Założę się, że nie - rzucił.

Wziął ją za rękę i po schodach pobiegli do wejścia. Szybko mijali kolejne sale.

- Zamknij oczy - zażądał w końcu.

- Chcesz mi pokazać jeden z obrazów mojego ojca, prawda? - Uśmiechnęła się. - Założę się, że portret niani Beale.

- Mówiłem ci, że to niespodzianka. W porządku, możesz już otworzyć oczy - powiedział cicho.

Maria Laura zobaczyła przed sobą naturalnej wielkości portret brzydkiej ciemnowłosej kobiety w źle dobranej żółtej jedwabnej sukni. Twarz modelki mimo grubych rysów wyglądała miło i choć nie była już młoda, długie włosy w dziewczęcy sposób związała z tyłu wstążką. Pędzel malarza nie złagodził kryjącego się w smutnych, brązowych, głęboko osadzonych oczach braku pewności siebie.

- Maria Antonina Leconte - powiedziała cicho Maria Laura. - Moja babka.

- Odkryłem ten obraz przypadkiem - wyjaśnił Nick. - Poszukiwałem zdjęć w archiwum gazety i przeczytałem o nim. Czy nie tak właśnie ją sobie wyobrażałaś? Portret został namalowany kilka lat przed poznaniem Archera Kane'a. Zanim podjął próbę przekształcenia jej w podlotka z lat dwudziestych, z krótkimi sukienkami i obciętymi włosami,

- Najsmutniejsze, że odebrał jej tym godność - westchnęła Maria Laura. - Cieszę się, iż malarz ukazał ją taką, jaka naprawdę była.

Objęci w pół wyszli z galerii i udali się z powrotem do samochodu, myśląc ciągle o Marii Antoninie Leconte. Pojechali na lunch do ulubionego baru w pobliżu targowiska, a potem do jubilera po zaręczynowy pierścionek.

- Chcę, aby Phyl pierwsza się o tym dowiedziała - powiedziała Maria Laura, patrząc pełnymi szczęścia oczami na staroświecki pierścionek z diamentem. - Zachowajmy to w sekrecie, dopóki ona tu nie przyjedzie.

Brad Kane jechał lśniącym, czarnym ferrari zwirowanym podjazdem prowadzącym do willi Mimoza. Wiedział, że Marii Laury, znanej jako Bea, nie ma w domu. Widział, jak odjeżdżała. Niedługo potem zatelefonował do gospodyni.

- Nazywam się Johnny Leconte - skłamał. - Jestem starym przyjacielem panny French ze Stanów. Umówiłem się z nią na lunch w Antibes. Prosiła, abym przywiózł dzieci. - Gospodyni zawahała się, ale jego śmiech miał w sobie uspokajający urok. - Będzie to wyjątkowa uczta, po raz pierwszy spróbują sławnej bouillabaisse.

Uspokojona, obiecała, że dzieci będą gotowe za dziesięć minut.

Czekały na niego na schodach, a Brad zobaczył, jak oczy chłopca otwierają się szeroko na widok samochodu.

- Ojejku! - wrzasnął Scotty. - Prawdziwe ferrari. Tak śpieszył się obejrzeć lśniącego czarnego potwora, że omal nie spadł ze schodów. Gładząc lakier, przyglądał się wykładanemu drzewem wnętrzu, skórzanej tapicerce i błyszczącej tablicy rozdzielczej.

- Wskakuj, przyjacielu - uśmiechnął się do niego Brad. - Pokażę ci, jak świetnie się go prowadzi.

Jacinta z Julią za rękę podeszły do nich.

- Cześć! - powiedział dobrodusznie Brad. - Jestem Johnny i wiem, że ty nazywasz się Julia. Bea opowiadała mi o tobie.

- Gdzie jest Bea? - zapytała podejrzliwie dziewczynka patrząc na niego bez uśmiechu.

- Mówiłam ci przecież, że czeka na was w restauracji - powiedziała Jacinta patrząc z aprobatą na Brada i jego ekskluzywny samochód. - Jedźcie teraz z panem Johnnym i bawcie się dobrze.

Scotty w podnieceniu wgramolił się do ferrari, a Julia poszła za jego przykładem.

- Proszę się nie martwić, nie będę jechał za szybko. - Brad posłał Jacincie beztroski uśmiech. - Dzieci będą pod dobrą opieką - obiecał, włączając potężny silnik. Odjechali w fontannie żwiru.

Po niespiesznym lunchu Nick podrzucił Marię Laurę do willi. Niechętnie zostawiał ją samą, ale miał jeszcze coś do załatwienia. Wiedział, że ciągle lęka się wspomnień o tym, co mogło wydarzyć się w nocy przy Rozpadlinie Mitchella. Powiedział, że będzie za godzinę i razem pojedą po Phyl na lotnisko do Nicei.

- Cieszę się, że spotkałam właśnie ciebie, Nick! - zawołała za nim, kiedy odjeżdżał. Zatrąbił wesoło, znikając za zakrętem podjazdu.

Maria Laura była w świetnym humorze, wchodząc po schodach do willi. „Do mojej willi”, pomyślała z uśmiechem, wspominając Millie. Nie było dnia, aby o niej nie myślała. Willa Mimoza okazała się najpiękniejszą pamiątką po Millie Fenwick.

- Julio! - zawołała, idąc przez ciche hali. - Scott!

Ale nikt nie wybiegł na jej powitanie. Wyszła na taras z tyłu domu i osłaniając ręką oczy, spojrzała ponad trawnikiem w kierunku basenu. Tam także nie było nikogo. Zawróciła do kuchni spytać Jacinty, gdzie są dzieci.

- Przecież zabrał je pani znajomy, tak jak pani prosiła - odparła gospodyni.

Maria Laura otworzyła szeroko oczy.

- Przecież Nick był ze mną!

- Nie mówię o panu Nicku. Pani znajomy, monsieur Leconte, przyjechał po nie wielkim czarnym ferrari - uśmiechnęła się Jacinta. - Dzieci były zachwycone. Mówił, że przysłała go pani po nie i że macie się spotkać na lunchu w Antibes.

- Monsieur Leconte? - Pod Beą ugięły się nogi i bezsilnie opadła na krzesło.

- Powiedział, że nazywa się Johnny Leconte - Jacinta zaniepokoiła się. - Czy coś się stało, mam'selle?

- To on - wyszeptała do siebie Bea. - W końcu mnie dopadł. Przez głowę przemknęły jej w panice obrazy z przeszłości, gdyż nagle z przeraźliwą jasnością przypomniała sobie mężczyznę, który nazwał siebie Johnnym Leconte, a także to, co się stało. Dziewczynie zamarło serce. Przeszłość w końcu ją dogoniła. To Brad Kane był tajemniczym mordercą, to on zabrał teraz Scotta i Julię. Posłuży się dziećmi, aby ją dostać. Zbyt dobrze wiedziała, że jest zdolny do morderstwa.

Zadzwoił telefon i Bea pobiegła go odebrać modląc się, aby to był Nick. Powie mu wszystko. On będzie wiedział, co zrobić i jej pomoże. Jacinta przyglądała się z niepokojem, jak podnosiła słuchawkę.

- Dzieci chciały przywitać się z tobą, Mario Lauro. - Głos Brada był spokojny i beztroski. - A może wolisz, abym nazywał cię teraz Bea?

Kiedy uświadomiła sobie, co zrobił, opanowała ją gwałtowna wściekłość.

- Gdzie one są?! - wrzasnęła. - Dlaczego je zabrałeś? - Roześmiał się tylko, a za chwilę Scotty podszedł do telefonu.

- Cześć, Bea! - krzyknął. - Twój znajomy ma świetny samochód i pozwolił mi go nawet zapalić. Kiedy do nas przyjedziesz?

- Niedługo, Scotty - poczuła ulgę, bo głos chłopca brzmiał, jakby nic się nie stało.

- Teraz będzie mówiła Julia - znowu odezwał się Brad, a Bea wyobraziła sobie jego uśmiech. Jednak w głosiku Julii pytającej, dlaczego nie spotkała się z nimi na lunchu, wyczuła odcień niepewności.

- Słuchaj, Julio, Nick i ja trochę się spóźnimy. Coś nas tu zatrzymało. Do zobaczenia wkrótce.

Ponownie rozległ się głos Brada.

- Powiedziałem jej, że na pewno przyjedziesz - roześmiał się beztrąsko. - Oczywiście nie wspominałem, co może się zdarzyć, jeśli się tu nie zjawisz.

W głosie dawało się wyczuć jakiś ledwo uchwytny chłód i Bea nagle, bez cienia wątpliwości, zdała sobie sprawę, że taki jest naprawdę Brad Kane: opanowany obsesją szaleniec, który może zabić.

- Gdzie jesteś? - zapytała czując, że serce w niej zamiera.

- Powiem ci, jak tu dojechać, weź długopis i notuj - powiedział z ożywieniem. - Jedziesz Autostradą Słońca A7 na zachód, mijasz Salon de Provence, zjeżdżasz w Cavailon i kierujesz się najpierw autostradą D2, a potem N100. Trzy kilometry za skrzyżowaniem na Gordes jest kawiarnia Saintons. Bądź tam o szóstej i czekaj na mój telefon.

- Co zamierzasz zrobić z dziećmi? - zapytała roztrzęsiona, gdy zanotowała wskazówki.

- Moja droga Mario Lauro, wiesz, że dzieci mnie nie interesują. Nic dla mnie nie znaczą i nie należą do sprawy. Oczywiście nikomu o tym nie powiesz ani nie pójdziesz na policję. Taką mamy umowę. W przeciwnym razie byłoby mi bardzo przykro gdyby takie miłe dzieci nie mogły się cieszyć długim i szczęśliwym życiem. - Roześmiał się cicho. - Wybór należy do ciebie. *

- Przyjadę - powiedziała szybko.

- Czekaj w kawiarni na mój telefon. I nie rób głupstw, dowiem się, jeśli powiesz o tym komuś albo z kimś przyjedziesz.

Rozmowa urwała się, a Bea usiadła, bezradnie tuląc do siebie słuchawkę. Zastanawiała się, co robić. Myślała o Nicku, który za dwie godziny przyjedzie zabrać ją na lotnisko po Phyl. Przypomniała sobie Scotta opowiadającego radośnie o pięknym czarnym ferrari i niepewność drżącą w głosie Julii. Zrozumiała, że nie może nikomu o tym powiedzieć. Musi zrobić tak, jak każe jej Brad, i nie ma czasu do stracenia.

Zerwała się na nogi. Uświadomiła sobie nagle, że jedzie na spotkanie z gotowym do popełnienia zbrodni szaleńcem i powinna mieć ze sobą jakąś broń. W domu nie było pistoletu ani nawet strzelby myśliwskiej. Wpadł jej w oko stojak pełen ostrych kuchennych noży. Wzięła jeden z nich. „Nie może być za duży - pomyślała - musi zmieścić się do kieszeni” - uświadomiła sobie wstrząśnięta, że myśli jak przestępca. Jak morderca.

Jeszcze raz przeczytała nagryzmołone wskazówki, jak dojechać na miejsce, i stwierdziła, że ich nie potrzebuje. Wiedziała dokładnie, gdzie jest Brad. Zmieniła kartkę i wyrzuciła do kosza. Z ogrodu susami nadbiegł Znajda. Rzucił się ku niej radośnie, ale go odepchnęła. Włożyła nóż do torebki, wybiegła i wsiadła do mercedesa. Znajda pognął za nią ślizgając się na marmurowej podłodze. Stał na szczycie schodów i przekrzywiając duży, kudłaty łeb patrzył błagalnie na Beę. Zawahała się. Myśl o jego towarzystwie działała uspokajająco i może zawiezenie dzieciom psa nie było złym pomysłem. Nie miała przecież pojęcia, co stanie się z nimi wszystkimi.

Otworzyła drzwi i Znajda wskoczył na siedzenie obok. Szczekał radośnie, kiedy pędzili w dół żwirowym podjazdem. Bea zastanawiała się przez chwilę, skąd Brad dowiedział się o Les Cerisiers, a potem przypomniała sobie, że artykuły, publikowane po śmierci jej ojca, zamieściły wiele szczegółów na temat domu w Prowansji, w którym pracował. Brad bez trudu mógł; dowiedzieć się, jak tam dojechać. A ona знаła

drogi w Prowansji jak własną kieszeń. To Maria Laura Leconte, a nie Bea French, wyruszała po raz drugi na spotkanie ze swym przeznaczeniem.

Na posterunku policji w San Francisco Mahoney pił swoją pierwszą tego dnia kawę. Spacerował po korytarzu rozmyślając o Bei - albo Marii Laurze Leconte Jones - i wciąż nie dawała mu spokoju myśl, że czegoś tu brakuje. Nalał sobie następną filiżankę i jeszcze raz sprawdził prywatne samoloty zarejestrowane w wykazach linii lotniczych. Wtedy znalazł: Gulfstream IV, pilotowany przez Brada Kane'a, przyleciał z Hawajów do San Francisco w noc napadu na Beę.

Mahoney odchylił się w krzesle. Zastanawiał się nad zbiegami okoliczności: w tym wypadku dwa plus dwa z pewnością równało się cztery. Miał dowód na to, że Brad przebywał w San Francisco, w czasie gdy popełniono przestępstwo, a był to człowiek wystarczająco szalony, aby zabić. Mahoney czuł przez skórę, że wpadł na właściwy trop.

Zatelefonował do Willi Mimosy, gdzie słuchawkę podniósł Nick Lascelles.

- Cieszę się, że to ty, a nie Bea - powiedział detektyw. - Chciałbym zadać jej kilka pytań, trochę nie na telefon, bo pewnie ją zmartwi. Muszę wiedzieć, czy zna człowieka o nazwisku Brad Kane.

- Brad Kane? Nie wiem, czy zna go osobiście, ale z pewnością słyszała o rodzinie Kane'ów.

- Nick szybko przekazał Mahoneyowi historię Johnny'ego Leconte, Archera Kane'a i Rancza Kanoi na Hawajach. Detektyw odchylił się razem z krzesłem i sapnął z zadowoleniem. Nareszcie znalazł motyw. I przestępcę.

Nick odezwał się znowu.

- Jest pewien problem. Właśnie przyjechałem do Willi po Beę, ale nie ma ani jej, ani dzieci. Gospodyni mówi, że znajomy Bei przyjechał wcześniej po Julię i Scotta czarnym ferrari. I co dziwniejsze przedstawił się jako Johnny Leconte. Zadzwoił później, kiedy Bea już była w domu. Jacinta słyszała, jak rozmawiała z dziećmi i umawiała się z nimi gdzieś na spotkanie. Mieliśmy o tej porze jechać po Phyl na lotnisko do Nicei. Bea nie zapomniaby o tym. Nie mogła doczekać się Phyl, jej przyjazd był dla niej bardzo ważny. Kim jest ten człowiek przedstawiający się nazwiskiem ojca Bei? Martwię się, proszę pana. Nie wiem, co mam robić.

- Nic nie rób! - wrzasnął Mahoney. - A już w żadnym wypadku nie zawiadamiaj policji. Sam się tym zajmę. Jedź po Phyl i ostrzeż ją. Powiedz jej, że ten facet to Brad Kane i że niedługo u was będę.

Mahoney rzucił słuchawkę. Zaalarmował Interpol, a potem zadzwonił do FBI, zajmującego się międzynarodowymi porwaniami. Nie chciał nawet brać pod uwagę morderstwa. Godzinę później siedział w specjalnym samolocie lecącym do Waszyngtonu. Stamtąd miał dostać się concordem do Paryża i następnym samolotem do Nicei. Modlił się by zdążyć na czas.

Zrozpaczona Phyl spacerowała po tarasie Willi Mimosy. W drodze z lotniska Nick powiedział jej, co się stało. Na myśl o Bei i dzieciach samych z Bradem Kane'em jej serce przepelniały strach i poczucie winy.

Nick stał oparty o kolumnę, z martwym wzrokiem utkwionym ponad trawnikami gdzieś w przestrzeni. W końcu potrząsnął bezradnie uniesionymi rękami.

- Nie mogę znieść tego czekania - powiedział zdenerwowany. Phyl stanęła i popatrzyła na niego. Gdy ich oczy się spotkały wiedziała, że myślą o tym samym: przeczuwali najgorsze.

- Dlaczego Bea nie zostawiła żadnej wiadomości? - krzyknęła. - Przynajmniej dałaby sobie jakąś szansę!

- Dlatego że Brad Kane jej zabronił, a miał ze sobą dzieci. Siła kidnapera leży w groźbie tego, co może zrobić. - Nick nie powiedział tego na głos, ale tak jak Phyl wiedział, że Brad Kane nie jest zwykłym kidnaperem. Jako okupu żądał życia Bei.

- Przecież musiała zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Na pewno przypomniła sobie, co zdarzyło się w Rozpadlinie Mitchella. O Boże, Nick, co my mamy robić?

- Zapytam jeszcze raz gospodynię, czy nie pamięta czegoś więcej - rzucił wychodząc do kuchni.

- Jacinto, powiedz mi jeszcze raz dokładnie, jak to było. - Starał się mówić łagodnie, bo gospodyni była najwyraźniej zrozpaczona.

- Teraz wiem, że nie powinnam była pozwolić dzieciom jechać - płakała. - Ale ten pan był taki miły, taki elegancki i uprzejmy dla dzieci. Nie wyglądał jak porywacz.

- Wiem o tym, Jacinto. Posłuchaj, zaraz tu będzie policja, ale zanim zaczną cię wypytywać, opowiedz mi jeszcze raz dokładnie wszystko.

- Ten pan zatelefonował - powiedziała. - Mam'selle Bea podniosła słuchawkę. Rozmawiała z dziećmi, brzmiało to zupełnie normalnie. Słyszałam, jak umawiali się na spotkanie. Zapisywała, jak tam dojechać, a ja wróciłam do gotowania, bo myślałam, że wszystko jest w porządku... A potem ona odjechała i pies wskoczył za nią do samochodu...

- Na czym zapisywała, jak dojechać? - zapytał szybko.

- W notatniku, proszę pana. Tym obok telefonu w kuchni.

Nick chwycił notatnik. Pierwsza strona była wyrwana. Oczywiście Bea zabrała ją ze sobą... Chyba że - spojrzał na pusty kosz na papiery. Na podłodze obok leżała zmięta w kulę kartka. Rzucił się do niej.

- Autostrada Słońca - przeczytał - zjazd w Cavaillon, D2 do NIOO... 3 km zjazd... Kawiarnia Saintons... - Mój Boże, Phyl! - wrzasnął. - Mamy ich.

- Musimy natychmiast zadzwonić na policję - powiedziała szybko.

- Nie, Mahoney zabronił. Mamy czekać na niego.

- Zostawmy mu przynajmniej wiadomość - rzuciła - aby wiedział, gdzie pojechaliśmy.

Napisali notatkę z informacją i powiedzieli Jacincie, aby dała ją pierwszemu policjantowi, który się pojawi. Potem wsiedli do czerwonego alfa romeo i ruszyli, według wskazówek Bei, do kawiarni w prowansalskim miasteczku.

Rozdział 35.

Kawiarnia Saintons była typową przydrożną jadłodajnią. Na małym, ogrodzonym żelazną balustradą tarasie stały pod wypłowiałymi parasolami plastikowe stoliki i krzesła. Wnętrze wyłożone było tanią wykładziną podłogową, w głębi stał obity blachą bar, na którym pod szklanymi kloszami leżały nieświeże ciastka i kilka nadpsutych bananów.

Oparty o kontuar właściciel rzucił znad gazety przelotne spojrzenie wchodzącej Bei. Przyjrzała się kilku klientom, ale Brada pomiędzy nimi nie było. Zamówiła brandy i poprosiła o miskę wody dla psa. Gburowaty właściciel obsłużył ją bez słowa, nie zadając sobie trudu, by pozbyć się zwisającego mu z dolnej wargi niedopałka. Znajda hałaśliwie wychleptał wodę, a potem ułożył się pod stołem, przynajmniej raz zachowując się jak dobrze wychowany francuski pies. Po wypiciu jednym haustem brandy Bea utkwiała wzrok w stojącym przy kontuarze telefonie, czekając, aż zadzwoni. Kiedy po minucie rzeczywiście rozdzwonił się hałaśliwie, omal nie wyskoczyła ze skóry. Właściciel strącił popiół na więdnące banany i podniósł słuchawkę. Bea wstała, wpatrując się w niego z niepokojem, ale on rozmawiał z ożywieniem z kimś najwyraźniej znajomym. Znowu opadła na krzesło i spojrzała na zegarek. Była za pięć szósta. Patrzyła nerwowo na właściciela, który wymachując rękami mówił o marsylskiej drużynie piłki nożnej. Wyglądało na to, że może tak gadać bez końca, a wyznaczona przez Brada godzina szósta miała wybić lada moment. Bea wpatrywała się w mężczyznę, modląc się w duszy, aby przestał rozmawiać.

Wreszcie skończył i zaczął obsługiwać kolejnego klienta. Dziewczyna znowu utkwiała wzrok w telefonie. Słyszała tykanie dużego ściennego zegara odmierzającego upływający czas: jedna minuta po szóstej, dwie, trzy, cztery. Pięć po telefon zadzwonił. Tym razem Bea była szybsza.

- Excusez - moil monsieur - powiedziała, pośpiesznie chwytając pierwszą słuchawkę - mais fattends un coup de telephone.

Popatrzył na dziewczynę i wzruszając ramionami wytarł blaszaną ladę starą szmatą, a potem odpalił następnego gauloise'a od niedopałka leżącego w żółtej popielniczce.

- Przyjechałaś sama i na czas - usłyszała spokojny głos Brada. - Miło mi, że zgodziłaś się przyjąć moje warunki.

Przysiadła na stołku barowym ściskając w rękach słuchawkę.

- Gdzie dzieci?

- Są tutaj, ze mną. Nie muszę ci mówić, gdzie się spotkamy, prawda? - W jego głosie znów slychać było śmiech. - Znasz dobrze to miejsce.

- Les Cerisiers? - Wiedziała, że ma na myśli farmę Leconte'ów.

- Czekaj tam na mnie. Jeśli będziesz sama, dzieci wyjdą z tego bez szwanku. Masz pół godziny.

Bea trzasnęła słuchawką. Rzuciła na ladę pieniądze za brandy i nie czekając na resztę, zbiegła po schodach. Wskoczyła do samochodu, a Znajda szcękając z podnieceniem usadowił się obok. Z piskiem opon wyjechała na szosę, prawie prosto pod koła ogromnej ciężarówki. Ledwie usłyszała przeraźliwy sygnał klaksonu pędząc w kierunku zjazdu na Bonnieux.

Nick nie zwracał uwagi na ograniczenie prędkości. Zazwyczaj droga do Cavillon zajmowała mu dwie godziny, ale tym razem przebył ją w półtorej. Jechali cały czas w milczeniu, oboje zbyt przejęci sytuacją, aby rozmawiać.

„Co jeszcze można było powiedzieć?“, pomyślała Phyl, patrząc na mijaną okolicę. Dyskutowali już o tym w nieskończoność.

Krażyli wzdłuż N100 szukając kawiarni Saintons i w zapadającym zmierzchu omal jej nie przegapili. Był to w końcu tylko niepozorny zajazd podobny do setek

innych na trasie. Przed kawiarnią stały dwie półciężarówky i niebieski opel record z niemiecką rejestracją. Nie zauważyli ani białego mercedesa Bei, ani czarnego ferrari.

Właściciel podniósł oczy znad kolumny sportowej w gazecie i popatrzył na nich kwaśno.

- Bon soir, m'sieur, damę - powitał ich składając gazetę i zapalając papierosa.

Inni goście też przyjrzeni im się z zainteresowaniem, a Nick zamówił dwa piwa Kronenbourg i zapytał właściciela, czy nie było tu wcześniej młodej rudowłosej kobiety. Ten obojętnie wzruszył ramionami. Wyjął piwa z lodówki i gwałtownie postawił je na blaszonym kontuarze razem z dwiema mokrymi szklankami.

- Bardzo możliwe, m'sieur. Dużo ludzi tu bywa, mam powodzenie.

- Ładna młoda kobieta z rudymi włosami. Miała ze sobą dużego, brązowego psa.

- Nick wpatrywał się w niego z rozpaczą.

- Ach, pies. Naturalnie m'sieur, dlaczego od razu tak pan nie powiedział. - Wytarł powoli mokrą szmatą ślady po szklankach. - Była tutaj. Czekala na telefon. Potem, pfff, odjechała jak szalona. Wyparowała, jak mówią na filmach - dodał z okropną imitacją amerykańskiego akcentu.

- Wie pan, gdzie pojechała?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie jestem jasnowidzem. Nick spojrzał na Phyl.

- Przychodzi mi na myśl tylko jedno miejsce. Letni dom jej rodziny w pobliżu Bonnieux.

Rzucił pieniądze na ladę, złapał Phyl za rękę i wybiegli z kawiarni. Właściciel patrzył za nimi. Spojrzał na dwa nie wypite piwa, na pieniądze, a potem na pozostałych gości i wzruszył ramionami: „Zwariowani cudzoziemcy”, pociągnął łyk Kronenbourga i wrócił do wiadomości sportowych.

Phyl i Nick omal nie minęli drogi do Bonnieux, wąskiej dróżki biegnącej pośród położonych na równinie winnic, a potem wijącej się stromo do miasteczka na szczycie wzgórza. Gdy wreszcie tam dotarli, było już ciemno. Strome, wybrukowane kocimi łbami uliczki były puste, a średniowieczne kamienne domy zaryglowane na noc. Znaleźli jednak kilka otwartych kawiarni i galerię sprzedającą prace miejscowych artystów i rzemieślników. Jej właściciel wiedział, gdzie jest dom Johnny'ego Leconte Jonesa.

- Oczywiście wszyscy to wiedzą - powiedział Nickowi, przyglądając mu się podejrzliwie. - Ale pan Leconte chronił swoje życie prywatne. Potrzebował samotności, aby tworzyć, i myśmy to szanowali. Nikt w miasteczku nie powie panu, gdzie on mieszka.

- Ale to bardzo pilne - tłumaczyła z rozpaczą Phyl. - Jego córka, Maria Laura jest moją przyjaciółką i również moją pacjentką. Potrzebuje pomocy. Przyjechałam tu aż z San Francisco, aby się z nią zobaczyć... błagam pana...

Bea siedziała na tarasie. Już od godziny czekała na Brada, a on ciągle się nie zjawiał. Było prawie zupełnie ciemno. Czula ucisk w żołądku, jakby był zawiązany na supeł, a serce biło jej gwałtownie, kiedy odtwarzała w głowie rozmaite sytuacje: dzieci porzucone gdzieś, zastrzelone, zakrwawione... może zepchnięte w przepaść tak jak ona... „O Boże - modliła się - spraw, żeby uwolnił dzieci, obiecuję, że zrobię wszystko, jeśli tylko one ocaleją...”

Przypomniała sobie, jak przed wieloma miesiącami Brad po raz pierwszy do niej zatelefonował. Wróciła do domu z Francji, dokąd wyjechała po pogrzebie rodziców. Nie zdążyła jeszcze zawiadomić żadnych przyjaciół o swoim powrocie i rozpakowywała się właśnie w smutnym cichym domu, kiedy zadzwonił telefon.

- Dzień dobry, mówi Brad Kane - powiedział. - Nie wiem, czy o mnie słyszałaś. Postanowiłem do ciebie zadzwonić, bo muszę ci coś wyjaśnić. Chciałbym wynagrodzić ci to, co zrobił mój dziadek, Archer Kane.

Natychmiast rozpoznała nazwisko znane z opowiadań ojca i poczuła, że musi się mieć na baczności.

- Skąd mnie znasz? - zapytała ostrożnie.

- Widziałem nekrolog twojego ojca w „New York Timesie” i fotografię z pogrzebu w jakimś piśmie. Nie wyobrażasz sobie, jak mi przykro.

Jego głos brzmiał tak ciepło i szczerze, że Bea zapragnęła mu uwierzyć. A jednak, zapytywała samą siebie, dlaczego zadzwonił dopiero teraz, po tych wszystkich latach. Ojciec nigdy nie chciał mieć nic wspólnego z Kane'ami. „Nie trzeba budzić licha”, ostrzegał.

- Słuchaj, może zadzwoniłem w niewłaściwym momencie - zawahał się Brad. - Nie chcę cię niepokoić, wręcz przeciwnie. Dowiedziałem się nieco o historii mojej rodziny, naszej rodziny, Mario Lauro. Mimo wszystko jesteśmy spokrewnieni i najprawdopodobniej jesteś moją jedyną żyjącą krewną.

„A ty moim krewnym”, pomyślała zaskoczona.

- Chciałbym zrzucić ciężar z serca, odpokutować za grzechy mego dziadka i dlatego pragnę z tobą porozmawiać. Ranczo Kanoi jest jednym z największych w Ameryce, a jego połowa prawnie należy do ciebie. Chciałbym, abyś przyjechała tu, na Hawaje, i zobaczyła, co dopomogły nam stworzyć pieniądze twojej babki. Myślę, że mimo wszystko, byłaby z tego dumna, i mam nadzieję, że córka Johnny'ego Leconte także to doceni.

- Mój ojciec nie chciał rancza, pragnął całkowicie zerwać z przeszłością - powiedziała porywczo. - Nienawidził Jacka Kane.

- Wiem - odrzekł ze smutkiem Brad. - I miał ku temu powody. Ale ja nie jestem Jackiem, tylko jego synem, który musi żyć z ciężarem poczucia winy. Proszę cię, Mario Lauro, pozwól mi nie tylko przez wzgląd na mnie, ale i na siebie wynagrodzić wszystkie krzywdy. Nie zostawiaj mnie z wyrzutami sumienia. Przyjedź przynajmniej obejrzeć ranczo, kto wie, może sama się w nim zakochasz.

Głos brzmiał tak miło, jakby Brad naprawdę chciał się z nią spotkać. Myśl o Hawajach i ranczu była kusząca wobec ogarniającego ją poczucia samotności. Byłoby fascynujące zobaczyć miejsce, gdzie dorastał jej ojciec. Może Brad miał rację i powinni w końcu zacząć żyć bez uprzedzeń? Maria Laura zapomniała o przestrojach ojca i pojechała.

Lśniący Gulfstream IV czekał w San Francisco, aby zabrać ją do Honolulu, a ostatni, krótki odcinek drogi przebyła małą dwusilnikową awionetką. Brad czekał na lądowisku. Była zaskoczona, że jest taki przystojny. Przypomniała sobie, co ojciec mówił o przystojnych, jasnowłosych mężczyznach z rodziny Kane'ów i pomyślała, iż Brad musi być do nich podobny. Miał na sobie dzinsy, drelichową, roboczą koszulę i wysokie buty. Kiedy uścisnęli sobie ręce, Maria Laura powiedziała mu, że wygląda jak prawdziwy, zapracowany ranczer.

- No i tak jest rzeczywiście - rzekł zaglądając jej głęboko w oczy. - A twoje zdjęcia nie mówiły prawdy. Nie spodziewałem się, że jesteś taka ładna.

Był tak spokojny i odprężony, że od razu poczuła się jak w domu. Długą aleją wysadzaną figowcami pojechali do domku wybudowanego na ranczu przez Archera Kane'a. Brad pokazał Marii Laurze ogrody kwiatowe i rozległe przestrzenie, na których pasły się stada najlepszego rasowego bydła. Zabrał ją do miasteczka zbudowanego przez Kane'ów dla paniolosów i ich rodzin, pokazał szkołę, ośrodek zdrowia i kościół powstały dzięki pieniądзом Kane'ów.

- Abyś nie myślała, że byliśmy całkiem źli - rzucił lekko, uśmiechając się do niej. - I przekonała się, że z pieniędzy twojej babki zrobiono dobry użytek.

Długi dzień zakończył się powrotem na lądowisko.

- Teraz zabieram cię na Kalani - powiedział niedbale Brad, kiedy wsiadali do awionetki.

Kalani. Piękna i straszna wyspa, której więźniem był ojciec dziewczyny przez dziesięć długich lat. Brad wyczuł, o czym myśli, przechylił się i ujął ją za rękę.

- Mario Lauro - powiedział łagodnie. - Odprawmy egzorcyzmy. Wypędźmy dręczące nas zmary.

Brad sam pilotował awionetkę. Zrobił koło nad wyspą i wskazywał towarzysze bliźniacze wulkaniczne szczyty, wysoki klif na północno - - wschodnim krańcu, porośnięte lasem wąwozy i łąki z pasącym się spokojnie bydłem rasy Hereford. Jadąc dżipem do domu Bea próbowała wyobrazić sobie małego, chudego chłopca, którego nazywano Małpką, i jego samotne życie na wyspie. Ojciec mówił jej, że były także szczęśliwe okresy, kiedy Jack i Archer wyjeżdżali, zostawiając go samego z Maluhią i Kahanu. A potem odkrył malowanie, które nadało jego życiu nowy sens.

Dom był długi, biały, niski i miał dach z liści palmowych.

- Nie zmienił się specjalnie od czasów, gdy mieszkał tu twój ojciec - powiedział swobodnie Brad, kiedy chiński służący zbiegł po schodach, by zabrać bagaż dziewczyny. - Będziesz mieszkać w jego dawnym pokoju. Pomyślałem, że sprawi ci to przyjemność.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością, zdawał się pamiętać o wszystkim.

Dawny pokój ojca był mały, mieściło się w nim tylko wąskie mosiężne łóżko i nocny stolik. Ciemną, drewnianą podłogę pokrywał pleciony niebieski dywan, a na ścianach wisiały stare czarno - białe fotografie przedstawiające Kalani. Francuskie drzwi prowadziły na lanai, skąd roztaczał się przepiękny widok na ogrody i ocean.

Maria Laura położyła się na łóżku i z rękami pod głową patrzyła na trawniki, palmy i ocean. W tej samej pozycji, patrząc na ten sam widok, leżał tu jej ojciec, modląc się, aby Jack Kane nigdy więcej nie powrócił. Ile razy ten pięcioletni chłopczyk budził się rano w znajomym, mglistym poczuciu nieszczęścia i zastanawiał, jaką nową torturę przygotował dla niego Jack? Ile nocy spędził leżąc i rozmyślając, czy zdoła stąd uciec i jak to zrobić?

A jednak Bradowi Kane udało się ująć cało z tego piekła szaleństwa i przemocy. Był łagodny, dobry, pełen współczucia. Dostrzegał zło postępowania Archera i Jacka. Gdy biorąc prysznic myślała o nadchodzącym wieczorze, uśmiechnęła się do siebie i uświadomiła sobie, że robi to po raz pierwszy od śmierci rodziców. Może mimo wszystko dobrze się stało, że przyjechała na Kalani. Włożyła prostą bluzkę z kremowego jedwabiu, długą czarną spódnicę i nowe czerwone sandały, które kupiła w zeszłym tygodniu w Awinionie. Zawahała się u drzwi i spojrzała na dawny pokój ojca. Ogarnęły ją nagle wątpliwości i przypomniała sobie przestrogi ojca. Pragnęła zobaczyć Kalani, ale niczego nie potrzebowała od Brada Kane.

Stał na lanai, z kieliszkiem w rękę, opierając się o poręcz, i patrzył na dwa czerwone kardynały wydziobujące łakomie resztki z miski. U jego nóg siedziała para ogromnych czarnych dobermanów. Płonącymi oczami wpatrywały się w ptaki.

- Nie bój się - powiedział, widząc jej przerażenie. - Psy są dobrze wyszkolone i jeśli nie wydam im polecenia, nie zbliżą się do kardynałów.

- Ale nie zrobisz tego? - zapytała z niepokojem.

- Oczywiście, że nie. Od dziesiątków lat, każdego wieczora, ptaki przylatują tu jeść. Twój ojciec dobrze je znał. - Nalał jej kieliszek szampana i powiedział: - Myślę, że zasługujemy na toast. Za ostateczne pojednanie Leconte'ów i Kane'ów. - Trącił jej kieliszek.

- Za nas, droga Mario Lauro, za tych, którzy przeżyli.

- Za nas - powtórzyła, zastanawiając się z zakłopotaniem, co pomyślałby o tym ojciec.

Brad był doskonałym gospodarzem. Jedli prosty posiłek złożony ze świeżo złowionej ryby mahimahi, a on opowiadał dziewczynie o historii rancza i o Kalani. Psy siedziały potulnie za jego krzesłem. Usłyszała o pierwszej hawajskiej żonie Archera, o tym, jak otrzymana w prezencie ślubnym wyspa nazwana przez nią Kalani, Niebiosa, stała się kamieniem węgielnym rancza i fortuny Kane'ów.

- A połowa tego majątku należy teraz do ciebie - powiedział patrząc w oczy Marii Laurze.

Wiedziała, że rzeczywiście tak myśli, i ujęło ją to. Sięgnęła poprzez stół i wzięła Brada za rękę.

- Niczego nie potrzebuję - powiedziała. - Nie chcę. Było, minęło, Ranczo Kanoi jest tylko twoje. Widzę, jak bardzo je kochasz. A dla mnie przecież nic nie znaczy.

- Jesteś bardzo wspaniałomyślna, Mario Lauro - powiedział z dziwnym uśmiechem.

- To nie tak. Ojciec uważał, że spadek stał się powodem jego nieszczęść, że zniszczył mu życie. Nie chciał go i ja też go nie chcę. - Zawahała się. - Może z wyjątkiem willi Mimoza.

Brad odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem.

- Zaproponowałem ci połowę Rancza Kanoi, a ty mi mówisz, że chcesz tylko willi Mimoza? Wiesz, nigdy nawet jej nie widziałem.

- A ja tylko raz - odparła. - Jest piękna. Kalani to twoje królestwo, ale willa należała do mojej rodziny. To dom mojej babki, tam się urodził ojciec i był szczęśliwy, dopóki... - Nie chciała dokończyć. Brad znał historię uprowadzenia Johnny'ego Leconte z willi tak samo dobrze jak Bea.

- A więc, rzecz jasna, dom jest twoją własnością - rzucił. - Dobranoc, Mario Lauro, mam jeszcze trochę pracy.

- Dobranoc, Brad! - zawołała zdziwiona, że już ją opuszcza. Dwa duże czarne psy podążyły za nim bezgłośnie jak cienie.

Przespała smacznie całą noc w dawnym pokoju swego ojca. Do snu kołysał ją miękki odgłos fal bijących o brzeg. Kiedy obudziła się, zobaczyła w brzasku dnia perłowe niebo i wielobarwne stado ptaków świergocących za oknem. Z uśmiechem pomyślała, że Lahilahi właściwie nazwała swoją wyspę. To prawdziwe niebo.

Chiński służący przyniósł na tacy gorącą kawę i bułeczki. Plasterki kolorowych, tropikalnych owoców wyglądały na talerzu jak mozaika z klejnotów.

Maria Laura zapytała ze zdziwieniem przybyłego, skąd wiedział, że się już obudziła.

- Wszystko wiemy, panienko. - Uśmiechnął się tajemniczo, nakrywając do stołu na lanai.

W białym bawełnianym chińskim kubraku i czarnych spodniach wydawał się kruchy i cienki jak trzcina. Na twarzy o delikatnych rysach prawie nie miał zmarszczek, ale dziewczyna przypuszczała, że musi być bardzo stary. Zapytała, jak długo pracuje dla Kane'ów.

- Wiele lat, panienko. Zacząłem jako młody człowiek - odparł składając ręce i kłaniając się uprzejmie. - Najpierw długo pracowałem w Diamentowej Głowie dla pana Jacka, a po jego śmierci dla pana Brada. Teraz głównie przebywam na Kalani. Pan Brad mówi, że mam tu lepszą pracę. - Uśmiechnął się przekornie. - Chciał mnie posłać na emeryturę, ale ja się nie zgodziłem. Żadnej emerytury. Tak jak pani ojciec będę pracował, dopóki nie umrę.

Maria Laura roześmiała się i zapytała go, jak się nazywa. Odpowiedział, że Wong.

- To nie jest moje prawdziwe chińskie imię, panienko, nadał mi je pan Jack. Nie potrafił wymówić mojego imienia i zostałem Wongiem.

Uświadomiła sobie nagle, że spotkała kogoś, kto znał osobiście Jacka Kane'a. To znaczy nie licząc jego syna. Mówi się przecież, że służący zawsze wszystko wiedzą. Ten stary Chińczyk zapewne jak nikt inny zna prawdę o prześladowcy jej ojca.

- Jaki był pan Jack? - zapytała. - Czy był złym człowiekiem? Staruszek zawahał się i pochylił głowę.

- Był dumny, panienko - powiedział w końcu. - Bardzo dumny ze swego nazwiska. Czasem był dobry, czasem zły. - Westchnął. - Czasem bardzo zły. Ale ja byłem tylko jego służącym i choć wszystko widziałem, nie powiem ani słowa. - Spojrzał na nią i dodał: - Nie mówi się źle o zmarłych.

Raz jeszcze się uklonił i odszedł powoli.

- Wong! - zawołała za nim, a on odwrócił się składając cierpliwie dłonie. - Czy znałeś chłopca zwanego Małpką?

- Nie, panienko - pokręcił głową. - Nigdy go nie znałem. Nadszedł Brad, a za nim jak zawsze nadbiegły psy.

- Dzień dobry, Mario Lauro - zawołał wesoło. - Czy dobrze spałaś? - Psy posłusznie przysiadły na zadach, a Brad uśmiechnął się do dziewczyny. - Niestety coś mi wypadło i muszę wracać do Honolulu. Miałem nadzieję, że spędzimy tu kilka dni, ale obawiam się, iż musimy lecieć dziś rano. - Z irytacją wzruszył ramionami. - Tylko interesy, mogą mnie usprawiedliwić. Przecież dopiero co przyjechałaś na Kalani. Ale cóż robić? Przynajmniej zobaczyłaś wyspę, a kto wie, może Diamentowa Głowa spodoba ci się jeszcze bardziej?

Razem z nimi do Honolulu poleciał Wong i jeden z psów, Makana. Całą drogę leżał spokojnie u stóp Chińczyka i dopiero gdy samolot zniżył się do lądowania, zaczął głośno wyć.

- Spokój, Makana! - wrzasnął z kabiny Brad. - Wong, uspokój go. Służący poklepał wielki łeb i powiedział coś po chińsku. Pies przestał wyć, choć wciąż trząsał się ze zdenerwowania.

- To zwierzę tyle razy latało ze mną samolotem, a zawsze wyje, kiedy lądujemy - rzucił niecierpliwie Brad. - Wong spędza tyle samo czasu z dobermanami co ja. Praktycznie je wychował i jest jedyną osobą prócz mnie, której słuchają.

Maria Laura pomyślała, że drobniutki Chińczyk musi ważyć połowę tego co doberman. Pies jednym skokiem obaliłby go na ziemię.

- Nad takim psem nie panuje się siłą - powiedział Brad jakby czytając w jej myślach, - Sekret leży w tresurze i wydawaniu odpowiednich komend.

Dziewczyna pomyślała o psach ulubieńcach swej rodziny, tryskających radością retriewerach i poczuła przypływ sympatii dla Makany.

W Honolulu Brad udał się do śródmieścia na zebranie, a Maria Laura i Chińczyk mieli polecieć do Diamentowej Głowy helikopterem, który czekał na nich na lotnisku.

- Wong zajmie się tobą - zapewnił przy pożegnaniu Brad. - Czuj się jak u siebie w domu.

Kiedy helikopter zatoczył koło nad rezydencją, dziewczyna zdumiona popatrzyła w dół. Był to dom ze snów, ukryty wśród tropikalnej roślinności i oszałamiających kwiatów, z fontannami i basenem pełnym kobaltowo - błękitnej wody, która zdawała się przelewać przez krawędź masywnego czarnego klifu w zielone, pienne fale Pacyfiku.

Wong zaprowadził Marię Laurę do sypialni. Wydawał się tak stary i zmęczony, że nie pozwoliła mu nieść jej sfatygowanej, zielonej, płóciennej torby. Szła za nim, podziwiając mijane po drodze obrazy i dzieła sztuki.

- To był pokój pani Kane - powiedział Wong, otwierając drzwi. Dziewczyna ujrzała dużą, piękną, jasną sypialnię z widokiem na schodzące ku morzu, porośnięte

drzewami trawniki. Wong zabrał jej torbę i umieścił w największej garderobie, jaką kiedykolwiek widziała.

- Pani musiała lubić stroje - powiedziała z podziwem. - Czy to była matka Brada?

- Tak, panienko. Nazywała się Rebeka i była bardzo piękna. Jej portret wisi w jadalni, wraz z obrazami przedstawiającymi innych członków rodziny: pana Archera, jego drugą żonę i pana Jacka.

Maria Laura od razu chciała je zobaczyć. Wong oprowadzał ją pokazując z dumą malowidła, ale nie musiał wyjaśniać, kto jest kim. Dziewczyna wszędzie rozpoznałaby Archera Kane, tak dokładnie z opisu ojca znała tę okrutną, wyniosłą twarz i spojrzenie pełne lodowatej obojętności. Był to jednak bardzo męski, przystojny łajdak i można było zrozumieć, dlaczego zakochała się w nim biedna, bezbronna la celibataire.

Niebieskie oczy Jacka Kane patrzyły drwiąco na Marię Laurę, tak jak zapewne kiedyś na jej ojca.

- Myślałeś, że ponieważ nazywasz się Kane jesteś królem świata - szepnęła do niego. - Ale to nie ty w końcu zwyciężyłeś. Zostały ci tylko pieniądze.

Rebeka była piękniejsza, niż można sobie wyobrazić. Obwieszona lśniącymi szmaragdami, wspaniała i wyniosła. To musi być cecha rodzinna, pomyślała ze zdziwieniem dziewczyna. Widoczna nawet u żon, bo malarz uchwycił ją także na portrecie Chantal. Wyniosłość czaiła się w rysunku warg i niecierpliwości oczu, choć zdaniem Marii Laury była w nich też doza autoironii.

Dziewczyna poczuła się lepiej, gdy odwróciła się od tych dawno zmarłych postaci. To dobrze, że tu przyjechała i zmierzyła się z duchami osób, z którymi za życia obcował jej ojciec. Wierzyła, że byłby z tego zadowolony.

Wróciła do pokoju, gdzie pokojówka rozpakowywała właśnie jej torbę i musiała uśmiechnąć się na widok swych podkoszulków, sukienki, spódnicy i kilku bluzek wiszących samotnie w obszernej garderobie. Proste stroje nie dorównywały po prostu wspaniałości otoczenia. Garderoba Rebeki wymagała wyszukanych toalet, pudeł na kapelusze i kufrów, a nie starej, zielonej, sportowej torby.

Maria Laura przebrała się w kostium kąpielowy i poszła pływać we wspaniałym basenie. Potem leżała w cieniu parasola na bambusowym leżaku i sącząc herbatę z lodem przyniesioną przez chińskiego służącego, rozmyślała o Bradzie.

Jest dla niej bardzo dobry, mówiła sobie. Nadzwyczaj gościnnie, współczujący i wspaniałomyślny. Chciał jej ofiarować połowę Rancza Kanoi. Dlaczego więc ciągle dręczyło ją uczucie, że coś się za tym kryje? Dlaczego był dla niej taki miły? Przypominała sobie, co mówił jej ojciec o wszystkich Kane'ach. Najcenniejszą dla nich rzeczą jest rodzinne nazwisko i Ranczo Kanoi. Zabiliby, aby móc utrzymać je przy sobie.

Dlaczego więc Brad nagle zaproponował jej połowę rancza? To tak jakby chciał ofiarować jej połowę serca.

Wypiła łyk herbaty czując nagły niepokój. Brad Kane był trzeźwym biznesmenem, a nie filantropem, nawróconym chrześcijaninem czy szaleńcem. To po prostu nie leżało w jego charakterze. Wiedział dokładnie, co robi, i jeśli chciał oddać jej część rancza, musiał pragnąć czegoś w zamian.

Wydawało się jej, że słyszy głos ojca, bez końca powracało jego ostrzeżenie „nie budź licha...” Coś się nie zgadzało. Nagle poczuła, że nie ma ochoty czekać, by się o tym przekonać, zapragnęła się stąd wydostać.

Pobiegła przez rajski ogród z powrotem do pokoju Rebeki. Zapakowała torbę, wzięła prysznic i ubrana w biały podkoszulek, dżinsy i czerwone sandały wyszła na taras, by zaczekać na Brada.

Wrócił o wpół do pierwszej.

- Jak to miło, kiedy ładna dziewczyna wypatruje mojego powrotu - powiedział serdecznie, nalewając sobie whisky.

Chciał poczęstować także i ją, ale odmówiła, zastanawiając się czy mimo wszystko się nie myli. Brad, spokojny, opalony, przystojny i... bogaty, wyglądał jakby świat do niego należał. „Dlaczego więc... - ciągle powracało do niej to pytanie - pragnie jej ofiarować połowę tego wszystkiego?”

- Jesteś bardzo milcząca, Mario Lauro - zauważył, patrząc na nią.

- Zmęczyłam się. Dużo pływałam - odparła wykrętnie.

- Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść lunch w altanie - zaproponował.

Na skraju klifu stał ładny drewniany pawilonik. Brad wziął dziewczynę za rękę i obejmując przyjacielsko ramieniem, pociągnął za sobą ku altanie. Doberman deptał im po piętach.

Zbudowana na sposób hawajski, altana była białą, drewnianą, ośmiokątną budowlą, otwartą ze wszystkich stron, ze spiczastym dachem krytym strzechą. Pomiędzy słupkami wisiały płócienne zasłony, które można było zasunąć na wypadek wiatru. Rozciągał się stąd wspaniały widok na spiętrzone fale Pacyfiku bijące o skały u podnóża stromego czarnego klifu.

Wong ustawiał potrawy na bufecie, ale Brad odprawił go mówiąc, że sami się obsłużą.

Przez chwilę, gdy patrzyła na otaczające ich piękno, Marię Laurę kusilo, by wziąć propozycję Brada za dobrą monetę. Cudowne ogrody pełne pachnących tropikalnych kwiatów, szmaragdowe trawniki, widok pofalowanego oceanu - połowa tego będzie należała do niej, jeśli tylko powie słowo. Ale kiedy spojrzała na swego towarzysza, dostrzegła dziwny wyraz jego twarzy, obcość i chłód. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- No to jedźmy - powiedział z uśmiechem. Znowu wyglądał zwyczajnie i Maria Laura pomyślała, że niepotrzebnie wpada w panikę.

Skubała sałatkę, a Brad także nie wydawał się głodny. Siedział w milczeniu i patrząc na dziewczynę, popijał whisky.

Znad oceanu nadpłynęły czarne chmury i przesłoniły słońce. Nagle powiał silny wiatr, zamieniając fale w ciemne spienione góry. Wszystko wokół pociemniało. Maria Laura zadrżała i patrząc nerwowo na Brada zastanawiała się, dlaczego jest taki milczący.

- Brad, postanowiłam wyjechać - powiedziała szybko. - Byłeś wspaniały. Dziękuję za pokazanie Rancza Kanoi, Kalani i za twoją wspaniałomyślną propozycję. Ale nie mogę jej przyjąć, nie chcę stąd niczego.

Jego twarz, gdy na nią popatrzył, nie wyrażała nic. Ciągle się nie odzywał i Maria Laura znowu poczuła niepokój. Brad sprawiał wrażenie, jakby jej nie dostrzegał.

Wstała i przeszła nerwowo na skraj altany. Przechyliła się przez poręcz i patrząc na ocean żałowała, że nie wie co powiedzieć, by przerwać tę dziwną ciszę. Odwróciła się, by jeszcze raz przeprosić go za nagły wyjazd i wtedy zobaczyła leżącą na krześle strzelbę z drewnianą, wykładaną srebrem kolbą.

- Piękna broń - powiedziała, zdziwiona, że nie zauważyła jej wcześniej. - Do czego tutaj strzelasz?

- Do drapieźników - odparł zjadliwie. - Siadaj, Mario Lauro Leconte.

Zamarła patrząc na niego. Niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu.

- Powiedziałem: siadaj.

Coś w jego głosie zmusiło ją do posłuszeństwa. Nogi się pod nią ugięły i opadła na przeciwległe krzesło.

- Przepraszam, że nie mogę zostać dłużej - powiedziała przerażona - ale tak będzie lepiej. Ojciec miał rację, nie powinnam była tu przyjeżdżać.

- Bądź cicho i słuchaj, co do ciebie mówię, idiotko - warknął niecierpliwie. Wstrząśnięta otworzyła szeroko oczy. - Oczywiście masz rację - mówił obcym głosem, - Nie powinnaś była tu przyjeżdżać. Ani twój ojciec. Archer Kane powinien był go zabić w willi Mimoza razem z jego matką. Tak byłoby najlepiej dla nas wszystkich. - Uśmiechnął się zimno i łyknął drinka. - Zaoszczędziłoby mi to wiele kłopotu.

- Co masz na myśli? - Maria Laura zerwała się na nogi i odepchnąwszy krzesło odsunęła się nerwowo od Brada. Doberman spojrział groźnie i warknął.

- Jeśli sądziłaś, że dam ci choć najmniejszą część Rancza Kanoi, jesteś bardzo naiwna. Należy ono do rodziny Kane'ów. To nasza ciężka praca, inteligencja, poświęcenie i wyższość nad innymi stworzyły to miejsce. Maria Antonina Leconte i jej syn dostarczyli tylko pieniędzy. Niczego więcej. Nie zbudowali domu, nie posadzili figowców. Nie zbudowali ośrodka zdrowia, kościoła i domów dla robotników. Nie zrobili nic, Mario Lauro.

Zamilkł, a ona, chcąc go ugłaskać, powiedziała szybko:

- Wiem o tym, Brad. Dokonałście tu cudów.

- Jack miał rację - ciągnął nie zwracając na nią uwagi. - Mówił, że powinien był zabić Małpkę, kiedy bili się tamtej nocy na wyspie. Wbić mu nóż w serce i zakończyć sprawę. Całe życie tego żałował, mówił mi: „Czuję w kościach, że on gdzieś tam jest i czeka, jak przyczajony grzechotnik, by zaatakować. Pewnego dnia, synu, spróbuje odebrać nam majątek. Będzie chciał zabrać to, na co rodzina Kane'ów pracowała przez te wszystkie lata: nasz pot i trud, ziemię i dziedzictwo. Nasze nazwisko. Nie popełnij błędu. Kiedy przyjdzie zażądać swego majątku, musisz działać. Szybko i bez litości.”

Przerażona Maria Laura z trudem złapała oddech, a Brad rzucił pustą szklanką o ziemię i wstał.

- Mój ojciec nie żyje! - krzyknęła. - Nigdy nie chciał mieć nic wspólnego z Kalani i z Ranczem Kanoi. Nigdy nie pragnął tu wrócić ani nic od was nie chciał.

- Ale ty żyjesz, Mario Lauro, i pewnego dnia zapragniesz bogatego rancza, pięknego domu, Kalani i pieniędzy. Pójdiesz do dobrego adwokata, przedstawiś mu całą historię i swoje racje. Zażadasz więcej niż połowy rancza, będziesz chciała wszystkiego. A ja na to nie mogę pozwolić.

- Jesteś szalony! - krzyknęła cofając się. - Mówiłam, że nic od ciebie nie chcę. Nie chcę, aby nazwisko Leconte kojarzono z Kane'ami. Ojciec miał rację. Życie ponad prawem, nie macie żadnych zasad. Twój dziadek zabił swoją żonę, aby dostać jej pieniądze, i zabiłby Johnny'ego, gdyby skończył osiemnaście lat mieszkając tutaj. Nie powinnam tu była przyjeżdżać. Słuchałam ciebie zamiast ufać memu ojcu. Ciemne niebo przeciął nagle zygzak błyskawicy.

- Za późno - powiedział Brad. Stał oparty o poręcz, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i patrzył na dziewczynę spod przymrużonych powiek.

- Miałam zamiar wyjechać jutro - powiedziała, wycofując się ukradkiem w kierunku schodów. - Ale będzie lepiej, jeśli to zrobię zaraz.

Pospiesznie zeszła po schodach,* słysząc za sobą zimny, gorzki śmiech, który zmroził jej krew w żyłach. Zaczęła biec. Usłyszała, jak Brad rzuca rozkaz i obejrzała się przez ramię. „Zabij!”, krzyknął, a ona zobaczyła dobermana, który jak czarna strzała gnał w jej kierunku przez burzliwą ciemność. Krzyknęła, osłaniając się rękami, kiedy potężny pies rzucił się na nią. Jego szczęki zacisnęły się na jej ramieniu i poczuła palący ból. Wtedy usłyszała krzyk Wonga.

- Leżeć, Makana! - wrzeszczał na psa, biegnąc w ich kierunku. - Zostaw! Leżeć, ty łajdaku!

Pies posłuchał, a Wong rzucił się pomiędzy nią a zwierzę. „Zabij!”, krzyknął ponownie Brad, biegnąc ku nim poprzez mrok ze strzelbą w rękę.

Doberman chwycił staruszkę za gardło i zatopił w nim zęby. „Boże!”, wrzasnęła Maria Laura. Chińczyk leżał na ziemi, a pies rozrywał mu twarz na strzępy. Z tętnicy szyjnej tryskała krew. Była wszędzie. Huknął strzał i pies uniósł zakrwawioną mordę znad ofiary. Przez chwilę patrzył na dziewczynę, a potem wydał cienki, niesamowity skowyt. Płonące czerwone oczy stały się szkliste, łapy ugięły się i pies powoli osunął się na ziemię obok ciała Wonga.

Dziewczyźnie strach dodał skrzydeł. Pobiegła śliską ścieżką w dół, czekając na strzał, który pośle i ją na tamten świat. Nic takiego nie nastąpiło, a kiedy obejrzała się przez ramię, zobaczyła Brada stojącego w strumieniach deszczu nad leżącymi ciałami. Potem ukląkł obok nich, rzucając strzelbę.

- O Boże! - usłyszała jego bolesny okrzyk. - Zobacz, co oni teraz zrobili! Podniósł głowę ku niebu, jęcząc z niewypowiedzianego bólu.

Uciekała ścieżką w kierunku domu. Chciała jak najszybciej się stąd wydostać... Pójść na policję, opowiedzieć im wszystko... Przekonać ich, że to szaleniectwo... Wiedziała jednak, że to nic nie da. Popatrzą na Brada, ranczera dzentelmena, właściciela dużej części wyspy, którego rodzina mieszkała tu od pokoleń, a potem na nią, histeryzującą młodą kobietę opowiadającą jakąś zwariowaną historię o napadzie. Wiedziała, po czyjej stronie staną.

Biegła już podjazdem w kierunku bramy, kiedy przypomniała sobie, że zostawiła w pokoju pieniądze i karty kredytowe. Stanęła roztrzęsiona i bezradna. Bez nich nie znajdzie przecież daleko. Spojrzała w kierunku domu i zobaczyła biegnących służących. Krzyczeli coś przerażeni i pojęła, że ma kilka minut czasu. Pomknęła do pokoju, chwyciła torebkę i przez ogród uciekła do bramy. Nikt jej nie pilnował, bo strażnik usłyszał strzał i pognął zobaczyć, co się stało. Maria Laura otworzyła ją uruchamiając elektroniczną maszynę i wydostała się na zewnątrz. Pośród deszczu zaczęła biec równym krokiem w dół wzgórza. Bijące serce podchodziło jej do gardła.

Zdawało jej się, że minęły wieki, zanim zobaczyła stację benzynową. Wtedy zwolniła i spojrzała na zegarek. Biegła już dwadzieścia minut. Brad nie odważy się ścigać jej w miejscu publicznym, pomyślała, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu monety.

Z automatu zadzwoniła po taksówkę, a potem poszła do toalety i doprowadziła się do porządku. Umyła krwawiące ramię i owinęła zdjętym podkoszulkiem. Włożyła lekki sweter, by podtrzymać zaimprovizowany bandaż. Zimną wodą ochlapała twarz, uczesała mokre włosy i wyszła na zewnątrz czekać na taksówkę.

Od biegu zaschło jej w gardle, kupiła więc w automacie colę i popijała ją, ciągle w środku dygocąc. Pomyślała o smutnej twarzy Brada, gdy spoglądał na Wonga, o jego dzikim bolesnym jęku. Przypomniała sobie także zdychającego psa, jego szkliste oczy, gdy osuwał się wolno na ziemię. Wiedziała, że Wong uratował jej życie i że z jego powodu Brad jej nie ścigał. Przynajmniej na razie.

Nadjechała taksówka. Maria Laura podbiegła do niej, wsiadła i oparła się o poduszki siedzenia. Samolot linii United odlatywał za dwie godziny. Dwie godziny! Rozciągały się przed nią jak wieczność. Kupiła bilet i odeszła pośpiesznie od lady. Kryjąc się w tłumie czekała, rozglądając się wokół. Brad nie zjawił się, kiedy w końcu ogłoszono jej lot. Odetchnęła z ulgą, gdy weszła na pokład i odnalazła swoje miejsce. Wreszcie była bezpieczna.

A kiedy przyleciała do San Francisco, Brad już tam na nią czekał.

Teraz, siedząc na tarasie pięknej starej farmy należącej do jej rodziny Bea zastanawiała się, jak mogła myśleć, że kiedykolwiek będzie bezpieczna. Brad Kane miał obsesję na punkcie Leconte'ów. Był szalony. Nie zdawała sobie sprawy, jak szybko i sprawnie potrafił działać. Nie wiedziała, że leciał Gulfstreamem do San Francisco, zanim jeszcze znalazła się na pokładzie samolotu, że zdążył kupić

strykawki z szybko działającym środkiem usypiającym, który unieszkodliwi ją na całe godziny - tak aby mógł ją zabić i upozorować wypadek. Chciał mieć pewność, że Ranczo Kanoi będzie w końcu należało tylko do niego.

Wyczuła obecność Brada, zanim go zobaczyła. Pojawił się bezszelestnie i nagle jak cień. Widziała jego ciemną postać i jarzący się ogień papierosa.

- A więc znowu się spotykamy, Mario Lauro - powiedział cichym, matowym głosem.

Znajda najeżył się i wstał. Warczał, szczerząc ostrzegawczo zęby.

- Mam nadzieję, że nie przyprowadziłaś tego kundla dla obrony - roześmiał się Brad. - Jakoś nie wydaje mi się, aby była to właściwa rasa.

- Gdzie są dzieci? - zapytała szybko Bea.

Zdziwiła się, że jej głos brzmi tak spokojnie. Teraz gdy spotkała się ze swym zabójcą twarzą w twarz, czuła nienawiść tak intensywną, że sama się przeraziła. Chcąc wygrać, musiała jednak zachować pozory spokoju. Musiała dowiedzieć się, czy dotrzymał słowa i czy dzieciom nic się nie stało.

- Dotrzymałem obietnicy - odparł. - Są w taksówce, w drodze do Willi Mimoza.

- Skąd mam wiedzieć, czy to prawda - zapytała nieufnie, śledząc jego rękę trzymającą papierosa. Wzruszył obojętnie ramionami.

- Myślę, że po prostu musisz mi zaufać.

Zgasił papierosa i ruszył w jej kierunku. Włożyła rękę do kieszeni zaciskając ją na ostrym kuchennym nożyku. Pot zlepił jej włosy, drżała ze strachu i z nienawiści do Brada, Jacka i Archera. Zbrodnie uchodziły im na sucho, ale tym razem ona na to nie pozwoli. Prędej go zabije. Załkała, uświadamiając sobie, o czym myśli. Brad zamienił ją w morderczynię. W niczym nie różni się teraz od Kane'ów. Nagle zobaczyła, że Brad trzyma w ręku pistolet. Znajda znowu warknął, jego odsłonięte zęby błysnęły w mroku. Zacisnęła mocniej rękę na obroży.

- Pojedziemy na przejażdżkę - powiedział Brad nie zwracając uwagi na psa. - Małe zwiedzanie okolicy. Szkoda, że jest tak ciemno, ale na pewno znasz tejsze drogi jak własną kieszeń.

Wziął dziewczynę za ramię i pociągnął do jej samochodu. Przytrzymał drzwi i wskazał pistoletem miejsce za kierownicą. Nic nie rozumiejący Znajda skomląc usadowił się obok. Brad usiadł z tyłu.

- W porządku, jedziemy - rzucił. - Na rozjeździe skręć w lewo, wiesz, tam gdzie droga zaczyna wspinać się stromo pod górę.

Maria Laura wyczuła, że Brad trzyma pistolet na wysokości jej głowy. Włączyła silnik i pojechała, tak jak jej kazał. Wiedziała, o jakie miejsce mu chodzi. Był to punkt widokowy, na którym spędzała leniwe popołudnia obserwując leżącą w dole spokojną dolinę, samochody wspinające się jak mrówki po stromych drogach do pięknej village perche po przeciwnej stronie. W lecie, leżąc na ciepłych skałach, słuchała głosów ptaków i świerszczy, podziwiała czerwone dywany pól makowych, a po paru miesiącach lawendy i słoneczników, i w końcu winogrona dojrzewające w gorącym słońcu przed jesiennymi zbiorami. Punkt widokowy kończył się spadkiem bardziej urwistym niż Rozpadlina Mitchella.

Ręce dziewczyny drżały, gdy wjeżdżała wolno pod górę, nieprzytomnie szukając sposobu ucieczki. Nóż, który wciąż miała przy sobie, nie mógł równać się z pistoletem Brada. Do diabła, tym razem jest przytomna, mówiła sobie dziko, i będzie walczyć o życie... Nie pozwoli znów zepchnąć się w przepaść... Będzie musiał ją najpierw zastrzelić...

Nagle uświadomiła sobie, że Brad, gdyby tylko chciał, mógł zastrzelić ją już na tarasie. Była bezbronna, a on zaoszczędziłby sobie kłopotu. Nie zrobił tego jednak, bo

nie chciał, aby wyglądało to na morderstwo. Pragnął upozorować wypadek i dlatego poszczuła na nią dobermana, zepchnął w przepaść. Zatrzymała samochód na szczycie.

- Podjedź do krawędzi - rozkazał.

Posłusznie wykonała polecenie, a potem wyłączyła silnik i czekała. Brad nie ruszał się i nic nie mówił. Słysząc było, jak cisza dzwoni. Maria Laura wyobrażała sobie wycelowany w jej głowę pistolet, była jednak pewna, że Brad nie zamierza zrobić z niego użytku. Do jej podświadomości zaczęły docierać znajome nocne odgłosy: skrzek rzekotek, krzątania nocnych zwierząt, nagły furkot skrzydeł spłoszonych ptaków. Gdzieś w dole zobaczyła światła samochodu. Patrzyła z nadzieją, ale błysnęły i zniknęły. Potem nie było nic widać. Została sama z Bradem Kane'em.

Usłyszała, jak Znajda zaskomlił. Brad wysiadł z samochodu. Niemal w zupełnej ciemności widziała zarys wycelowanego w nią pistoletu.

- Dlaczego to robisz? - krzyknęła, pragnąc nagle zrozumieć, o co mu właściwie chodzi. - Mówiłam ci, że nie chcę rancza ani pieniędzy. Niczego od ciebie nie chcę.

- Ciągłe jeszcze nie rozumiesz? - zapytał. - Przez całe życie Jack czekał, kiedy Małpka przyjdzie ukraść mu ziemię i odebrać prawa pierworodnego. Zachowując Kanoi dla Kane'ów chronię własne interesy. Nie mogę pozwolić abyś zagroziła im ty czy jacyś przyszli Leconte'owie. Nadszedł czas, droga Mario Lauro, by przywrócić zachwianą równowagę. Myślę, że tak będzie najlepiej - powiedział i widziała, że się do niej uśmiecha. - Tym razem musimy mieć pewność, prawda?

Otworzył drzwi. Zwolnił ręczny hamulec, włączył silnik i wrzucił bieg, Jedną ręką przytrzymał dziewczynę, sięgając do pedału gazu. Maria Laura krzyknęła przeraźliwie i nagle jakimś cudem udało jej się wyrwać. Rzutem ciała wydostała się przez przeciwległe drzwi, a Znajda skoczył za nią szcękając jak szalony. Leżała ogłupiała na szorstkiej, pełnej kamieni trawie, a samochód ruszył chwiejnie w stronę urwiska. Przez chwilę kiwał się na krawędzi, a potem łagodnie zsunął w dół. Dziewczyna usłyszała straszny trzask tłuczonego szkła, odgłosy wgniatanej i rozrywanej blachy, kiedy samochód obijając się o skały spadał w przepaść. Potem nastąpiła potężna eksplozja i buchnęły płomienie. Maria Laura byłaby w tym piekle, gdyby Bradowi się powiodło.

Strach sprawił, że zerwała się na nogi, ale Brad chwycił ją od tyłu. Zaciśnął ramiona wokół niej i zmusił, by posuwała się ku krawędzi przepaści. Krzyczała przeraźliwie, zapierając się nogami, czepiając ciernistych gałęzi, szukając oparcia dla stóp na wystających kamieniach. Musi wyjąć nóż, to jej jedyna szansa. Musi zabić Brada, zanim on ją zabije. Usłyszała dzikie warczenie Znajdy i zobaczyła na tle czerwonej poświaty czarną sylwetkę psa. Rzucił się na jej prześladowcę i przewrócił ich oboje na ziemię.

Maria Laura przetoczyła się na bok. Wstała i kopniakiem wytrąciła Bradowi z ręki wycelowany w psa pistolet. Schyliła się, by go podnieść, ale jej prześladowca był szybszy. Chwycił go i gwałtownie uderzył psa w głowę. Znajda zaskowyczał piskliwie i upadł. Maria Laura krzyknęła z gniewu i strachu, a Brad złapał ją za nogę i zaczął ciągnąć w kierunku przepaści. Kopnęła go, poturlała się, ale po chwili był już na niej. Walił jej głową o kamienie. Czuli silny ból i wiedziała, że to się nigdy nie skończy. Traciła przytomność, ale starała się temu nie poddawać. Nie pozwoli mu zwyciężyć, nie pozwoli... Niemal podświadomie zdała sobie sprawę, że oprócz własnego głosu słyszy jakieś krzyki. I nagle pojawiły się światła i ludzie.

Brad błyskawicznie zerwał się na nogi, pociągnął Beę za sobą i zasłonił się nią jak tarczą. Na pół świadomie zorientowała się, że mają przed sobą ustawionych w półkole żandarmów, którzy celują do nich z pistoletów. Jak przez mgłę słyszała głos Nicka, krzyczącego aby się „trzymała”. A potem straciła przytomność i poleciała w znajomy, czarny tunel nicości.

- Brad - powiedziała miękkim głosem Phyl. - Brad, to ja.

- Rebeka - wyszeptał ochryple, przyglądając się otaczającym światłom. - Skąd się tu wzięłaś? Myślałem, że czekasz na mnie w San Francisco. Mieliśmy jechać na Kalani. Zapomniałaś?

Serce Phyl zamarło, jakby nie należało już do jej ciała. Brad nie był tym czarującym kochankiem, którego znała. Wykwintnym, światowym mężczyzną, bogatym, przystojnym ranczerem, który miał wszystko. Patrzyła na kogoś obcego. Wzięła głęboki oddech i weszła w krąg padającego z samochodów światła. Brad ciągle trzymał bezwładne ciało Bei i Phyl nie była pewna, czy dziewczyna jeszcze żyje.

- Puść ją, Brad - poprosiła miętko, podchodząc bliżej.

- Musiałem to zrobić. Rozumiesz, prawda? Ty jedna musisz zrozumieć - powiedział, szukając jej wzroku.

- Rozumiem, Brad. Ale można to chyba zrobić inaczej.

Trzęsa się z przerażenia. Wystarczy jeden szybki ruch i Bea znajdzie się poza krawędzią. Nagle Brad zobaczył otaczających ich żandarmów. Wydawało się, że w tym momencie oprzytomniał.

- Już za późno, prawda? - popatrzył pytająco na Phyl.

Skinęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Na jej oczach zimnokrwisty, szalony myśliwy, który dopadł swojej ofiary, zmieniał się w swobodnego, uroczego mężczyznę.

- I dla nas też jest za późno - dodał miętko. - Wybacz mi, Phyl, jeśli cię skrzywdziłem, Jesteś jedyną kobietą, którą mógłbym pokochać.

Popchnął Marię Laurę w jej kierunku i przystawił sobie pistolet do głowy. Przez ułamek sekundy patrzył w oczy Phyl dzikim, szalonym spojrzeniem.

- Zdradziłaś mnie, Rebeko - powiedział nienawistnie i nacisnął spust.

Phyl dźwięczał w uszach jej własny krzyk, kiedy jasnowłosa głowa Brada rozprysnęła się na tysiąc zakrwawionych kawałków, a on sam zwałił się w przepaść.

Rozdział 36.

Mahoney przybył do willi Mimoza wcześniej rano następnego dnia. Teraz wszyscy siedzieli na tarasie popijając lemoniadę. Patrzyli ponad trawnikami na wyniosłe cedry, igły cyprysów na tle czystego nieba, spokojne Morze Śródziemne, którego kolor skłonił pewnego razu Johnny'ego Leconte do ponownego zdefiniowania słowa „lazurowy”.

Scotta i Julię odnaleziono przerażonych, lecz całych i zdrowych, w zamkniętym bagażniku samochodu Brada. Mahoney nie miał wątpliwości, że Kane także by ich zabił. Na pewno nie pozostawiłby świadków.

Bea - lub Maria Laura, jak zaczęli ją nazywać teraz przyjaciele - znów miała obandażowaną głowę i, jak stwierdziła z ironią, zaczynała to lubić. Była poważnie pokaleczona i posiniaczona, ale nie miało to żadnego znaczenia wobec ulgi, jaką poczuła w sercu, gdy przypomniała sobie, kim jest. Wreszcie przestała się bać. Cieszyła się, że nie musi nosić tak jak Znajda sztywnego kołnierza z białego plastiku, który miał mu uniemożliwić drapanie szwów z tyłu biednej ogolonej głowy. Pies, objedzony do granic możliwości stekiem, leżał szczęśliwy u nóg swej pani. A ona, z dłonią w rękę Nicka, opowiadała wszystkim, co stało się tamtego dnia w Diamentowej Głowie, i o tym, jak Brad dopadł ją na lotnisku w San Francisco.

- Masz to już za sobą - powiedziała uspokajająco Phyl patrząc, jak dzieci biegają na wyścigi przez trawnik do basenu. - Musisz o tym zapomnieć i nauczyć się żyć dalej.

Maria Laura uśmiechnęła się do niej z czułością.

- Żyję dzięki wam wszystkim i nie mam zamiaru umierać. - Spojrzała na swojego mężczyznę, na dom, dzieci, przyjaciół i powiedziała: - Jakkolwiek by na to patrzeć, mam po co żyć.

Phyl oparła się o poduszki leżaka. Oczy miała wciąż zapuchnięte od płaczu, była blada i wyczerpana.

- Przydałoby ci się trochę tej twojej czerwonej szminki - powiedział z uśmiechem Mahoney, ustawiając obok krzesło i nalewając sobie szklankę lemoniady.

Popatrzyła na niego gniewnie, ale raczej słabo i bez zwykłego błysku w niebieskich oczach.

- Amerykańska kawaleria przybywa na odsiecz - rzuciła sarkastycznie. - Szkoda, że odrobinę za późno.

- Cóż, nawet concorde nie był wystarczająco szybki. A nie znaleźli jeszcze sposobu, abyśmy przenosili się z miejsca na miejsce tak szybko jak kapitan Spock (Kapitan Spock - postać ze „S science fiction popularnego telewizyjnego serialu. (Przyp. tłum.)). Lecz FBI i Interpol mają magiczne komputery, dzięki którym wszyscy byliśmy w kontakcie. Tak że kawaleria zdążyła jednak na czas. - Popatrzył poważnie na Phyl i dodał miękko: - Dzięki Bogu.

- A jak dowiedziałeś się, że to był Brad?

- Proste jak dwa razy dwa. Powinienem był wykryć to wcześniej, gdy tylko usłyszałem wzmiankę o Hawajach. Tamtej nocy przyleciał z Hawajów prywatny samolot pilotowany przez Brada Kane. - Mahoney wzruszył ramionami. - Powinienem być się domyślić.

- Nie ma ludzi nieomylnych - powiedziała łagodnie Phyl. Nie chciała, by czuł się winny.

- To dotyczy również kobiet - odparł patrząc jej w oczy. - Może powinnaś o tym pamiętać.

Przez długą chwilę wytrzymał jej spojrzenie. Wiedziała, że ma na myśli to, co stało się z jej córeczką, z Marią Laurą, z Bradem. Nie może być wszystkim dla wszystkich ludzi. Nie jest doskonała. Jest po prostu Phyl Forster, kobietą, która pracuje, jak umie najlepiej, lecz ma swoje własne życie.

Mahoney przechylił się ku niej.

- Wiesz co? - szepnął jej do ucha.

- Co? - Spojrzała na niego i także się nachyliła.

- Zarezerwowałem na dzisiejszy wieczór stół w Moulin de Mougins. Pamiętasz? Obiecałem, że pewnego dnia cię tam zabiorę. Przekonamy się, czy potrafiamy przyrządzić kurczaka tak dobrze jak ja.

Odchyliła głowę i roześmiała się, a potem pocałowała go. Pocałunek był pełen szczęścia.

- Pan, który mierzy daleko - powiedziała, przypominając sobie własne słowa.

Zmrużył oczy posyłając Phyl szeroki, kpiący uśmiech.

- To ja - zgodził się i ucałował jej dłoń.